

P. 9786

ISSN 0023-5148

# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

**PARYŻ**

**Nr 1/460-2/461**

**1986**



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

M. POLESKI: **POLSKA POLITYKA**

B. KORZENIEWSKI: **WYZWOLENIE**

W. WOROSZYLSKI: **IMIENNIK**

A. BESANÇON: **INSTRUKCJA DLA DYPLOMATÓW**  
**DOROCZNE NAGRODY "KULTURY"**

## SPIS RZECZY

Redakcja:	<i>Do prenumeratorów w Australii i Kanadzie</i> .....	2
Redakcja:	<i>Obserwatorium</i> .....	3
Maciej Poleski:	<i>Polska polityka</i> .....	7
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Dziennik pisany nocą</i> .....	41
Bohdan Korzeniewski:	<i>Wyzwolenie</i> .....	51
Wiktor Woroszyński:	<i>Imiennik</i> .....	71
Kazimierz Brandys:	<i>Miesiące</i> .....	95

### WIERSZE

Tomasz Jastrun:	<i>Cmentarze. — Spotkanie. — Stary cmentarz w Montmorency</i> .....	118
Leszek Szaruga:	<i>Odpowiedź</i> .....	120

### ARCHIWUM POLITYCZNE

Alain Besançon:	<i>Instrukcja dla dyplomatów</i> .....	121
Leopold Unger:	<i>Widziane z Brukseli</i> .....	136
Dominik Morawski:	<i>Korespondencja z Rzymu</i> .....	146
Józef Garliński:	<i>List z Londynu (9)</i> .....	149
Jerzy Piekarski:	<i>Z Japonii nad Wisłę przez Kansas</i> ..	153
Zbigniew Byrski:	<i>Kronika amerykańska</i> .....	159

### K R A J

Bolesław Drukier:	<i>Jaruzelski versus Jaruzelski</i> .....	161
-------------------	---	-----

### SPRAWY I TROSKI

	<i>Fundusz S.O.S.</i> .....	172
--	-----------------------------	-----

### SĄSIEDZI

Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i> .....	175
Danek Turczyński:	<i>List z RFN</i> .....	181
Andrzej J. Chilecki:	<i>Kronika niemiecka</i> .....	188

### DOROCZNE NAGRODY „KULTURY” ZA ROK 1985

m.z.:	<i>Nagroda literacka im. Zygmunta Herberta — Zofia Romanowiczowa</i> ....	193
—	<i>Nagroda publicystyczna im. Juliusza Miroszewskiego — Krzysztof Pomian</i> .....	195
—	<i>Nagroda przyjaźni i współpracy — Jerzy Boniecki</i> .....	196

### KRONIKA KULTURALNA

Lenie Lauwers:	<i>Poeta o hermetycznej duszy</i> .....	197
Alexis Rannit:	<i>W czas ostatnich sianokosów. — Wróciła</i> .....	200

### KSIĄŻKI

Jan Krok-Paszkowski:	<i>Głos Wolnej Polski</i> .....	203
—	<i>Nadestane nowości wydawnicze</i> .....	206



—	<i>Wydarzenia miesiąca i Kronika francuska</i> .....	208
---	--	-----



M. A. Abramowicz, J. Bauman, R. Gorczyńska, J. Michalska, J. Zakrzewski, N. Żaba:	<i>Listy do Redakcji</i> .....	211
—	<i>Odpowiedzi Redakcji</i> .....	214

### DOKUMENTY

—	<i>„Formy protestu (kontestacji) młodzieży”</i> .....	215
—	<i>W obronie uwięzionych członków KPN</i> .....	218

# KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Styczeń/Luty - Janvier/Février 1986

INSTYTUT



LITERACKI

## DO PRENUMERATORÓW W AUSTRALII I KANADZIE

Zmuszeni byliśmy podwyższyć prenumeraty *Kultury* i *Zeszytów Historycznych* na rok 1986 o 10% w ogóle z tym, że na skutek ogromnego spadku dolarów australijskich i kanadyjskich podwyżka ta ogłoszona w listopadzie 1985 była nieco wyższa, gdyż przez cały prawie rok otrzymywaliśmy o wiele mniej niż w innych krajach. Niestety i ta podwyżka niczego nie zmieniła — i tak otrzymywaliśmy coraz mniej franków za stawki w dolarach. W związku z tym ponownie musieliśmy zmienić ceny, tak aby otrzymywać mniej więcej równowartość w innych walutach.

W związku z tym prenumeraty na rok 1986 wynoszą, a mianowicie:

W AUSTRALII: *Kultura* — prenumerata roczna \$ A. 77,00; półroczna — \$ A. 40,00; dopłata lotnicza rocznie — \$ A. 22,00; półrocznie — \$ A. 11,00; cena numeru pojedynczego — \$ A. 7,50; podwójnego — \$ A. 11,00. *Zeszyty Historyczne* — prenumerata roczna dla prenumeratorów *Kultury* — \$ A. 44,00. Cena *Zeszytu* pojedynczego — \$ A. 12,50.

W KANADZIE: *Kultura* — prenumerata roczna — \$ can. 82,00; półroczna — \$ can. 42,00; dopłata lotnicza rocznie — \$ can. 19,50; półrocznie — \$ can. 10,00; Numer pojedynczy — \$ can. 7,50; podwójny — \$ can. 11,00. *Zeszyty Historyczne* — prenumerata roczna dla prenumeratorów *Kultury* — \$ can. 48,00; Cena *Zeszytu* pojedynczego — \$ can. 13,50.

Rozumiemy doskonale, że te podwyżki są bardzo duże, ale naprawdę nie mamy innego wyjścia. Jeżeli jednak nastąpi wzrost notowań dolara natychmiast odpowiednio obniżymy ceny prenumerat.

BIBLIOTEKA  
P. 9986 (14)  
REDAKCJA „KULTURY”

### WPLATY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Dr Krzysztof Boreyko, Easton, CT (USA), po raz 6-ty — \$ 130,00	F. 995,00
Aleksander I. Bragiński, Pittsburgh, PA (USA), po raz 36-ty — \$ 94,00	F. 719,00
Zbigniew Brzeziński, McLean, VA (USA), po raz 17-ty — \$ 1.000,00	F. 7.650,00
Tomira Buxell, Wellesley, MA (USA), po raz 11-ty — \$ 100,00	F. 765,00
Renata i Juliusz Dziańtowie, Rosario de Sante Fé (Argentyna), po raz 10-ty — \$ 102,50	F. 784,00
Dla uczczenia pamięci Zbigniewa Krawczykowskiego, teatrologa, zmarłego w Warszawie 21 listopada 1985 r. — przyjaciele z Paryża (na pomoc dla teatrów niezależnych w Polsce) ..	F. 200,00
Stefan Jan Ginilewicz, Calabasas, CA (USA), po raz 10-ty — \$ 42,00	F. 321,00
Marek Hurwic, Paryż, po raz 19-ty	F. 120,00
Constantin Kulikowski, Grotthuss — Białowody, po raz 2-gi ..	F. 150,00
Tad de Laurent, Bielefeld (RFN), po raz 10-ty — DM 20,00	F. 60,00
A. J. Luckevich, Palos Verdes, CA (USA), po raz 9-ty — \$ can. 100,00	F. 550,00
Maria Łamzaki, Paryż — w 20-tą rocznicę śmierci Matki, Gabrieli z Hillów (na pomoc dla niezależnych teatrów w Polsce)	F. 400,00

(Dalszy ciąg Wpłat na str. 222)

1986 15 1477

## Obserwatorium

Wizyta generała Jaruzelskiego u prezydenta Mitterranda nie zbulwersuje zapewne stosunków między PRL a Francją. Gość nie miał bowiem nic do zaoferowania gospodarzowi. Chciał tylko być przyjęty i gotów był w zamian połączyć wszystkie żaby, którymi go poczęstują. Liczył się dla niego sam fakt spotkania: zdobycie Paryża. Temu strategicznemu celowi należało, pisać *Trybuna Ludu*, podporządkować wszystkie względy protokolarne. Złożono je więc w ofierze z istic wojskową bezwzględnością. Początkowo generała-turystę miał witać na lotnisku Minister Spraw Zagranicznych. Później — podsekretarz stanu w tym resorcie. Ostatecznie czekał na niego szef protokołu. Niżej nie można. Następnego dnia generał otworzył nowy rozdział w bogatej skądinąd historii przyjmowania głów państwa w Pałacu Elizejskim: odesłano go wraz ze świtą od drzwi frontowych i wpuszczono wejściem od ogrodu. Skoro dziennikarzy zawiadomiono o zmianie, nie sposób przyjąć, że zapomniano uprzedzić dyplomatów; był to zatem rozmyślny afront. Nie jedyny zresztą. Prezydent nie wyszedł na podest powitać gościa i nie odprowadził go na pożegnanie, co zawsze robi. A komunikaty oficjalne podkreślały aż do znudzenia, że generał Jaruzelski został przyjęty na własną prośbę. Jak petent.

Generał nie zraził się jednak małostkowością prezydenta i ze swego punktu widzenia miał słuszość: otrzymał, czego pragnął. Przyszedł, spojrzął, zwyciężył. Mitterrand zaś kierował się względami prozaicznie politykierskimi: chciał zmusić komunistów, by go poparli, pokazać prawicy, że nie ma monopolu na *Realpolitik* w stosunkach z blokiem sowieckim, utwierdzić swą niezależność wobec rządu — wszystko to z myślą o zbliżających się wyborach parlamentarnych, które będą niemal na pewno klęską socjalistów,

i w przekonaniu, że „Solidarność” żadnych masowych namiętności we Francji już nie wyzwała. Efekt wizyty zaprzeczył wszakże oczekiwaniom. Spowodowała ona bowiem lawinę oburzonych komentarzy telewizyjnych, radiowych i prasowych (dwa wyjątki: komunistyczna *Humanité* i rządowy *Matin*). Potępiły ją wszystkie związki zawodowe (z wyjątkiem, jak zawsze, komunistycznej CGT). Wypowiedziało się przeciw niej 54 % Francuzów. Co więcej — rzecz bez precedensu w dziejach Piątej Republiki — swe zakłopotanie tym zdarzeniem wyraził urzędujący premier, który podobno podał się był nawet do dymisji. Niemal tydzień po wizycie prezydent musiał poświęcić całą godzinę na tłumaczenie narodowi, że jego decyzja była słuszna i że wizyta generała przyniesie korzyść Francji, Polsce i Europie. Lektura prasy świadczy, że nie przekonał wątpiących.

Z natychmiastowym i prawie jednomyślnym potępieniem wizyty przez opinię francuską kontrastowały dobiegające z Kraju głosy przedstawicieli naszej opozycji, którzy udzielali prezydentowi Mitterrandowi kredytu zaufania, wyrazili przekonanie, że nie zdradzi interesów narodu polskiego i nie odstąpi od obrony praw człowieka, a nawet aprobowali jego spotkanie z generałem Jaruzelskim pod warunkiem, by było korzystne dla społeczeństwa. Głosy te łatwo zrozumieć. Od 13 grudnia 1981 roku stanowisko Francji było formułowane tak dobitnie i przy tylu okazjach, że wolno było mniemać jakoby w przedmiocie praw człowieka prezydent Mitterrand kierował się nie względami koniunkturalnymi ale zasadami. Zdradzając je w sposób wyzywający, zaskoczył on i zadziwił nawet swych nieprzyjaciół, coż dopiero mówić o tych, którzy mieli prawo pokładać w nim jakieś nadzieje.

Ale zrozumienie nie może być rozgrzeszeniem. Osobistości polskiej opozycji muszą wreszcie zdać sobie sprawę, że ich głosu słucha się z uwagą i że miewa on wpływ na bieg wydarzeń. Toteż gdy obraz sytuacji jest mętny, gdy brak danych pozwalających ją ocenić, lepiej powstrzymać się od wypowiedzi lub odłożyć ją na później, niż bezwiednie dostarczać alibi poczynaniom wymierzonym w sprawę, której się broni. A tak właśnie było w przypadku wizyty generała Jaruzelskiego w Paryżu, którą rzeczniczy prezydenta usiłowali usprawiedliwić powołując się na słowa Lecha Wałęsy.

Nazwiskiem Wałęsy szermuje się również przy innych okazjach. Ponieważ wizyta generała Jaruzelskiego nie była sukcesem prezydenta Mitterranda, oświadczył on teraz, że chętnie przyjąłby Lecha Wałęsę i dał do zrozumienia, że będą podjęte jakieś kroki mające umożliwić takie spotkanie. Pozostaje wyrazić nadzieję, że do tego nie dojdzie, w każdym razie — w ciągu najbliższych kilku miesięcy. Oczywiście jest bowiem — zważywszy klimat przed-

wyborczy we Francji — że za tym zaproszeniem, które formalnie zaproszeniem nie jest, kryją się rachuby na wykorzystanie autentycznej popularności Lecha Wałęsy dla celów nie mających nic wspólnego z interesami „Solidarności” i z interesami Polski. Można tylko podpisać się pod stanowczym protestem Bronisława Geremka przeciwko tego rodzaju eksploataowaniu spraw polskich w wewnętrznych rozgrywkach, szczególnie oburzającemu, gdy idzie w parze z udzielaniem błogosławieństwa „normalizacji” w wykonaniu generała Jaruzelskiego i jego ekipy. Trzeba jednak, by sam Lech Wałęsa i jego doradcy umieli w należyty sposób reagować na pokusy i naciski — dziś francuskie, jutro może inne, — które nie liczą się ani z losami osobistymi Wałęsy, ani z losem jego przyjaciół, ani z potrzebami uosabianego przezeń ruchu.

Jaruzelski w Paryżu, Brandt w Warszawie. Pierwszą reakcją na takie nowiny bywa często rozgoryczenie: „Zachód nas zdradził”. Otóż nieprawda. Po pierwsze, co się tyczy stosunków z blokiem sowieckim, nie ma „Zachodu”, gdyż w żadnej niemal sprawie nie zajmuję on jednolitego stanowiska; każdy kraj prowadzi w tym zakresie własną politykę i każdy winien być oceniany z osobna. Po drugie, żaden z tych krajów nas nie zdradził, bo zdradzić nie mógł; dbają one o swoje interesy, nie o nasze.

Po trzecie wreszcie, w każdym kraju mamy wprawdzie nieprzyjaciół ale w każdym kraju mamy również sojuszników; od nas zależy w jakiejś mierze czy tych ostatnich będzie coraz więcej; obrażanie się na „Zachód” jest pod tym względem wręcz szkoldliwe.

Losy Polski rozstrzygają się w pierwszym rzędzie w Polsce i zależą od układu sił między reżymem a opozycją. Rozmowy z władzami PRL były, są i będą prowadzone. Od rządów państw zachodnich domagać się należy nie tego, by ich unikały, ale tego, by przyczyniały się przy ich pomocy, w miarę swych możliwości, do ewolucji reżymu w kierunku odpowiadającym interesom narodu polskiego. Tego warunku nie spełnił prezydent Mitterrand przyjmując generała Jaruzelskiego tak, jak gdyby wyrażał uznanie dla prowadzonej przezeń „normalizacji”: kagańcowemu ustawodawstwu, likwidacji samorządnych związków zawodowych i stowarzyszeń, pacyfikacji wyższych uczelni, represjom wobec działaczy niezależnego ruchu związkowego i niezależnej kultury, rosnącej liczbie więźniów politycznych, prześladowaniu dzieci by wyrzucić presję na rodziców, mnożeniu się zagadkowych zgonów... Tego warunku nie spełnił również Willy Brandt odrzucając zaproszenie Lecha Wałęsy do Gdańska, zarówno swym zachowaniem, jak treścią swych publicznych oświadczeń, odmawiając uznania „Solidarności” i występując bez mała w roli sojusznika ideowego obecnych rządców PRL. Dlatego też jest zupełnie niezrozumiałe, że szereg działaczy z Mazowieckim i Sliwińskim na czele uważało

za potrzebne udać się na przyjęcie do ambasady niemieckiej w Warszawie.

Z uwag tych wynikają wnioski praktyczne i dla opozycji w Kraju, i — zwłaszcza — dla emigracji polskiej na Zachodzie. I jedna, i druga powinny domagać się od rządów państw zachodnich, by w swych stosunkach z rządem PRL stałe pamiętały, iż jest on dyktaturą, która systematycznie łamie normy prawa międzynarodowego. I by dawały temu wyraz protestując przeciwko naruszaniu przez PRL ratyfikowanych przez nią traktatów, porozumień i konwencji, oraz utrzymując stosunki również z „Solidarnością”, Kościołem i niezależnymi środkami intelektualnymi. Trzeba wytrwale tłumaczyć opinii publicznej i doprowadzać do świadomości polityków, że jeśli chce się utrzymywać stosunki z Polską — a nie tylko z Jaruzelskim, którego jutro spotkać może los Gierka — to trzeba, by ich partnerami były wszystkie strony polskiego konfliktu. Polska leży w Europie, to prawda. Prawdą jest też, że Europa potrzebuje Polski stabilnej. Ale Polska może się stać stabilna wyłącznie pod warunkiem, że zostaną wreszcie zaspokojone elementarne roszczenia Polaków.

REDAKCJA

12 grudnia 1985

## Polska polityka

*Redaktorowi Jerzemu Giedroycowi,  
o współpracę z którym mam zaszczyt  
być podejrzanym.*

Chcę pisać, piszę o polskiej polityce a nie o polityce polskiej; działalność opozycji często zatracza sens polityki, lecz nie sądzę, aby była za mało polska. Przewyciężenie Jałty i perspektywa nowego Wersalu jeszcze daleko przed nami: sprawa polska jest jedna, ale polityk jej służących może być wiele. Nie ma bowiem empirycznych wzorów na rozwiązywanie równań z dużej czy małej historii dziejącej się na naszych oczach. Zbyt wiele w nich niewiadomych, a i my sami jako jednostki, grupy polityczne czy cały ruch „Solidarności” często sami dla siebie jesteśmy niewiadomą. Dalsza przeszłość zmienia się w interpretacjach zależnych od oceny teraźniejszości, dalsza przyszłość jest sferą postulatów i deklaracji ale nie inżynierii społecznej; dlatego chcę rozważyć, jak różne polityki mogą solidarnie służyć sprawie polskiej, a przede wszystkim — nie szkodzić jej.

W życiu publicznym obowiązuje musilowska Zasada Niedostatecznej Przyczyny: nic z tego, co dzieje się nie ma dostatecznej przyczyny, nawet najlepsze pomysły polityczne są tylko katalizatorami reakcji społecznych, nawet najlepsi mogą je tylko współtworzyć. Komisja Krajowa a dziś TKK „Solidarności” i Lech Wałęsa jako przewodniczący Związku mają o tyle szczęśliwy wpływ na polską politykę, że zapewniają ciągłość współczesnej tradycji, od pięciu już lat tworzą ogólnonarodowy ośrodek wspierający swoim autorytetem niezależne instytucje i inicjatywy. Jak w każdej polityce, tak i w naszej istotny jest gambit — stawianie przeciwnika przed równoległymi konfrontacjami; siła „Solidarności” tkwi więc w różnorodności działań. Ale nie są to szachy,

przeciwników nie sposób oddzielić od figur, gra toczy się w społeczeństwie, które samo siebie przesuwają na szachownicy. Szkicując obraz dzisiejszej polskiej polityki, będę unikał opisywania sekwencji ruchów, które należałoby zrobić. Skupię się na paru splotach zagadnień i zaproponuję kilka rozwiązań — sądzą, że nie można będzie ich zablokować, jak mnie z powodu jednego błędnego ruchu.

Z manuskryptem tego tekstu w kieszeni zagrałem o ostatnią, nikłą szansę: z balkonu na ósmym piętrze spuściłem się o piętro niżej. Nieznany sąsiad przestraszył się i natychmiast zawołał policjantów obstawiających klatkę schodową. „... tym razem” — myślałem bez żalu, gdyż błąd popełniłem wcześniej, trzeba było uciekać, gdy tylko zobaczyłem tamtych dwóch w samochodzie o czwartej w nocy i kogoś przysłać z ostrzeżeniem a nie znów władze samemu. Schodzenie po balkonie miało sens, gdy było jeszcze ciemno. Leżałem na podłodze skuty z tyłu kajdankami i patrzyłem na młodego esbeka liczącego kartki mojego rękopisu. Jak widać niepotrzebnie. Gdy pierwsza wersja została wpięta w akta, druga znalazła się już na wolności.

Jeśli ten esej pomoże moim znanym i nieznanym przyjaciółom w tworzeniu pomysłów i organizacji służących polskiej polityce, uznaję, że wart był długiej drogi.

### *W podziemiu i na powierzchni*

Polityka jest, w powszechnym rozumieniu, całością działań służących zdobyciu, utrzymaniu i sprawowaniu władzy. Warto co pewien czas konfrontować działalność opozycji właśnie z tą klasyczną definicją. „Polityka jest sztuką niezmiennych celów a zmiennych środków — pisał niemal sto lat temu Stanisław Tarnowski. — Środki muszą zawsze stosować się do czasu i położenia. Ten, który wczoraj był złym jutro może okazać się praktycznym i na odwrót... Ale jeżeli środki mogą i muszą się zmieniać ciągle, to warunki położenia i z nich wynikające ogólne kierunki polityki zmieniają się mało i rzadko”. Komuniści zdobyli władzę w Polsce przy pomocy obcej armii i dzięki stosowaniu siły lub szantażu jej użycia udało im się władzę utrzymać. Odeszli już daleko — na ogół wbrew swej woli — od totalitarnego ideału, ale wciąż w zadaniach naszej polityki pozostaje obrona społeczeństwa obywatelskiego przed wszechwładzą państwa i walka o suwerenną polską władzę.

Po obu stronach żelaznej kurtyny, w Polsce — po obu stronach krat — czerwoni prowadzą grę na zmęczenie, są w niej naprawdę doskonali. Historyczna perspektywa i zbiorowa pa-

mięć już nieraz w tej konfrontacji okazywały się bronią obosieczną: trudno zapomnieć, że wyjąwszy krótki okres międzywojnia Polska była wciąż w niewoli. Jednak determinacja w obronie przeciw sowietyzacji dała nam doświadczenie, które połączyło ludzi różnych pokoleń i światopoglądów. Solidarność jest odąd środkiem i celem polskiej polityki.

Odkrywamy na nowo sens gandhyzmu — upartej pokojowej samoobrony przez odmowę kłamstwa i wykorzystywanie istniejących praw. Społeczeństwo uodparnia się na represję przez twierdzenie skóry obywateli. I Moskwa i Zachód, a w konsekwencji i wewnętrzne władze, muszą się liczyć z tym polskim gandhyzmem. W wieku dwudziestym w epoce kartki wyborczej pokojowy model oporu sprawdza się lepiej niż powstańcze archetypy, póki nie możemy zwyciężyć, pozwala trwać, by nie ulec.

Nasze doświadczenie egzystencjalne sprowadza się do omijania pytania: czy można normalnie tutaj żyć? — wiadomo, nie można i właśnie dlatego trzeba uparcie podejmować próby możliwie normalnego życia. Stąd taka wartość łączenia doświadczeń działalności jawnej i konspiracyjnej, „powierzchni” z „podziemiem”, „jawniaków” z lat siedemdziesiątych z solidarnościową „konspirą”. Rzeczą, która łączy skrajne zdawałoby się postawy — a w istocie różniące się tylko techniką organizacji umowy społecznej — jest świadomość że nie można na jednej płaszczyźnie stawiać życia osobistego w ramach systemu i życia znów — jednostkowego, ale będącego próbą zmiany ram naszego narodowego bytu. Doświadczenie egzystencjalne, jakim była „Solidarność”, spowodowało że tak niewielu ludzi wyemigrowało po 13 grudnia: jesteśmy świadomi, że opuścić kraj, w którym walczący z opresją nie są skazani na samotność to powiedzieć sobie, że do końca życia będziemy uciekać przed komunistami. I w tym właśnie miejscu, w tym doświadczeniu spotykają się dziś ludzie Wschodu i Zachodu. Nie ma dokąd uciekać. Komunizm grozi nam wszystkim.

Zdecydowanie starsza niż technologia władzy czerwonych jest tradycja samoobrony i walki o niepodległość: tworzenie związków, których cele są jawne, ale szczegóły „istnienia i ustroju pozostają tajemnicą dla organów państwowych” jak głosi powszechnie stosowany przez sądy PRL art. 278 kodeksu karnego. Już Dmowski i Popławski na początku wieku wykazali nonsens zarzutu nielegalności: pod władzą dyktatury dopiero przekraczając granice prawa możemy wykazać braki ustaw. Nie istnieje legalna droga udowodnienia sprzeczności obowiązujących przepisów z wartościami głoszonymi choćby i przez peerelowską konstytucję, gdyż nie żyjemy w świecie wolności pod rządami prawa — free-

*dom under the law* — lecz w świecie wolności pod rządami komunistów.

Wszyscy są zgodni co do tego, że życie polityczne w podziemiu powinno być ostatecznością. W konspiracji, mówiąc jej slangiem — w piwnicy, trzeba robić tylko to, czego nie można robić na powierzchni. Kontrowersje pojawiają się, gdy trzeba określić, gdzie kończy się niezależne życie i jakie jego koszty są ostatecznością. Niełatwo powiedzieć to o sobie, jeszcze trudniej o kims innym, najczęściej ocenia się więc postawę społeczeństwa. Bywa gorzej, krytykując konspirację — odwraca się logikę wydarzeń: 13 grudnia Rewolucja Solidarności — że użycie określenia Kapuścińskiego — z atakującej zmieniła się w oblegającą i powrót do metod niejawnych stał się koniecznością. Jak dotychczas, alternatywą była i jest tylko kapitulacja. Granica między podziemiem a powierzchnią stała się jeszcze bardziej płynna niż przed sierpniem i, paradoksalnie, kręgi konspiracyjne okazały się bardziej otwarte niż niejedno środowisko opozycyjne z czasów działań jawnych 76-80.

Analizując posunięcia władzy po 13 grudnia nietrudno dostrzec polityczne ograniczenia represji politycznych w rezultacie wygranych przez społeczeństwo kolejnych batalii. Amnestia 84 i proces morderców księdza Popiełuszki zakończył już trzecią próbę sił na naszą korzyść. Czystka w SB i wyrzucenie Milewskiego z Politbiura pokazały, że Jaruzelski, jeśli chce rządzić protektora-tem, skazany jest na politykę komunistycznego liberalizmu. W przeciwnym razie, jak w czasach stalinowskich, pies pogryzł pana — mafia MSW uderzy w samą władzę, tego rządzące pokolenie zetempowców nauczyło się z referatu Chruszczowa na XX zjeździe.

Metody i cele podziemnej „Solidarności” są w porównaniu z konspiracją w konspiracji i prowokacją w prowokacji, do których ucieka się aparat, całkowicie jawne, wyjąwszy konkretne kwestie techniczno-organizacyjne. Komunikaty i oświadczenia TTK sygnowane są nazwiskami przywódców ruchu, podobnie wiele społecznych autorytetów wypowiada się otwarcie w niezależnej prasie. Plany, czyny i ich konsekwencje są jawne, publicznie dyskutowane i kontrolowane, podziemie jest na powierzchni, tylko nie tej, po której chodzi SB, że przytoczę moją ulubioną definicję. Dla potwierdzenia powyższych tez oddaję głos osobie bardziej niż ja kompetentnej.

Generał Kiszczak stwierdził publicznie, że według jego rozeznania — a sięga ono dość głęboko, dodał — „w kraju istnieje konglomerat około 300 nielegalnych grup i struktur, skupiających od kilku do kilkunastu osób — w sumie ok. 1.500 zdeklarowanych wrogów socjalizmu”. Szef MSW zaznaczył, że wokół

zdeklarowanych — precyzując rzecz — przeciwników komunizmu „funkcjonuje dość płynna liczebnie grupa osób wspomagających”. Według mojego z kolei rozeznania — a sięga ono na tyle właśnie głęboko — grupa ta jest kilkanaście do kilkudziesięciu razy większa niż ową liczbą półtora tysiąca osób i skala płynności powoduje, że problem już dawno przeniósł się ze sfery policyjnej w polityczną. Prosty efekt mnożnikowy dał nam liczbę kilkudziesięciu tysięcy aktywnie działających opozycjonistów, równie zdeklarowanych jak iloczyn Kiszczaka — 1.500, ale już znacznie trudniejszych w zidentyfikowaniu. Aby ich efektywnie śledzić policja musiałaby mieć „w polu” kilkakrotnie liczniejszą armię szpicli lub zdecydować się na prewencyjne wyaresztowanie paru-parunastu tysięcy działaczy, których już namierzyła, tj. ich nazwiska przewinęły się przez kartoteki. Oczywiście MSW nie ma żadnych gwarancji, że powtórnym 13 grudnia sparaliżowałby opozycję: społeczeństwo przeszło już w pierwszym roku stanu wojennego test na determinację. Można więc sobie wyobrazić bardziej skuteczne działanie policji w wymiarze techniczno-żandarmeryjnym, ale jest to policja polityczna i w swoim działaniu napotkała własne polityczne bariery.

Represje uruchomiły prawo wielkich liczb i czerwoni zorientowali się, że nie miażdżą one ruchu, lecz uczą odwagi: Jaruzelski przeniósł opozycjonistów z gierkowskiej szkoły podstawowej, do której uczęszczali na komendach — do wyższej szkoły nauk społecznych — internatów i więzień. W Polsce nie udało się zastosować patentu Andropowa — banicji i wymuszania emigracji na przemian z łagami, zsyłkami i „psychuszkami” w takiej intensywności, by dysydenci nie zdołali stworzyć trwałego ośrodka oporu, punktu odniesienia społecznej solidarności. Prawo wielkich liczb powoduje u nas, że miliony, choćby w wyborach — popierają tysiące, które wspomagają setki — elitę opozycji.

Konspiracja ma oczywiście swoje minusy, liczne obszary praktycznej polityki są poza jej zasięgiem. Jest bardziej sztuką uników i parowania ciosów niż ich zadawania. O ile jednak rewolucja atakująca jeśli nie zwycięży, to przegra, rewolucja oblegająca musi tylko trwać. Według poglądu jednej z czołowych postaci ruchu „Solidarności”, również formułowanych w więzieniu, trzeba po wyjściu tak działać, żeby tu nie wrócić. Otóż i na wolności nie sądziłem i w areszcie nie sądzę, aby pogląd ten mógł być kryterium polskiej polityki uprawianej między Odrą a Bugiem. Czym innym jest kryterium techniczne: nie dać się złapać, a czym innym ideowe: zminimalizować ryzyko przez ograniczenie działań. O minusach podziemia można nieskończenie. Dziś gotów jestem częściowo zgodzić się z Jackiem Kuroniem, że wielu ludziom konspiracja pozwala odsunąć od siebie realne zagrożenie, jest chodzeniem na wysokości z zasłoniętą przepaścią. Wiemy zaś, że ryzyko

można kalkulować, ale nie wykluczyć jeśli nie sprowadzamy polityki do mistyfikacji. W odróżnieniu od dawnych niepodległościowców dzisiejsi raczej nie doceniają roli konspiracji niż ją absolutyzują. Tymczasem fakt, że nadal działa TKK, że nie udało się po upływie trzech i pół lat ująć ani Bujaka ani Borusewicza ani Kulerskiego (a wymieniam tylko osoby ukrywające się nieprzerwanie od 13 grudnia) — jest potwierdzeniem skuteczności techniki konspiracyjnej. W podziemiu i na powierzchni wpadki są nieuchronnymi kosztami wynikającymi z tego samego rachunku: za wolność trzeba płacić, nieraz drogo, w PRL-u można jedynie sprzedać się w niewolę.

Oczywiście, kto jak kto, ale policja najbardziej chce nas przekonać, że wszystkie swobody zawdzięczamy tolerancji i wrodzonej dobroci władzy. Władzy, która nie chce mieć nawet więzów politycznych — ma tylko „niekryminalnych” i pragnie jedynie porządku — choćby za cenę skrytobójstw. Oceniając chłodno, w ustroju posttotalitarnym cios zadają nam nie po to, aby zabić człowieka, lecz żeby wstrzymać ruch. Terroryzm państwowy ma łamać ludzką solidarność, wyłuskiwać przywódców, atakować twarde jądro. Operuje częściej strachem niż przemocą, ponieważ oporu społecznego, który ujawnił się w ruchu „Solidarności” i potwierdził w bojkocie wyborów nie sposób załatwić za cenę ostateczną politycznie. Tolerancja policji jest funkcją doświadczeń ostatnich lat. MSW próbuje likwidować nasze struktury selektywnie, głównie zaś kontrolować je, aby — gdy koszty represji spadną — móc znów uderzyć. I dlatego właśnie TKK „Solidarności” nie zamierza wyjść z konspiracji, dopóki niezależne życie na powierzchni nie zostanie na tyle zinstytucjonalizowane i asekurowane przez struktury niejawne, by opozycja mogła sprostać kolejnemu wyzwaniu policji. Obowiązek stworzenia warunków do „wyrzucenia” się TKK ciąży na ludziach z powierzchni, żadna konstrukcja intelektualna go nie uchyla.

Po niemal dziesięciu latach działalności opozycji granica między jawnym życiem politycznym a konspiracją stała się podwójnie płynna. Liczba kilkudziesięciu tysięcy, którzy przeciwstawiają się czynnie sowietyzacji Polski jest tak duża, że nieliczni muszą się kryć, by większość była nieuchwytna. Schodzenie do podziemia i wynurzenie się na powierzchnię następuje w milionowym morzu ludzkim. Granica ta jest też dlatego płynna, że władza wie, iż masowe aresztowania „jawniaków” tylko zwiększą aktywność działających tajnie: pierwsze i drugie życie tworzą naczynia połączone wewnętrzną równowagą sił — *balance of power* między władzą a narodem. W tym sensie program „Społeczeństwa Podziemnego” ogłoszony przez „Solidarność” w 1982 roku okazał się i realny i realistyczny.

### *Liberum mediatio*

„Po upadku Rzeczypospolitej, który właśnie w chwili wysuwania się starych obłędów nastąpił, patriotyzm wolności stał się niepodległości patriotyzmem. Wady pierwszego udzieliły się drugiemu, a *liberum veto* znalazło się w *liberum conspiro*” — pisał Józef Szujski w 1865 roku. Jak *liberum veto* doprowadziło do upadku demokrację szlachecką, tak, zdaniem konserwatystów, narodowa sprawa ucierpiała od powstańczych konspiracji. Czy polskiej polityce grozi dziś *liberum conspiro*, które zwalczały krakowscy stańczycy i którym straszą dzisiejsi moralisci? Naszej konspiracji daleko do powstańczych: i w ich wielkości i w ich nieodpowiedzialności. Polskiej polityce grozi dziś *liberum mediatio* — wolność pośredniczenia, przetargów, którą przyznają sobie osoby i instytucje nie widzące korzyści, jakie wynikły dla społeczeństwa ze „zbrojnego pokoju ideowego” panującego od dziewięciu lat w naszym kraju. Ale nie tylko u nas, także i na świecie: symptomaticzne, że zbrojny pokój ideowy jest odpowiedzią na *pax sovietica* ciągnący nad tymi samymi krajami, które buntowały się na początku wieku przeciw Świętemu Przymierzu.

*Liberum mediatio* sprowadza polską politykę do problemu kwadratury koła: zakłada możliwość wynegocjowania wolności społeczeństwa w systemie monopolu władzy nomenklatury. „Nie można wejść dwa razy do tej samej rzeki” — przypomina „Solidarności” reżimowy publicysta. Trudno się z tym nie zgodzić. Mogliśmy mieć Koło Polskie w Carskiej Dumie — byliśmy mniejszością narodową wielkiego imperium. Polscy posłowie z Galicji w czasie obrad wiedeńskiego parlamentu demonstrowali swoją opinię o decyzjach c.k. rządu na przykład nagłym powrotem do swych okręgów wyborczych. Korfanty mógł reprezentować w Berlinie interesy polskiego Śląska. Ale poseł Edmund Osmańczyk po osiemnastu latach reprezentowania ziemi opolskiej w polskim parlamencie nie będzie już w tym roku jej kandydatem, ponieważ mówił ostatnio to, co myślał. Społeczeństwo PRL nie ma po co negocjować mandatów dla „niezależnych” w sejmie, bowiem ci „niezależni” nie będą przedstawicielami mniejszości ani większości — będą tylko osobami, które pozyskały sobie prawo prowadzenia przetargów z władzą. Miejsce dla *liberum mediatio* jest i będzie dopóty dopóki nie zostanie pokonana „Solidarność”. Wówczas niezależni, którzy sami sobie przyznali prawo do takiej niezależności podzielą losy byłego koła „Znak”. Tyle, że nie uzyskają przedtem szansy, jaką koło „Znak” wykorzystano w pełni, nie mogąc współzrządzić mówiło chociaż prawdę w otchłani kłamstwa. Dziś robi to — i dużo więcej „Solidarność”, to ona broni



imponderabiliów polskiej polityki, nawet popełniając poważne błędy przywódcy związku nie robią kardynalnego, nie negocjują granicy prawdy i kłamstwa.

Przetarg, w którym nie dzieli się władzy, zmierza tylko do pozbawienia słabszej strony autorytetu, pozbawienia go przy stole rokowań, skoro nie udało się to w społecznej konfrontacji. Z władzą, która nie uznaje pojęcia kompromisu, dialogu, wolnych wyborów, niezależności sądów czy rozdziału władzy wykonawczej od ustawodawczej — zwolennicy *liberum mediatio* chcą wynegocjować cele polityczne, które właśnie przez kompromis, dialog, wolne wybory i rządy prawa można osiągnąć. Tak bardzo chcą uwierzyć w komunistyczny absolutyzm oświecony, że zapominają, iż w partyjnej triadzie: porozumienie, reformy, walka, najważniejszy jest człon trzeci. Każde porozumienie i każda rzeczywista reforma cofają koło historii — jak mawia Jaruzelski — ograniczając kierowniczą rolę partii czyli władzę nomenklatury. Tylko dla zwolenników *liberum mediatio* sytuacja ta jest dramatyczna. Dla władzy, by użyć określenia rzecznika rządu, są w tym momencie jedynie „niezasłużonym darem nieba, udzielonym reżimowi na kredyt” (przy słowie reżim ominąłem oczywiście cudzy-słów).

*Liberum mediatio* opiera się na pewnym, charakterystycznym dla intelektualistów złudzeniu, że z polityki można wykluczyć problem siły, tak jak chłopcy wyrastają w pewnym wieku z podwórkowych bójek, lub uczą się bez płamienia obrusa jeść nożem i widelcem. W niezależnych instytucjach burzących zastany układ polityczny zwolennicy dialogu za wszelką cenę widzą nie tyle bogactwo rzeczywistości co ubóstwo wyobraźni, nieświadomość narodowego ryzyka. Tymczasem ryzyko polityczne na ogół nie da się *a priori* skwantyfikować. Zwolennicy *liberum mediatio* chcąc uchronić się przed napoleońskim „*on s'engage et puis on voit*” tak długo debatują nad tym kto się angażuje i kto patrzy aż zmienia się cały układ podlegający ocenie. Polityka jest grą której założeniem jest że wszystkiego przewidzieć nie sposób, jeśli chcemy dojść do czynów. Pokazują to dziś Wałęsa jako przewodniczący „Solidarności” i Bujak jako szef TKK.

Szansą niezależności jest zarówno margines suwerenności społeczeństwa wobec niesuwerennego państwa, jak i możliwość pośredniego przez zorganizowaną presję wpływu na państwo. Im bardziej władza zwalcza opozycję, nie mogąc jej zlikwidować, tym bardziej, nie uznając jej *de iure* uznaje ją *de facto*. Trwa stan chwiejnej równowagi, w której kraj cieszy się względną wolnością. Tę chwiejną równowagę lepszą przy wszystkich mankamentach od stabilnego zsowietyzowania zawdzięczamy podziemnej „Solidarności” nie zaś negocjacjom. Złudzenie *liberum mediatio*

to przekonanie, że rezygnując ze zorganizowanej presji na władze uzyskamy mniej wolności ale pewniejszej. W tym kontekście — parę uwag, na marginesie dyskusji „Solidarność” a inteligencja, którą zapoczątkował w *Aneksie* prof. Walicki.

Andrzej Walicki wziął za punkt wyjścia, jak sędzę, własne doświadczenia twórcze, utożsamiał margines niezależności intelektualisty i jego polityczne uwarunkowania z niezależnością naszej inteligencji, przeciętnego inteligenta. Warto zauważyć, że ludzi pióra liczy się w Polsce na tysiące, ekonomistów jest już natomiast sto tysięcy, inżynierów — trzysta pięćdziesiąt, nauczycieli — około pół miliona, techników — ponad milion. Intelektualista, pisarz czy uczonek, może niemal w każdych warunkach stworzyć zapis, który wart będzie dla swych szczególnych zalet niejednego kompromisu z władzą. Także odwrotnie: bezkompromisowość nie usprawiedliwi nigdy w jego środowisku braku twórczych rezultatów. Jednak ogół polskiej inteligencji, a szczególnie inteligencji związanej z techniką, ekonomią, naukami doświadczałnymi, nie mówiąc już o administracji, ma znacznie bardziej ograniczone pole twórczej pracy albo przez wąskość marginesu suwerenności społeczeństwa, albo przez presję państwa, małymi kompromisami nie opłaca znaczących sukcesów, lecz pracuje na wielką kapitulację, właśnie tę, która w epoce „Solidarności” były przyczyną pewnej nieufności robotników wobec inteligencji czy nawet antyinteligentkiego nastawienia niektórych środowisk.

Przeciętny polski inteligent nie tworzy zapisu, który sam w sobie jest już dziełem i który choćby w paru egzemplarzach maszynopisu żyje własnym życiem, nie mówiąc o drukach w drugim obiegu czy w pierwszym, znacznie liberalniejszym od czasu złamania przez opozycję państwowego monopolu informacji. Przeważająca większość naszej inteligencji jest w swoich, z natury cząstkowych, działaniach zawodowych ograniczona środkami, których nie może zmienić na drodze intelektualnego samodoskonalenia. Ich zapis, póki nie przyjmie form technicznych, społecznych, gospodarczych, nie jest nawet dokumentem potencji intelektualnej, jedynie oczywistej impotencji systemu. Tam zaś, gdzie — jak w przypadku nauczycieli czy lekarzy — działanie twarzą w twarz może złagodzić ubóstwo czy ograniczenie warsztatu pracy, sam materiał, na jakim się pracuje jest delikatniejszy, to żywi ludzie i dlatego straty dla narodu w tych dziedzinach są nie mniejsze niż w gospodarce i technice.

Podobnie jak Andrzej Walicki widzę błędy Pięciuset Dni w nieumiejętności przeniesienia postulatów hochpolityk w sferę środowiskowego, zawodowego i lokalnego działania, w niezrozumieniu, że demokrację nie tylko głosowaniem, ale także wysiłkiem organizacyjnym i intelektualnym buduje się od dołu. Nieprzypadkowo jednak te właśnie środowiska, które Walicki oskar-

żył o niepragmatyczny radykalizm uzyskały najwięcej gwarancji dla społecznej suwerenności. Ustawy o cenzurze czy samorządzie szkół wyższych nawet zawieszane czy zmieniane, pozwoliły kulturze politycznej zadomowić się tam, gdzie jest najpotrzebniejsza i najtrudniejsza do wykorzenia. Tyle spóźnionych uwag na marginesie tej ważnej dyskusji.

„Inteligencja żyje autoperswazją — stwierdził Zdzisław Najder, opowiadając mi jak stoczniowcy wspaniale organizowali się w czasie sierpniowego strajku — a robotnicy odkładają nawet lekturę najnowszego biuletynu „Solidarność”, kiedy pora przygotować się do zmiany warty”. Przypominam sobie to zdanie, gdy słyszę wypowiedzianą w towarzyskich rozmowach wątpliwość — czy niezłomność ma sens? Czy TKK nie staje się powoli rządem londyńskim? Pytania te przenoszą nas ze sfery konkretów polskiej polityki w sferę luźnych dywagacji, tymczasem zagadnienia praktyczne nie są prostym i oczywistym rozwiązaniem spraw, na których intelektualści się nie znają (bo ich nie interesują), lecz rzeczywistym rzemiosłem polityków i to każdego szczebla. Choćby problemy reprezentacji „Solidarność” na Zachodzie pokazały, jak trudno jest *ex nihilo* tworzyć instytucje polityczne, nawet gdy nie brak ludzi myślących, talentów organizacyjnych ani funduszy. Bowiem nie z nazw i mandatów rodzą się instytucje, lecz z umiejętności tworzenia faktów dokonanych i pokonywania na co dzień partykularnych ambicji.

A jednak — powtarzam sceptykom — gdyby nie TKK pozostająca w ukryciu, jak sztandar rozproszonego pułku, nasze wszystkie inicjatywy naznaczone nieuchronnie większym ryzykiem dekonspiracji nie miałyby wymiaru, który marzy się każdemu w robocie niepodległościowej. Słowo „Solidarność” jest tak wielkie i piękne, że trudno je na co dzień wypełnić działaniem na miarę naszych wyobrażeń. Wątpięcym w sens determinacji chciałbym przypomnieć, że inaczej dziś patrzą na pieczętę Rządu Narodowego, gdy przeszła już do historii, a inaczej wyglądała, kiedy — jak napisał ironicznie jeden z przywódców powstania styczniowego — rząd tuż po wybuchu insurekcji wciąż podróżował po Polsce *à la recherche d'une situation révolutionnaire* — w poszukiwaniu sytuacji rewolucyjnej.

*Liberum mediatio* zakłada, że w polityce jest zawsze jakieś trzecie wyjście. Jego zwolennicy sądzą więc, że szanse na kompromis społeczny rosną nie na skutek oporu i walki, a intelektualnych — na nich plany się kończą — poszukiwań utraconego stołu negocjacji. Nie tylko obecnie ale w ogóle nie sądzę, by ruch „Solidarność” mógł znaleźć jakieś Trzecie Wyjście, na przykład to, które zespół „Głosu” próbował wywieść wprost ze społecznej doktryny Kościoła. Nawet rządzące przez lata partie chrześcijańskiej demokracji nie proponowały społeczeństwu demokracji

chrześcijańskiej a zwykłą demokrację, jedną rzeczą inspiracja pewnymi wartościami, drugą — polityką *tout court*. W świecie podzielonym na Ojczyznę Totalitaryzmu i jej satelitów, oraz wyspy demokracji, polska polityka z konieczności idzie jakąś trzecią drogą, bo nie znamy po prostu innej: dotychczas upadały tylko białe totalitaryzmy w Niemczech, we Włoszech czy w Iranie, nigdy jeszcze — czerwone. Nie możemy siedzieć i planować gdzie ta droga odzyskiwania krok po kroku społecznej suwerenności połączy się z demokracją i niepodległością. Istotne, że jesteśmy na tyle wolnym narodem, aby dalej nią iść przekonani, iż nie prowadzi nas do niczego gorszego, ani przez nic gorszego niż to co pozostawiamy za sobą — komunizm.

*Liberum mediatio* w charakterystyczny sposób ogranicza widzenie międzynarodowych uwarunkowań polityki niepodległościowej. W szkicu programowym zespołu „Polityki Polskiej” (w nr. 4 pisma) przeczytałem przestrożę: nie należy dążyć do rozbicia Rosji na państwa narodowe. Choć w innym fragmencie tekstu autorzy zaznaczyli, że Związek Sowiecki nie jest dla nich prostą kontynuacją carskiej Rosji, powyższe memento jest raczej neo-endeckim nieporozumieniem niż przejęzyczeniem. Dlaczego? To sytuacja albo-albo, nie zaś i — i. Można akceptować prawo Wielkorusów do całego moskiewskiego carstwa, w którym są narodowości, ale nie ma narodów, można uważać, że jest to więzienie narodów w niby-republikach pilnowanych wewnątrz i z zewnątrz przez sowiecką nomenklaturę. Dwie diagnozy: czerwony carat (Kucharzewski) i utopia u władzy (Heller i Niekricz) są nie tylko przeciwstawne ale implikują też różne punkty widzenia na uwarunkowania sprawy polskiej. Jak pokazuje historia różnych geopolityk rozważanych w PRL, można znaleźć między nimi pośrednie rozwiązania, ale tylko werbalne.

Stanowisko zespołu „Polityki Polskiej” pozornie broni naszej racji stanu. Założenie, że interes suwerennego państwa, jakim jest Związek Sowiecki, będzie uzgadniany z niesuwerenną Polską jest zwykłym chciejstwem. Niby dlaczego Kreml miałby tak postępować? W zamian za werbalną lojalność wobec mocarstwowych ambicji Wielkorusów? A może po prostu aby zaspokoić nasz narodowy egoizm? Gra to anachroniczna. W czasach gdy świat zastanawia się, czy Kanakowie z Nowej Kaledonii mają obowiązek tolerować francuskich kolonistów, w polskiej polityce niepodległościowej nie powinien się już dyskutować, czy 50 milionów Ukraińców ma godzić się z opresją Moskwy. Milionowe ofiary głodu i terroru kolektywizacji na Ukrainie są taką samą częścią świadomości europejskiej jak Dachau, Majdanek, Katyń, Vel d'Hiv, czy zbrodnia nad rzeką Drawą. Syndrom *liberum mediatio* wydaje mi się w obecnym położeniu sprawy polskiej groteskową grą o równowagę sił tam, gdzie z jednej strony jest przyłożona nielada moc, a z drugiej

nie powstała jeszcze przeciwności, jest już natomiast istotny wewnętrzny opór. Neorealiści widzą w nim tylko protest, którym próbuje się zastąpić planową politykę.

### *Realizm i surrealizm*

Dzisiejsza opozycja natknęła się na podobne spiętrzenie dylematów, jakie musieli pokonać działacze niepodległościowi przełomu wieków: polityka realna *versus* polityka czynna *versus* zasady fundamentalne. Podobieństwo wynika bardziej z ciężenia naszej myśli politycznej ku przeszłości niż z analogii wydarzeń w których uczestniczymy. Niemniej jest faktem społecznym — jak każda ocena rzeczywistości jest częścią rzeczywistości. Spróbujmy częściowo choćby rozwikłać ten splot problemów.

Polityka realna usiłuje ograniczyć aktywność społeczną do wywalzonego już marginesu niezależności w przekonaniu, że dalej idące ambicje mogą tylko narazić społeczeństwo na represje i pozbawić je resztek suwerenności wobec państwa. Jej pożywką jest historia Bolszewii, która dostarcza dowolnej ilości przykładów, że może być gorzej i to dużo gorzej. Polityka czynna szuka natomiast kolejnych pól legalnej czy nielegalnej aktywności, aby — tworząc zorganizowaną presję — wymusić inne sprawowanie władzy. Oba te kierunki spotykają się z krytyką fundamentalistów, którzy uważają, że wszelkie gry polityczne legitymizują władzę, trzeba przede wszystkim, twierdzą, demonstrować jej, że jest narzucona siłą, pozbawiona mandatu narodu i, gdyby nie Kreml, komuniści i miłośnicy by Polską nie rządzili.

Dotykamy w tym momencie czegoś tak niejasnego jak pojęcie okresu przejściowego: od niechcianego dzisiaj do upragnionej — podkreślmy, nie przez wszystkich ale przez większość — przyszłości. Dla realistów liczy się tylko teraźniejszość i najbliższe jutro, bowiem każdy okres jest przejściowy i każda polityka jest dojrutkowaniem; pamiętają, że Polska w ciągu dwustu lat najnowszej historii przez 26 lat była niepodległa, z czego tylko przez 21 wolna. „... Na polityczny realizm powołują się ludzie nierzadko różniący się między sobą w ocenie położenia sprawy polskiej, rzecznicy przeciwstawnych programów — napisał ostatnio Aleksander Hall. — Nie wystarczy więc głosić, że się jest realistą, bo z takiej deklaracji jeszcze niewiele wynika... Polska historia... daleka jest od oferowania współczesnym jednolitego kanonu politycznego myślenia, uwalniającego ich od dokonywania wyborów na własny rachunek”. Podzielałam ten pogląd. Sądzę, że jedynie Kościół może dziś uprawiać konstruktywną politykę realną: jest wystarczająco silny i niezależny, aby broniąc wyjątkowo swego obecnego statusu lub nieznacznie go poszerzając,

zapewnić wolność instytucji i wspólnoty wiernych ze wszystkimi tego dalekosiężnymi konsekwencjami. Trudno kwestionować historyczną, religijną i wreszcie polityczną perspektywę, w której taki realizm się mieści, pozostaje natomiast sceptyczny wobec prób jego imitacji przez laikat i organizacje społeczne. Używając terminów Halla: „realizm gabinetowy” *à la* Wielopolski, realizm dynamiczny” *à la* Dmowski skrojone były na zupełnie inną niż nasza sytuację. Perspektywa ludzi myślących w kategoriach transcendentnych jest różna od perspektywy instytucji służącej transcendentnym celom. Także dzisiaj.

Dla zwolenników polityki czynnej najważniejsza jest obywatelska aktywność, są przekonani, że społeczeństwo w każdym dniu buduje swoją suwerenność i każdego dnia ją traci: liczy się bilans aktywów i pasywów jednostki i zbiorowości. Dojutrzkowanie zwolenników polityki czynnej, czerpiące nadzieje z porównywania okresów przejściowych pomiędzy sobą, jest często krytyczne wobec dojutrzkowania realistów. Trudno zaprzeczyć, że właśnie uparciu aktywizmowi zawdzięczamy niejedną wolnościową hossę. Każdą nową sytuację można uznać za daną i żądać wyłącznie utrwalenia tej zdobyczy — w takiej postawie tkwi jednak nie tylko świątły konserwyzm, ale i zwykły konformizm. Elitom przywódczym forsującym politykę czynną grozi natomiast niebezpieczeństwo wzięcia za rzeczywistość własnych marzeń o spolityzowaniu całego społeczeństwa, spolityzowaniu możliwym tylko w momentach przełomów. Stała odpowiedź na te wątpliwości brzmi: przeniesienie radykalizmu niepodległościowego w sferę hasła i memoriałów oderwanych od wydarzeń, jakimi tu i teraz żyje naród jest operowaniem na symbolach. Zwolennicy polityki czynnej zapominają w tym momencie, że ich działalność też powoli ewoluowała od jednostkowego, właśnie symbolicznego, dawania świadectwa ku aktywizacji nowych środowisk i wreszcie — ogólnospołecznej polityce.

Fundamentalisci z kolei skupiają się na kluczowej kwestii władzy, ale wszystko poza opisem uwarunkowań kulminacyjnego momentu jej przejścia jest dla nich przedpokojem niepodległości, którego długość skraca się jak w malarskiej perspektywie. Fundamentalisci najdojrzałej, zdawałoby się, widzą zagadnienie kształtowania elit przywódczych lecz już dziś grozi im, że pozostaną „głowaczami” jak Dmowski: ich koncepcje polityczne skarłęją bez organizacyjnej transmisji na licznych ale przede wszystkim zaangażowanych zwolenników. Okres przejściowy dla realistów trwa wiecznie, dla aktywistów skończyć się może choćby jutro, dla fundamentalistów — jak by go w ogóle nie było.

Sądzę, że właśnie dlatego potrzebujemy wielu polityk służących sprawie polskiej, że każdy z przedstawionych kierunków ma

określone zalety i wady nierozłącznie w nim zawarte, każdy wzbogaca życie społeczne dopóki nie wyklucza pozostałych jako warunku swej realizacji i nie próbuje programować zadań dla wszystkich, gdy ma pomysły tylko dla niektórych. Nie od wczoraj wiadomo, że o wyborach politycznych w olbrzymim stopniu decyduje charakter ludzi, chociażby — mniej lub bardziej dynamiczny. W polityce, bardziej jeszcze niż w zwykłym życiu, nic gorszego niż próbować być kimś, kim być się nie może. Niestety, to że głęboka prawda życiowa nie bywa nam przekazywana za pomocą dyskusji zastrzegł już Platon. Któż przyzna się więc do ograniczeń postawy nieuchronnie związanej z określonym poglądem i *vice versa*? W wyniku konfrontacji stanowisk dochodzi do osmotycznego przenikania haseł i już gdzieś, hen daleko, pozostaje problem wyjściowy i końcowy — władzy, a fundamentaliści realiści oraz zwolennicy polityki czynnej niezgodnie acz równolegle zaczynają mówić niemal to samo. Głoszą, że należy kształtować świadomość polityczną społeczeństwa, która prędzej czy później pozwoli na odbudowanie wewnętrznej a potem zewnętrznej suwerenności. Zespół „Polityki Polskiej” dokonał tej syntezy programowej w najbardziej chyba pełny i wyważony sposób. Nie zmienia to jednak faktu, że rzeczywista polska polityka tam się dopiero zaczyna, gdzie w ujęciu „Polityki Polskiej” się kończy.

W przedstawionym splocie poglądów nie mieści się realizm polityczny będący synonimem myślenia państwowego, choć mamy przecież odrębną państwowość. Dlaczego tak rozumiana realpolityka jest nieobecna w myśleniu opozycji? Co powoduje, że łatwiej budować własne instytucje niż wykorzystywać struktury PRL-u? Odpowiedź jest prosta. Komunistyczne państwo nie funkcjonuje w rzeczywistości lecz w nadrzeczywistości, owej *surréalité* Besançona, którą nieustannie samo tworzy. Jeśli po warszawskiej naradzie RWPG czytamy: „W roku ubiegłym i bieżącym najważniejsze w życiu narodów krajów RWPG jest przygotowanie i przeprowadzenie zjazdów partii komunistycznych i robotniczych” — przenosimy się do nadrzeczywistości. Obraz staje się tu rzeczywistością i fakt, że aparat władzy zarzuca opozycji surrealizm jest propagandowo logiczny jak krzyk „łapać złodzieja”. Ten surrealizm władzy blokuje rozwiązywanie naturalnych w polityce każdego kraju sprzeczności między myśleniem roszczeniowym — syndykalistycznym a państwowym.

Komuniści wiedzą, że dopóki nasze żądania mieszcza się w ramach ich koncepcji gospodarki, dopóty faktycznie uznajemy rządy ignorantów, jak nazwał je przed laty Stefan Kisielewski, choćbyśmy przeciwstawiali im się w naszych programach. Od powstania „Solidarności” nomenklatura próbuje ograniczyć nas do myślenia kategoriami rewindykacji związkowych, oskarżając jednocześnie o to, że nie chcemy wziąć odpowiedzialności za państwo.

Związek nie pozwala się upuścić, głosząc hasła liberalizmu gospodarczego, ale — przynajmniej — nie do końca wyjaśnia, w jakim stopniu są one sprzeczne z obroną praw pracowniczych za każdą cenę, w stylu francuskiego, antypaństwowego syndykalizmu, jakiego przykładem był ostatnio konflikt w Ivry. I tak „Solidarność” od początku broni rodzinnej własności chłopskiej, prywatnego przemysłu i handlu — wszystkich wolnych sektorów gospodarki, które czerwoni usiłują zepchnąć do podrzeczywistości idiotycznymi kampaniami kontrolnymi i antyspekulacyjnymi. Niemniej, im bardziej partia działa w w nadrzeczywistości, a my ograniczeni jesteśmy do podrzeczywistości, tym bardziej cierpi sama rzeczywistość: infrastruktura ludzka i techniczna kraju. *Per saldo* związek ma jednak rację w żądaniach płacowych. Marnotrawstwo pracy w PRL-u zaczęło się od zaniżonych zarobków za uczciwą pracę. Polityka pauperyzowania społeczeństwa doprowadziła z czasem do dzisiejszych efektów — nieuczciwej pracy za nieuczciwą płacę. Surrealistyczny problem polskiej gospodarki — deficyt zatrudnienia — można rozwiązać tylko rzetelnie płacąc za rzetelną pracę. Dlaczego czerwoni nie rozumieją, że reakcja na ich politykę pracy i płac ma charakter odruchu Pawłowa? Dla nich bowiem Pawłow to uczoney, który tak długo tresował psy, aż się dostosowały do teorii.

Podział my - oni jest fragmentem surrealistycznego obrazu. Oni nam przypisują głoszenie hasła: im gorzej, tym lepiej! My im — realizację hasła: cóż, że okręt tonie, ważne żeby się u steru utrzymać! Oba mijają się z rzeczywistością polityczną. Krótkotrwałe rewolty wybuchały z powodu nagłej groźby pogorszenia się warunków życia, ale robotnicy przyłączyli się do inteligentniejszej opozycji dopiero, gdy mogli w latach gierkowskich odetchnąć od codziennej harówki, gdy ich żony przestały wiązać na styk koniec z końcem, gdy średnie wykształcenie stało się powszechne. Okręt komunistycznej gospodarki nigdy nie tonie, choć zawsze był przeciekającym wrakiem — na wprost zatopionym kieruje się łatwiej: załoga zajęta wybieraniem wody i walką o życie nie może kontrolować ślepego sternika. Zasada polskiej polityki jest dziś na wskroś pozytywistyczna: im lepiej tym gorzej dla komunistów! Skoro nie przyzwyczajono nas do biedy, nawet w dobrobycie — który skądinąd w nadmiarze nam nie grozi — nie odzwyczaimy się od wolności.

Szczególnie, że w najbliższych latach wkroczy w dorosłe życie *lost generation*, pokolenie stracone dla komuny: pięćset dni trafiło na okres jego młodzieńczej dojrzałości — to kolejny efekt mnożnikowy naszego ruchu. „Solidarność” wyrosła na aktywności opozycji demokratycznej, łączącej starych i młodych — pokolenie trzydziestolatków, które budowało związek, zawdzięcza swojej ideową dojrzałość tym, którzy z czasów stalinowskich wyszli nie

tylko z twarzą, ale ze świadomością celów niepodległościowych. Komuniści znów „stawiają na młodzież” — niezakorzenie jest jedyną szansą zyskania zwolenników. Pokolenie milionów, które od dziesięciu już niemal lat przestało oddychać stęchłym sowieckim powietrzem, może być naszą, nie czerwonych, nadzieją. Nauczyło się od ludzi takich jak Władysław Bartoszewski najwyższego realizmu: warto być przywoitym człowiekiem.

„ — Polityka realna polega na tym, aby właśnie nie robić tego, na co by się miało ochotę” — powiedział jeden z bohaterów Musila. Trudna rada, w polskiej polityce emocje nieraz przeważały nad pragmatyzmem. I tak często przywoływani dwaj najwięksi mężowie stanu międzywojnia popełniali poważne błędy. Nie racjami narodowymi a szowinistyczną obsesją powodującą kolejne resentymenty kierował się Dmowski, gdy rozpętał w czasie konferencji wersalskiej „afere Namiera”. Nie był też pragmatykiem Piłsudski, gdy walcząc z „sejmokracją” uwięził posłów opozycji w twierdzy brzeskiej. Ale obok wielkiej Realpolitik była wówczas i wcześniej, zawsze — mała. Tu wzięto podstawową różnicę między sytuacją realistów polskich z początku i z końca wieku. Tamci — nie widząc szans dla Hochpolitik — robili małą polityką wielkie zmiany społeczne i gospodarcze, dzisiejsi realisci w rządzie i w opozycji zamiast robić to samo — skoro twierdzą, iż jest taka możliwość — mówią o potrzebie planowej polityki reform, która w obecnych realiach jest *perpetuum mobile*.

Trudno rozwijać dziś pracę u podstaw, ponieważ Jaruzelski nie ma szacunku nawet dla małego realizmu, gdy mówi: „Teraz nie stoi problem, czy Polak potrafi, czy że Polak chce. Dziś, ażeby być naprawdę godnym tego miana, Polak po prostu musi”. Nie w tym rzecz, że musi, ale co musi. Znamy lepiej niż Jaruzelski rzeczywistość PRL-u, w niej a nie ponad nią żyjemy: Polska bez samorządu obywatelskiego, bez autonomii inicjatyw stoi już tylko nierządem: partia udaje, że kieruje społeczeństwem, które udaje, że jej słucha. Instruktorzy KC mogą bez żadnej odpowiedzialności za wydane decyzje rządzić przez telefon ministrami, lecz nie da się w taki sposób rządzić skutecznie wielomilionowym narodem. Na bezmyślną „dyscyplinę, dyscyplinę, dyscyplinę” proponowaną przez genseka-premiera odpowiadamy niezależnymi — legalnymi czy nielegalnymi, ale realistycznymi — działaniami, które służąc społecznej samoorganizacji ograniczają czerwony nierząd. To taka praca organiczna, praca u podstaw, jaką dziś prowadzić można. Nie robimy tego, na co by się miało ochotę, zatem uprawiamy politykę realną. Dzieje się tak wiele rzeczy, które nie zależą od nikogo, że trzeba — jak w prawdziwym Wyzwoleniu Wyspiańskiego — wreszcie zrobić coś, co by zależało od nas.

### Dwie elity

PRL przestał być skrótem butnego hasła — partia rządzi lepiej, raczej jest wykrętnym tłumaczeniem — przecież rządzymy legalnie. Jak do tego doszło tak szybko? Generałowie przejmując „kierownice” od aparatu partyjnego zredukowali do niej całą ideologię. Uzbrojonym ludziom marksistowskie chodzenie na rekach wydało się zapewne bardziej męczące niż stanie na dwóch nogach. Sytuacja się zmieniła, gdy nie wystarczy już walczyć ze społeczeństwem, trzeba jeszcze pokonać prawa ekonomiczne. W systemie, w którym są one postawione na głowie, przejście z pozycji ideologicznej na pragmatyczną powoduje, że elita władzy zaczyna widzieć do góry nogami. Nomenklatura nie może się dziś bronić nowomową, skoro wprowadziła do swojego słownika politycznego określenia takie, jak opozycja, inflacja, strajk, zadłużenie gospodarki, myślący inaczej. — Dlaczego nie zezwala się na działalność opozycyjną — zapytano wicepremiera Rakowskiego. — „Zależy jaka to będzie opozycja — odpowiedział. — Jeśli taka, jaka istnieje w PRON, to będę ją popierał. Jako komunista nie będę nigdy tolerował takiej grupy opozycyjnej w Polsce, która kwestionuje podstawy ustrojowe socjalistycznej Polski. W Wielkiej Brytanii jest opozycyjna Labour Party, która wyszukuje błędy przeciwników, stara się przejąć władzę, ale czym różni się w pryncypiach? Niczym. Istnienie opozycji nie jest wcale kryterium demokracji w państwie”. MFR zapomniał o dwóch drobiazgach: w Wielkiej Brytanii partia komunistyczna działa legalnie, u nas system anglo-soc został wprowadzony siłą i większość społeczeństwa tego nie zapomniała. Opcję zerową wicepremiera uzupełnia drugi demokracja, Urban: „... działalności tego rodzaju jak nawoływanie do strajku ze względu na podwyżkę cen nie można nazwać działalnością opozycyjną. W rozumieniu Zachodu opozycja to coś, co działa z poczuciem odpowiedzialności za państwo i umocnienie gospodarczych podstaw bytu społeczeństwa, w którym ta zachodnia opozycja funkcjonuje. Przedstawia ona po prostu inną koncepcję rozwiązania spraw (...). Ci, których prasa zachodnia nazywa opozycją w Polsce, chcą sprowokować wybuch (...). Nie jest to żadna opozycja i żadnej liberalizacji, żadnych rozmów z działającymi w ten sposób ludźmi nie będzie. Chcemy rozmów i porozumienia z myślącymi inaczej” — dalej już znamy. Widać wyraźnie, że komuniści przypisując opozycji w Polsce swoją własną technikę zdobywania władzy i biorąc własne mity za rzeczywistość, czują się w konsekwencji, choćby prawnym kontrastu, superdemokratami. Nawet spod tej propagandowej planszy widać pęknięcia ideologii.

Mimo wszystkich naszych błędów wiemy lepiej od władzy „O co walczymy dokąd zmierzamy” i „Jaka Polska, jaki związek”, chociaż nie płodzimy tak długich i pompacyjnych programów. Opozycja ominęła niejedno niebezpieczeństwo dzięki rozważeniu i odrzuceniu w porę pewnych postaw. Pierwszym memento była „Mała Apokalipsa” Konwickiego: dla osamotnionych dysydentów w upadłym, zsowietyzowanym społeczeństwie jedynym wyobrażalnym aktem politycznym było samospalenie intelektualisty przed gmachem KC. Drugim ostrzeżeniem był „Traktat o gnidach” Wierzbickiego: wyszydzał konformizm wobec czerwonych, maskowany opozycyjnym puszczaniem oka i rezonerstwem, ograniczonym do czterech ścian własnego mieszkania. Z manicheizmem „Traktatu” polemizował Michnik: przekonywał w „Gnidach i aniołach”, że niejedyn wielki czyn wyrósł z mało znaczących, zdawałoby się, ale powszechnych odruchów odwagi i godności; społeczeństwo nie stoi więc przed tym jedynym wyborem — być gnidą, żyjącą przy socjalizmie czy aniołem opozycji. Po sierpniowym zwycięstwie władza liczyła, że „Solidarność” zdemoralizują stołki i pieniądze: „— Dać im wszystko czego chcą a sami się załatwią!”. Jednak ani na powierzchni ani w podziemiu działacze Związku nie zmienili się w aparaczków, nie zaczęli myśleć: my — oni. A takie właśnie nawyki u komunistycznych „funków”, etatowych funkcjonariuszy KPP, Aleksander Wat zauważył już w sanacyjnym więzieniu. Uniknąwszy tych niebezpieczeństw, tylko do czasu możemy się pocieszać, że jesteśmy demokratami, którzy wolą przegrać konfrontację z totalniakami, niż zamienić kraj w poligon dla wojska. Opozycja wzięwszy na siebie dobrowolnie ciężar prowadzenia polskiej polityki nie powinna być dłużej „cyganerią polityczną”, która czeka na to, co zrobi społeczeństwo — ten trafny termin, diagnozę, zawdzięczamy Rulewskiemu.

Minione lata pozwoliły zorientować się *who is who*. Wyłoniła się kadra kilkudziesięciu ludzi z doświadczeniem politycznym, o których społeczeństwo może już powiedzieć, że się sprawdzili. W czasie pięciuset dni jeszcze ich nie było, dopiero ich poznawaliśmy. (Jak problem jest istotny, wystarczy przypomnieć, co czuł każdy z nas, gdy TV pokazała wypadek Kułaja czy Hardka). Kraj wie, dużo lepiej niż kiedyś, na kogo na emigracji można liczyć, czyja polityczna rozważa i związek z Polską wytrzymały próbę lat, wie że argument o „służebnej roli” wobec tych za kordonem bywa samorozgrzeszeniem z braku inicjatyw na arenie międzynarodowej na wzór Hôtel Lambert. Emigracja „Solidarności” przypomniła mechanizm i sens tworzenia ośrodków politycznych na wychodźstwie. Zarzutu ich agenturalności nikt poważny nie bierze na serio w miarę, jak uczytelnił się obraz polityczny agenturalności oszczerców — właścicieli PRL-u. Wybór

Papieża i jego pielgrzymka do kraju przywróciły nam wiarę w siebie i utwierdziły w niepodległościowych aspiracjach, „Solidarność” przywróciła wiarę w sprawę polską, nadała jej nowy wymiar. Coraz więcej działaczy emigracyjnych dostrzega, że trzeba ją podnosić w świecie bez kompleksu pańskiej klamki, który tak wyrzucał rodakom Juliusz Mieroszewski. W jednej z ostatnich dyskusji emigracyjnych na temat tego, gdzie szukać sojuszników, Irena Lasota powiedziała dobitnie: przede wszystkim nie szukać ich na siłę ani na lewicy ani na prawicy — „Solidarność” ma prawo zachowywać się jak wielka dama, która uśmiecha się na lewo i prawo, ale nikomu nie oddaje ręki.

Spółeczeństwo wprowadzie wie już *who is who*, ale jego elita nadal dyskutuje, *what's what*, w sprawach, zdawałoby się dawno zamkniętych. Czy podział na lewicę i prawicę opozycji jest aktualny? Czy uczytelnia istotne różnice polityczne? Czy wzbogaca życie intelektualne społeczeństwa? Piotr Wierzbicki odpowiada twierdząco na każde z tych pytań i już tytułem ostatniej książki „Myśli staroświeckiego Polaka” mówi, że nowoczesność Dmowskiego, choć dla wielu staroświecka, dla niego nie przestała być użyteczna. Autor nowych — starych „Myśli” sądzi, że ostry podział na postępowców i konserwatystów jest wciąż dla społeczeństwa istotny, inspirujący, jest dowodem politycznego zdrowia. Osmotyczne przenikanie poglądów to dla Wierzbickiego choroba polskiej opozycji: lewica nie chce być lewicą, a prawica — prawicą. Ja widzę w tym chorobę, ale polskiej polityki: odwracanie się tyłem do podstawowego z samej definicji problemu — władzy i skupianie się na sporach coraz dalszych od rzeczywistości.

Pamflet ma swoje prawa, ma je także myślenie polityczne, któremu jest poświęcony. Wierzbicki rozważa na jednej płaszczyźnie etosy i programy polityczne. To grube nieporozumienie. „Tygrysowi” Clemenceau przypisuje się powiedzenie: jest podły, kto nie był w młodości lewicowy; kto pozostał nim na starość ten jest głupi. Patrząc wstecz, widzimy morze podłości i głupoty które utworzyły skrajności etosów przeniesione na programy polityczne. Łączenie postaw lewicy i prawicy ma sens, jeśli tylko jest się świadomym ich antynomii. Wyjaśnił to nie tak dawno Leszek Kołakowski odpowiadając na pytanie: Dlaczego jestem liberalno-konserwatywnym socjalistą? Kształt i ranga wielu akcji politycznych zależy od wzniesienia się ponad ten staroświecki podział. Gdy Francuzi zbierali pieniądze na Statek Dla Wietnamu, by wyławiać z morza *boat people* — uciekinierów z komunistycznego raj, przy wspólnym stole spotkali się: Aron, który zawsze walczył z komunizmem i Sartre, który do końca życia pozostał *enfant terrible* lewicy. Paradoks polega na tym, że ci dwaj koledzy z tej samej klasy gimnazjalnej — dwaj wielcy intelektualiści spotkali się przy tej akcji po latach, a punkt startu obu był iden-

tyczny: inspiracja marksizmem. Główny błąd Wierzbickiego i niepraktyczność jego „Myśli” wynikają, jak sądzę, z utożsamiania z określonymi działaniami politycznymi. W kalkulacji narodowych interesów ocena konkretnych demonstracji pierwszomajowej, strajku lub wejścia do Sejmu w roli niezależnych posłów nie wymaga cofania się do ideowych inspiracji. Lech Wałęsa, którego podobnie jak Wierzbicki uważam za bardzo dobrego gracza politycznego, dał przykład takiego pragmatyzmu, gdy zapytany co myśli o utworzeniu chrześcijańskich związków zawodowych, powiedział, że może to być cenne, ale on do nich nie wstąpi — jest przewodniczącym „Solidarności”.

Podział lewica — prawica okazał się mało istotny w świecie walki demokracji z totalitaryzmem. Przy pragmatycznym podejściu, do którego tylko aspiruje staroświeckość Wierzbickiego, nie trudno zauważyć, że o kierunkach polskiej polityki w ostatnich dziewięciu latach decydowały nie zamysły a pomysły polityczne, niezależnie od inspiracji przypisywanej ich realizatorom. I wolałbym nie podejmować jałowego według mnie sporu na temat mniej oraz bardziej zdolnych i mniej oraz bardziej uprzywilejowanych. Za dużo widzę zadań, a za mało wciąż ludzi aby się weń wdawać.

Opozycja nie znajduje się na Czarodziejskiej Górze, na której wystarczy kolejnemu Naphcie-Urbanowi przedstawić formuły Settembriniego „Humanizm sam jest już polityką, a polityka humanizmem”. Nie w sferze ethosów rozgrywa się walka polityczna. Ale kierując się chłodnym pragmatyzmem i idąc dalej niż sołżenicynowskie „przestać żyć w kłamstwie” tym bardziej musimy odrzucić mity lewicy i prawicy. Jak B. Cywiński w „Rodowodach niepokornych” czy ostatniej wypowiedzi w *Głosie* („Stosunki polsko-żydowskie a opozycja lat 70-tych”), jak J. J. Lipski w „Dwóch Ojczyznach”, jak ks. J. Tischner w „Polskim kształcie dialogu”. Lektura tych książek skłania do przekonania, że w prawdziwej grze politycznej warto zrezygnować z pojedynków na ethosy. Szczególnie, jeśli mamy prowadzić ją z władzą a nie między sobą.

Jedność w różnorodności, którą „Solidarność” przejęła jako dziedzictwo opozycji demokratycznej sprzed Sierpnia, wymaga dziś kolejnego sprecyzowania, zwłaszcza, że elita władzy próbuje zawłaszczyć i słowo „pluralizm” a i tak łatwo w tej kwestii o pomieszanie języków. Każdy partykularyzm szuka u nas wyodrębnienia i w pluralizmie znajduje sankcję ideową. Różnice poglądów, miast grupować frakcje zwolenników wokół liderów, przybierają natychmiast formy organizacyjne, których potem często przez lata nie są w stanie wypełnić treścią deklarowaną w nazwach partii, porozumień itp. Gwarancją pluralizmu jest nie tyle stopień zróżnicowania celów, jakim służą poszczególne struktury (ich

zróżnicowanie w komunizmie jest znaczne, a jednak tylko urozmaica totalitarną fasadę), ile wykluczenie pokrywania się struktur w planie ludzkim, organizacyjnym i terytorialnym. Jego podstawą jest akceptacja uczciwej konkurencji. (Nie po to np. partia założyła i kieruje PRON, żeby tolerować w nim opozycję). Pluralizm jest międzyorganizacyjnym — zewnętrznym i wewnętrznym — problemem każdego środowiska. Konkurencyjność pomaga podejmować decyzję w każdej skali, nie wzmacnia jej powoływanie struktur, które z ledwością niosą swój sztyld. Oto dlaczego sądzę, że pluralizmowi opozycji nie służy obetonowanie formami organizacyjnymi każdej różnicy poglądów i postaw.

W klasyfikacji na użytek prywatny dziele organizatorów na „strukturalistów” i „ewolucjonistów”. Strukturalista traktuje swoje pole działania statycznie, podobnie traktuje projektowaną strukturę — wypełnia ją „etatami”, zawsze brak mu już ostatniego elementu, warunku, kontaktu, aby struktura spełniała zadanie które wstępnie określono jako cel jej powołania. Celem samym w sobie jest organizacja: ma sens choćby taki, że on może być w niej pierwszym funkcjonariuszem. Strukturalista sprowadza każdą aktywność do urzędowania, praca jest częścią zamkniętej całości, którą mu przydzielono. Rutyna nie pomaga więc uruchamiać kolejnych inicjatyw. Są one zagrożeniem zaplanowanej harmonii. Ewolucjonista jest przeciwieństwem strukturalisty. Racjonalizuje czynności powtarzalne, aby łatwiej budować nowe struktury: cele i środki są w ciągłym dodatnim sprzężeniu zwartym. Traktowane dynamicznie pole działania pulsuje rozwijającymi się i zanikającymi inicjatywami — niejedna z nich usamodzielnia się i stanie się odrębną jednostką organizacyjną — ciągłość struktury jest środkiem a nie celem. Ewolucjonista zapewnia sterowanie przez delegowanie kompetencji w dół, jego praca staje się coraz bardziej twórcza, praca innych coraz mniej rutynowa. Jeśli jakaś część struktury okaże się ważniejsza od całości, wówczas pierwotna struktura obumrze ponieważ straci rację bytu: cele trwają w ludziach, ich związki organizacyjne są środkami. Strukturalista jest jednym z wcieleń *homo sovieticus*. Kim jest ewolucjonista? To *self-made man*.

*Homo sovieticus* rozwinął się jako gatunek najlepiej przystosowany do przetrwania u władzy która ma monopol lub pod opieką takiej władzy. Nie trudno, na przykład, zauważyć, że największym polskim strukturalistą jest I sekretarz partii, który z zapalem znanym tylko z początków PRL-u buduje kolejne organizacje tam, gdzie żadne z dotychczasowych nie zdołały opanować chaosu. Nie umiejąc wpłynąć na rzeczywistość, nie rozumiejąc, czy nie widząc twórczej a jedynie mechaniczną stronę podziału pracy i specjalizacji, gensek-premier kompensuje to sobie w nad-rzeczywistości, w rozbudowie i przebudowie (byłe nie redukcji!)

aparatu władzy. Jaruzelskiemu nie wystarczy Najwyższa Izba Kontroli, Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, Sąd Najwyższy i Centralna Komisja Kontroli Partyjnej — powołuje Komitet Rady Ministrów do Spraw Przestrzegania Prawa, Porządku Publicznego i Dyscypliny Społecznej, Inspekcję Robotniczo-Chłopską i Zespół do Spraw Poprawy Stanu Sanitarnego Kraju. Sejm ma już nawet powołać Trybunał Stanu i Trybunał Konstytucyjny, tylko Koło Posłów Bezpartyjnych dla wygody pozostało przy... Klubie Polskim PZPR.

Walka elit o władzę toczy się w wielu płaszczyznach: nie tylko między nomenklaturą a niepodległościową opozycją, także między urzędnikami a *self-made men*'ami — to oni od początku budowali „Solidarność”. W czasie 500 dni powstała sytuacja, w której *homo sovieticus* — strukturalista stracił naturalne warunki rozwoju. Nieraz powodowało to wewnętrzne konflikty. Gdy w 1981 roku w rejonie Mazowsze wybrany demokratycznie zarząd próbował rugować *self-made-men*'ów na rzecz urzędników związkowych, Zbyszek Bujak odpowiedział jasno: nasz ruch nie powołuje ludzi na funkcje oferując im aparat, lecz tworzony jest przez ludzi, którzy umieli zbudować organizacje służące publicznie kontrolowanemu celom, milionowy region nie może zostać zdominowany przez nie budzącą kontrowersji przeciętność pod presją straszaka demokracji. Wartość naszego pluralizmu i dzisiaj polega na tym, że społeczeństwo może wybierać między koncepcjami *self-made-men*'ów a nie między koncepcjami urzędników. *Self-made-men*'ami są bowiem Wałęsa i Borusewicz, Bujak i Romaszewski, Kuroń i Moczułski, Michnik i Hall, Frasyniuk, Gwiazda, Lityński i wielu, wielu innych. Demokratyczny wybór polega na możliwości głosowania na różnych ludzi i ich rozwiązania, nie na wyborze posłów-urzędników czy komisji wnioskowych, które powołają pluralizm do życia. W sporze o to, co jeszcze jest a co nie jest pluralizmem nie ma oczywiście arbitra. Na szczęście demokratyczna większość która identyfikuje się nadal z ruchem „Solidarności” pamięta wśród burzliwych dyskusji, że Polska nie jest jeszcze wolna. Elita opozycji na razie wybiera tylko prawo do normalnego życia. Pierwszych swobodnych kroków i tak nie będzie stawiać w rytm głosowań. Takie są pragmatyczne nakazy każdego przełomu. Niemniej w określeniu „polska polityka” każdy wyraz powinien mieć wybrane miejsce i znaczenie. Wybrane, aby wszystkie nurty niepodległościowe mogły się w nim zmieścić, i aby wciąż nie wracać do starych sporów.

#### Program minimum

System, w którym żyjemy określono terminem „socjalizm realny”. Nie jest on socjalizmem, gdyż to, co wiązała z nim

ekstrema socjaldemokracji, komuniści, okazało się nierealne, nie polega też na polityce realnej, ponieważ z marksizmem pogodzić jej nie sposób. Zbitka pojęciowa „socjalizm realny” oznacza, że mamy zaakceptować komunizm jako daną nam rzeczywistość-nie-rzeczywistość i nie oczekiwać od niej ani socjalizmu, ani realizmu. Jak nowotwór jest on wszystkim i niczym, dlatego sędzę, że słabością opozycji byłoby skupianie się na konfrontacji ideologicznej. To dziś problem oświatowy, propagandowy ale już nie programowy.

Obecnych zarządców protektoratu pod jednym tylko względem można uznać za realistów: są pragmatykami w grze o własną władzę, stać ich na elastyczną socjotechnikę *vide* proces morderców ks. Popiełuszki czy przesunięcie terminu i rozmycie podwyżek cen w związku z groźbą strajku. Sposób stosowania pałki jest niezależny od teorii, by użyć określenia Leszka Kołakowskiego i już dawno pękło jedyne mocne leninowsko-stalinowskie ogniwo, łączące jedną z drugą. Żaden sztab nie rozwiąże natomiast zadania pokonania przepaści między pragmatyzmem w stosowaniu represji a utopią ideologiczną nałożoną jak klatka na społeczeństwo. Komunistyczny centralizm można pogodzić z komunistycznymi „inicjatywami” ale nie — zwykłymi, które są nam tak potrzebne. Idąc śladem rad rzecznika rządu, spróbuję nie abstrahując od ekonomicznych realiów życia i szanując (w ramach moich skromnych możliwości) prawo i konstytucyjny porządek — odpowiedzieć na pytanie *stricte polityczne*: jak opozycja może przygotowywać się na wzór zachodni do przejęcia władzy? Chociaż ten odległy akt będzie funkcją międzynarodowej i wewnętrznej sytuacji (której przewidzieć w tej chwili nie sposób, można jedynie dla jej utworzenia pracować), to elementem korzystnej konfiguracji zależnym wyłącznie od nas samych, będzie polityczna dojrzałość elity pretendującej do przywództwa. Opozycja, która nie wyobraża sobie przemiany w elitę władzy nie budzi zaufania do stworzonych przez siebie faktów. Co więcej, jej dojrzałość, i to właśnie polityczna a nie ideologiczna, jest czynnikiem ograniczającym leninowskie ryzyko sytuacji rewolucyjnych: gdy społeczeństwo nie chce już żyć po staremu, a władza nie może nim po staremu rządzić. Wybuch grozi tylko elicie władzy, brak kontroli nad nim — narodowi.

Co zrobić, żeby konfrontacja opozycji z władzą następowała w płaszczyźnie rzeczywistości bez obustronnych oskarżeń o surrealizm? Wymaga to przeorganizowania naszego ruchu i stopniowego dzielenia się kompetencjami między niezależne instytucje tak, aby powstał zbiór opozycyjnych programów minimum. Jedną z zalet tego zamysłu jest fakt, że nie należy on do nikogo, podobnie nikomu nie będzie można przypisać praw autorskich do końcowego efektu takich działań. Rzecz istotna, bowiem nie-



jednemu u nas myśl tylko dlatego upadła, że nie zrodziła się w głowach jej krytyków. Lojalnie więc zaznaczam, że podejmuję tu jedynie ideę, którą w formie programu kilku bloków tematycznych zaproponował Lech Wałęsa, jako zestaw warunków minimum na wzór 21 postulatów z Sierpnia — Leopolda, dawno temu jako zwartą propozycję reorganizacji polskiego rolnictwa w oparciu o własność rodzinną — Władysław Bieńkowski, a w formie „Wstępu do programu opozycji” — Stefan Kisielewski (zbyteczne chyba wyjaśniać, że nie identyfikuję się z przedwczesnym nekrologiem „Solidarności”, napisanym przez tego ostatniego autora i „syndromem Kucharzewskiego” w ocenie Sowietów). Do idei tych dodaję tylko mój sceptycyzm wobec wielkich programów — dałem mu wyraz w „Programie i organizacji” i w „Pomysłach politycznych” — który skłania mnie do szukania takiej formuły pracy nad programem minimum jaka zapewnić może autonomiczność poszczególnych jego części. Jeśli wśród pomysłodawców nie wymieniałem zespołów „Niepodległości”, „Polityki Polskiej”, „Głosu” czy Concilium Pro Patria to właśnie dlatego, że autorzy tych propozycji nie uniknęli, bo i też unikać nie chcieli, konfrontacji ideologicznej z całym systemem. Z punktu widzenia omawianej tu idei kończyły się one tam, gdzie program minimum ma się zaczynać.

Skoro w walce o świat komunści muszą się cofać ideologicznie, aby przeżyć ekonomicznie, należy wchodzić w tę lukę z takimi postulatami, które są trudne do zaatakowania. Traktowane osobno będą zgodne z realnym socjalizmem, sumowane zaś — pozwolą budować realną suwerenność. Zasadą programu minimum jest unikanie konfrontacji ideologicznej w poszczególnych blokach propozycji. Tkwi w tym ujęciu wewnętrzna sprzeczność? Tak, ale można i trzeba z nią żyć. Nawet nie akceptując ram konfrontacji lepiej być w niej stroną twórczą, czynną niż bierną.

Program minimum polskiej polityki winien służyć różnym politykom: rolnej i przemysłowej, mieszkaniowej i handlowej, naukowej i kulturalnej, monetarnej i fiskalnej, wewnętrznej i obronnej, oświatowej i ekologicznej, ustawodawczej i administracyjnej. Nie wymieniam wszystkich, ale pewne jest, że polityk tych będzie znacznie mniej niż ministerstw w PRL. Program minimum mógłby wprowadzić społeczeństwo w świat wielości proporcji i zależności poszczególnych dziedzin, aby życie polityczne stało się dla ludzi zrozumiałe, oczyszczone z mitów, aby wiedzieli, czego praktycznie mogą od władzy żądać, a czego wymagać od siebie samych. — Przyczyną zła jest system — mówi opozycja. — Przyczyną zła są ludzie — odpowiada władza. Pora ludziom systemu przedstawić program oparty na nagich faktach. Rozważmy rzecz na paru przykładach.

Jeśli Jaruzelski, powołując się na prof. Tymowskiego mówi, że w państwowych zakładach pobiera wynagrodzenie 11 milionów osób, średnio obecnych jest codziennie 9,5 milionów, stopień wykorzystania czasu w obrębie zakładu powoduje, że pracuje szacunkowo 7,6 milionów a odliczając towary i usługi złej jakości efektywnie pracuje 7 milionów ludzi i wyciąga z tego wnioski, że dziś Polak po prostu „musi” — trzeba odpowiedzieć na tak czysty nonsens całościową propozycją konkretnej polityki pracy i płac. Ta sama *Trybuna Ludu*, z której premier może, a ja muszę czerpać informacje podała, że np. fabryka narzędzi VIS w Siedlcach ma problem braku rąk do pracy, ponieważ płace są o 1/3 niższe od średniej krajowej, choć robocizna stanowi... 9 % wartości wyrobu, a zbyt na produkcję VIS-a w kraju i za granicą jest nieograniczony. Opozycyjna propozycja polityki pracy i płac musi wyjść od przeciwieństwa wniosku Jaruzelskiego — od znanego robotniczego powiedzenia: z niewolnika nie masz pracownika.

Jeżeli minister Urzędu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej, prof. Jarzębski informuje, że osiągnięcie równowagi ekologicznej będzie możliwe w Polsce dopiero za 25 lat i zaniedbania inwestycyjne tłumaczy m.in. tym, że neutralizacja 1 m<sup>3</sup> ścieków kosztuje dziś zakład 9 zł a kara za wprowadzenie ścieków do rzek ok. 1,20 — trzeba odpowiedzieć konkretną propozycją zakazowej (a nie jak obecnie — nakazowej) polityki ekologicznej. Tylko prawodawstwo oparte na terminach usunięcia zagrożenia i sankcjach ekonomicznych, które wymuszają postęp technologiczny lub zamknięcie zakładu, może dokonać postępu w ochronie środowiska. Dzięki takiej właśnie polityce przemysł brytyjski nie zamarł a w Tamizie pojawiły się znów pstrągi. I my musimy więc opracować opozycyjny wariant ochrony środowiska nie pozwalając władzy na demagogiczny szantaż, że gdy zaczniemy rzetelnie stosować normy — a globalnie jesteśmy ponoć i tak mniej skażonym krajem niż np. Wielka Brytania — to cała polska produkcja stanie. Jeśli od lat połowa mieszkań w Polsce powstaje jakby mimochodem, bez żadnej pomocy, natomiast przy sporych przeszkodach organizacyjnych, prawnych i fiskalnych państwa, jeśli brak było dla prywatnych budów cementu nawet gdy (jak w 1979 roku) jego produkcja na 1 mieszkańca była o 30 % wyższa niż w USA (podobnie kształtowała się wielkość produkcji np. szkła okiennego), jeżeli cały wysiłek projektowy, inwestycyjny i wykonawczy skupia się na tej drugiej „legalnej” połowie tworzącej wydział budownictwa koncernu PRL — to odpowiedzi trzeba szukać w społecznie wypracowanej polityce mieszkaniowej: miast postulatów do władz, zgłosić opozycyjny program rozwiązywania tego wielkiego i bolesnego problemu.

Jeśli posunięcia podatkowe państwa dławią rozwój przedsię-

biorczości i to w tak newralgicznej sferze jak produkcja eksportowa, jeśli wpływy z eksportu węgla, siarki i miedzi nie są od lat inwestowane w ich przemysły przetwórcze, jeśli firmy polonijne — zagraniczne — muszą połowę wpływów z eksportu odsprzedać państwu za cenę 4-5-krotnie niższą niż wolnorynkowa (czarny rynek jest jedynym wolnym) — trzeba choćby przez analogię z przemysłami krajów europejskich, które w 1944 roku miały zbliżone struktury i potencjał gospodarczy, wykazać czarno na białym jak można skorelować naszą politykę przemysłową i fiskalną aby zapewnić narodowi bezpieczeństwo gospodarcze, szanse rozwoju i spłacenia — mówię o danych oficjalnych — 30 mld dolarów i 5 mld rubli długów.

Jeśli polski przemysł może wchodzić z jugosłowiańskim w kooperację bez podejrzenia o zaprzęgnięcie się kapitalistom, to należy właśnie na przykładzie Jugosławii pokazać, że także kraj komunistyczny jest w stanie prowadzić normalną politykę monetarną, w której banki są bankami, a pieniądź pieniądzem, choćby naszym rządom wydawało się to rewolucją walutową, na jaką wciąż nas nie stać. Nie stać nas właśnie na kartkowe pieniądze, na kilka kursów złotego, z których skrajnie różnią się kilkadziesiątkrotnie, na zamykanie oczu na to co będzie po 1991 roku. W polityce nie może być karencji na fikcję i nonsensy.

Nawet tak zastrzeżone problemy jak sprawy wewnętrzne i wojsko nie powinny być wydzielone z kręgu zainteresowań programu minimum. Lud pracujący miast i wsi, do którego zgodnie z konstytucją należy władza w PRL ma prawo wiedzieć więcej niż to, że jest 170 etatów milicyjnych na 100 tys. mieszkańców — wiedzieć także jak liczne są formacje SB i ZOMO oraz jakie sumy przeznaczają się na monstualny budżet MSW. Jeśli produkowane u nas statki DO-RO są po prostu kryptolotniskowcami o parametrach pozwalających na transport i start samolotów będących na uzbrojeniu Układu Warszawskiego (jak twierdzi Marian Piłka w jednym z opublikowanych ostatnio artykułów), to takie obciążenie gospodarki na rzecz militarnej ekspansji bloku nie może być tajemnicą. Rola tych, którzy strzegą porządku, bezpieczeństwa i którzy bronią kraju jest zbyt istotna dla narodu by całkowicie wyłączyć ją spod jakiegokolwiek społecznej, tj. poddającej się osądowi opinii publicznej kontroli.

Przytoczyłem te przykłady, by pokazać, że zalew preparowanych zestawień statystycznych jakimi komuniści tradycyjnie nas epatują wymaga konkretnych, precyzyjnych, spójnych odpowiedzi, najpierw na poszczególnych polach, a dopiero później — odpowiedzi sumarycznej, koordynującej różne polityki razem, tak jak powinien robić rząd (a dlaczego nie robi — wiemy, ale to jest właśnie pole konfrontacji całościowej, które zostało już wyjaś-

wione). W każdej dziedzinie można przeciwstawić się, podkreślanemu jeszcze przez Oskara Lange, absurdowi optymalizacyjnemu: zrobić jak najwięcej, jak najmniejszym kosztem. Opozycja musi więc proponować projekty polityczne, będące najlepszym z możliwych wykorzystaniem posiadanych a marnotrawionych środków, pokazać jakie cele pozwoli to osiągnąć i jak te cele pozwolą przekształcić środki.

Tak pomyślany program minimum — program programów — zmusi władzę do porzucenia nadrzeczywistości pod presją realnej politycznej konfrontacji, a także wyprowadzi wreszcie intelektualistów naszego ruchu z podrzeczywistości w rzeczywistość, której trzeba sprostać.

Zarówno w dzisiejszym jak i przeszłym niezależnym życiu narodowym znajdujemy dokumenty, które są przykładami takiego myślenia programowego. Opracowania Władysława Studnickiego o organizacji i ustroju oświaty w Państwie Polskim czy memoriały Eugeniusza Romera o etnograficznych i geograficznych przesłankach polskiej propozycji granic na konferencję wersalską — były konkretnymi działaniami intelektualnymi, służącymi grze politycznej. W czasach „Solidarności” opracowania takie, jak Ośrodek Badań Społecznych Regionu Mazowsze, kierowanego przez A. Macierewicza (choćby raport w sprawie budownictwa mieszkaniowego), pozwalały stawiać władzy warunki wynikające z Porozumień z Gdańska, Szczecina i Jastrzębia, ukazywały ich realność pod warunkiem odblokowania mechanizmów gospodarki rynkowej. I dzisiaj powstają podobne dokumenty. Raporty Komitetu Helsińskiego, prócz dokumentacji zbrodni i przestępstw władzy, zawierają szereg danych do konstruktywnej polityki wewnętrznej i penitencjarnej. Opracowania Komitetu Kultury Niezależnej czy Rady Edukacji Narodowej nadają realny kształt polityce kulturalnej i oświatowej na tych obszarach, które z woli partii miały pozostać białymi plamami.

*Who is who* jakiego dopracowaliśmy się w ostatnim dziesięcioleciu dało społeczeństwu poczucie hierarchii. Ale nie tylko! Po latach jednym z największych sukcesów kierownictwa „Solidarności”, KOR-u, KPN-u, niezależnych wydawnictw i redakcji jest dojście do *who is who* własnych kręgów, przez co praca nad polską polityką w każdym środowisku uzyskała swoją wewnętrzną hierarchię. Program minimum jest wyzwaniem dla elity opozycji zanim stanie się wyzwaniem dla władzy. Jest wyzwaniem dla elity a nie elit, bowiem nie można go formułować i aktualizować bez consensusu między poszczególnymi środowiskami i instytucjami. Jest sprawdzianem czy pluralizm opozycji i karykatura: dwóch Polaków — trzy pisma, trzech Polaków — dwie partie, czy konkurencyjne różnorodności poglądów zdolne są do

konstruktywnej polityki. Ani Wałęsa jako przewodniczący Związku ani Bujak kierujący TKK nie staną się karbowymi dla intelektualistów i nie zmuszą ich do stworzenia ruchomego centrum, które wchłaniać będzie napływające ze wszystkich stron propozycje programowe. Obaj przywódcy „Solidarności” zgłaszali natomiast wielokrotnie potrzebę takich dokumentów sprawy polskiej, sformułowanych w sposób czytelny (bez ONZ-towskiego tak, ale) i tłumaczonych na języki światowe.

Praca nad programem minimum mogłaby stymulować dalszą ewolucję elity opozycji od „cyganerii politycznej” ku „gabinetowi cieni”. Coraz więcej działaczy „Solidarności” przekonuje się, że lepiej podejmować się zadań na miarę swojej wiedzy i energii, niż dążyć za wszelką cenę do wielkiej polityki: najprościej o nie mówić gdy pozostaje się przy truizmach. Odradza się mieszczańską tradycją bycia wielkim człowiekiem małego miasta, małego przedsiębiorcy, małego ale kompetentnego kręgu. Jest to intelektualna opozycja wobec modelu kariery totalitarnej, byle mieć ręce, które zrobią za nas czarną robotę, byle bliżej centrali! Program minimum i gabinet cieni mogą stać się aideologiczną fachową kontrolą posunięć władzy, nowymi instrumentami polityki opozycji. Jako zamysły nie należą do nikogo, jako pomysły polityczne będą należeć do całego społeczeństwa.

### Sprawa polska

Sprawa czy kwestia polska? „Poślanie do ludzi pracy Europy Wschodniej” było sukcesem czy błędem? „Solidarność wytrzymała na powierzchni aż (tylko) 500 dni, ponieważ sprawa polska nabrała międzynarodowego zasięgu, czy właśnie dlatego, że nie doszło do umiędzynarodowienia kwestii polskiej? Moim zdaniem wolny ruch związkowy poległby zanim by się oficjalnie narodził, gdyby był tylko wewnętrzną kwestią sowieckiego imperium, pozbawioną reperkusji w światowej polityce. Komuniści wiedzieli, że zagraniczne koszty interwencji będą wysokie i dlatego właśnie zdecydowali się na nowy inteligentniejszy wariant — interwencję wewnętrzną, a ta wymagała czasu i wstępnego zmęczenia przeciwnika. Sabotowanie porozumień sierpniowych zaczęło się już 1 września 1980 roku. Idea kompromisu i dialogu pozostała na papierze. W komunistycznej polityce papier wytrzymał nie dużo — a wszystko. I za to wszystko czerwoni teraz płacą. Solidarność z „Solidarnością” poruszyła związki zawodowe na całym świecie, głównie one, ku utraپieniu reżymowej prasy i propagandy, udzielają nam do dziś finansowego poparcia. PRL na oczach społeczeństw i rządów przegrała sprawę w MOP. Dzięki zaangażowaniu opinii publicznej. Świat dostrzegł, że obaliliśmy komu-

nistyczne tabu: wiarę we wszechmoc monopartii związanej z policją.

Różnicy między latami czterdziestymi, gdy sprawa polska upadła, a osiemdziesiątymi, gdy znów udało się ją podnieść na forum międzynarodowym, szukać trzeba w przemianach świadomości po obu stronach żelaznej kurtyny. *Ex oriente lux* — jak określił J. F. Revel wybór Jana Pawła II — przypominało światu rolę Europy Wschodniej a w niej Polski. Nasza obrona przed komunizmem w latach czterdziestych była prawdziwą, gorącą wojną domową, ale klimat międzynarodowy czynił z niej wewnętrzną kwestię Rosji. Alians zachodnich demokracji z „najlepszym sojusznikiem Hitlera” — mający na celu pokonanie tanim kosztem niemieckiego totalitaryzmu przy pomocy sowieckiego, rozbroił je moralnie. *Balance of power* zaakceptowana przez aliantów prowadziła nieuchronnie do sprasowania Polski do wymiarów PRL-u. Jałta została zinterpretowana *à la russe*: zasięg armii podyktował zasięg sowietyzacji.

W latach osiemdziesiątych, tak jak w końcu czterdziestych, wróciła idea zbrojnego pokoju. Od czasu gdy Sowiety wykorzystywały odprężenie dla wwożenia rewolucji na czołgach, świat nauczył się co najmniej dwóch rzeczy. Po pierwsze, że komunizm jest bardzo skuteczną — wobec łagiernych przemian powodowanych w ludziach — technologią władzy i to jego główna siła, nie zaś marksizm, który rozpadł się jako atrakcyjna ideologia lewicy. Po drugie, że bilanse dotąd niezależne zaczynają być wspólne: los Europy Środkowej i Wschodniej stał się znów fragmentem losów Zachodu, bowiem prędej na podmiotowość starych narodów może liczyć, niż przywiązanie do demokracji podbijanych lub satelizowanych przez Sowiety krajów Trzeciego Świata — te nigdy jej nie znały. W latach czterdziestych wypełnialiśmy krwią nasze zobowiązania Ojczyźnie. Na końcu pozostała nam jedynie obrona imponderabiliów: nie mieliśmy najmniejszych szans na zwycięstwo sprawy polskiej. Gorycz wobec Anglii i Francji, które zawiodły nas we Wrześniu a potem w Teheranie i Jałcie przypominać nam powinna tę, którą odczuwały niegdyś Ukraina i Białoruś gdy racja stanu II Rzeczypospolitej kazała poświęcić dla chwili wytchnienia interesy sąsiednich narodów, zabrakło im pomocy z Zachodu, zostały pochłonięte przez Sowiety. W latach osiemdziesiątych przekonaliśmy się, że sprawie polskiej bardziej potrzebne są własne osiągnięcia niż zasługi. Tylko ruch, który sam tworzy fakty dokonane, może liczyć na pomoc innych, oczywiście znów w granicach ich racji stanu. Polityczne osiągnięcia bezkrwawej rewolucji „Solidarności” zrobiły więcej dla sprawy polskiej niż tysiące ofiar bratobójczych walk z lat czterdziestych, ale nie zrodziły, bo zrodzić nie mogły Świętego Przymierza Demokracji, jakie marzyło się niejednemu z „leśnych”. „Solidar-

ność” jest mitem, który trafił na swój czas, polityka żywi się także mitami, ale sprawie polskiej nie wystarczą one do zwycięstwa. — Polska nie może wisieć w powietrzu — powtarza skwapliwie Koźniewski za Bermanem. Nie może też wisieć jak obecnie na moskiewskiej kłamce, bo doprowadzi nas to wkrótce do rangi półkolonii.

Dzisiejsze dylematy geopolityczne Polski przestały sprowadzać się do modelu R, N, R, + N — z Niemcami przeciw Rosji, z Rosjanami przeciw Niemcom lub klęska, ta którą jasno widział Piłsudski, gdy o planach obrony w wariacie R + N mówił: „Będziemy się bić na Placu Saskim”. Właśnie dlatego, że i my i Niemcy zrozumieliśmy już mechanizm klęski, powinniśmy oderwać się od widm przeszłości. Układ o uznaniu naszych granic zachodnich przez Republikę Federalną Niemiec i konferencją Helsińska zmieniły międzynarodowy kontekst sprawy polskiej. Zasada III Aktu końcowego KBWE określająca nienaruszalność granic oznacza uznanie terytorialnego *status quo* w Europie. „Rząd RFN stoi na gruncie tych układów bez żadnego jeżeli, i, ale — powiedział w tym roku w Helsinkach H. D. Genscher. Przyczyną wygrywania przez propagandę PRL argumentu rewizjonizmu niemieckiego jest fakt, że tylko komuniści są zainteresowani interpretowaniem integralności terytorialnej państw i wyzuczenia się terytorialnych roszczeń jako równoważnych z uznaniem politycznego *status quo* na kontynencie. Ale czy Polacy, którzy żyli w kraju podzielonym zaborami mają odmawiać Niemcom prawa do zjednoczenia, gdy miałyby ono nastąpić bez strat dla sąsiadów? I jak Niemcy, którzy widzą u siebie lub przez granicę skutki sowietyzacji, i poznali co znaczy mieć rodzinę za kordonem mogą odmawiać nam prawa do niepodległości? Nie są to tylko racje moralne. Prezydent RFN Weizsäcker powiedział: „8 maja był dniem wyzwolenia. Nas wszystkich wyzwolił od systemu pogardy do człowieka, od narodowosocjalistycznych rządów przemocy. Nikt ze względu na to wyzwolenie nie powinien zapominać, jak wielu ludzi zaczęło cierpieć tego dnia lub zaraz potem”. Powiedział także: „Realista po drugiej stronie powinien umieć uznać, że dla zapewnienia pokoju nie wystarczy, gdy w Europie zostanie tak jak jest od czterdziestu lat”.

Po Helsinkach trudno wyobrazić sobie inny dwustronny ruch w kierunku odprężenia niż stopniowe rozbieranie muru berlińskiego. Niemcy mają pełne prawo w zgodzie z Aktem Kończącym KBWE mówić o „otwartości kwestii zjednoczenia obu części swojej ojczyzny, RFN i NRD bez rewizji granic”. Kazimierz Dziewanowski przypomniał ostatnio określenie, jakim de Gaulle skomentował powstanie osi Paryż - Bonn: „Nie można zmienić sytuacji geopolitycznej, ale można mieć lepszą lub gorszą geografie”. Na-

dzieje Polski na „lepszą geografie” wiążą się z innym niż dzisiejszy ładem europejskim. Kluczem do niego jest sprawa zjednoczenia Niemiec. Teoretycznie można je osiągnąć na trzy sposoby: przez wojnę w Europie, przez przesunięcie żelaznej kurtyny za zgodą Wschodu i Zachodu, przez jej podniesienie.

Wojny w Europie nie życzy sobie nikt, komuniści straszą nią jako jedyną szansą na zjednoczenie Niemiec właśnie dlatego, że boją się samego zjednoczenia, jego społeczno-politycznych konsekwencji w obozie. Ceną, za którą Rosjanie zgodziliby się na cofnięcie żelaznej kurtyny do Odry byłaby neutralizacja Niemiec, Republika Federalna jest zbyt istotnym elementem obecnego układu sił, by móc wraz z sojusznikiem zgodzić się na takie rozwiązanie; niebezpieczeństwo finlandyzacji Europy mamy już od paru lat poza sobą. Pozostał wariant trzeci: stopniowe podnoszenie żelaznej kurtyny na warunkach, które każda ze stron uzna za korzystniejsze dla siebie i dlatego je zaakceptuje. Nie byłaby to żadna radykalna zmiana: proces rozwoju stosunków wewnątrzniemieckich (jak chce RFN) czy międzyniemieckich (jak określa rzecz NRD) trwa już dłuższy czas. Czy i jaki interes w nasileniu tego trendu może mieć Związek Sowiecki? Im bardziej nasila się ekspansja Rosjan na antypodach tym bardziej jest im potrzebny pokój i spokój w Europie.

Obecne wojny komunistyczne wykroczyły poza dalekie sowieckie rubieże, są raczej odpowiednikiem tych wojen, które poprzednio musiały prowadzić Stany kontra partyzantka, jaką dla Amerykanów była czerwona guerilla. Każdy z odległych teatrów wojen uświadamia Sowiecom ich opóźnienie cywilizacyjne — w trakcie „wyzwalania” i po „wyzwoleniu”, gdy nowy satelita pogrąża się ekonomicznie. Nie każdego z nich można, jak Kuba czy Nikaragwę wziąć na swoje utrzymanie traktując jako przyczółek Innego Świata. Wojny łańcuchowe — *les guerres en chaîne* jak nazwał je Aron — są więc wyzwaniem technologicznym, ekonomicznym, a odkąd Ameryka nie popiera żadnych antykomunistów — także politycznym.

Sowieci wiedzą, że obecny kryzys systemu, wynikły z niezdolności do innowacji, jest już kolejnym i że każdy poprzedni pokonywany był zastrzykiem zachodniej technologii. (Wiedzą — nie znaczy, że Gorbaczow powie to tygodnikowi *Time*). Z jednym jedynym wyjątkiem — początków podboju kosmosu — Sowieci umieli tylko wykradać lub niezdarnie imitować technikę „kapitalistów”. Blok wschodni osiągnął pozycję militarną, jakiej nie jest w stanie dłużej utrzymać, a Zachód mógł się już przekonać, że zdanie Lenina o powrozie, który kapitaliści sprzedadzą dla zysku, by później na nim zawisnąć okazało się nieraz prawdziwe. Sowieci trzykrotnie wygrali okresy odprężenia dla budowy swojej

potęgi. Za pierwszym razem, gdy przełamali „kordon sanitarny” i przy pomocy „speców” z Zachodu zbudowali podstawy przemysłu ciężkiego, po raz drugi w ramach współpracy alianckiej, której zwieńczeniem było wykradzenie tajemnicy bomby atomowej — fakt historycznie dziś bezsporny, po raz trzeci po XX zjeździe w erze Chruszczowa aż po odprężenie *à la* Breżniew, które wyniosło Związek Sowiecki do potęgi militarnej nr 1 we wszystkich broniach konwencjonalnych, z wyjątkiem lotnictwa. Zdyskontowanie tej przewagi w Azji, Afryce i Ameryce Środkowej było już tylko kwestią czasu.

Nadzieją Sowietów jest kolejna runda rokowań według zasady: co jest moje to jest moje, a co jest wasze, o tym możemy podyskutować. Administracja Reagana wielokrotnie już pokazała, że nie ma złudzeń co do celów sowieckich. Ale czy Amerykanie i ich sojusznicy czują już wystarczające zagrożenie, by odzyskać instynkt samozachowawczy i przystąpić do takiej *détente*, której konsekwencją byłby inny ład europejski? Czy i na ile Trzeci Świat będzie — jak Afganistan — sam stawiał opór podbojom prowadzonym przez Inny Świat? Czy i kiedy może nastąpić przełom w postaci wycofania wojsk amerykańskich oraz rosyjskich z Niemiec i zburzenia muru berlińskiego? Nie podejmuję się oceniać tych podstawowych trendów z mojego wziętego obserwatorium. Jednego natomiast można być pewnym: kwestia polska, by stała się sprawą polską musi znaleźć się na linii przetargu.

*Détente* na twardych warunkach pozwoliłaby — jak określił to Zbigniew Brzeziński — stopniowo przewycięzać Jałtę: wycofać się z Jałty sowieckiej do Jałty amerykańskiej. Zależy to w największym stopniu od rozegrania przez oba mocarstwa gambitu — Świat i Europa. Jeśli Rosja zainteresowana podbojami na świecie byłaby skłonna, za wynegocjowaną cenę, rozluźnić stosunki z krajami bloku i pozwolić im na zwiększoną samodzielność, współpraca EWG i RWPG mogłaby być korzystna dla obu części Europy i odmrozić pojałtański porządek. Jeśli natomiast RWPG pozostanie obozem krajów wasalnych skazanych na zbrojenia i kooperację ze Związkiem Sowieckim, współpraca między Wschodem a Zachodem może spowodować, choćby przez dyktat kursu rubla, retransfer techniki i kapitałów korzystny głównie dla suwerena. Jakby nie brzmiało to dziś utopijnie polska polityka musi stawiać jasno cel krajów satelickich: stopniowe uzyskiwanie podobnego statusu wobec Rosji jaki mają EWG wobec USA. Nie podważamy tym sojuszy, nie naruszamy terytorialnego *status quo* a jednak pracujemy na nowy układ polityczny: dwóch współpracujących ze sobą części Europy i dwóch związanych z nimi supermocarstw. Niemcy leżące na linii podziału mają szansę stać się siłą napędową takiego zbliżenia obu części kontynentu, które

służy wzrostowi suwerenności krajów obozu. Sprawa niemiecka i sprawa polska mogą tylko zyskać na stopniowym przecięciu jednoczeniu Europy Wschodniej i Zachodniej. Właśnie taka twórcza i pokojowa zmiana *status quo* Starego Kontynentu wydaje się być jednym z głównym zadań pontyfikatu Jana Pawła II. Nasza polityka każdym elementem programu minimum powinna popierać budowę suwerenności polskiej i obozowej, bo głównie od krajów bloku zależy czy Sowietci będą musieli liberalizować w nich swoje wpływy.

W roku 1937 w Bibliotece *Polityki*, wydawanej przez Jerzego Giedroycia, ukazała się książka Adolfa Bocheńskiego „Między Niemcami a Rosją”. Autor, świadom że kończy się epoka pokoju zbudowanego na osłabieniu naszych dwóch wielkich sąsiadów, analizował inne podstawy niepodległości Polski. Operując licznymi historycznymi analogiami wyjaśniał krok po kroku, że silnemu sąsiadowi słabszy sojusznik przeszkadza tylko porozumieć się z państwem rywalem, nie mamy więc szans — pisał Adolf Bocheński — ani na sojusz z Niemcami, ani z Rosją choćbyśmy nawet zdecydowali się na daleko idące ustępstwa dla ocalenia naszej niepodległości. Spekulacje te kończył konstruktywnym wnioskiem, na realizację było już niestety za mało czasu: Polska może znaleźć sojuszników tylko wśród krajów, którym sojusz jest równie jak jej potrzebny.

*Kultura* paryska pierwsza po wojnie podjęła i uparcie kontynuowała budowę jedności krajów sowiezowanych. To, co zaczęło się od gestów pojednawczych, przeniknęło do ich krajów, ogarnęło kolejne pokolenia emigrantów, stało się czołowym postulatem środowisk opozycyjnych Czechosłowacji, Węgier i Polski. Identyfikuje się z nimi ruch narodowy i religijny samoobrony na Ukrainie i Litwie. Rozumie go demokratyczna emigracja rosyjska. „Posłanie do ludzi pracy Europy Wschodniej” I Zjazdu „Solidarności” i wszystko co z niego wynika dla nas na dziś, nie ma nic wspólnego z polskim prometeizmem, mitem przedmurza chrześcijańskiego czy antyrosyjskim panslawizmem. To po prostu zrozumienie naszego miejsca i roli na kontynencie. Strajk narodowy — a taki miał wymiar Sierpień '80 — okazał się ważną bronią krajów sowiezowanych, choć na co dzień, jak wykazują nasze doświadczenia po 13 grudnia, trzeba znajdować inne formy oporu i bojkotu, inne Dni Nieobecności w komunizmie i inne sposoby suwerennej w nim obecności. Karta obozowa jest jedną z tych, których ruchy opozycyjne krajów jeszcze wspólnie nie zagrały. Po niepowodzeniu buntów w poszczególnych barakach — jej wybór jest logiczny, jeśli nie ma nam pozostać służalstwo, rozpacz lub operacje na symbolach.

Józef Piłsudski mawiał, że Polska zdana jest na wielkość.

Widział dla niej nie mocarstwową a inspiratorską rolę we wszystkich swoich planach europejskich. Dziś od nas zależy czy tak rozumianą sprawę polską przeniesiemy ze sfery dawania świadectwa, świadectwa obozowej solidarności, w sferę polityki. W drodze do niepodległości skazani jesteśmy, jak On, na politykę rewolucyjną.

Maciej POLESKI

październik 1985

## Nowości wydawnicze

TOM 404 — ADAM MICHNIK

### Z DZIEJÓW HONORU W POLSCE

Wypisy więzienne

Próba analizy problemu honoru we współczesnej literaturze polskiej ilustrowana fragmentami utworów Zbigniewa Herberta, Hanny Malleskiej, Czesława Miłozza, Jana Józefa Szczepańskiego oraz Henryka Elzenberga i Witolda Kuli.

Str. 288.

Cena F. 95,00.

TOM 408 — CZESŁAW MIŁOZS

### ZACZYNAJĄC OD MOICH ULIC

Tom 12 „Dzieł Zbiorowych” zawiera następujące eseje: *Dykeonarz wileńskich ulic; Do Tomasza Venclovy; Noty o wygnaniu; List półprywatny o poezji; Dialog o poezji (z Witoldem Gombrowiczem); Portrety: Dwight Macdonald, Teodor Bujnicki, Józef Czechowicz, La Combe (Stanisław Vincenz), Jeffers, Szestow albo czystość rozpaczy; Swedenborg i Dostojewski; Dostojewski i Sartre; Pożegnania: Podzwonne, Był raz..., Śmierć Józefa Sazdika, Sukiennicki, Andrzejewski.*

Str. 266.

Cena F. 120,00.

W BIBLIOTECE « KULTURY »

TOM 409 — WIKTORIA KRAŚNIEWSKA

### “PO WYZWOLENIU”... (1944-1956)

Wspomnienia młodej Polki, która po „wyzwoleniu” została zaarrestowana wraz z innymi Akowcami i następnie wywieziona do Związku Sowieckiego gdzie w więzieniu i łagrach przeżyła 12 lat. O cierpieniach Polaków wywiezionych do ZSSR po klęsce wrześniowej ukazały się setki książek i wspomnień, ale nie mieliśmy dotąd świadectwa tych których wywieźli „wyzwoliciele”. Wstrząsające wspomnienia Wiktorii Kraśniewskiej wypełniają tę lukę.

Str. 272.

Cena F. 95,00.

## Dziennik pisany nocą

Neapol, 1 listopada 1985

*Herb wygnania*, szkic Wojciecha Karpińskiego o Nabokowie-emigrancie, przypomniał mi innego rosyjskiego pisarza-wygnąca. Nabokow nie zdradził nigdy „herbu wygnania”. A Dymitr Swietopołk-Mirski...

W wojnie domowej bił się w oddziałach Denikina i Wrangla. Po klęsce „białych” wylądował w Londynie. W ciągu kilku lat zdobył tam pozycję wyjątkową: ulubieniec *Bloomsbury Group*, autor świetnej *History of Russian Literature* (cenionej wysoko po dziś dzień), wykładowca w *School of Slavonic Studies*, stały współpracownik *Times Literary Supplement*. Nagle w roku 1931 wstąpił do brytyjskiej partii komunistycznej. W rok później wrócił do Rosji. Traktowano go z początku nieźle, pozwalano mu opracowywać wydania klasyków angielskich i pisywać do periodyków literackich, posługiwano się nim w roli przewodnika „delegacji kulturalnych” z Zachodu. Uprawiał zręczną, jak pewnie sądził, grę. Chwalił na przykład atakowanego Pasternaka, atakował chwalonego Fadiejewa, płacąc za swoją suchą nieprawomyślność prawomyślnymi deklaracjami w rodzaju: „Nie są nam (tzn. nowej kulturze komunistycznej) do niczego potrzebni Proust i Joyce”. Gra uchodziła mu na sucho dopóki żył Gorki, protektor „czerwonego księcia” („nie jest jego winą że urodził się księciem”, zwykły był mawiać wielkodusznie). Pierwsze aresztowanie nastąpiło w roku 1936; zwolnienie wykołatały „wpływowe koła” na Zachodzie. W roku 1937, po drugim aresztowaniu, interwencje zagraniczne nic już nie pomogły. Umarł prawdopodobnie w łagrze, ale datę śmierci 1939 podaje się ze znakiem zapytania. W postalinowskiej encyklopedii sowieckiej występuje

jako „niesprawiedliwie represjonowany” i „pośmiertnie zrehabilitowany”. Jedyny to „herb powrotu” na jaki sobie zasłużył, porzuciwszy „herb wygnania”.

Jego gorący wielbiciel i bodaj przyjaciel Edmund Wilson odszukał go na przedmieściach Moskwy w roku 1937, krótko przed drugim aresztowaniem. O ile dobrze pamiętam opis Wilsona, „czerwony książę” zbladł przerażony tą wizytą i pożegnał szybko amerykańskiego gościa (wówczas komunizującego).

## 2 listopada

W *Uwagach mieszanych* Wittgensteina jest i taka: „Jeśli freudowska teoria interpretacji snów działa w czymkolwiek, to w pokazaniu na ile *skomplikowany* jest sposób w jaki duch ludzki wytwarza sobie wyobrażenia faktów. Sposób tak skomplikowany i pozbawiony wszelkich reguł, że *ledwo ledwo* można go nazwać jeszcze wyobrażeniem” (oba podkreślenia Wittgensteina).

Uwaga dosyć mglista, ale kto wie czy nie celowo mglista: Freud uprzytomnił nam tylko zawilść i niejasność procesów sensorycznych, możemy więc tylko pokwitować zawilść i niejasno jego odkrycie. Wobec tajemnicy snów nie potrafimy wyjść poza bezradne krążenie wokół nieuchwytnego w zasadzie zjawiska.

O większości snów da się powiedzieć, że zacierają po sobie ślady w chwili przebudzenia. Budzisz się, widzisz na okamgnienie treść snu, chcesz ją utrwalić. Na próżno. Czyjaś ręka (czyja?) rozmazuje ją błyskawicznie jak nieobeschły rysunek na szkle. Pozostaje brudna szyba, na ogół z ocalałym w pośpiechu, przez niedopatrzenie, fragmentem rysunku; ułamkowym lecz wystarczająco żywym, by zaświadczyć o niemożliwej już do odtworzenia całości. Dalekie echo bólu lub radości, dowód że coś (co?) odbyło się na *tamtym* brzegu. A zatem istnieje *tamtędy* brzeg! Tak postępuje ktoś (kto?), komu zależy abyś nie zapomniał; i abyś równocześnie nie zwątpił o realności natychmiast odrealnionego. Nic więcej. Ledwo ledwo można podobny sen nazwać obrazem; a jednak nie można także nie widzieć w nim szczątków jakiegoś przecież (jakiego?) obrazu.

O wiele rzadziej zdarza się, że Władca Snów (kimkolwiek jest) nie musi ich zamazywać, bo przemawiają językiem symbolicznym lub alegorycznym. Docierają z tamtego brzegu nietknięte; i zaszyfrowane. Nie pozwalają się rozszyfrować, jak sny ulotne nie pozwalały się uchwycić. Ich symboliczna lub alegoryczna natura polega na tym, że są swoim własnym wytłumaczeniem dopóki spoczywa na nich pieczęć szyfru. Gdy próbuje się pieczęć szyfru złamać, gdy usiłuje się na język otwarty przełożyć język

symbolu lub alegorii, żywy sen więdnie niczym podcięty kwiat. Wolno go jedynie opowiedzieć w miarę dokładnie, mając za jedynego słuchacza samego siebie.

## 3 listopada

Ponad godzinę schodziłem z górnego do dolnego Neapolu, blisko północy znalazłem się w sieci zaułków. Dawno nie byłem w zaułkach o tej porze. Kiedyś w taką noc jak dzisiejsza — niedzielną, pogodną i ciepłą, wcale nie jesienną — zaułki pulsowały jeszcze życiem. Teraz są puste, ciemne, zmartwiałe. Zmieniło się nasze miasto po trzęsieniu ziemi.

Przyśpieszyłem kroku w drodze ku Via Toledo, ale zatrzymała mnie oświetlona kapliczka w bocznym, bardzo wąskim i ślepych zaułku. Na jej stopniu spał, oparty o kratę chroniącą niewielki posąg Madonny w śnieżnobiałej sukni i koronie z żarówek, stary żebrak z niedopitą butelką wina w ręce. W nogach śpiącego leżał zwinięty w kłębek pies, chudy i sparszywiący, z przywiązaną do obroży blaszanką na datki i deszczułką, na której wypisane było koślawymi literami błaganie: *Pietà per il mio povero padrone*, „Zlitujcie się nad moim biednym panem”. Pochyliłem się, wrzuciłem monetę do blaszanki i bezwiednie odwróciłem deszczułkę. Napis na odwrocie zaklinał: *Pietà per il mio povero cane*, „Zlitujcie się nad moim biednym psem”.

Ta scena, prawie jednoaktówka najkrótsza *Pan i pies* w ślepych zaułku neapolitańskim, uderzyła Becketta.

## 5 listopada

Zinowiew objaśnia w nowej lekcji czym jest sowiecka „ideologia” (cudzysłów mój). Wstawiono do lodówki „ideologię” potencjalną marksizmu. Obowiązuje „ideologia” aktualna leninostalinizmu, dostosowana do rzeczywistości sowieckiego systemu społecznego *hic et nunc*, nie zaś skrojona na miarę komunistycznego raju ziemskiego w przyszłości. „Ideologia” aktualna przeżywa kryzys. Mogłaby być poprawiona, podniesiona na wyższy poziom i unowocześniona (nie brak do podobnego przedsięwzięcia — zapewnia Zinowiew — „przesłanek intelektualnych” i „zdolnych ludzi”), ale wśród oficjalnych „ideologów” sowieckich panują opory przeciw naprawiaczom i reformistom, gdyż wszelkie modernizacyjne retusze i reformy stanowią zagrożenie dla zasięgniętych karierowiczów i miernot. Żaden też pożytek z eurokomunizmu: eurokomuniści działają w systemach społecznych całkowicie odmiennych od sowieckiego. Zinowiew nie ukrywa więc

swego ostrożnego sceptycyzmu wobec perspektyw rozwojowych aktualnej „ideologii” sowieckiej. Chyba że (tę kropkę nad i stawiam ja) Gorbaczow przepędzi zgraję „ideologicznych” karierowiczów i miernot, po czym zaprosi na ich miejsce „zdolnych ludzi” w celu lepszego wykorzystania „ideologicznego” istniejących „przesłanek intelektualnych”.

Bałamuctwa Zinowiewa są dobrą ilustracją niebezpieczeństwa, jakie tkwi w mówieniu i pisaniu bez cudzysłowu o „ideologii” sowieckiej. Zawsze pilnowałem tego cudzysłowu, także w stosunku do świeższego wynalazku „ideokracji” sowieckiej, teraz widzę z przyjemnością jak wybornie Castoriadis rozprawia się z używaniem na serio i jednego i drugiego terminu. Są bowiem przejawem radykalnej deprawacji języka, świadczą o absolutnym niezrozumieniu reżimu sowieckiego. Jakież to „idee”, poza nagą i brutalną siłą, przyświecają władcom sowieckim? Castoriadis sądzi, że niektórzy intelektualści zachodni wciąż jeszcze biorą poważnie oba terminy z potrzeby ocalenia wiary w „sensowną (mimo wszystkich upiornych wynaturzeń) historię”. Dla nich przypuszczalnie jest przeznaczona nowa lekcja Zinowiewa.

#### 8 listopada

Zapis w moim dzienniku z 29 września 1984: „Kiedy latem zeszłego roku reporter *Literaturnoj Gazety* Oleg Bitow dał nurka w Wenecji i wkrótce potem wypłynął w Londynie jako kandydat na politycznego emigranta, weszylem w tym pomysłów operację moskiewskiego tygodnika: cykl szyderych komentarzy, po powrocie Bitowa do Bazy, na temat procedury wybierania wolności w tak zwanych krajach demokratycznych”.

Podejrzanie, jak dotąd, sprawdziło się o tyle tylko, że Bitow wrócił do Bazy. Nabrało natomiast świeżych rumieńców w związku z powrotem Jurczenki do Bazy. Odlatywał do Bazy z Waszyngtonu jak kosmonauta sowiecki, który po celującym wykonaniu zadania jedzie triumfalnie na Kreml, gdzie go oczekują orderzy i gratulacyjne uściski wodzów. Wymyślono być może w Moskwie bohaterską imprezę „zachodonautów”, śmiałków zdolnych do ekwilibrystyki na lince pod samym nosem wroga. Konkretny płon takich wypraw jest prawdopodobnie niewielki. Ale w nowej imprezie, jeżeli ją rzeczywiście w Moskwie wymyślono, chodzi o coś innego: o pokazanie własnym poddanym jak przemożna, wszechobecna i nieustraszona jest „nasza sowiecka siła” w porównaniu z wystawionym na pośmiewisko, słabym, zgniłym, niemrawym Zachodem. Przypuśćmy na chwilę, że to „ideologiczny” *Wdchowiciel* z książki Zinowiewa *Homo Sovieticus* wykoncypował

„zachodonautów”. W takim razie „ideologiczne” płatki powinny zabrać się niebawem do opiewania ich *podwigo*w w czytankach dla „czerwonych pionierów”.

#### 11 listopada

Z rejonów w których szybują „zachodonauci” wypada zejść na ziemię, do zwykłych i autentycznych uciekinierów.

Marynarz Ukrainiec skacze ze statku *Marszałek Koniew*, do pływa do amerykańskiego brzegu, oświadcza urzędnikom za pośrednictwem tłumaczki, że pragnie żyć w „uczciwym kraju”. Krótka spór o niego między „uczciwym (lecz zakłopotanym i niezbyt chętnym) krajem” i „imperium zła” (jak Reagan nazwał kiedyś ZSSR) kończy się odjazdem statku sowieckiego z ładunkiem zboża amerykańskiego i (na dokładkę) skutym Ukraincem, któremu zachciało się „wolności”. Nie wiadomo zresztą czego mu się naprawdę zachciało, bo Reagan odkrył ostatnio, że w języku rosyjskim — a więc pewnie i ukraińskim — nie ma w ogóle słowa „wolność”.

Żołnierz Rosjanin wkrada się do ambasady amerykańskiej w Kabulu. Niedługo cieszy się tam azylem. Ambasada zwraca go „prawowitym właścicielom”, przywołana do porządku szykanami i pogrózkami policji sowiecko-afgańskiej.

Jest doprawdy obłudną niedorzecznością deklamować bez ustanku o „prawach człowieka”, zapowiadać że nie będą zapomniane na genewskim „szczyt”, a jednocześnie cofać się z podwinętym bojaźliwie ogonem w wypadkach, gdy ich obrona wymaga stanowczości, odwagi i pewnego ryzyka. Jak niedorzecznością — dla odmiany „humanitarną” — jest branie w rachubę możliwości „wykupienia” Sacharowa w zamian za szpiegów sowieckich więzionych w Stanach (co zesłańcowi w Gorki nadaje *implicite* status „szpiega amerykańskiego”).

Naprzeciw „ideologii” sowieckiej stoi wolny jeszcze świat, chory na stopniowy zanik albo postępowy paraliż woli walki o własne ideały i zasady.

#### 14 listopada

Wpadł mi do rąk szkic „noblisty” Canettiego o dziennikach *Dialog ze strasznym partnerem*. „Strasznym partnerem” jest sam autor dziennika, ponieważ w „prawdziwym” dzienniku prowadzi się dialog z samym sobą. A jaki dziennik zasługuje na miano „prawdziwego”? Sekretny, wyłącznie sekretny, nie skierowany do nikogo poza samym piszącym. Kto w dzienniku zwraca się



do innych, choćby w odległej przyszłości, ten pisze dziennik za-fałszowany; i trzeba go mierzyć metrem większych czy mniejszych talentów fałszerskich. Koniecznie też autor „prawdziwego” dziennika musi przestrzegać formy dialogu wewnętrznego; jego brak z góry odbiera dziennikowi wszelką wartość.

Nie wierzę w istnienie dzienników całkowicie sekretnych. Wskazuje się zazwyczaj, na dowód że jednak istnieją, pisany specjalnym szyfrem (a raczej własną, nikomu nieznaną odmianą stenografii) dziennik Pepysa. Pepys zapisywał dla pamięci skrupulatnie (i świetnie!) swoje „uciechy zmysłowe”, machinacje finansowe, refleksje polityczne i zjadliwe nierzadko spostrzeżenia o wysoko postawionych osobach, nie prowadząc żadnego prawie dialogu wewnętrznego ze sobą. Sam wyłania się z kart dziennika dość jednowymiarowy, a zasłużoną sławę po rozszyfrowaniu tekstu w półtora wieku od jego powstania zawdzięczał tyleż swemu darowi opisowemu, co ciekawym informacjom o życiu w siedemnastowiecznym Londynie. Poza tym, jak się okazało dopiero na początku XIX wieku, zostawił w swoich papierach klucz do wynalezionej przez siebie stenografii, więc sekretność uprawiał względną i terminową. Canetti nie wspomina go w szkicu o dziennikach.

Wspomina za to Kafkę. Otóż Kafka, mistrz samoudręki, odnotowujący w dzienniku „myśli na temat tej nieszczęsnej istoty jaką jestem”, czytywał czasem jego fragmenty najbliższym przyjaciółom. Nie przeznaczał go do druku, to prawda, ale spalić kazał nie tylko dziennik...

No a nieodzowny w „prawdziwym” dzienniku dialog z samym sobą, „ze strasznym partnerem”? Próbował go właśnie Kafka, tak podziwiany przez Canettiego. Z jakim skutkiem? Cel dziennika widział w „samopoznaniu”. I po roku prób wyznał: „Nie napisałem o sobie wiele w tych dniach, po części z lenistwa, po części jednak z obawy, by nie zdradzić mego samopoznania. Obawa uzasadniona, gdyż samopoznanie wolno ostatecznie utrwalić na piśmie tylko wtedy, gdyby mogło się to dokonać w najdoskonalszej pełni i w całkowitej zgodzie z prawdą. Jeśli się tak nie dzieje — a ja w każdym razie nie jestem do tego zdolny — etc. etc.”. Kafka zrozumiał, chociaż tego wprost nie powiedział, że pełne „samopoznanie” wymaga samotności absolutnej, do której nie jest zdolny człowiek rzucony w świat i uwikłany w jego sprawy. Prawdziwym fałszerstwem autora dziennika byłoby „utrwalenie na piśmie” rozmów sam na sam z „partnerem” nieistniejącym w ogóle w czystej postaci. Rozmawia się w dzienniku z sobą samym, ze światem, z innymi, z Bogiem (od różnic w naciśku zależą rozmaite odmiany dzienników). I tworzy się często rozmówców, jak tworzy się w rozmowach z nimi samego siebie.

Kryje się w tym również pewien nieuchronny „fałsz”, lecz bez porównania mniejszy od iluzorycznej ambicji „samopoznania w najdoskonalszej pełni i w całkowitej zgodzie z prawdą”.

17 listopada

Carlo Cafiero był czołową postacią anarchizmu włoskiego w zeszłym stuleciu. Bogaty z domu, kulturalny i czytany, wrażliwy, czarujący w obcowaniu, o pięknej prezencji, roztrwonił majątek na finansowanie przygotowań do rewolucji w Europie, sam brał udział w kilku nieudanych zamachach we Włoszech, był sądzony i więziony, korespondował z Marksem i Engelsem, przyjaźnił się z Bakuninem i Kropotkinem, żył monomanią „wielkiej przemiany”. Naraz, mając trzydzieści siedem lat, dostał pomieszczenia zmysłów.

Ostatnie dziewięć lat jego życia to okres nieuleczalnego obłądzenia, bez żadnych oznak poprawy. Spędził je w różnych zakładach dla umysłowo chorych, milczący, zamknięty w sobie, przeważnie spokojny, odwiedzany niekiedy przez dawnych towarzyszy. Miał dwie fiksacje. Uważał się za syna Słońca, lubił wskazywać ręką Słońce, mruczając do siebie w zadumie: „To jest mój ojciec”. I śnił o porozumieniu, więcej — o trwałym sojuszu, rewolucjonistów z jezuitami. Chciał nawet wstąpić do zakonu jezuitów („aby ich ogromne wpływy na świecie służyły sprawie wydziedziczonych”), a czasem wręcz wyobrażał sobie że zakłady w których usiłowano go leczyć są w rzeczywistości czymś w rodzaju nowicjatu zakonnego. Pochowano go w specjalnym, używanym wtedy w zakładach, ubraniu dla obłąkanych.

Obłąd Cafiero łączył w zalążkowej formie tęsknotę do Grodu Słońca z marzeniem o Organizacji Doskonałej, Campanellę z Loyolą. Innymi słowy, promienną Utopię z Władzą opartą na bezwzględnym posłuszeństwie. Była to podskórna choroba wieku, a nie tylko jawna choroba biednego anarchysty (!) włoskiego.

19 listopada

Nareszcie, nareszcie zostało to powiedziane. Leonardo Sciascia oburza się dzisiaj na telewizję, która w ciągu ostatnich kilku dni bez ustanku pokazywała dwunastoletnią dziewczynkę kolumbijską, uwięzioną przez sześćdziesiąt godzin agonii w morzu błota po wybuchu wulkanu Nevado del Ruiz. Fotoreporter czy telereporter spełnia „tylko” swój zawodowy obowiązek, fotografuje co może, nic sobie nie robiąc z „całej reszty”. Ta „cała reszta” jest, a raczej winna być nietykalność pewnych sfer życia

i śmierci. Telewizja włązi wszędzie, fotoreporterzy na wyścigi zdzierają „wstydlive zasłony konwencjonalne”, biją rekordy zawodowej „sprawności” i zarazem ludzkiej gruboskórności (bądź niewiarygodnej oschłości serca). Będziemy pewnie w niedalekiej przyszłości oglądać na małym ekranie „autentyczne” — „prosto z pieca” — męki przedśmiertne chorych na raka, „autentyczne” konanie śmiertelnie rannych w wypadkach, „autentyczne” ataki szału obłąkanych. Co było dotąd lub mogło być przedmiotem wyobraźni artysty, staje się *scoop*'em fotoreportera, wyrwanym „na żywo”, „na gorąco” z „konkretnej” i „dotykanej” rzeczywistości. Wszystko musi być na pokaz w nowej *video*-cywilizacji.

I wszystko zamienia się w widowisko, stępując w ludziach wrażliwość na istotę tego co oglądają, wulgaryzując i banalizując dramatyczność ludzkiej egzystencji. Jeśli przypadkowi świadkowie aktów gwałtu przypatrują im się z zupełną obojętnością (o czym codziennie niemal czyta się w kronikach wypadków) i nie kwapią się wystąpić w obronie ofiar, to nie dlatego jedynie, że drżą o własną skórę, boją się agresorów; dlatego również, że przypadek uczynił z nich zblazowanych widzów żywego spektaklu, który oglądali może wczoraj albo zobaczą może jutro w telewizji. Nikt się już niczemu nie dziwi. Co w praktyce oznacza często: człowiek-widz wypiera krok po kroku bez oporu człowieka-uczestnika.

Pisząc o truciznach *video*-cywilizacji, wspominam przy sposobności niesmak jaki wzbudziła we mnie niegdyś pokazana w telewizji całego świata scena spotkania Jana Pawła II z Ali Agcą w rzymskim więzieniu. Bardzo piękny i głęboki, z natury swojej *intymny*, akt chrześcijańskiego przebaczenia nie powinien był nigdy wyjść poza cztery ściany celi więziennej. Jako telewizyjny spektakl wydał mi się (nie tylko mnie zresztą) płaski, płytki i zdawkowy. Do dziś nie potrafię zrozumieć, co skłoniło mądrego Papieża do poddania się zdziczałej hordzie fotoreporterów.

20 listopada

R., przekonany że pasjonuje mnie demonologia, przysłał mi *The Private Memoirs and Confessions of a Justified Sinner* szkockiego pisarza James Hogga. Powieść wyszła w roku 1824, wznowiono ją niedawno z honorami i zachwytaami. Hogg nie był wybitnym pisarzem, powieść nie jest arcydziełem, ale odgrzebano ją słusznie. Wizja Diabła jako nieodłącznego towarzysza, prawie sobowtóra czy cienia, a dokładnie „drugiej osoby lub duszy w jednym człowieku”, była na owe czasy oryginalna. Oryginalne też było przeświadczenie Hogga, że Diabeł szczególnie dobrze pros-

peruje w atmosferze fanatyzmu, zarówno religijnego jak politycznego. Zastąpiwszy tytuł Księcia Ciemności tytułem Księcia Mroków, można bohatera powieści Hogga nazwać raczej „zamroczonym” niż „opętanym” przez Diabła. I fanatyzm jest rzeczywiście zamroczeniem, tym groźniejszym im „wznioślejsza” Sprawa budzi go i potem podsycą ogniem piekielnym.

We wstępie do reedycji powieści Hogga znany pisarz angielski John Wain podkreśla jej aktualność. Ma oczywiście na myśli Diabła współczesnych „ideologii”. Według mnie ta aktualność już wygasła, zamknął ją proces Eichmanna opisany przez Hannę Arendt w „raporcie o banalności Zła” (mój szkic o nim zatytułowałem *Demon Naszych Czasów*). Na gruzach „wieku ideologii” pojawił się Diabeł, o jakim nie śniło się Hoggowi: nowy Diabeł chłodu i obojętności. Znośniejszy od swoich poprzedników, lecz bardziej od nich podstępny i przewrotny.

22 listopada

*Russkaja Mysl* wyłowiła z archiwów prasowych reportaże piotrogadzkie z października-listopada 1917 rosyjskiego socjalisty Borysa Kriczewskiego, wysłannika socjalistycznej wówczas *Humanité*. W ostatnim raporcie z 11 listopada rosyjsko-francuski korespondent włączył do gorączkowego rejestru „bezsparnie ustalonych faktów” parę osłupiających zdań o tym, jak bolszewicy żołnierze wdarli się do Pałacu Zimowego w poszukiwaniu „Żyda Kiereńskiego”. Na rozkaz... Trockiego. Genialny doprawdy facet ten Trocki, orzeł rewolucji, wizjoner i prorok, o głowę przerastający Lenina, nie mówiąc już o topornym i dojrzewającym dopiero seminarzyście Stalinie. To on, prócz natychmiastowego wyczucia czarnych ciągów czerwonej szpicy rewolucji, przewidział później konieczność „militaryzacji pracy” i zapowiedział, że „bez pracy przymusowej trzeba będzie postawić krzyżyk na budowie socjalizmu”. Wśród sławnych spadkobierców „kółka naszych” z *Biesów* wolno Trockiego uznać za wcale udane skrzyżowanie pomysłowego „praktyka” Wierchowieńskiego i niepohamowanego w logicznym myśleniu „teoretyka” Szigalewa.

Dość. Kiedyż w końcu usłucham dobrych rad przyjaciół pięknoduchów i pozbędę się nałogu tropienia „historii spuszczonej z łańcucha”?

25 listopada

Na pożegnalnym bankiecie pan Piklington, przewodniczący Związku Stanów, upewniwszy się że wszyscy mają kielichy na-

pełnione szampanem, wezwał do wypicia za pomyślność Związku Rad i za zdrowie jego energicznego przewodniczącego, towarzysza Napoleona. Toast przyjęto entuzjastycznie, krzycząc i szurając nogami. Towarzysz Napoleon był tak uszczęśliwiony, że zerwał się z krzesła i obszedł stół, by swój kielich trącić o kielich pana Piklingtona. Kiedy ucichła ponowna wrzawa, przemówił. Jak wszystkie jego mowy, również ta była krótka i do rzeczy. Wyraził głęboką satysfakcję, że kończy się oto okres nieporozumień, podejrzeń i niczym w istocie nieuzasadnionej wrogości. Przez dłuższy czas rozsiewano całkowicie fałszywe pogłoski o Związku Rad w Związku Stanów, a nie całkiem ściśle pogłoski o Związku Stanów w Związku Rad. Jego i jego kolegów posadzano w całkowitej niezgodzie z prawdą o chęć zakłócenia stosunków Związku Stanów z zaprzyjaźnionymi i sprzymierzonymi z nim pomniejszych krajami. Przesadne też, na szczęście, i wyolbrzymione okazały się rozsiewane w Związku Rad pogłoski, że Związek Stanów zachęca do nieposłuszeństwa i podburza pomniejsze związki rad złączone braterskim uściskiem z wielkim Związkiem Rad. Przedwczoraj i wczoraj, zajrzawszy sobie wzajemnie w oczy przy odblasku ognia na kominku, i on i pan Piklinton mogli przekonać się o obopólnych błędach i pomyłkach. I mogą obecnie zacząć wszystko od nowa. „Pokój — krzyknął z uniesionymi rękami, — wieczysty pokój jest naszym największym wspólnym skarbem!”. Jego, towarzysza Napoleona, jedynym życzeniem jest prowadzić w pokoju Związek Rad ku lepszej wciąż przyszłości i stale zacieśniać naturalne więzy globalnego dobrosąsiedztwa ze Związkiem Stanów, co sprzyjać będzie interesom obu Związków, bardziej nawet Związku Stanów niż Związku Rad.

Pan Piklinton słuchał z kamienną twarzą, lecz miły uśmiech — trudno orzec czy ironiczny czy zadowolony — rozchylił mu zaciśnięte usta na zapewnienie o przyszłych korzyściach Związku Stanów, obfitszych nawet od korzyści Związku Rad. Wstał i zaklaskał, dając tym znak do ogólnych oklasków. Towarzysz Napoleon ruszył ku niemu żwawym młodzieńczym krokiem, wyczajem swego kraju oklaskując po drodze własną mowę, i mocno chwycił jego wyciągniętą dłoń. Dwie splecione dłonie poruszały się długo i rytmicznie to w górę to w dół, jak naprawione przez zegarmistrza wahadło w starym, historycznym zegarze.

*Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI*

## Wyzwolenie

Od dwóch dni od mostu pontonowego przez Wisłę pięły się w górę na Krakowskie Przedmieście długie tabory i skręcały w Królewską. Szły na zachód. Przypominały bardziej chłopskie furmanki ciągnące na jarmark w miasteczku niż oddziały wielkiej armii.

Na szturmowe formacje tej wielkiej armii natknąłem się nieco wcześniej po drodze do Warszawy, kiedy jeszcze w różnych odległych dzielnicach wybuchały gwałtowne strzelaniny. Szedłem samotnie torem kolejowym z Pruszkowa i widziałem, jak na samym skraju horyzontu wzdłuż linii dzielącej osnieżone szare pola od równie szarego nieba sunęły jeden za drugim czołgi. Co pewien czas zmieniały szyk i ustawiały się w półkole, jakby kogoś osaczały. Wtedy błyskały szybkimi strzałami do niewidocznego przeciwnika. Do mnie dobiegały po pewnym czasie odgłosy, jakie wydają pnie drzew, kiedy drwale stukają w nie obuchami siekier. W dalszej wędrowce minąłem kilka czołgów, które zatrzymały się nieopodal nasypu. Stały zbite w stado, a ich załoga wylaźliła spod podniesionych klap. Żołnierze po zsunieciu się na ziemię ściągali z siebie zatłuszczone kombinezony. Obnażeni do pasa nacierali twarze, piersi i ramiona garściami śniegu, wychylali po szklance czystego spirytusu, zagryzali słoniną odwinietą z gazety, zapalali ogromne skręty machorki, zaciągali się łapczywie, po czym rzucali się na ziemię, nie zapinając nawet waciaków, i natychmiast zasypiali z rozrzuconymi ramionami.

Wlokące się często przez Warszawę tabory różniły się od nich całkowicie. Brodaci i leciwi woźnice w połatanych kozuchach popędzali leniwym machaniem bata kosmate koniki oszroniałe od mrozu. Zaprzęgi również nie miały wyglądu wojskowego. Były skrzypiącymi wozami wiejskimi z hołoblami i duhą, w jakie od

wieków zaprzęga się mądrą starą kobyłę, dodając jej na przyprzążkę po obu stronach młodsze konie. Głębokie tyły posuwające się za zwycięskim wojskiem miały w sobie coś z wędrowki plemion koczowniczych, zmierzających ku nowym terenom pastewnym.

Nic zatem dziwnego, że za ich pochodem snuły się dymy po opuszczonych legowiskach. Słupy dymu wzbity się natychmiast po nadejściu taborów w kościele Bernardynów, w Pałacu Namiestnikowskim, w gmachu kwaterunku wojskowego na rogu Królewskiej i Krakowskiego Przedmieścia... Nie rozwiewały się długo, gdyż nikt ich nie gasił. Nocą u ich podstaw pełgały czerwone języki płomieni.

Jeden z taborów zajeżdżał w wyważoną bramę na dziedzińcu Uniwersytetu i rozlokował się w ocalałych budynkach. Wkrótce stało się jasne, skąd brały się dymy ukazujące się w różnych miejscach wymrożonego i opustoszałego miasta. Nasz stary woźny, który przybiegł do nas, kiedy z profesorem Borowym zamieszkałszy w Bibliotece i dopomagał nam, jak umiał, miał mnóstwo kłopotów z żołnierzami wałęsającymi się po terenie Uniwersytetu. Z różnych zakątków rozległych podwórzy wciąż dobiegał jego gniewny i rozpaczliwy głos, miotający groźby w nieporadnym rosyjskim języku. — *A pajdi, gawariu ci, ubieraj się, skażu komendantowi, zobaczysz!* — Ponieważ te bezradne pogroźki zupełnie nie działały, więc przybiegał do mnie czerwony z emocji. — Leć pan co tchu do Auditorium Maximum — wołał wymachując rękami — bo nas te brodate wysadzą w powietrze. Książek teraz byłoby szkoda, kiedy tamte piekielniki nie zdążyły ich spalić. — Biegłem zatem do gmachu stojącego tuż obok Biblioteki, gdyż sytuacja była naprawdę groźna.

Niemcy cały parter zamienili na magazyn amunicji. W ogromnej sali leżały wysoko sterty pocisków artyleryjskich, usypiska granatów, stopy panzerfaustów, min saperskich oplątanych drutami, długich tekturowych pudeł z laskami trotylu. Kampania „ozdrowieńców”, kwaterujących od paru miesięcy na Uniwersytecie, umieściła również w sieni zwalę węgiel, którym opalała kwatery. Otóż ten węgiel teraz często się tlił i jeśli zarzewia nie zdeptało się w porę, to pod dymem ukazywały się niebieskie płomyki. Łatwo mogły buchnąć ogniem, gdyż wokoło leżały strzępy papieru, pozostawione przez wałęsających się żołnierzy, którzy sobie takimi kagankami świecili przy poszukiwaniach. Odchodząc rzucali je pod nogi.

Także Biblioteki trzeba było wciąż przed nimi bronić. Drzwi główne założyłem drewnianą sztabą, ale krata po prawej stronie budynku na małym okienku była wyłamana. Co pewien czas we framudze, pozbawionej nawet ram okiennych, ukazywały się ogromne walonki, potem zadarte poły waciaka, a potem na kory-

tarz z rzędami półek spadał ciężko woźnica w czapce z nausznikami. Prostował się z powolną ostrożnością, ale w chwilę później zadziwiająco lekkim, myśliwskim krokiem biegł między półki, wyciągał pierwszą z brzegu książkę, wyrwał ze środka garść kartek, pstrykał zapalniczką i świecąc sobie dymiącym płomykiem przeglądał półki. W razie podejrzenia, że coś może być ukryte za książkami rzucał całe rzędy na kraty podłogi. Przyłapano na rabunku, nigdy nie tracił sennego spokoju. Rozmowa miała zawsze ten sam przebieg, niemal rytualny.

— Wy tu czego? — pytałem rzeczowo, gdyż to działało znacznie skuteczniej niż wybuchy gniewu, do których uciekałem się na początku moich utarczek.

— A niczego — odpowiadał zagadnięty. — Tak sobie, popatrzeć.

— Popatrzeć, mówicie? To czemu zamierzacie spalić państwo uniwersytecką bibliotekę, która jest pod specjalną ochroną?

— Spalić? Kto by tam chciał ją spalić? Takim posądzeniem możecie obrazić sowieckiego żołnierza.

— Po co trzymacie w ręku ten zapalony papier?

— Jaki on tam zapalony?

— Przecież jeszcze dymi!

— Dymić to on może i dymi. Albo z wilgoci, albo kto inny zapalił, a ja podniosłem i właśnie miałem zamiar zdusić ten ogień, kiedyście weszli.

— Że też wam nie wstyd...

— Wstydzić się nie ma czego, jak kto jest niewinny. Myślicie może, że my nie wiemy, co to jest kultura? Bez kultury w ogóle żyć się nie da. To, jak powiadają, artykuł pierwszej potrzeby.

Po takich oświadczeniach wygłaszanych z całym przekonaniem wszyscy jednakowo rozcierali w rękach jeszcze iskrzący się papier i dymiące zwitki rzucali za kratę. Często przelatowały przez szelki szpary na niższe piętro i wtedy stary woźny wygrażał winowajcy pięścią, mrużąc pod nosem: — Och, ty diable kosmaty — zbiegał na dół, żeby podjąć tłący się lont.

Na tym jednak nie kończyły się nasze kłopoty. Zdarzały się zupełnie nieoczekiwane.

— Bardzo pana przepraszam — dopadł mnie zdyszany — ale napytają nas jakiej biedy. W Szkole Głównej, w tej dużej sali na pierwszym piętrze, dobrali się do eksponatów w formalinie. Jeszcze się potrują!

W ogromnej pustej sali róg długiego stołu obsiadło pięciu żołnierzy. Wszyscy byli zadziwiająco do siebie podobni. Brodaci, posiwiali, ubrani w bardzo zniszczony i połatany przyrodziwek na pół wojskowy. Wyglądu wojskowego nie przydawały im

nawet karabiny, które oparli obok siebie o ławę albo położyli na stole. W chwili, kiedy wszedłem, jeden z nich w samym środku trzymał uniesioną nad stołem wielką matwę ociekającą płynem i przyglądał się jej z badawczą uwagą. Drugi przychylił do ust oburącz szklane naczynie, w którym ten okaz był zakonserwowany. Inni patrzyli na pijącego z pytaniem w oczach. Wszystko to robili z powolnością, jaką czasami widuje się we śnie. Moje wejście ledwie zechcieli dostrzec, chociaż wbiegłem gwałtownie.

— Co ty robisz, człowieku? — krzyknąłem podbiegając do stołu. — Otrujesz się. Przecież to formalina.

Żołnierz ostrożnie postawił naczynie, jakby to była miska z zupą, otarł wierzchem dłoni obfity zarost i niedbale sięgnął po karabin leżący tuż pod ręką. Nawet go nie podniósł. Przesunął tylko łufę w moją stronę.

— *Paszot won, durak* — powiedział z tą cierpliwą wyrozumiałością, z jaką traktuje się dzieci albo idiotów. — To nie żadna formalina. To spirytus.

Wtedy wszyscy zwrócili do mnie twarze zupełnie pozbawione wyrazu, jakby byli zaprzątnięci jakąś żmudną myślą, która odgradza od rzeczywistości. W niczyich oczach nie pojawił się błysk świadczący, że mnie widzą. Zasnawała je trudna do nazwania zaduma. Była w niej nuda, cierpliwość i tęsknota do czegoś, co nie jest z tego świata. Podobne tępe cierpienie pojawia się w oczach zwierzęcia utkwionych w księżycu, kiedy zanosi żałosną i beznadziejną skargę.

Brodacz trzymający wciąż matwę w podniesionej ręce wolno zbliżył ją do nosa, powąchał i z westchnieniem zawodu położył na stole.

— Lepiej dla ciebie będzie, człowieku — powiedział życzliwie w moim kierunku, nie obdarzając mnie nawet spojrzeniem — jeżeli sobie zwyczajnie stąd pójdziesz. Pewnie wiesz, że jest wojna i nikt nie musi się tłumaczyć, jak strzeli i nawet, jak kogo zabije. Po co ci to?

Z upływem wielu lat nie zatarło się we mnie uczucie żalości, jakiego wówczas doznałem. Nie było ono ani litością, która się rodzi na widok cudzego upośledzenia, a więc i własnej wyższości, ani nawet zwyczajną ludzką solidarnością we wspólnej niedoli. Z mojej żalości, dokuczliwej jak tępy ból, przebijało zdumienie, że los dla wielu ludzi na ziemi bywa zawsze jednakowo bezlitosny. Nie chce zelżyć swojej srogiej ręki nawet wtedy, kiedy zmienia się historia. Zastępuje bowiem jednych ciemnych innymi, jeszcze bardziej pozbawionymi miłosierdzia.

W tym wypadku siła ta przybrała postać podoficera w czapce zsuniętej z czoła, uzbrojonego w nagan zwisający u pasa na rapciach. Odnalazł on chaty kryte słomą w głębi przepastnego boru, załomotał przed świtem we drzwi z okrągłaków i wymachując

przed samą twarzą urzędowym papierem wykrzyknął: Ubiaraj się, zaprzęgaj, pojedziesz! — A niby to dokąd każecie jechać — zapytał gospodarz, któremu już poprzednio w ten sam sposób zabrano trzech synów. — Nie twoja rzecz wiedzieć — skarcił go wysłannik i dla dodania sobie powagi trącił go pod brodę kolbą rewolweru. — No, ruszaj! — Więc poszedł bez słowa tak, jak poszli inni siedzący przy stole, aby przemierzać nieogarnione przestrzenie pełne wiosennych roztopów czy zimowych zasp. Ani im w głowie nie pozostało, że można by utargować chociaż dzionek dla załatwienia spraw gospodarskich, które zwały się na miękkie babskie plecy. Sprzeciw tak dalece nie leżał w przyzwyczajeniach tych ludzi, że już nie leżał w ich naturze. Przywykli od wiek wieków do przemocy zaczajonej w obwarowanych grodach i napadającej zniemacka. Tak było zawsze jak sięgali pamięcią nawykłą do krzywdy i tę smutną wiedzę przekazywali z ojca na syna przez wiele pokoleń. Nie udawało się od niej uchronić ucieczką w nieprzebyte lasy, odgrodzić zdradzieckimi trzęsawiskami, zwieść płataniną ścieżek, które do nikąd nie prowadzą. Zawsze wysłańcy władców odnajdywali właściwą drogę. Naprzód byli to na swoich wóchatych konikach, z łukami na plecach i korbaczami w pięści, zwiadowcy chana tatarskiego wymuszający służby i daniny. Po nich z ciemności czasów wysuwali się straszący psią głową na kiju oprycznicy Iwana Groźnego, w Polsce przewani od razu opryszkami, co nie oznaczało wcale sług książęcych, ale zbójów. Po nich ubrani z niemiecka z trąbką myśliwską przez ramię, z kordelasem u pasa, pacholkiwowie cara Piotra, ścinający łby nie gorzej od poprzedników, łapali ich na arkany dla wznoszenia stolicy w północnych błotach. Po nich zajeżdżali kibitką obciśnięci rzemieniami żandarmi kolejnych mocarzy z Bożej łaski dotąd, aż zjawili się słudzy nowego ładu, jakiego nie można było pojąć, gdyż nie rządził się prawami ludzkiego rozumu. Ci byli najliczniejsi i najokrutniejsi.

Po długich wiekach pokornej uległości posłuch stał się czymś tak naturalnym jak mróz w zimie albo plucha jesienią. Uznano go za jedno z tych praw władających życiem, jakiemu należy się poddać bez szemrania. Bunt przeciw przemocy nabrał cech głupoty tak samo oczywistej jak niepokodzenie się z cierpieniem albo ze śmiercią.

Kiedy tak stałem na podwórzu przed gmachem Szkoły Głównej, nie bardzo wiedząc co robić, podszedł do mnie dowódca tego oddziału. Mijaliśmy się już parokrotnie w trakcie tych dni z nikłym uśmiechem, aż w końcu oficer podniósł rękę do czapki i przystanął. Przywitał się ze mną nie tylko grzecznie, ale nawet przyjaźnie. Wyróżniał się od swoich podkomendnych odmienną, jakby nordycką urodą. Był wysoki, szczupły, jasnowłosy. Twarz miał kształtną i delikatną.

— A wiesz — powiedział wyciągając rękę na powitanie po zdjęciu rękawiczki — że ja także jestem prawie Polakiem. Zna czy się byłem. Nie tyle ja sam, co moi przodkowie. Dziad ze strony ojca przebywał u nas naprzód w minach, a potem na posiedzeniu. Jak zwykle, za polski bunt. Nazywał się Stanisławski. January Dezyderowicz Stanisławski. Czyli, że jego ojciec a mój pradziad miał na imię Dezydery. Nie wierzyliśmy, że jest takie imię. Myśleliśmy, że zmyślał. Zmyślał czy nie?

— Nie zmyślał — zapewniłem. — Było kiedyś takie imię.

— Dezydery. Śmieszne. Ale Bóg z nim. Ja też nazywam się Stanisławski, chociaż po polsku nie umiem ani słowa. Bo i po co?

Było to przedwczoraj. Teraz podszedł do mnie jak do starego znajomego.

— Cóżś tak się zafrasował — zapytał. — Masz jakieś kłopoty? Książki ci rozciągają na papierosy, czy jak?

— Twoi ludzie — wskazałem na okna pierwszego piętra — tam, w dawnym Gabinecie Zoologicznym, piją formalinę. Jeszcze się potrują.

— To nie mogłeś im zakazać, kiedy to trucizna?

— Mówiłem, ale nie chcą mnie słuchać. Uważają, że to spirytus.

— To i dobrze — zgodził się. — Pewnie spirytus, jeśli tak uważają. Są starsi od ciebie i wiedzą, co robią.

Widocznie nie miałem w twarzy zbytniego przekonania, bo klepnął mnie pocieszająco po ramieniu.

— Alboś ty ich wujek, żeby się martwić. Dużo jest większych zmartwień w życiu.

Rozstaliśmy się zostawiając sprawy ich własnemu biegowi. Taki jednak pobłażliwy stosunek do zdarzeń gotuje czasami niespodzianki. I to niezbyt przyjemne.

Nazajutrz wczesnym rankiem wyrwały nas ze snu donośne okrzyki komendy wojskowej i miarowy tupot nóg. Wyszliśmy do hallu, żeby się przekonać, co się dzieje. Jednak przy drzwiach Biblioteki zatrzymał nas wartownik.

— Nie wolno. Z powrotem — warknął groźnie.

Zaczekaliśmy zatem, aż się wszystko uspokoiło. Na lewo od wejścia wznosiła się uklepana niedbale mogiłka z czworograniastym zaostrzonym kołkiem i deseczką z nazwiskiem zmarłego i napisem. Napis głosił: Poległ za Ojczyznę (*Pał za rodinu*).

Westchnąłem nad tym grobem z prawdziwym smutkiem. Jakiemu to z moich wczorajszych rozmówców, temu który próbował smaku formaliny czy temu który oglądał matwę, przyszło zapłacić życiem za rozszerzanie władztwa nowego mocarstwa światowego aż po Pireneje, a może nawet po ocean? Nie wydawało się wów-

czas ani uczestnikom, ani widzom tej wielkiej wędrówki na Zachód, aby coś mogło stanąć na drodze zwycięskiemu pochodowi. Chłop rosyjski popędzany strzałami w plecy przez specjalistów od wychowania politycznego wypełniał swoje zadanie dziejowe. Zaprowadzał wszędzie, gdzie stąpił, swoją przyrodzoną niewolę. Cierpliwą, uległą i pozbawioną całkowicie nadziei, że coś w tym strasznym świecie można zmienić.

Zaledwie wróciliśmy do swojej roboty polegającej na wydobywaniu z grubej warstwy błota i kału rękopisów naszych pisarzy, kiedy sztywnym wymierzonym krokiem wszedł do hallu kapitan Stanisławski. Tym razem się nie uśmiechał. Twarz miał zakrzepłą w jakimś groźnym wyrazie determinacji. W rękę trzymał nagan. Kiedy wstałem ze sterty książek, na której siedziałem, skierował go do mnie, a potem wskazał nim drzwi.

— Ty, polski bibliotekarz — powiedział cichym, rwącym się głosem. — Załóż ręce na szyję i idź przede mną.

Za chwilę poczułem między łopatkami lufę rewolweru. Pchał mnie przed sobą. Tak przeszliśmy połowę podwórza, gdzie już profesor Borowy, który stanął w drzwiach, nie mógł niczego słyszeć. Tutaj kazał mi się zatrzymać i ciągle z wyciągniętym rewolwerem w dłoni podszedł do mnie od przodu.

— Według moich meldunków — powiedział patrząc gdzieś nad moją głowę — tyś wczoraj widział, jak nasi żołnierze pili truciznę i ani im nie przeszkodziłeś, ani nikomu nie zameldowałeś. Wiesz, jak się takie postępowanie nazywa? Dywersja albo sabotaż. Będziesz się musiał teraz z tego wytłumaczyć, ale uprzedzam, że rozmowa będzie krótka.

— Przed kim? — zapytałem.

— Zaraz się dowiesz — rzucił od niechcenia. — Daleko nie pójdziemy. Nie zmęczysz się.

Znowu rewolwerem wskazał mi drogę do wyjścia. Za bramą, na Krakowskim Przedmieściu, pchnięciem skierował mnie na lewo. Już wiedziałem, dokąd mnie prowadzi. Miałem przed sobą trochę okopcone i poszczerbione mury pałacu Staszica i tuż za nim po drugiej stronie ulicy również ocalałe ściany dawnego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. W latach okupacji mieściła się tutaj niemiecka komenda policji i natychmiast po wkroczeniu do miasta ogromny gmach zajął NKGB. Widocznie te przekazywane sobie z rąk do rąk przez różne policje pomieszczenia miały swoje sekretne i piwniczne dogodności.

Wejście do tego gmachu było kuszeniem bezlitosnego losu, gdyż już doszły do nas słuchy, że mało kto z niego wychodzi. Byłem więc przygotowany na najgorsze. Ale właśnie wtedy, jak to się zdarza w chwilach śmiertelnego niebezpieczeństwa, błysnęła mi w głowie zbawcza myśl. Przypomniałem sobie, że przy moim ciągłym przebieganiu podwórzy uniwersyteckich natknąłem

się niedawno na oficera radzieckiego zapewne wysokiej rangi, gdyż miał sporo rombów na kołnierzu. Zapewne lustrował teren i musiał o nas z Biblioteki coś posłyszeć, gdyż mijając mnie podniósł leniwie rękę do czapki. Nadzieja ratunku tak mnie podnieciła, że mimo woli przyspieszyłem kroku.

— Dokąd tak lecisz? — odezwał się za mną kapitan Stanisławski. — Mnie na twoim miejscu nie byłoby tak pilno. Zapomniałeś, co ci mówiłem?

— Nie zapomniałem — rzuciłem za siebie. — Chciałbym tylko jak najszybciej oczyścić się z kłamliwego oskarżenia. Powiem, jak było naprawdę.

— I myślisz, że ci uwierzą? Jeszcze nigdy o nich nie słyszałeś?

— Myślę, że mi uwierzą, kiedy poproszę o dopuszczenie mnie do oficera, z którym wczoraj rozmawiałem.

— Jakiemu znowu oficera? — W jego głosie odezwało się zaniepokojenie. — Co ty tam znowu zmyślasz?

— Wczoraj po rozstaniu się z tobą — mówiłem nie zwalniając kroku — natknąłem się przed Uniwersytetem na waszego oficera. Ponieważ żał mi było tych ludzi, więc powiedziałem mu, co robią.

— Jak on wyglądał, ten oficer? — prawie już krzyczał.

— Wygląd tego oficera zapamiętałem dobrze — wyjaśniałem. — Był niezbyt wysoki, krępy, z krzaczastymi brwiami, z niebieskim otokiem na czapce...

Zbliżyliśmy się już do Pałacu Staszica z pustym cokołem pomnika Kopernika.

— Stój! — krzyknął i ponieważ nie wykonałem jego rozkazu, zabił mi drogę.

— Stój, jak ci powiedziałem — powtórzył i zatrzymał mnie pięścią z rewolwerem. Nie groził już. Nie pozwalał iść. Oczy miał martwe ze strachu.

— Coś ty mu powiedział? — Drugą ręką chwycił mnie za ramię. — Mów zaraz. Nie łżyj, jeżeli ci życie miłe.

Zdałem sobie sprawę, że naprawdę moje życie wisi na włosku. Naciśnięcie spustu nie sprawiało wtedy trudności nikomu. Gdyby mnie zastrzelił, nie musiałby się długo usprawiedliwiać. Wystarczyłoby zupełnie wyjaśnienie, że chciałem mu wyrwać rewolwer.

— Uspokój się! — strząsnąłem mu rękę z ramienia. — Nic ci nie grozi.

— Co powiedziałeś temu pułkownikowi?

— Powiedziałem, że zwracam się do niego, gdyż nie znam dowódcy tego oddziału, a mnie żołnierze nie chcą słuchać.

— Powiedziałeś mu, że ostrzegłeś żołnierzy?

— A coś ty myślał? Przecież po to go zatrzymałem.

Cofnął się o krok i długo patrzył mi w oczy.

— Ty albo masz niebываłe szczęście, jeżeli mówisz prawdę — powiedział z namysłem — albo jesteś chytry jak sam diabeł, jeżeli kłamiesz. Zawracaj.

— Dokąd?

— Z powrotem.

— Nie — opierałem się. — Wolę wyjaśnić sprawę do końca, żeby na mnie nie ciążyło takie posądzenie. Chodźmy.

— Z powrotem.

Spieraliśmy się jeszcze przez pewien czas z coraz mniejszym przekonaniem, aż wreszcie zawróciliśmy na Uniwersytet. Po drodze kapitan Stanisławski podrzucił w dłoń rewolwer, a kiedy minęliśmy bramę zatrzymał się, żeby schować go do pochwy. Bez słowa poszedłem dalej.

— Ty, poczekaj! — dobiegło mnie z tyłu. — Jeszcze ci coś powiem.

Przyspieszył kroku i za chwilę zrównał się ze mną. Szliśmy prawie ramię w ramię, ale on patrzył przed siebie i ja również go nie dostrzegałem. Szliśmy w zupełnym milczeniu aż niemal do drzwi Biblioteki.

— Jeżeli masz do mnie żal — przystanął i przytrzymał mnie za rękaw — to dlatego, że nic nie rozumiesz. Wcale się nie dziwię. Nikt nie może zrozumieć, kto z nami razem nie żyje. Spotka go coś takiego, jak ciebie teraz i od razu myśli: Ależ to łajdak, jakich mało na świecie! Brata rodzzonego sprzedaje za byle co, za trzy gotowane i zmarznęte kartofle. Może i sprzedaje. Trzeba jednak rozumieć, co go do tego zmusiło. Trzeba nas znać. Trzeba wiedzieć, jaka jest prawda. Żeby zaś przekonać się, jaka jest prawda, trzeba dowiadywać się, bez przerwy dowiadywać się, że w nocy, nad ranem wciąż u nas giną ludzie. Łatwiej niż muchy. Za byle co. Nawet i bez żadnego powodu. Zupełnie jak muchy. Tylko dlatego, że latały w pobliżu i że nasunęły się pod rękę. Po prostu na nie trafiło, a potem zaraz trafi na inne, bo much jest pełno. Jak ludzi. Rozumiesz? I co ty na to?

— Nic.

— Nic? To znaczy, że ciągle nic nie rozumiesz. Nie chcesz rozumieć?

— Chcę. Ale nie rozumiem.

— Dobrze. To ci wytłumaczę. Kiedy tak wciąż giną ludzie nie wiadomo dlaczego i nie wiadomo za co, kiedy przepadają bez wieści i nigdy nikt już się o nich nie dowie albo dowie się po wielu miesiącach, że umarli w łagrze, to tym bardziej chce się żyć. Nie jeść i nie spać, ale żyć. Zwyczajnie żyć...

Znowu chwycił mnie za rękaw, jakby obawiał się, że odejdę,

ale ponieważ nie ruszyłem się z miejsca opuścił rękę i popatrzył mi w twarz oczami, w których było coś w rodzaju miarowego potakiwania: tak to jest bracie, tak to jest.

— Zaraz cię puszcze — powiedział — tylko ci pewne sprawy wyjaśnię. Ja urodziłem się i wyrosłem na Syberii. Na dalekiej Syberii. Tam, gdzie zima trwa prawie osiem miesięcy, a mrozy dochodzą często do pięćdziesięciu stopni. A dookoła jest tundra. Nietknięta jeszcze stopą ludzką, nie do przebycia. Człowiek nie może się w niej schować przed człowiekiem, bo go zagryzą albo zwierzęta, albo komary. Mniejszy zwierz umyka przed większym zwierzem, bo mu przegryzie gardło. Mniejsze drzewo ugina się przed większym drzewem, bo je zagłuszy. Nawet kwiat się wypycha przed inny kwiat, mocniejszy przed słabszy, żeby mu zabrać, ile się da, krótkiego i zimnego słońca. Krótko mówiąc ciężko u nas żyć. Bardzo ciężko. Ale właśnie dlatego strasznie się chce żyć wszystkim. Roślinie, zwierzęciu i człowiekowi. Rozumiesz, jak to u nas jest? Cóż tak milczysz?

— Rozumiem — powiedziałem niechętnie.

— Mówisz to tylko tak sobie, na odczepnego, ale dzięki i za to. Łatwiej mi będzie powiedzieć resztę. Mnie tak samo, jak innym ludziom, którzy tylko myśleli, żeby przeżyć, udało się jakoś przetrwać do wojny. Trzeba było za to płacić. Wiadomo jak. Wydawało się znajomych, zapytasz? Nie bez tego, wydawało się. Nawet przyjaciół, bo o przyjaciół naprzód pytali. Przyjaciel łatwiej się zwierzy, ma więcej zaufania. Mimo to łagier też mnie nie ominął. Zakosztowałem i łagru. Krótko. Trzy lata. Potem przyszła wojna. Przez cztery lata ciągle ocierałem się o śmierć. I to częściej o tę, jaka grozi z tyłu, niż o tę, jaką się ma przed sobą. No, i nareszcie można było powiedzieć, że najgorsze minęło. Zdobyłem u nich wiarę, przesunęli mnie na tyły, do taborów. Wydawało się, że się przede mną jakby trochę rozjaśnia. Jakby świtała z ciemności nadzieja. I właśnie wtedy niespodziewanie wyskakuje jak diabeł z pieca ta sprawa z formaliną. Albo to można ciemnych ludzi upilnować? Jeden umiera, dwóch zabierają do szpitala. Kto temu winien? Ja? Rzecz prosta, że ja. A przy tym nazywam się Stanisławski. Na pewno by na mnie spadło, gdybyś ty się nie nawinął pod rękę w samą porę. Tylko pomyśl! Tyle starań, tyle nadziei i wszystko znika w jednej chwili jakby zapalkę zgasił. A ktoś ty niby dla mnie, brat czy swat? Na pewno ani to, ani tamto, a gdyby tak cię porządnie przepytać, to okazałoby się, że i wróg. Nie na darmo przecież nakazują się przed wami strzec jak przed zarazą. Myślę więc sobie, zwalę ja to wszystko na tego polskiego bibliotekarza, co wciąż się tutaj kręci, jakby za czym węszył, zaprowadzę go do kontrrazwiedki, powiem na czym go przyłapałem i zanim ochłonie ze zdumienia, już będzie po nim. Przyzna się, bo nie ma człowieka,

który by się nie przyznał. Żle to może pomyślałem, sam powiedz? Ty byś może inaczej postąpił na moim miejscu?

Przerwał na chwilę, jakby czekał na moją odpowiedź. Ponieważ jednak nie odezwałem się, więc tylko westchnął i wrócił do swoich wyjaśnień. Zapewne sądził, iż w końcu mnie nimi przekona.

— Nie chcesz mówić, nie trzeba. Myślałem, że z tobą będzie można porozmawiać po ludzku. Omyliłem się, trudno. Nie ma zresztą o czym gadać, skoro wszystko obróciło się na dobre. Spotkałeś samego pułkownika, porozmawiałeś i kulka ci tylko gwizdnęła koło ucha. Miałeś szczęście. Nie ty jeden. Tak się zdarzyło, że i ja się na niego natknąłem, kiedy wracałem z ulicy. Wiedział, że mnie przy tym wydarzeniu nie było. No, i jest dwóch szczęśliwych, a szczęśliwi złego nie pamiętają. Bywaj zdrow.

Miał ochotę podać mi rękę, ale po spojrzeniu na mnie tylko podniósł dłoń do czapki. Wkrótce zapewne opuścił teren Uniwersytetu w tej wędrowce wschodnich plemion na zachód, gdyż więcej go nie zobaczyłem.

Sprawa jednak dla nas się na tym nie skończyła. Pod wieczór udałem się jak zwykle po wodę. Na małym podwóreczku przy szpitalu Św. Rocha cudem zachowała się studnia. W czasie powstania służyła obsłudze szpitala i rannym przywleczonym tu przez pielęgniarzy nocą nawet z kanałów. Przy żelaznej pompie stał jednak wartownik. Na mój widok zerwał karabin z ramienia.

— Odejdź! — wrzasnął z niespodziewanym gniewem. — Nie wolno.

— Co się stało? — spytałem. — Co dzień biorę stąd wodę.

— Nie wolno. — Pogroził mi karabinem. — Rozmawiać z wartownikiem też nie wolno. Nie zbliżaj się.

Po odejściu stałem na dziedzińcu nie bardzo wiedząc, co robić. Trzeba będzie, myślałem, topić wodę ze śniegu i herbata, którą przywiózł w papierku profesor Borowy nabierze obrzydliwego smaku. Dotychczas pita wieczorem przy rozgrzanym piecyku była przyjemnością tak wyszukaną, że niecierpliwie czekało się chwili, kiedy po całym dniu pracy na mrozie można będzie w spokoju rozkoszować się jej aromatem. Żołnierze z przejeżdżających taborów łazili ciągle po całym terenie. Nie usiłowali już zakradać się do Biblioteki, gdyż mało mieli nadziei, że nikogo w niej nie zastaną. Wiadomość tę musieli sobie przekazywać jakimś tajemniczym, im tylko znanym sposobem. Snuli się zatem między budynkami zaglądając z daleka w wybite okna, wykopując czubkiem buta ze śniegu połamane łyżki czy pokrywki od menażek. Wyciągnąłem ze sterty papierów jakąś podartą broszurę, wziąłem z naszego pokoiku blaszankę na wodę i wyszedłem na podwórze. Wkrótce nadszedł jeden z tych zarośniętych woźniców, jacy cały dzień snuli się nie wiedzieć po co między budynkami.



— Przynieś mi wody — zatrzymałem go. — Wiesz, studnia jest za tym domem przy bramie. Dam ci za to całą tę książeczkę z cienkiego papieru do zawijania machorki.

— A sam nie możesz? — zaczął, ale urwał w pół zdania i zaczął mi się przyglądać z rozbudzoną nagle ciekawością.

— Ty z Biblioteki? — upewnił się.

— Z Biblioteki — potwierdziłem.

— Polak?

— Polak.

Obejrzał mnie jeszcze uważnie od stóp do głów i wreszcie po kiwał głową.

— Nie wyglądasz ty człowieku na takiego kogoś, kto by zatruewał studnie — powiedział z politowaniem. — A zresztą, kto cię tam wie. Może i zatruewasz. Po wyglądzie człowieka się nie poznaje, tylko po tym, co robi. Kiedy tak mówią, to mają swoje powody, tylko że nie zawsze prawdziwe. No, dawaj to wiaderko. Moich koni jeszcze nie otrułeś. Poję je już drugi dzień wodą z tej studni i dotąd nic, zdrowe.

Wiadomość, że zostaliśmy w Warszawie, żeby zatruewać studnie szerzyła się między żołnierzami. Nie było to jedyne podejrzenie, jakie na kilkunastu mieszkańcach lewobrzeżnej Warszawy ciążyło w tych pierwszych dniach odzyskanej wolności. Kapitan Stanisławski przed paru dniami, pokazując mi słupy dymu wzbijające się w wielu miejscach zlodowaciałej Warszawy, użalał się przede mną na głupią zawziętość partyzantów, którzy podpalają resztki ocalałych domów, żeby tylko nie dostały się w ręce zwycięzców. Zdziwił się, że nic nie wiem o oddziałach podpalaczy ukrywających się wciąż w ruinach, aby na rozkaz dowódców powstania wzniecać pożary dla budzenia nienawiści do wyzwolicieli. Pogłoski te z wyjątkową bezmyślnością powtarzali w kilka dni później oficerowie kościuszkowców, pełniący różne funkcje kulturalne i dlatego szczególnie starający się w wyglądzie wojskowym upodobnić jeśli nie do Wieniawy, to przynajmniej do księcia Józefa. Te zabiegi ze względu na żalosne przeważnie dyspozycje fizyczne wywoływały efekt komiczny. Robiły wrażenie przebieranek czasami odrażających. W zestawieniu z tymi „dowódcami frontowymi”, obsypanymi mnóstwem gwiazdek na naramiennikach, niezdarzni taboryci uderzali smutnym ale prawdziwym człowieczeństwem.

Mój znajomy przynosił mi wodę jeszcze przez dwa dni i starannie składał w harmonijki cienki papier albo pogniecioną bibułkę, jaką mu przynosiłem. Robił sobie zapasy nie tylko na najbliższe miesiące wojny, ale i na późniejsze czasy po powrocie do ojczyzny. Potem zniknął na zawsze z Uniwersytetu i z mojego życia.

Nie zatarł się jednak w mojej pamięci. Został w niej jako przedstawiciel ludu rosyjskiego, który powiększył o tysiące mogiły pokrywające naszą ziemię. Różnił się on wyraźnie od funkcjonariuszy różnych maści i rang, „doradców” w Urzędach Bezpieczeństwa, w sztabach, w dowództwach pułków, w ministerstwach, w organizacjach politycznych, jacy na swój wschodni wydumany ład upodabniali nasz kraj do własnego. Pewnie, i tacy jak on nie przynieśli nam upragnionego pokoju, jakiego dane było zaznać innym, szczęśliwszym narodom. Na drogach swojego pochodzenia zostawiali dużo krzywd ludzkich, popalonych siedzib, zgwałconych kobiet, rozstrzelanych młodych chłopców, którzy nie bez powodu przyjmowali ich jak najeźdźców. Palili, gwałcili i zabijali. A jednak różnili się znacznie od niemieckich czy rosyjskich wykonawców nowych porządków na świecie. Gwałcili, gdyż korzystali z odwiecznego prawa zdobywców, wzniecali pożary, gdyż rozpraszało to ich ssącą nudę, zabijali, gdyż był to jedyny znany im sposób sprawowania władzy. Nie wywoływali tej zimnej i nieprzejednanej nienawiści, jaką budzą wykonawcy przemocy urzędujący w swoich biurach, komendanturach i więzieniach. Ci prześladowcy bowiem dopuszczają się zdrady cywilizacji, o którą się jednak otarli. Himmler uczył się dziesięciorga przykazań w swojej szkółce niedzielnej, Beria za młodu słuchał pieśni zrodzonych przez starą i szlachetną kulturę. Czy należy taką samą odpowiedzialnością obarczać plemiona z puszczy i stepów dające upust swojej żądzy niszczenia? Można tylko zastępnąć w grozie patrząc, jak w swoim pochodzie palą zboże na pniu, zamieniają pałace w kloaki, plądrują dorodne osiedla, aby je zamienić w rzędy osmalonych kominów i w kikuty czarnych drzew.



Zastanawiałem się nieraz, czemu nie wyciągnąłem ręki, na którą oczekiwał kapitan Stanisławski na pustym dziedzińcu przed Biblioteką Uniwersytecką? Na pewno był głęboko przekonany, że postąpił ze mną uczciwie, a może nawet szlachetnie. Nie dość, że do mnie nie strzelił, co mógł uczynić bez groźniejszych następstw, ale starał się później życzliwie, „po ludzku”, ze mną porozumieć. Nie ukrywał mało chwalebnych powodów swego postępowania. Wprost przeciwnie. Wyznał je z całą otwartością w przeświadczeniu, że obaj jednakowo zdajemy sobie sprawę z faktu, że ludzie należą do istot słabych, a nawet występnych. Wyzbył się nawet męskiego wstydu, żeby mi to powiedzieć. Powinienem być wobec tego odwzajemnić się mu, jeśli nie podobnie bolesnym wyznaniem, to przynajmniej rozważaniami o godnych litości cechach natury ludzkiej. Poczulibyśmy wówczas coś z tego ciepła, jakim obdarzają się więźniowie klepiąc się mocno po ple-

cach. Ja jednak nie spełniłem tych nadziei. Sprawilem mu bolesny zawód. Toteż przed odejściem popatrzył na mnie oczami tak pełnymi urazy, że zapamiętałem je do dzisiaj. Jeśli pod koniec wojny uratował życie i wrócił do swoich nieprzeżytych puszczy na Syberii, to również i on zachował mnie w pamięci z dokładnością, z jaką przechowuje się obraz ludzi, od których się doznało niezastuzonej i niespodziewanej krzywdy. Istotnie, odrzucenie ręki wyciągniętej z prośbą o przebaczenie należy do najokrutniejszych obelg. Nie doznaję jednak wyrzutów sumienia, że się jej dopuściłem. Nie uważam się również za okrutnika. Przyczyny takiego zachowania tłumaczą się prosto.

Od paru dziesiątków lat Europa doznawała takich okropności, jakich nie pamiętała od najazdów tatarskich. Dwa potężne państwa znęcały się naprzód w sposób bezprzykładny nad własnymi obywatelami, aby później po wybuchu wojny przenieść ten system rządów na ludność krajów najechnych. Wtedy już nie cofały się przed żadnym barbarzyństwem. Cywilizacja budowana z trudem przez tysiąclecia została wdeptana w krwawe błoto. Nam los przeznaczył dwa rodzaje niewoli, nie wiadomo która groźniejsza, gdyż obie zmierzały do naszej zagłady. Jedna utrwałała w pamięci na długo obraz paruset dzieci idących ze starym lekarzem, ich opiekunem, do komór gazowych, druga obarczyła tę pamięć krzywdami bohaterów żołnierzy zwabianych w zasadzkę, oskarżanych o czyny haniebne i zawlekanych z zakneblowanymi ustami na szubienicę. Ta druga odbierała ponadto nadzieję, która rozjaśniała przyszłość innym narodom.

W tych warunkach cywilizacja u nas mogła się ratować przed ostateczną klęską tylko w jeden sposób — stawiając sobie najwyższe i najbardziej nieugięte wymagania. One jedynie mogły uchronić nasz kraj od pogrążenia się w dzikości. W tym przekonaniu utrzymywała mnie obecność profesora Wacława Borowego w gmachu, gdzie na wyłamanych drzwiach zawiesiłem wypisany koślawymi literami napis: *Gosudarstwiennaja Uniwersiteckaja Biblioteka*.

Przez kilka tygodni tej mroźnej milczącej zimy uczestniczyłem wraz z profesorem Borowym w wywożeniu z Warszawy tej części zabytków kultury, jakie na podstawie warunków kapitulacji wolno nam było ratować przed zagładą. Stałem więc wspólnie z nim przed świtem na pustym placu w Pruszkowie oczekując na samochód transportowy, jechałem w kilkunastu pod strażą dwóch żandarmów do ruin Warszawy już zupełnie wymarłych, ale straszących ciągle odgłosami strzałów i krzykiem dobijanych, kuliłem się pod plandeką, kiedy nad niezdarną, rozdygotaną ciężarówką zawisł terkoczący kukuruźnik i usiłował przeciąć samochód seria karabinu maszynowego, stałem przy powrocie z pracy z podnie-

sionymi rękami na punkcie kontrolnym obok kościoła na szan-cach Sowińskiego, gdzie piękny Gucio, oficer SS sprawdzał, czy nie przywłaszczylimy sobie czegoś z łupów przeznaczonych dla zwycięzców i zdarzało się również, jeśli nie odrywano mnie do innych zajęć, że mogłem Borowemu pomagać we właściwym naszym zatrudnieniu, czyli dokonywać wyboru książek zasługujących przede wszystkim na ocalenie.

Profesor Borowy posiadał pod tym względem kwalifikacje zupełnie wyjątkowe. I jako znawca kultury światowej o rzadko spotykanej rozległości wiedzy, i jako długoletni kustosz tejże biblioteki obznajmiony jak mało kto z jej zasobami, i może nade wszystko jako w okresie wojennym plenipotent Delegata Rządu dla ustalenia wyrządzonych nam szkód. Mogłem wówczas zdać sobie sprawę, jak surową dyscyplinę narzucał sobie ten szczupły i wątły człowiek o wyglądzie nieporadnego inteligenta. Poczynając od ubrania wszystko wskazywało na jego zupełną nieumiejętność przystosowania się do wojny. Nie brał jej w rachubę w swoich zamierzeniach. Toteż do Pruszkowa, skąd ekipy ratowników wyruszały do miasta palonego i burzonego ulica po ulicy, profesor Borowy przyjeżdżał ze swego podwarszawskiego Zalesia ubrany jak na turystyczną wycieczkę. Nosił giemzowe sznurowane trzewiki, wysokie wzorzyste skarpety, krótkie spodnie cyklis-ty, dwa grube swetry i włóczkową czapkę naciąganą na uszy. W Bibliotece przed przystąpieniem do pracy dodatkowo owijał głowę czarną chustką pożyczoną od żony, a na ręce wciągał trykotowe rękawiczki z obciętymi końcami palców czyli po kresowemu mitenki. Wystawały mu z nich bezkształtne kikuty obłożone żółtą maścią, gdyż obie ręce miał odmrożone. W takim stanie zdrowia szedł do magazynów, gdzie kłębiły się świszczące, szeleszczące, zionące przeraźliwym zimnem i nigdy nie ustające wiatry. Na ośmiu piętrach korytarzy z książkami wszędzie krążyły drobne i kłujące śnieżynki. Przenikały w najbardziej, jakby się zdawało, ukryte zakątki. Architekt budujący ten gmach w XIX wieku wyraźnie zadbał o przewietrzanie książek, które przedłuża ich trwanie. Dzieląc magazyn na osiem pięter nie kładł podłóg, ale zamiast nich umieszczał szyny z lanego żelaza, ciągnące się na całą długość korytarza. Nie starczyło mu wyobraźni w owych latach zadowolonego z siebie mieszczkańskiego optymizmu na wizję przyszłości. Nie umiał dostrzec, i chwała mu za to, niebezpieczeństw zagrażających książkom wcale nie z tej strony, skąd ich oczekiwał. Nie mogło pomieścić mu się w głowie, wypełnionej wzniosłościami postępu, że ich niszczycielami staną się nie żywioły w postaci powietrza, ognia czy wody, ale działający z zimnym i zbrodniczym rozmysłem ludzie. Oglądałem ich, jak dokonywali dzieła zniszczenia. Z pozoru nie różnili się od innych. Przeciwnie. Mogłoby się wydawać, że do korzystania ze zdobyczy

cywilizacji są przygotowani lepiej, niż pozostali. Niestety, to obycie z cywilizacją polegało na umiejętności posługiwania się katalogami dla niszczenia zabytków sztuki i komorami gazowymi dla mordowania matek z dziećmi.

Profesor Borowy w swojej chustce na zbielełej twarzy i swoich mitenkach na odmrożonych rękach siadał na skrzynce w przewiewnym korytarzu i sprawnie, szybko, umiejętnie przeglądał półkę po półce. W niebieskich oczach za grubymi szklami okularów miał bolesne skupienie. Chwilami przezierała z nich rozpacz. — Proszę mi pomóc — mówi, kiedy idąc za jego wskazówką sięgałem po książkę, żeby ją położyć na stertę wiązaną później sznurkiem. — Może panu będzie łatwiej dokonać wyboru. Co uratować? Zdołamy ocalić tak mało...

Co wybrać? Przy tym pytaniu na ledwie widocznej spod chustki twarzy Borowego zjawiało się coś w rodzaju uśmiechu. Uśmiech ten przypominał dziwaczny wyraz twarzy na rzeźbach greckich z epoki, kiedy dla wyrażenia uczucia umiano się posługiwać tylko podniesieniem ust. Taki uśmiechnięty tragizm najbardziej zapewne wyrażał stan ducha intelektualistów uczestniczących świadomie w spełniającej się historii. Świadczył także o umiejętności dokonywania przez nich wyboru. Może dzięki tej ich decyzji jeszcze od czasu do czasu ucujemy się ludźmi. Właśnie wtedy, kiedy uczestniczymy w ich rozterkach.

Istotnie, co należało ocalić, aby przywrócić naszemu krajowi zdolność do odbudowy cywilizacji? Jak najskuteczniej wyleczyć ją z zadanych ran? Wtedy te pytania prowadziły tylko do jednego rozstrzygnięcia: z czego rezygnować dla ratowania rzeczy najpotrzebniejszych? Z inkunabułów łacińskich, greckich, nawet arabskich czy tureckich związanych z naszą historią? Czy z polskich druków XVI-tego, XVII-tego, XVIII-tego wieku, zachowanych ledwie w paru egzemplarzach? Czy z równie już rzadkich książek i broszur, wydawanych w różnych państwach na emigracji i przywożonych do kraju ukradkiem z narażeniem wolności?

Po nagłym przesunięciu się frontu na zachód w pierwszych dniach styczniowej ofensywy znowu spotkaliśmy się w Bibliotece. Ja znalazłem się w niej wcześniej, jeszcze pierwszego dnia ataku, kiedy gwałtowne strzelaniny wybuchały w różnych już odległych dzielnicach miasta. On, trapiiony tym samym niepokojem o losy książek, przyjechał w dwa dni później wynajętą furmanką ze swojego Zalesia. Po krótkim podzieleniu się zdumieniem, jakie to złośliwe żarty los sobie wyprawia z dobrymi zamiarami, zabraliśmy się do porządkowania zbiorów zalegających rozległą sień Biblioteki. Składały się z setek książek, broszur, rycin, rękopisów poznoszonych przez nas przed paroma tygodniami z okolicznych piwnic i schowków. Wtedy układaliśmy je w sterty pod ścianami, ale teraz zaścięłały grubą i skotłowaną warstwą całej hall,

gdyż przeszło przez nie dużo butów żołnierskich. Borowy po dawnemu otulony w kobiecą włóczkową chustkę zasiadał od świtu na tym pobojuwisku kultury i ze zwałów papieru, błota i kału ludzkiego wyciągał sponiewierane cenneści. W ten sposób wy dobył z odległych miejsc parę grubych brulionów z „Dziennikami” Żeromskiego, gdzie podniósł zeszyt z młodzieńczym dramatem tego pisarza. — To zapewne pana zainteresuje — powiedział wyciągając do mnie rękopis — zupełnie nieznaną sztuką. Na nieszczęście urywa się na początku aktu czwartego. Może znajdzie się gdzieś zeszyt z zakończeniem. Poszukam. — Jak wiadomo, ten drugi zeszyt nie odnalazł się nigdy. Zapewne wcale go nie było. Toteż, kiedy po kilku latach niespodziewanie dla samego siebie reżyserowałem ten dramat na scenie, zakończenie dorobił najlepiej widziany z ówczesnych pisarzy, co wywołało namiętne i usprawiedliwione spory. Wzbudziło je nie tyle samo mieszanie się do cudzej twórczości, bo to było raczej pozorem, ile zaniechanie zachowanego we fragmencie pomysłu autora na rzecz zupełnie odmiennej, ale wówczas uprawianej nagminnie, interpretacji klasowej.

Po zapadnięciu zmierzchu chroniliśmy się z Borowym w niewielkim pokoiku przylegającym do sieni. Jeszcze za poprzednich przyjazdów umieściliśmy tam żelazny piecyk wygrzebany spod śniegu gdzieś na Powiślu i teraz korzystaliśmy z jego dobroczynnej opieki. Piecyk trzeszczał i dymił, ale rozgrzewał się niemal do czerwoności i napełniał szybko ten schowek dusznym ciepłem, od którego zwijały się rozrzucone wokół papiery. Zgarniałem te papiery na dwie sterty, wyrównywałem je oprawionymi rocznikami czasopism, jakichś *Kłosów* czy *Tygodnika Ilustrowanego*, nakrywałem płachtami pakowego papieru i w ten sposób sporządzałem nasze legowiska. Borowy jednak nie kładł się nigdy od razu do snu. Siadał na swoim posłaniu, umieszczał na kolanach czasopismo wielkiego formatu i przystępował do pisania.

Żywił przekonanie, że należy za świeżej pamięci zapisać jak najwięcej z tego, czego doznaliśmy. — Nigdy nie wiadomo — rzucił w rozmowie — co się może przydać historii, która będzie się zastanawiać nad straszliwymi zagadkami naszych czasów i może mieć kłopoty z zadaniem, jakie miejsce wyznaczyć człowiekowi na ziemi, aby go nie pozbawić godności. Nie nam przecież rozstrzygać, jaki z faktów nam znanych będzie miał dla tych rozważań wielkie, a jaki małe znaczenie. — Prosił mnie zatem, żebym mu dokładnie i nie lekceważąc szczegółów opowiedział, co działo się na terenie Uniwersytetu w trakcie Powstania. Wejdzie to przecież do dziejów Biblioteki, która się mimo wszystko ostała z głębokimi otworami w murach wywierconymi dla ładunków dynamitu, których nie zdążono umieścić. — Gdyby w przyszłości, ciągle nam nieznaną — rozmyślał — zjawił się u nas pisarz w

rodzaju Conrada czy Tołstoja wzbudzający głęboką powagę i zajął się losami książek, to może zdołałby opisując losy tylko jednej z nich, podniesionej z błota, ukazać ludziom, jacy są naprawdę. Ze wszystkim, co budzi przerażenie, wstyd, ale również i dumę.

Borowy przy pisaniu wykazywał tę samą niezawodną dyscyplinę, jaka go cechowała w całym postępowaniu. Nie dobierał słów, nie szukał dla nich miejsca w zdaniu, nie nasłuchiwał jak układają się w rytm, nie śledził tej ukrytej gdzieś w głębi kądencji, która stanowi o indywidualności autora. Zupełnie o tym nie myślał. Jestem przekonany, że troski, jakich niegdyś doświadczył choćby przy pisaniu „Kamiennych rękawiczek”, uznałby obecnie za małostkowe a nawet gorszące. Czasy były zbyt groźne, żeby zajmować się sobą chociażby przez staranność wypowiedzi. Pisał jednym ciągiem prawie nie odrywając pióra od papieru posłuszny tylko myśli, która znajdowała słowa przystające dokładnie do rzeczy i nie nasuwające wątpliwości. Toteż opowieść toczyła się strona po stronie jak strumień kryształowo czysty. Patrząc na powstawanie tej polszczyzny w sposób tak naturalny w warunkach tak nieprzystosowanych do pisania myślałem o czymś, co określa się słowem wyrażającym głębsze uznanie. Nie brzmi ono patetycznie, jeśli używa się go z umiarem. Nazywa się zaś po prostu bohaterstwem. Ginące państwo dla tej męskiej cnoty na polu bitwy wprowadziło odznakę otoczoną od tej pory najwyższym szacunkiem publicznym. Swoim obrońcom nadawało Krzyż *Virtuti Militari*.



*Virtuti militari...* Jak zwykle, kiedy przenosi się nazwę z obcego języka do języka rodzimego, powstaje dużo odmiennych znaczeń kuszących świeżym sensem. Zatem: odwadze żołnierskiej? Zasłudze orężnej? Cnocie rycerskiej? Męstwu wojennemu? Śmiałości w walce?

Jakkolwiek by się przekładało na język polski nazwę tego odznaczenia, to utarł się zwyczaj, że wyróżniano nim niemal wyłącznie żołnierzy. Rzadko zdarzały się wypadki odznaczania ludzi nie noszących munduru. Oni również jednak podlegali tej zasadzie, która nakazywała brać udział w wojnie rozumianej przede wszystkim jako wiele bitew dających sposobność do wykazania odwagi. Jedynie dowódcy, i to wysokiej rangi, otrzymywali to wyróżnienie również za tę odmianę waleczności, którą można nazwać odwagą myśli czy męstwem decyzji.

Toteż w naszej wyobraźni utrwaliły się obrazy tak powszechnie przyjęte, że stały się stereotypem. Na widok srebrnego krzyża na błękitnej wstążce niemal odruchowo nasuwały się pytania jakby zakodowane w umyśle. — Brał pan udział w straceńczym

szturmie? — Odpierał pan ataki przeważającego wroga na otoczonej pozycji? — Zakradł się pan z małym oddziałem na głębokie tyły nieprzyjaciela i obrzucił granatami kwaterę jego sztabu? — Prowadził pan natarcie idąc na przodzie krokiem spacerowym wśród wybuchających pocisków?

Czasami przy lepszej wiedzy o wojnie nasuwał się również widok sztabowca pochylonego nad mapą ze spokojną rozwagą w chwili, kiedy nadchodzące meldunki zapowiadały nieuchronną klęskę. — A przecież pan do niej nie dopuścił? — zapytujemy poszukując w jego oczach tej pustki, jaka je wówczas wypełniała. — Oczywiście — podpowiadamy sobie odpowiedź. — Otarliśmy się wówczas o śmierć, a może nawet o gorszą od niej hańbę.

Ostatni przykład wykracza już poza utarte wyobrażenia o bohaterstwie, jakie wynieśliśmy z popularnych książek, z obrazów, z filmów wojennych, z powieści uczestników bitew. Zbliża do tego, co robił profesor Borowy, kiedy pisał swoje sprawozdania ze strat, jakie poniosła kultura polska i wiedział, że każda kartka może go zaprowadzić do jednego z tych pokoi na Szucha, gdzie oficerowie ze znakami SS na kołnierzach uprawiali swoje przesłuchania. Ta świadomość nie wpłynęła ani trochę na jasność, rzeczowość, ścisłość, umiar polszczyzny nie ulegającej żadnym uczuciom. W pełni zrozumiałym i usprawiedliwionym. Ani rozpacz, ani mściwości, ani nawet pokusie wyolbrzymienia krzywd. Patrzyłem, jak powstawała ta polszczyzna w warunkach nowego zagrożenia tego wszystkiego, co uznawał za cenne i zadawałem sobie pytanie, czy nie byłoby słuszne uznać za godnego odznaczenia za waleczność również i kogoś, kto jest zdolny wyrażać myśl ze spokojną dbałością o prawdę nawet wtedy, kiedy zawiodły wszystkie nadzieje i ruiny sponiewieranego miasta brali w posiadanie wysłańcy triumfującego barbarzyństwa.

Bohdan KORZENIEWSKI



WYDAWNICTWO KASET VIDEO  
152, rue Saint Maur, 75011 Paris  
tel. (1) 45 81 20 31

### FILMY NA VIDEO-KASETAH

(Czas 50-70 min, cena 50 dol. USA + koszt przesyłki)

#### KULTURA

dzieje Instytutu Literackiego w Paryżu opowiedziane przez jego twórców i współpracowników.

#### KALENDARZ WOJNY

montaż archiwalnych materiałów filmowych dokumentujących okres „wojny polsko-jaruzelskiej”.

#### WZLOT

zapis opartego na poezji Osipa Mandelsztama spektaklu Teatru Ósmego Dnia (kaseca zrealizowana w kraju).

#### CZAPSKI

sylwetka 90-letniego Józefa Czapskiego, związanego z „Kulturą”, malarza i pisarza o niezwykle bogatym życiu.

#### SZPOT

wieczór autorski znakomitego poety-satyryka, Janusza Szpotańskiego.

#### PIWNICA POD BARANAMI

zapis spektaklu znanego kabaretu krakowskiego.

MAGAZYN — nr 1 - czerwiec 1985, nr 2 - wrzesień 1985  
wydarzenia w kraju i na świecie (relacje, reportaże, wywiady).

#### VIDEO-KONTAKT

VIDEO-KONTAKT — przeznaczona dochód ze sprzedaży kaset  
na rozwój kultury niezależnej w Polsce

Sprzedż wysyłkowa kaset w standardzie VHS (PAL-SECAM-NTSC).  
Na specjalne zamówienie wykonujemy kasety w systemie U-MATIC  
(PAL-SECAM-NTSC).

## Imiennik

*Ty, moich liter imienniku  
Oraz imienia zdrobniałego...*

(Witold Wirpsza: „List o sumieniu”)

Kiedy pięć lat temu przyjechałem do Berlina, przyjaciele zaprowadzili mnie na cmentarz Ruhleben (co tłumaczy się: Życie w spoczynku, Spokojne życie), na grób poety-tułacza Arnolda Śluckiego; pomyślałem wtedy, że to miasto nie będzie mi już dalekie, skoro mam w nim, oprócz paru żywych, grób bliskiego człowieka. Jest październik 1985, po długiej przerwie znowu jestem w Berlinie i znajomą drogą jadę do Ruhleben, gdzie mam już dwa bliskie groby, ponieważ przed miesiącem złożono tam drugiego poetę-tułacza, Witolda Wirpszę. „No cóż, we dwóch zawsze różniej — powiedział ktoś w Warszawie — będą sobie gawędzili o wierszach, jakoś czas im zleci do końca świata...”. Teraz dopiero widzę (z cmentarza lepiej widać), jak wiele łączyło tych dwóch niepodobnych do siebie ludzi: nie tylko to samo pokolenie i częściowo analogiczne koleje losu (komunizm, odejście od komunizmu, opuszczenie kraju, śmierć na obczyźnie), ale i — przy wszystkich różnicach wychowania i temperamentu — wzniosłe poetyckie szaleństwo, przynależność do tej samej rodziny nawiedzonych artystów; u Arnolda, z jego płonącymi oczyma i gniewnym gestem proroka, było to widoczniejsze; u Witolda, pojęciowca, opukującego słowa, przewrotnie igrającego znaczeniami — bardziej zatajone; a jednak w jego pozornym racjonalizmie tkwił ten sam poryw ku absolutowi, ta sama nieprzeparata konieczność przekraczania granic „normalności”, która czyni „szalonego poetę” niekomunikatywnym dla innych, nie tyle zresztą literacko, co życiowo. Niekomunikatywność ta obydwu im przy-

sparzała cierpień — i obydwaj (wyjąwszy epizod socrealizmu) nie czynili w swoim pisarstwie nic, co by ją złagodziło. Czy taka egzystencja zawiera w sobie z góry, od początku zaprogramowany i nieodwracalny, wygnaćcy finał? Nie wiem, ale czuję, że nie tylko mnie to wielkie, rozdarte miasto objawiło się odtąd inaczej; tymi dwoma globami berliński cmentarz — w ślad za cmentarzami Paryża, Londynu i paru innych miast Europy — wpisał się w gorzkie dzieje polskiej literatury i polskiego tułactwa, co w tym wypadku znaczy to samo.

Z Witoldem Wirpszą znaleźliśmy się i przyjaźnili od lat bez mała czterdziestu; powinienem jednak zacząć od czasów, kiedy ani znaleźliśmy się, ani znać mogli — od Odessy w grudniu 1918 (pod czyją władzą żyli wtedy mieszkańcy portowego miasta nad Morzem Czarnym? przechodziło wszak z rąk do rąk w tych pełnych zamętu i gwałtu czasach); tu przyszedł na świat Witold, syn parającego się interesami szlachcica ze Żmudzi i pięknej Greczynki; miał bodaj miesiąc, kiedy rodzina wyjechała do Polski, nie mógł więc wiedzieć, że już jest, po raz pierwszy w życiu, wychodząc; Polska zaś, dopiero co odrodzona z porozbiorowego niebytu, była niemal rówieśnicą przyszłego poety... Zatrzymajmy się jeszcze chwilę w Odessie, owym dziwnym mieście, gdzie po wytyczonych przez francuskich architektów bulwarach snuły się jeszcze duchy Mickiewicza i Puszkina w fantazyjnych opończach, rozbrzmiewał perlisty śmiech Karoliny Sobańskiej, turkotały powozy wąsatych mołdawiańskich bojarów, polskich przedsiębiorców i utracjuszy, greccy armatorzy wpatrywali się mrużąc oczy w zamglony morski horyzont... Jeszcze żył i bulgotał ten etniczny kociołek, jeszcze skrzył się dowcipem i składał pieśni, porozumiewał się zaś (odrobinę za głośno) miękkim rosyjsko-ukraińskim dialektem z nalotem grypsery, jeszcze wyrzucał na szarą powierzchnię porewolucyjnego bytowania barwne talenty poetów i narratorów; aż zamilkł, zniwelowany walcem stalinowskich czyszek i wywózek, i hitlerowskiego ludobójstwa, zamilkła „Odessa-mama” i odbarwiła się chyba bezpowrotnie — i kiedy taką odwiedził turysta Wirpsza, nie wiem, czy umiał znaleźć dom, w którym stała jego kolebka. Czy jednak nic w nim nie zostało z t a m t e j Odessy, opuszczonej w niemowlęctwie — po cóż o niej mówię, jeśli nic nie zostało? W jaki sposób jednak miałyby zostać? Otóż wydaje mi się, że — trudnymi do przeniknięcia drogami, zapewne przez dom, przez rodziców i babkę, już nad innym morzem, w Gdańsku i budującej się Gdyni (też na terenach etnicznie mieszanych, których osobliwość miał później tak znakomicie oddać Günter Grass) — Odessa weszła w krew Witolda, określiła istotne elementy jego kulturowego samopoczucia; widowym tego wyrazem były długie fragmenty „Eugeniusza Oniegina” w oryginale, które bezbłędnie wydobywał z pamięci w naszych współ-

nych szczecińskich i warszawskich latach; mniej widowym, za to doniosłym — jego szczerzy „kosmopolityzm”, otwartość na różne kultury, zaciekawienie nimi dochodzące do fascynacji, odporność na wszelką ksenofobię, zamiłowanie do mieszanek kulturowych, wielojęzyczność (prócz polskiego i rosyjskiego, z domu wyniósł niemiecki i francuski, łącznie opanował w gimnazjum). Nastawienie to miało swój aspekt moralny i polityczny: nie godził się na Polskę ciasną, prześladowającą mniejszości, nacjonalistycznie najeżoną przeciw sąsiadom, łaknął szerokiej, wyzbytej szowinizmu, zdolnej do zrozumienia i uszanowania każdego. W 1968 roku para naszych wspólnych przyjaciół, zgnębiona antysemicką nagonką, zdecydowała się na emigrację; w mieszkaniu innego przyjaciela odbywało się ich niewesołe pożegnanie; pamiętam, jak Witold nagle z całej siły trzasnął pięścią w poręcz fotela i poprzez szloch wykrzyknął: nie chcę! nie chcę! nie chcę!... Może w tym właśnie momencie zakiełkowała w nim myśl, że także opuści kraj, którego w takiej postaci nie chce; uczynił to dwa lata później; tamta para, żegnana w 1968 roku, w 1985 przyleciała do Berlina na jego pogrzeb...

Z różnych punktów dochodzę ciągle do tego samego: do emigracji i śmierci, po czym znów skwapliwie zawracam do młodości, do stawania się, do nadziei. A więc jeszcze lata trzydzieste, Witold w Gdyni chodzi do gimnazjum, w domu zaś uczy się muzyki, gra na pianinie, napisze o tym kiedyś:

*Matka moja pierwsza układała mi palce  
Na biało-czarnych klawiszach. I nie trzawe walce  
Młodych podrabiaczy sztuki kształciły mi ucho,  
Ani kiepskie arie, których czczość i suchość  
Z pustką brzęczącą łączy się w efekcie.  
Ja do dzisiaj pamiętam te przedziwne lekcje,  
Na których panowała surowa powaga,  
Asceza — rzekłbym.*

(„Pamiętki rodzinne”, 1953)

To obrazek ostentacyjnie antyromantyczny, a przecież są w ewokowanym czasie wyprawy do Gdańska, w Gdańsku mieszka dziewczynka, której, pięć czy siedmioletni, oznajmił, że ją weźmie za żonę: odepchnęła go z gniewem, lecz co ma być, będzie — narzeczeństwo i jej wierne czekanie przez całą wojnę na żołnierza i jeńca, a potem czterdziści lat wspólnego życia, to będzie, a co jeszcze teraz, pewnie swawole gimnazjalisty, przy całej głębi i powadze swojej inteligencji miał na zawsze zachować chłopięcą figlarność i niepowagę, więc w dzieciństwie tym bardziej, i wreszcie pisze wiersze, jeden z nich pt. „Średniowiecze” (znam jedynie tytuł) ukazał się w 1935 roku w piśmie *Kuźnia Młodych*,

był to debiut siedemnastoletniego poety (w tym samym roku, w tym samym piśmie, debiutował Gustaw Herling-Grudziński). Nie czytałem żadnego z młodzieńczych wierszy Witolda, pierwsze, jakie czytałem, datowane są 1945-1948; nie wiem, w jakiej mierze te najwcześniejsze były „własne”, w jakiej — i od kogo — zależne. Wyobrażam sobie, że mogły się już w nich były objawić pewne cechy jego osobowości poetyckiej, obecne później niezmiennie, choć w zmiennych kombinacjach z innymi, w całej twórczości dorosłej — od, powiedzmy, „Sonaty” (1948) do „Liturgii” (1982): muzyczność (nie melodyjność, lecz poczucie harmonii, muzycznej konstrukcji świata) oraz analityczność, skłonność do budowania wiersza na analizie semantycznej, nieraz wielce zaskakującej, przywołanych pojęć. To, oczywiście, w stosunku do juveniliów Wirpszy jedynie domysł, którego nie mogę sprawdzić. Sądzę zresztą, że uczeń-debiutant nie uważał pisania wierszy za zajęcie, któremu poświęci życie. Po maturze podjął studia prawnicze na Uniwersytecie Warszawskim i pianistyczne w Szkole im. Fryderyka Chopina, u profesora Żurawlewa. Oba te kierunki odzwierciedlały przecież wspomniane cechy jego osobowości, tylko że rozdzielone, podczas gdy w poezji zespały się w jedno.

Był blisko ukończenia jednych i drugich studiów, ale nie dane mu było uwieńczyć ich dyplomami. We wrześniu 1939 roku chorąży artylerii Wirpsza bronił Oksywiu, dostał się do niewoli, uciekł, złapano go i osadzono w Oflagu, najpierw Neubrandenburg, następnie Grossborn. Tu spędził prawie całą wojnę; dopiero pod jej koniec, wyzwolony przez ofensywę ze wschodu, awansowany, pomaszkuje z nowym wojskiem, już nie artylerzysta, lecz redaktor frontowych gazet, szlakiem ostatnich szturmów na rozpadające się twierdze Rzeszy.

Oflag był stosunkowo łagodną formą niewoli, co nie znaczy, że jakkolwiek forma niewoli jest do zniesienia; niemniej, istniała tam możliwość lektur, samokształcenia, własnej pracy pisarskiej; zeszyty z notatkami i szkicami Witolda, jeszcze przed jego powrotem z wojny, przywiózł do Krakowa Leon Kruczkowski (pojawienie się w tej roli autora „Kordiana i chama” sygnalizuje, że Wirpsza w obozie wszedł w pewną zażyłość z ludźmi przedwojennej lewicy). Wątki obozowe pojawiały się potem niejednokrotnie w twórczości Wirpszy, m.in. w powieści „Pomarańcze na drutach” (1964), a także w niewydanej po dziś dzień, jedynie we fragmentach drukowanej w *Zapisie* (nr 7, 1978), powieści „Sama niewinność” (1974). Bohater książki, postarzały i chory eks-dygnitarz partyjny, dyktujący swoje wspomnienia młodej „pannie Dorocie” (w tej sytuacji zmyślonej przez pisarza można dopatrzeć się nieomal antycypacji rozmów Teresy Torafińskiej z Ochabem, Kłossiewiczem i resztą, znanych z *best-seller'a* 1985 pt. „Oni”), stwierdza m.in.: „od kiedy dostałem się do niewoli...

nigdy już z niewoli się nie wydostałem”. I dalej: „Wejście w niewolę, to zrazu wejście w mrowisko... Mówię o obozie oficerskim, (gdzie) ... każdy uczestniczy w mrowieniu się; nic innego mu nie pozostaje, jak tylko bezcelowy ruch i nieuzasadnione podniecenie”. I jeszcze: „Wejście w niewolę to także i wejście w ścieśnienie. Natrętna fizyczna bliskość wszystkich stwarzała konieczność nieustannego ustępowania drugiemu, zawierania co chwilę kompromisów. Otóż, widzi pani: przymus kompromisu stanowi nieodłączną cechę stanu zniewolonego; i ten przymus właśnie ciąży na mnie po dziś dzień”. Istotna rola wątku obozowego w „Samej niewinności” polega jednak nie na tych obserwacjach ogólnych, lecz na intrydze: to w oflagu bohater zostaje zaszantażowany, wciągnięty do podziemnej organizacji komunistycznej i zmuszony do pierwszych łajdactw wobec współtowarzyszy, co będzie miało konsekwencje dla jego dalszego życia. Nie należy się dopatrywać autobiografii pisarza w przygodach i czynach bohatera, starszego o dziesięć lat (rocznik 1908) i o całkiem innych kolejach życia. Ale możliwość ich domyslenia się i zinterpretowania zawdzięcza autor między innymi swoistemu przecięciu własnej linii życia z linią „Drzewieckiego-Malinowskiego” ze swojej powieści; przecięcie to nastąpiło (po raz pierwszy, bo potem były i inne) w oflagu.

Po powrocie z wojny Witold Wirpsza ze świeżo poślubioną małżonką (znaną później tłumaczką Marią Kurecką) mieszkał jakiś czas w Krakowie, tu urodził im się syn Aleksander (który miał po latach, jako poeta i krytyk, przybrać pseudonim Leszka Szarugi), na krótko przenieśli się do Warszawy (Witek pracował w redakcji *Żołnierza Polskiego*), a w roku 1947 — do Szczecina, gdzie został kierownikiem Wojewódzkiego Wydziału Kultury (Bóg raczy wiedzieć, jak sobie radził z tą biurokratyczną funkcją; ale i to nie trwało zbyt długo). Poznałem go jesienią 1946, na zjeździe młodych pisarzy w gmachu Sejmu; siedział na prawicy, z Bratnym, Zalewskim, Borowskim, Piórkowskim, którzy redagowali byli wówczas *Pokolenie*, pismo poakowskie, z ukrycia sterowane przez partię, co nie było całkowicie jasne dla nas, młodych „czerwonych” z ZMW — i sądzą, że dla części redakcji także. Wirpsza paradował jeszcze w mundurze. Potem był z żoną w styczniu 1948 na nieborowskim seminarium młodych pisarzy, znanym z tego, że doszło na nim do wyszydzenia przez „młodych” (już nie tak boczących się na siebie wzajem) starszych mentorów z *Kuźnicy*; prym wodził Różewicz, ale sekundowaliśmy mu wszyscy, wydając m.in. gazetkę z parodiami. Pociągała nas w tym momencie „walka pokoleń”, ale przynależność do starszego lub młodszego była także kwestią wyboru: Paweł Hertz i Witold Wirpsza byli metrykalnie rówieśnikami, ale pierwszy szlusował do pokolenia starszego o piętnaście lat Jastruna, drugi — do na-

szego, które obejmowało i młodszego o pięć lat Brauna, i o dziewięć mnie. Do problemu pokolenia wypadnie wrócić.

W grudniu 1948, tuż po Bożym Narodzeniu, pierwszy raz w życiu znalazłem się w Szczecinie, redakcja *Głosu Szczecińskiego* sprowadziła mnie na wieczór autorski, i w redakcji właśnie spotkałem Witka, był w wyświechtanym czarnym paletku, cały promieniał: „urodziła mi się córka!”, i w nagłym odruchu serdeczności rzuciliśmy się sobie w ramiona. Ten moment uważam za początek naszej przyjaźni.

Podczas tego pobytu w Szczecinie Wirpszowie namówili mnie bez trudu, żebym się tam sprowadził (półtora roku wcześniej przenieśliśmy się z Łodzi do Warszawy; wszyscy byliśmy wtedy koczownikami). Wczesną wiosną znaleźliśmy się z żoną (była w ciąży, jesienią miał przyjść na świat nasz pierworodny) w środku nierealnej, jak na owe czasy, idylli, którą w swoich włościach próbował stworzyć literatom snobistyczny wojewoda Borkowicz. Mieszkaliśmy w willowej dzielnicy Głębokie, nad jeziorem o tej samej nazwie, my i Wirpszowie naprzeciwko siebie, po dwóch stronach ulicy Pogodnej, Andrzejewscy parę kroków dalej przy tej samej ulicy, Osmańczykowie jeszcze odrobinę dalej, a Gałczyński w innej części miasta, w dużym domu, który niebawem porzucili, przenosząc się do Warszawy. Wszyscy mieliśmy z czasem porzucić nasz Disneyland, ja już po kilkunastu miesiącach, Wirpsza w roku 1956, ale tymczasem stanowiliśmy grono dziwnych azylantów, z jednej strony żarliwie eksponujących swój komunizm, z drugiej — żyjących w znacznym oderwaniu od jego powszednich praw i realiów, a więc przede wszystkim bez przytłoczenia najbardziej gnębiącą ludzi w tym ustroju kwestią mieszkaniową, a ponadto w ogóle bez „ścieśnienia”, na luzie, we własnym środowisku, oddając się literaturze, muzyce, życiu rodzinnemu, świętowaniu, dysputowaniu. Przyjeżdżali koledzy z Warszawy i Krakowa: do Wirpszów — Różewicz, do nas — między innymi Andrzej Braun i matematyk Ryszard Herczyński, z którym później Wirpsza wspólnie pisał sztukę, nie wiem, czy doprowadzoną do końca (to się działo już w latach 60-tych, w leśniczówce na Św. Katarzynie). Na wieczór autorski do Klubu 13 Muz zjechał Miłosz (latem 1949? 1950?), był u Andrzejewskich, Wirpszów i u nas (na imieninach mojej żony, 24 czerwca), mieszkania się zmieniały, ale w każdym z nich i w trakcie przechodzenia z jednego do drugiego ciągnęła się dyskusja o poezji pomiędzy Wirpszą i Miłoszem, którą niezbyt dobrze — muszę wyznać — chwytalem. Nie pamiętam, czy było to już po „Traktacie polemicznym” — odpowiedzi Wirpszy na „Traktat moralny” Miłosza, ogłoszonej w *Twórczości*, ale chyba tak. Sceptycyzmowi i pesymizmowi egzystencjalnemu Miłosza polemista przeciwstawiał optymizm „milionów serc ludzi walczących o ocalenie” czyli komu-

nistyczną wizję zwycięskiej w skali globu „walki klas” (to hasło, a jakże, pada w poemacie, jak i w wielu innych utworach Wirpszy z tych lat). Cóż, taka argumentacja nie była mi obca; rozmowy z Miłoszem musiało wszakże cechować większe wyrafinowanie.

W tym to czasie Wirpsza, jak i Andrzejewski, wstąpił do partii (ja należałem do niej już od roku 1945). Wiersz pt. „Rozmowa z sekretarzem”, dedykowany A. Sz. (chodzi o Aleksandra Szaniawskiego, Polaka z Leningradu, który został sekretarzem KW w Szczecinie) i datowany „Marzec 1949”, poeta zaczynał oświadczeniem:

*Z daleka, z daleka do łądu Partii  
Dopytywała moja tódka niedębowa —  
Lecz wiosta me przecież były już coś warte.*

Kończył zaś:

*Owionęło mnie ranne powietrze  
I poczułem,  
Że wiostom moim dodano ster.*

Po wielu latach sięgając na nowo do wierszy Witolda z tego okresu, czytam je z przykrością i niedowierzaniem. (Pewnie z równą przykrością i niedowierzaniem czytałbym własne równoległe pisane, ale do nich nie muszę sięgać, wyręczą mnie inni). Daruję sobie dalsze cytaty. Ogólnie biorąc, były to prymitywne, zarówno myślowo, jak wersyfikatorsko, deklaracje Nowej Wiary: z rymów tych wyzierał świat podzielony na stare Zło i nowe, ekspansywne, promienne Dobro — wszystko miało ilustrować ten podział, układać się w schematy „walki klas”, zmagania pomiędzy skazanym na zagładę, ale nie pogodzonym z tym, więc kłusującym wiarołomnie i atakującym z za węgla Starym Światem, a wspaniałym, budującym domy, sprawiedliwym, pełnym miłości do człowieka, zespolonym międzynarodową solidarnością ludzi pracy, Światem Nowym; rzeczą poety było stanięcie w tej walce po słusznej stronie, pisanie dla towarzyszy zwycięskiej walki („Czyim byłęś poetą? Bo nie tych, co odbudowali Nowy Świat i kolonie pracownicze na Żoliborzu” — wyrzucał Wirpsza Miłoszowi w „Traktacie polemicznym”; nowy Świat oznacza w tym kontekście warszawską ulicę, ale nie tylko), dodawanie im natchnienia przez nieustanne uprzytamnianie szlachetności własnej strony i łotrstwa strony przeciwnej. Warsztatowo — widać tu wymieszanie prostych chwytów agitacyjnej poezji ze wspólnych zasobów, ze szczególnieym może udziałem wzorca brechtowskiego (okropne poemacidlą Brechta „Pochód nie w porę czyli Freiheit und Demokratie” oraz „Czaganak Biersijew czyli uprawa prosa” Witold pieczołowicie przełożył).



Rezygnuję z roztrząsania w tym miejscu, jak to się stało, że tyłu z nas uwierzyło, przyjęło za swoją komunistyczną wizję historii i perspektyw świata, podporządkowało jej swoje myślenie i poczucie moralne, i poryw twórczy. Można by o tym nieskończenie... W rozmowie z Jackiem Trznadlem, ogłoszonej w warszawskim miesięczniku *Kultura Niezależna* (nr 6 z lutego 1985), odsyłając do swojej wcześniejszej wypowiedzi w *Kulturze* paryskiej, Wirpsza dorzucił teraz takie motywacje: po pierwsze, wyganianie diabła Belzebubem — „nie zorientowano się, że Belzebub jest prawdopodobnie gorszy od diabła... ja też uważałem, że czegoś gorszego od hitleryzmu być nie może”; dalej, to co Miłosz nazywał „ukąszeniem heglowskim”, lewicowe zradyzalizowanie inteligencji polskiej podczas wojny; wreszcie „trzeci element, element stadności, która się raptem obudziła we wszystkich”.

Nie wiem, czy z „ukąszeniem heglowskim” wiąże się samopoczucie, jakie Witold Wirpsza objawił w brzmiącym dużo autentyczniej niż niektóre późniejsze wiersze poemacie „Sonata” (1948):

*Trudno mi, jeśli mam umysł ciągle gotowy  
na przyjęcie sonaty mozartowskiej, uszczelnić  
w sobie wiek dwudziesty, tak jak się zamyka  
puszkę konserw rybnych. Fala dźwięków  
zbliża do siebie stulecia swą prawidłowością  
i każe się wzruszać gałązką jaśminu,  
podobnie jak wzruszali się nią hrabiowie  
przed rewolucją francuską i synowie kupców przed epoką  
współczesnych morderców. Temat muzyczny urzeka mnie,  
jakby w ciągu ostatnich dwudziestu lat  
nikogo w Europie nie zamordowano.  
Wiem, że czynię niedobrze tak myśląc. Wybaczenie mi  
synowie spalonych, których proch jak róża wiatrów  
znaczy cztery strony świata. Wybaczenie mi  
matki i siostry, żony i ojcowie: wasz ból  
powinien uczynić zdanie muzyczne o jeden stopień  
mniej pięknym. Wybaczenie mi wreszcie  
żołnierze i robotnicy zwycięstwa, gdyż na waszą cześć  
nie napisano jeszcze muzyki nowej,  
którą powinienem się zachwycać...*

Ten piękny poemat mówi o nieczystym sumieniu inteligenta, estety, artysty, któremu anachroniczne i niemoralne wydaje się — w obliczu powszechnego uciemnienia, wojny i holocaustu — własne upodobanie do dawnej sztuki, do harmonii nie dającej się wprost przełożyć na język zmagania i cierpień ludzkich; wsty-

dzi się tego, czuje się winny niesolidarności ze „zwykłymi ludźmi”, chce zmazać rzekomą winę spektakularnym gestem zespolenia z tłumem, a k e s u ; wprawdzie w finale poematu narrator udziela sobie jeszcze pod jakimiś tam warunkami zezwolenia na rozkoszowanie się Mozartem, ale już wnet nie odważy się prezentować odbiorcom swoich podejrzanych klasowo przeżyć... Poczucie winy wobec „ludu”, nieczyste sumienie inteligenta — znamy je wszak nie tylko w rodzimym wariante, ale i w historycznym rosyjskim, i nowoczesnym zachodnioeuropejskim — ile zła i nieszczęść zdążyło już przynieść, ile namieszać w świecie! Z gromadką pisarzy polskich, powiedzmy, z częścią tej gromadki, do której należał Wirpsza, obeszło się w końcu stonkowo łagodnie, przyczyniając się do zrujnowania zaledwie fragmentu ich biografii twórczej, zaledwie na kilka lat czyniąc ich niszczycielami własnego talentu i niewybaczalnie naiwnymi, fałszywymi świadkami rzeczywistości społecznej.

Przejdźmy do „stadności”. Czy można o niej w ogóle mówić, skoro — jeśli mają słuszość rozmaite publicystyczne prezentacje tamtych czasów — cały naród był przeciw, a jedynie garstka wyobcowanych inteligentów, powodując się zgoła nie pocziwywymi intencjami, opowiedziała się za czerwonymi? Prawda jest taka, że ani nie była to — w każdym razie w naszym pokoleniu — garstka, ani nie przeważali w niej inteligenci. Kiedy przypatruję się dzisiaj dość sporej grupie niemłodych Polaków, popierających „normalizację”, to w jej trzonie dostrzegam, niestety, entuzjastycznych ZWM-owców i ZMP-owców pierwszego dziesięciolecia PRL, oczywiście, że dawno wygaszonych wewnątrznie, konformistycznych, bardziej wiernych niż wierzących, ale tacy przecież nie byli trzydzieści pięć i czterdzieści lat temu, coś ich wtedy porwało, coś uskrzydliło. I z drugiej strony: w 1982 roku, w obozach internowania, a w szczególności w Darłówku, gdzie spotkaliśmy wielu starszych ludzi z prowincji, radykalnych solidarnościowców („ekstremę”), po części KPN-owców, i przeważnie bynajmniej nie inteligentów, prowadziłem wiele rozmów i spisywałem życiorysy kolegów. Otóż niemal co drugi okazywał się ekspartyjniakiem lub „młodzieżowcem” pierwszego dziesięciolecia. Ludzie ci mieli widać wpisane w horoskop, w swoją determinantę psychologiczną, przyszłe rozczarowanie, bunt — i zderzenie z machiną, którą, nie wiedząc co czynią, sami rozkręcali za młodu. Ale była ta młodość, to zapatrzenie, to odurzenie — i była również „stadność”, o której w rozmowie z Trznadlem wspomina Wirpsza, to znaczy poczucie, że koledzy już tam są, zrobili ten krok, chcą ich dogonić, razem śpiewać i maszerować, gardłować na zebraniach i „budować nowy świat”. I — wróćmy do młodych literatów — przeświadczenie, że tam są ich rówieśnicy-robociarze, stoją na rusztowaniach i przy maszynach, budują

i „walczą”, że trzeba być z nimi, że zgłaszając akces do tej rzeczywistości, do „walki klas”, będzie się z nimi naprawdę, pośpiech więc, żeby nie zostać poza wspólnotą, wykonać ten gest, potem serię gestów, no właśnie, stadność. Kiedy Wirpsza się deklarował „na lewicy”, byli tam już lub przechodzili na tę stronę — spośród młodych pisarzy polskich — Bratny i Broszkiewicz, Bocheński i Buczkówna, Różewicz i Miller, Braun i Piórkowski, Karłowicz i Słucki, Szymborska i Kamińska, Gruszczyński i Ficowski, Borowski i Kołakowski, Wilhelm Mach i Wanda Leopold, Konwicki i Kubiak, Zalewski i Czeszko, Drewnowski i Budrecki, Maria Janion i Julia Hartwig, Ewa Fiszer i Adam Włodek, i ja także, i wielu innych. Prawie wszyscy z tu wymienionych, jeżeli żyją, są dziś gdzie indziej, ale wtedy byli tam, nie wszyscy formalnie w partii, ale wszyscy w obrębie lansowanych przez nią pojęć, wszyscy, choć w nierównym stopniu, „zaangażowani”, „uczestniczący”, „obecni”. Ówczesne poczucie przynależności pokoleniowej polegało i na tym, że wszyscy (tak nam się zdawało) jesteśmy tu — i dlatego właśnie Witold Wirpsza czuł się członkiem tego, a nie innego pokolenia, że chciał być tu razem z nami (również w starszych od nas generacjach nastąpiły wówczas liczne akcesy do komunizmu, ale wydawały nam się zbyt chłodne, powierzchowne, niepełne, małostkowo przywiązane do starych poetyk — tylko w sobie widzieliśmy „prawdziwych rewolucjonistów”), chciał należeć, i należał!, do wspólnoty tyleż przyjacielskiej, co ideowej, przeżywając z nami karkołomną i dwuznaczną, jak się miało okazać, przygodę pokoleniową. Tkwił w tym jednak paradoks, że on, ze swoją muzycznością i analitycznością, najbardziej z nas wykształcony, o wybitnie skomplikowanej psychice, zadał sobie skuteczny trud, żeby dorównać normie literackiej okresu — poetyckiemu prostactwu, które młodszym od niego, choćby mnie, było zwyczajnie dane w początkach drogi.

Po niezbyt zaś długim czasie zaczęła się druga nasza przygoda pokoleniowa — „zdrada ideałów”, odejście od komunizmu. Witold z satysfakcją wspominał później, że jako jeden z pierwszych ogłosił utwór, sygnalizujący owo przetarcie oczu, dedykowany mnie i drukowany w *Nowej Kulturze*. Dedykacja oznaczała, że wiersz zawiera echo naszych rozmów z owego lata, kiedy z żoną i dzieckiem spędziliśmy kilka dni na Głębokim, już nie jako mieszkańcy zielonej dzielnicy na peryferiach Szczecina, lecz wakacyjni rezydenci w gościnnym domu Wirpszów. Rozmowy były pełne goryczy i niepokoju, ja wniosłem do nich rozczarowanie „pierwszym krajem socjalizmu” (byłem świeżo po sezonie w Moskwie, z tzw. sprawą lekarzy, pogrzebem Stalina, zlikwidowaniem Berii, ale nade wszystko — z miesiącami życia wśród „ludzi radzieckich”, szokującej obserwacji ich specyficznych zachowań i pojęć), Witek — wrażliwość na coraz widoczniejsze

zakłamanie i płaskość zorganizowanego życia literackiego w Polsce, nietwórczy charakter wymaganej przez partię i rzeczywiście uprawianej twórczości. Chyba wtedy też po raz pierwszy przeczytaliśmy kilka numerów przywiezionej przez kogoś z Zachodu paryskiej *Kultury*; jeden z nich, bardzo gruby, zawierał w całości powieść Koestlera „Ciemność w południe”. Zwątpienie rosło; ale chyba jeszcze cofaliśmy się przed oskarżeniem systemu; i nie oskarża go „List o sumieniu”, cały gniewny impet kierując przeciwko jakimś „im”, którzy:

*Mówią, że mur składa się z cegieł  
I mają rację, chociaż kłamią.  
Mówią: staje nowa Warszawa,  
I mają rację, chociaż kłamią,  
Mówią: budujemy socjalizm,  
I mają rację, chociaż kłamią.*

*.....  
To oni wmawiają: można wyrazić  
Człowieka — formułką matematyczną  
I obliczyć: trzy razy cztery będzie  
Nienawiść klasowa, dwa razy cztery —  
Miłość, zaś dwa razy dwa — bohaterstwo.*

*.....  
Myśli swoje,  
Uczucia, wyobraźnię nauczyli  
Czołgania się; pełzają w tej szczelinie,  
Którą brzuchami wydrążyli w próżni.  
Każdego katechizmu nauczą się  
Na pamięć!  
Odebrać im katechizmy! —  
Wtedy dopiero rozpłaszczą się w nicość.*

W naszych rozmowach „oni” nie byli anonimami; nazywali się Berman, Putrament, Janina Broniewska, Hoffman, Ważyk; w wierszu doczekali się uogólnienia i to było jego siłą; ale uogólnienie zatrzymało się przed progiem nadal wyznawanej (uporczywie czy rozpaczliwie?) komunistycznej utopii i „generalnej linii Partii Robotniczej” — i to było jego słabością; podobna słabość jeszcze przez parę lat będzie widoczna w coraz bardziej demaskatorskiej i praktycznie burzycielskiej w stosunku do panującego ładu liryce społecznej już nie tylko Witolda Wirpszy i nie tylko naszego pokolenia, ale wypowiadających „im” postulatów autorów różnych pokoleń. Kulminacją tej narastającej fali poetyckiego sprzeciwu stał się „Poemat dla dorosłych” (1955) Adama Ważyka, który właśnie przestawał być jednym z „nich” i w niezbyt dalekiej przyszłości miał wraz z całą grupą „Europy” (Andrzejewski, Jastrun, Kott, Hertz, Żuławski) definitywnie roz-

stać się z partią. Mało kto zauważył, że — przypadkiem czy nie — w istotnych fragmentach „Poematu dla dorosłych” słycać intonacje wcześniejszego o dwa lata „Listu o sumieniu”.

W roku 1956, kilka miesięcy przed tzw. Polskim Październikiem Eligiusz Lasota, znajomy ze Szczecina (gdzie był komendantem chorągwi harcerskiej), obecnie redaktor naczelny wojowniczego *Po prostu*, ściągnął Wirpszę do Warszawy. Mniej więcej w tym samym czasie i ja wróciłem do Warszawy — oraz do redakcji *Nowej Kultury*. W zabawny sposób powtórzyły się układy sąsiedzkie sprzed niewielu lat: Wirpszowie mieszkali na Świerczewskiego (dawnym Lesznie) koło Sądów, my — na tyłach Sądów, na Ogrodowej. Mogliśmy chodzić do siebie podwórkami. Nasze redakcje z kolei mieściły się naprzeciwko siebie na Wiejskiej. Widywaliśmy się niemal codziennie, jak nie rano w jednej lub drugiej redakcji, to wieczorem w jednym lub drugim domu; a mówić było o czym, tyle się działo dokoła, uczestniczyliśmy w tym, znowu czymś pociągnięci, z czymś solidarni — tym razem z wielką przemianą, „demokratyzacją”, wyrównaniem krzywd i zniweczeniem absurdów nie dość rozumnego i ludzkiego socjalizmu (ciągle wierzyliśmy, że możliwy jest rozumniejszy i bardziej ludzki). Pisywaliśmy w tym okresie więcej artykułów niż wierszy; dyskutowaliśmy i fantazjowaliśmy do upadłego; układaliśmy plany; nasłuchiowaliśmy wieści o walkach wewnątrzpartyjnych i braliśmy stronę „liberałów” przeciw „zamordystom”; i potykając się z nieco onieśmieloną cenzurą, redagowaliśmy swoje gazety z coraz zuchwalszą wiarą w „zwycięstwo”. Nastąpił październik; chodziliśmy na wiece, przesiadywaliśmy w redakcji, prawie nie bywaliśmy w domu, a pamiętam i taki moment, kiedy rozeszła się wieść o listach proskrypcyjnych i Witek nie nocował u siebie — a potem triumf, przyjazd i odjazd gości moskiewskich, manifestujące tłumy, Gomułka na trybunie... I zaraz — Węgry, gorycz, powszedniość szarzejąca z powrotem, rozmywanie się Października, coraz sroższa cenzura, aktywna wrogość ze strony partii wobec „pismaków”, pogardliwy grymas Gomułka, likwidacja *Po prostu*, bitwa milicji ze studentami... Dwóch ludzi z zamkniętego *Po prostu* udało nam się przyjąć do *Nowej Kultury* — malarza Marka Oberländera wraz z urządzanymi przez niego wystawami, które odtąd miały się nazywać Salonem *Nowej Kultury* — i Witolda Wirpszę. Był z niego w piśmie pożytek, nie tylko jako z uczestnika wspólnych roztrząsań, ale z chętnego i sprawnego pióra, chociaż niektórzy narzekali, że trudno go czasem zrozumieć. A partia kontynuowała swoją ofensywę — i niebawem nadeszła pora, żeby i nas rozpędzić, jednakże nie z tak jawną brutalnością jak *Po prostu*, tylko przez zmianę redaktora naczelnego i narzucenie rozhukanemu zespołowi „linii partyjnej”. Operacji towarzyszyły, oprócz intryg zakulisowych, w które dała się wciągnąć

nąć część członków redakcji, na czele z Andrzejem Wasilewskim i K. T. Toeplitzem, zebrania w KC, na których zapoznawano nas, w obecności zwołanego „aktywu”, z partyjną oceną licznych błędów i odchyłek *Nowej Kultury*. Na ostatnim zebraniu, z miążdżącym referatem Andrzeja Werblana (ukazał się później drukiem, polecam tę lekturę badaczom polityki kulturalnej partii), zakomunikowano nam, że redaktorem naczelnym będzie Stefan Żółkiewski, pełniący jednocześnie funkcje ministra Szkolnictwa Wyższego i parę innych. Rzecz działa się w maju 1958. Nie pamiętam, czy na tym zebraniu, czy na poprzednim Wirpsza wygłosił obrazoburczą mowę na temat nieuchronnej sprzeczności interesów pomiędzy twórcą a władzą; pamiętam osłupiały wzrok aktywistów — spoglądali na niego jak na wariata, a któryś wyznał później, że czekał z zapartym tchem na wpadnięcie siepaczy, którzy powloką do lochu skutego poetę... Późnym wieczorem wracaliśmy we dwójkę z KC; szliśmy piechotą przez Nowy Świat, Krakowskie Przedmieście, Plac Teatralny, nie było nam wesoło na duszy, rozumieliśmy, że coś się w naszym życiu skończyło, a na Elektoralnej zniecka lunęło, szliśmy w strugach deszczu, lecz o dziwo, ulewa nie wzmogła naszego przygnębienia, odwrotnie, zmyła z nas zmęczenie i tę jakąś obrzydliwość, która nas oblepiała, pobiegliśmy przed siebie i po chwili pożegnaliśmy się na rogu Solnej i Ogrodowej: do jutra. Nazajutrz ośmiu członków dotychczasowego zespołu *Nowej Kultury* złożyło wypowiedzenie, byli to: Marian Brandys, Leszek Kołakowski, Tadeusz Konwicki, Wilhelm Mach, Jerzy Piórkowski, Aleksander Ścibor-Rylski, Witold Wirpsza i Wiktor Woroszyński. Kilku naszych przyjaciół próbowało, kierując się „rozsądkiem”, zostać w spacyfikowanej redakcji — odeszli, nie mogąc wytrzymać lub zostali wyrzuceni jakiś czas potem. Jeśli o nas chodzi, rychło przyszła świadomość, że nie tylko coś utraciliśmy, ale i zyskaliśmy. Był to jeden z kroków ku wyzwoleniu, za nim miały przyjść następne, ale wewnętrznie już byliśmy prawie wolni.

Co ta wolność oznaczała dla Witolda Wirpszy jako twórcy? Oznaczała po prostu twórczość — obfitą, nieskrępowaną, bujną. W okresie życia, który teraz nastąpił, a zwłaszcza w jego pierwszej połowie, mniej było dramatycznych wydarzeń (koniec okresu miał znowu być gwałtowniejszy), więcej — żmudnej codziennej pracy i, jakby monotonna równina dni spędzonych przy biurku była najdogodniejszym polem startowym, wlotów poetyckiego natchnienia; gipsowy pancerz socrealizmu z dnia na dzień skruszył się i opadł z pisarza, i ponad jego zdeptanymi szczałkami Witoldowi udało się nawiązać do zamysłów młodości, przerzucić łuk pomiędzy dwiema swobodami, tą młodą (choć w niewoli, ale nie duchowej) i tą dojrzałą. Z perspektywy zamkniętego już życia pisarza widać, że warszawskie dwunastolecie 1958-

1970 było jego kulminacją, było czasem wielkiego owocowania. W okresie ogarniętym tymi datami Wirpsza ogłosił sześć wybitnych, choć niełatwych w odbiorze tomów poezji: „Mały gatunek” (1960), „Don Juan” (1960), „Komentarze do fotografii” (1962), „Drugi opór” (1965), „Przesady” (1966), „Traktat skłamanym” (1968), dwie powieści: „Pomarańcze na drutach” (1964) i „Wagary” (1970), dwie sztuki: „Tantal” i „Kreator”, tom esejów „Gra znaczeń” (1965), wreszcie liczne prace translatorskie, z czego najbardziej zasłynął dokonany wspólnie z Marią Kurecką przekład „Doktora Faustusa” Tomasza Manna. W roku 1968 ukończony został po latach pracy wielki poemat, właściwie epos, „Faeton”, który po dzień dzisiejszy nie doczekał się publikacji; w latach 1969-1970 Wirpsza pracował nad księgą esejistyczną „Polaku, kim jesteś?”; i zapewne nie wszystkie to zajęcia, które wypełniały ów okres.

Nie jest moim zadaniem uczony rozbiór poezji i prozy przyjaciela; nie czuję się do tego powołany; towarzyszy mi zresztą przeświadczenie, że prędzej czy później zajmą się tym badacze literatury, napiszą o Wirpszy rozprawy i całe książki. Ja — przy ponownej lekturze wymienionych tomików (już z innymi uczuciami niż tych z lat 1949-1956) — pragnę jedynie podążać niektórymi tropami odzyskanej przez poetę wolności; powiedziałem o niej przed chwilą, że oznaczała po prostu twórczość, a teraz dodam, że oznaczała bezinteresowność lub spontaniczność, oznaczała z a b a w e. Wyrzekając się z ulgą rzekomej służby społecznej okresu socrealizmu, Wirpsza poczuł się uwolniony od służebności swojego dzieła w ogóle — zarówno w treści, która nie miała odtąd nawiązywać do jakichkolwiek sytuacji w obrębie ściągających się grup, warstw, narodów, a także do idei, hasł politycznych, doktrynalnych systemów, jak w formie, abstrahującej od kryterium komunikatywności, ignorującej potrzeby emocjonalne i przyzwyczajenia estetyczne odbiorców. Jedynym prawem tej twórczości miało stać się widzimisię autora, jego słuch, jego kojarzenie pojęć i bawienie się tym wszystkim w otaczającym świecie, czym potrafił i miał ochotę się bawić — nie zważając, czy w zabawach poety potrafił i miał ochotę uczestniczyć ktoś jeszcze.

W esejju „Gra znaczeń” z książki pod tym samym tytułem pisarz zastrzega się, że byłoby mu przykro, gdyby ktoś przyjmował jego notatki „jako prawdę lub drogę do prawdy”, po czym przeprowadza druzgocący atak na to, co nazywa „krytyką sentymentalną (czułościową)” i „krytyką pseudopoznawczą”. Obie, zdaniem Wirpszy, myślą się co do przedmiotu sztuki, posługując się kategoriami wzruszenia, obrazu, poznania, prawdy. W istocie nic takiego w sztuce nie występuje; występują jedynie znaki, które „grają sobą coś”, z czym nie wolno ich utożsamiać.

„... znak jest nosicielem przewodu myślowego (...) chodzi o przewody myślowe szczególnego rodzaju: podporządkowane grze; będące budulcem tej gry; a więc wszystko, co w sobie zawierają powiadomienia: o faktach, o przedmiotach, o uczuciach, o wzruszeniach, o poglądach, o ideach lub ideałach, jest wobec gry służebne. Z gry tworzy się dzieło sztuki; jeśli wolno nam personifikować, to powiedzmy sobie, że dzieło sztuki jest w równej mierze bezinteresowne, co egoistyczne, równie rozrzutne, co i zachłanne”. I również: „mogę się przeciw przebrać w jakąś postać nie po to, żeby ją udawać, lecz po to, żeby się w nią bawić”. Lecz na samym końcu: „Z wielką pokorą będę przyjmował zarzuty dotyczące się niekonsekwencji, jakie popełniłem w tym szkicu; wiem, że je popełniłem...”.

Wbrew temu oświadczeniu, „Grę znaczeń” cechuje, jeśli przyjąć jej założenia, niemal żelazna logika; niekonsekwencją zaś było napisanie później utworów, nie tyle kultuwujących zabawę i „grę znaczeń”, co wdających się w dramatyczną grę „egzystencjalną”, której tyle pogardy okazał był Witold w swoim programowym esejju; o taką jednak niekonsekwencję nie będę wytaczał pisarzowi procesu.

W najplodniejszym okresie Witolda Wirpszy, żadne argumenty jego teorii, żadne blaski praktyki nie były w stanie uczynić z niego „poety dla czytelników”; zbyt wysoko latał, zbyt zuchwale igrał z myślą i mową poetycką, zbyt mało troszczył się o przeciętną lub nawet ponadprzeciętną możliwość odbioru tak niekonwencjonalnego modelu tekstu literackiego, jak konstruowany przez niego, zbyt bywał paradoksalny, antyemocjonalny, antyestetyczny, turpistyczny (żeby użyć epitetu Przybosa skierowanego pod innym adresem), jednym słowem, za wiele sobie „pozwał”, żeby móc liczyć na szerszy odbiór i uznanie ze strony niezawodnych czytelników poezji. Nie oznacza to obiektywnego nieistnienia wierszu „Cienie miasta” (z tomu „Przesady”) posuwam się czytając od „powodzi powodów” do „powodzi powozów” i „powodzi powrotów”, i „powodów powodzi”, i „powrotów powrozów” — łącznie napotykam trzydzieści wariantów otwierającego wiersz hasła, bliskich dźwiękowo i różnorodnych semantycznie, lecz „grających” ze sobą — cały utwór jest na nich rozpięty jak na mieniącej się stalowej sieci znaków i znaczeń — albo kiedy w dłuższym utworze „Kraina ekscesu” (z tego samego tomu) natrafiam na (jeden z wielu opartych na analogicznej zasadzie asocjacyjnej) ciąg, z którego przytoczę niewielki fragment:

... *Esencja,*

*Stężenie, tężec, tęga, tęsknota? Tężec  
Tęsknoty, esencja tęgi, tęgi tężec,*

*Esencjonalna zabawa, kończąca się  
Szczękościskiem, kościskiem, kostnością,  
Kostuchą...*

— i w różnych innych momentach ponownej lektury tomików Wirpszy sprzed bez mała ćwierć wieku — czuję i dostrzegam wyraźnie, jak bardzo zabawy tego poety weszły w krew i ciało poezji polskiej, jak zostały przejęte, przetrawione, przeinaczone, jak zmieniły funkcję, utraciły pierwotną bezinteresowność, zyskały niekiedy ewidentną ważkość społeczną, pchnęły do przodu myślenie poetyckie, język poetycki, uskrzydliły „poezję świadectwa i sprzeciwu” (jak ją nazwał Barańczak), a za jej pośrednictwem wyszły poza poezję, weszły w „samo życie”, w przedsięwzięcia i posierpniowy ruch umysłowy. Mówię nie tylko o „pokoleniu 1968”, które nieraz już głośno przyznawało się do terminowania u Wirpszy — również własne pokolenie nie pozostało obojętne na jego poetycką obecność; i ja też poczuwam się do zaciągniętego u przyjaciela długu, tak w poezji, jak w prozie, chociaż nigdy nie wróciły czasy, gdy zdarzało nam się pisać „podobnie”. Był tedy Wirpsza poetą dla poetów — i w stwierdzeniu tym nie ma nic uwłaczającego; a przedtem jeszcze był poetą dla siebie; a w końcu, właśnie dlatego, że najpierw był poetą dla siebie i poetą dla poetów, stał się przecież kimś promieniującym, choć nie bezpośrednio, nie w sposób widoczny dla wszystkich, na całą literaturę współczesną.

Czy zdawał sobie sprawę, że przeżywa „najlepsze lata swojego życia”? Tego się na ogół nie wie; epoka „drugiego Gomułka” była uboga i ciemna, miała wąskie zaciśnięte wargi jak sam Gomułka, nie sprzyjała radosnemu podnieceniu, choćby były po temu prywatne racje; Wirpsza miał, jak wielu, kłopoty materialne, kłopoty ze zdrowiem, kłopoty z dziećmi; na te pierwsze powinno było zaradzić zaangażowanie się do Państwowego Instytutu Wydawniczego (załatwiła to chyba nasza przyjaciółka Wanda Leopold, podówczas kierownik redakcji polskiej PIW), ale godziny trawione w biurze męczyły go i odrywały od pisania, więc zdenerwowanie rosło. Któregoś dnia w lutym 1963 w pracy rozboleła go klatka piersiowa; to był zawał. Wirpsza wiązał go później z czymś, co się działo aktualnie w życiu literackim; nie umiem odtworzyć, z czym konkretnie, ale byłem przy tym, jak do rekonwalescencji podszedł w kawiarni Putrament i zapytał o zdrowie, a ten wykrzyknął: „to przez was, to wszystko przez was!”. W wierszu zatytułowanym „Opis choroby” (w tomiku „Drugi opór”) przybrało to taką postać:

*Chorobę poprzedzały uporczywe  
Nikczemności uzurpatorów*

*Uduchowienia. Potem napadowy  
Ból śródpiersia; potem rytmiczne  
Rozprzestrzenianie się tego bólu. Nikczemność  
Uzurpatorów uduchowienia.*

Sprawa „listu 34” dotknęła nas o tyle, że należeliśmy do mniejszości członków ZLP (i ciągle jeszcze partii), która odmówiła podpisania potępiającego kolegów „kontrlistu”. Spowodowało to bardzo nieprzyjemne przesłuchania przez specjalnie powołane zespoły partyjne. Ale poruszaliśmy się ciągle na peryferiach „wielkiej polityki”; niebawem mieliśmy się znaleźć w jej centrum. W dziesiątą rocznicę „Polskiego Października” Leszek Kołakowski, zaproszony przez grono studentów (przyszłych „komandosów” marcowych), wygłosił na uniwersytecie referat wielce krytyczny w stosunku do sytuacji w kraju; partia rządząca bardzo się obraziła, szczególnie o wysoką umieralność niemowląt w PRL (niechby sobie umierały, ale po co o tym mówić w rocznicowym referacie?). Kołakowskiego od ręki wyrzucono z partii, co przyjął zapewne z ulgą, ale my, jego przyjaciele, uznaliśmy, że trzeba protestować. Epistołę do biura politycznego podpisało nas, o ile mnie pamięć nie myli, piętnastu, a mianowicie: Paweł Beylin, Jacek Bocheński, Marian Brandys, Witold Dąbrowski, Tadeusz Drewnowski, Marian Grześcak, Tadeusz Konwicki, Igor Newerly, Seweryn Pollak, Leon Przemski, Arnold Słucki, Julian Strykowski, Witold Wirpsza, Wiktor Woroszyński i Waclaw Zawadzki. Przepraszam, jeżeli o kimś zapomniałem. Wszyscy podpisani należeli do partii (choć wielu od dawna już z nią w konflikcie) — i wszyscy prędzej lub później przestali do niej należeć; kilku głównych wichrzycieli wtedy właśnie, kiedy w odpowiedzi na nasz list zostaliśmy wezwani do tzw. „białego domu” i komisja na czele z Zenonem Kliszką maglowała nas przez długą noc listopadową, usiłując wymóc wycofanie się z protestu. Obrabiano nas pojedynczo, reszta czekała na korytarzu; mnie wywołano pierwszym i po godzinie czy półtorej byłem wolny tudzież lepszy o czerwoną legitymację; Wirpszą zajęto się później, co było o tyle niedogodne, że miał w kieszeni paszport i bilet na pociąg jeszcze tej nocy wyruszający do Niemiec. Opowiadano mi potem, że nie przejmując się uciekającym czasem wygłaszał do Kliszki długie mowy, których skomplikowanie z pewnością przekraczało możliwości percepcyjne tego działacza. Słuchał ich z wybaluszonymi oczyma, a stojący za jego plecami Syczewski, instruktor KC, sekretarzujący owej komisji, robił do Witolda wymowne miny i pukał palcem w zegarek; może nie tyle chodziło mu o grożące pisarzowi spóźnienie, co o zamęt, na jaki mowy jego narażały umysł szefa.

Był to, jak widać, okres w miarę liberalny, skoro nie odbie-

rano nam paszportów. I to też miało się wnet zmienić. Ale tymczasem udało się Witkowi wyjechać i cały rok 1967 spędzić w Berlinie Zachodnim na stypendium tzw. programu artystycznego DAAD. Był to rok jego sukcesów na gruncie niemieckim: w Monachium wyszedł przekład „Pomarańczy na drutach”, w Stuttgarcie — wiersze, Akademia w Darmstadt przyznała mu nagrodę dla tłumaczy, uczestniczył w spotkaniach i konferencjach, udzielał wywiadów, w październiku wygłosił mowę na otwarciu Międzynarodowych Targów Księgarskich we Frankfurcie. Wyrazem poprawienia się sytuacji materialnej było nabycie samochodu (pierwszego i ostatniego w życiu); wrócił nim do Polski — do Polski jeszcze smutniejszej i dokuczliwiej gorączkującej niż ta, którą był opuścił.

„Dziady” Dejmka, walne zebranie literatów warszawskich 29 lutego 1968, manifestacje studenckie, pałowanie, areszty, eksplozja plugastwa w prasie, to wszystko, co określa się hasłem „Marzec”. Syn pisarza, podówczas student polonistyki, został aresztowany i spędził w więzieniu kilka miesięcy. Sierpień — udział wojsk PRL w najeździe na Czechosłowację. Jesień — wyjazd, pożegnania, o tym była już mowa. Chyba wtedy albo niewiele później Wirpsza zaczął pisać swoją księgę rozmyślań i paradoksów o ojczyźnie pt. „Polaku, kim jesteś?”. Pisał ją na zamówienie szwajcarsko-niemieckiego wydawcy (ukończona już poza krajem, ukazała się w Lucernie w roku 1971), ale chyba również na zamówienie własnej rozterki i obolałości po szokach tego ciężkiego roku.

„Jak się miewasz, Polaku, w Polsce? — tym pytaniem zaczynał się pierwszy rozdział. — Jak czuje się Polak? Czy jest zadowolony ze swojej ojczyzny? I co Polak uważa za swoją ojczyznę? Państwo, którego jest obywatelem, i rząd, jaki nim rządzi; ziemię, na której żyje; społeczność, której jest członkiem, czy może naród, z którym się utożsamia; tradycję, na którą się ogląda, i historię jako rzecz obecną, kształtującą jego świadomość, czy też język, którym mówi?”. Nieco dalej zaś: „Jak rozgrywasz, Polaku, tę swoją grę w ojczyznę, w państwo, w naród, w ziemię rodzinną, w tradycję i w historię; w przeszłość i w teraźniejszość, i w przyszłość; w wiarę, wiedzę i przesady; w rzeczywistość i marzenie, w ideał i w konkret?”.

Następowały rozważania o narodzie koczowniczym, narodzie nominalistów („nazwa rzeczy ma dla Polaków większą wagę, aniżeli rzecz sama”), o historii dalszej i bliższej, o mitach i stereotypach, o polskim republikanizmie i Królowej Korony Polskiej, o powstańcach, konfederatach, zdrajcach, o Margrabi Wielopolskim i Władysławie Gomułce, o wallenrodyzmie, a jakże, i o samobójstwie Tadeusza Borowskiego, o „ustroju belferskim” i o

„Banco Polonia” (Garczyński), „gdzie stawką jest Polska i gdzie Polska bierze udział w grze, i gdzie Polska jest zarazem liczmanem, którym się gra”, i raz po raz padały nowe pytania, i włączały się w narrację życiorysy autentyczne i urojone, anegdoty i przypowieści — i tak toczyła się ta gęsta, rozlewna, z zakolami i spiętrzeniami, co właściwie? nie rozprawa naukowa, nie powieść, nie diatriba polityczna; wędrówka — rzekłbym — wędrówka myśli niepospolicie inteligentnej, choć kapryśnej zarazem i skłonnej do mitotwórstwa (na przekór wojnie wydanej przez autora narodowym mitom), wędrówka po Polsce realnej i nie-realnej, po skojarzeniach, jakie autorowi podsuwa Polska, polskość i Polak; „przechadzka — skromniej ujął to sam w zakończeniu — po niezbyt skrupulatnie plewionym polskim ogrodzie”... Czy ta wędrówka-przechadzka odpowiedziała jakoś w końcu na tytułowe pytanie, czy zagraniczny adresat książki miał szansę unacznienia sobie po jej lekturze, „kim jest Polak”, jak „gra w ojczyznę”, jakim językiem przemawia jego nadzieja? Jestem przekonany, że tak — jeżeli nawet nie bezpośrednio, poprzez rozsiadane w całym przebiegu książki cząstkowe odpowiedzi, „formuły” polskości, jej wyprowadzone przez Wirpszę „wzory” — to przez obcowanie z tą właśnie osobowością (oczywiście, niepowtarzalną), z tą inteligencją (jedyną), z tą logiką i szaleństwem, pedanterią i przewrotnością — bardzo Wirpszowymi, właściwymi temu pisarzowi i nikomu innemu, a jednak w tej książce tak wyraźnie powiązanych z polskością autora, tak przez nią uzasadnionych, tak w sposobie objawiania się adekwatnymi temu, co zostaje objawione, że po prostu widać kim jest Polak i werbalna eksplikacja zjawiska schodzi na plan dalszy.

Ledwie zaś książka w tłumaczeniu („Pole, wer bist du?”) ukazała się na niemieckojęzycznym rynku, ledwie powitały ją pierwsze zaciekawione i przychylnie recenzje — warszawskie *Prawo i Życie* (podówczas organ Kazimierza Kąkola) zareagowało gniewnym artykułem na całą stronę pod tytułem „A kim pan jest, Herr Wirpsza?”, z którego nie wynikało, że publicysta zapoznał się z książką, wynikało natomiast niezbitcie, że Wirpsza jest złym Polakiem, może w ogóle nie Polakiem, no i niemieckim pacholkiem, ma się rozumieć. Warszawskiemu pismu wtórowało krakowskie *Życie Literackie* Machejka.

W jednym z wywiadów Wirpsza opowiadał później: „... zostałem mocno zaatakowany w prasie polskiej. Tak mocno, że obawiałem się wrócić i dałem do prasy niemieckiej oraz do paryskiej *Kultury* oświadczenie, w którym wypowiedziałem moje powody” (Krzysztof Z. Korewicz: „Ostatnia rozmowa z Witoldem Wirpszą”, *Pogląd* nr 19/92, Berlin, 6 października 1985). Nie mam pewności, czy na decyzję pisarza i jego żony w takim stopniu

wpłynęła ta nagonka prasowa — w końcu chleb powszedni pisarzy w PRL. Myślę, że przyczyny były bardziej złożone — i w mieszaninie uczuć, jakie budziła myśl o powrocie do kraju w tym właśnie okresie, mogło być więcej obrzydzenia niż strachu. W każdym razie w roku 1971 Wirpszowie zdecydowali się na emigrację i zostali w Berlinie — mieście, które już nieźle znali z poprzednich pobytów, w którym otoczono ich życzliwością i w którym pisarz mógł zacząć nowy rozdział życia od wykładów na obu tutejszych uniwersytetach.

Okres berliński miał trwać tyle samo co warszawski — bez mała piętnaście lat. Nie dysponuję wystarczającym zasobem obserwacji, żeby orzekać — dobre to czy złe były lata. Jeżeli poprzestać na tym, co rzuca się w oczy, trzeba powiedzieć, że przez cały ten czas Witold nie wydał na emigracji ani jednej książki w języku polskim (ściślej: dopiero w ostatnim roku życia wydał w berlińskiej „Bibliotece Archipelagu” poemat „Liturgia”). Nie wydawał też, siłą rzeczy, w oficjalnych (przez znaczną część okresu inne nie istniały) wydawnictwach krajowych. W tece miał „Faetona” i „Polaku, kim jesteś?”, „Samą niewinność” i tom wierszy 1970-1974 pt. „Granica wytrzymałości”, a później nawarstwiały się przecież następne tomy poezji i esejów. W cytowanym wywiadzie wyjaśniał dobrodusznie: „Tutaj na emigracji nie ma dostatecznie dużo zasobnych finansowo wydawnictw polskich, które mogłyby wydawać rzeczy ryzykowne, a moje utwory są ryzykowne”. Drobniejsze teksty (wiersze, artykuły, polemiki) ukazywały się głównie w *Kulturze* paryskiej. Kiedy powstał drugi obieg krajowy, ogłosiliśmy w *Zapisie* obszernie fragmenty „Polaku, kim jesteś?” i „Samej niewinności”; był to już rok 1978 — ósmy rok pobytu pisarza na obczyźnie; w tym samym roku NOWA wydała „Polaku, kim jesteś?” w całości; niestety, technika niezależnych drukarni nie stała jeszcze na późniejszym poziomie — nakład rozszedł się bez trudu, ale egzemplarze były słabo czytelne. W roku 1976 i 1980 wyszły dwa szczupłe tomiki poezji Wirpszy po niemiecku.

W kolejnym roku akademickim uniwersytety nie odnowiły kontraktu. Trzeba było jakoś żyć — i jakoś się żyło — ale wymagało to, jak sądzę, nieustannych zachodów, krzątania osobistej, korespondencyjnej, telefonicznej, ciągłego przedstawiania się od początku zarządom różnych fundacji i innych instytucji, dysponujących stypendiami, pobytami w domach pracy twórczej, budżetami programów badawczych etc. — daleki jestem od twierdzenia, że było to bardziej uciążliwe od rozmaitych sytuacji, jakich pisarz mógł zaznać w kraju, ale nie wiem, czy akurat Witold Wirpsza, już z siwiejącą brodą, czuł się wśród tych zachodów jak ryba w wodzie. W ostatnim okresie życia senat Berlina Za-

chodniego przyznał mu coś w rodzaju niewielkiej, ale stałej renty dla zasłużonych twórców. Niedługo miał z niej korzystać.

Przez cały ten czas dwukrotnie tylko było możliwe intensywne jak niegdyś nasze obcowanie: raz trwało kilka dni, drugi raz prawie dziesięć miesięcy. W październiku 1974 podróżowaliśmy z żoną po Włoszech; na rzymskim dworcu padliśmy sobie w ramiona z Witkiem i Marylą, po czym razem ruszyliśmy do Asyża i Perugii; snuliśmy się po kościołach, dziedzińcach, biegnących górskim zboczem ulicach, nocowaliśmy w małych hotelikach, piliśmy czerwone wino w traktierniach, bez przerwy rozprawiając o poezji i nie-poezji, i jakby nie było między nami tych lat oddalenia; aż pożegnaliśmy się na dworcu florenckim... Ponownie zobaczyliśmy się w styczniu 1981 — znowu był dworzec, tym razem berliński, ale tym razem przyjechałem na dłużej; ten czas między powitaniem a pożegnaniem był na swój sposób wspólny, choć i on, i ja nastawialiśmy ciągle ucha, co tam w Polsce, i zasłyszanymi wieściami dzieliliśmy się też najpierw przy każdym spotkaniu i rozmowie telefonicznej; zdarzyło mi się również odwiedzić go w szpitalu, był to jeden z kolejnych szpitali, do których co jakiś czas trafiał po przejechaniu na ulicy kilka lat wcześniej, jeszcze nie ten szpital. Ostatnią przed wyjazdem do kraju noc w Berlinie spędziłem u Wirpszów na Alt Moabit 21/22 — zasypiałem już, kiedy blisko północy wszedł do mojego pokoiku, był wzruszony, przed chwilą przeczytał w maszynopisie mój niedawno ukończony poemat „Lustro” i mówił mi teraz o nim jakieś dobre, serdeczne słowa. Była to nasza ostatnia rozmowa o tym, co go najbardziej pasjonowało — o poezji — i chyba ostatnia rozmowa w ogóle, nazajutrz na nic nie było już czasu, w południe wyjeżdżałem z Bahnhof Zoo, było 10 listopada 1981 roku.

Napisałem „był wzruszony” i waham się, czy tych słów nie skreślić. Nie byłby z nich zadowolony. Na temat wzruszeń chętnie ironizował — zwłaszcza na temat wzruszeń związanych z odbiorem poezji. A jednak niech to zostanie. I niech wspomnę jeszcze, kończąc, o moich wzruszeniach.

Nie o „Liturgii”, zdumiewającym poemacie, w którym przeżycie metafizyczne, religijne (tak nieoczekiwane u sceptyka Wirpszy; pisał wprawdzie w wierszu pt. „Powrót w zamięcie” z roku 1971: „wszyscy wrócą do Boga” — ale czy to było już serio, czy jeszcze z kpina?), ba, mistyczne, ten, jak pisze poeta, „święty ból”, konstytuuje, współ z przeżyciem wielkiego, obcego miasta (współczesnego piekła?), dzieło wielowarstwowe, bogate, pełne napięć; poustawiane zaś w jego obrębie „znaki” nie są tylko, jak chciał niegdyś, elementami „gry” literackiej; bo nie o postaci, w którą „przebrał się, żeby się w nią bawić”, lecz o sobie,

Witoldzie Wirpszy, mówi autor umieszczonej na końcu „Modlitwy”:

*Jestem tym, co szuka i wciąż niepewny swego;  
Swego? A cóż jest swoje? Czy da się oswoić straszny czas  
Poszukiwania?... (itd.).*

Pytania przypominają Sępa-Szarzyńskiego...

„Liturgię” pisał Witold w Berlinie od 26 grudnia 1981 do 31 grudnia 1982. Przez znaczną część tego roku byłem blisko — w obozach internowania województwa koszalińskiego — i też zdarzyło mi się napisać wiersz, choć krótszy, o poszukiwaniu Boga... Znowu „stadność” czy głębsze prawo rządzące przemianami duchowymi bliskich sobie ludzi?

Nie o „Liturgii” jednak; zbyt krótko z nią obcuje, zbyt wiele w niej dla mnie tajemnic i mroków, to książka na długo i potrwać musi, nim się szerzej przede mną otworzy. Nie o niej, lecz o wierszach jeszcze późniejszych. W ostatnim roku życia Wirpsza napisał dwa wiersze (drugi z nich ukazał się już po jego śmierci), jasne i proste jak nigdy (choć zachowujące właściwą temu poecie intonację), bezpośrednio zakorzenione w jego biografii i zarazem w ogóle w doświadczeniu współczesnego człowieka, Polaka, członka określonego pokolenia, wiersze — wbrew tylekroć z naciskiem powtarzanemu programowi autora — „chwytające za serce”. Pierwszy z nich pt. „Trudności”, datowany „Berlin, 3 marca 1984”, dedykowany zaś Marii i Kazimierzowi Brandyson, ukazał się w numerze 1-2 *Kultury* paryskiej (styczeń-luty 1985).

Drugi wiersz, pt. „Porządek”, datowany „W październiku 1984 roku”, ukazał się w *Tygodniku Powszechnym* nr 39 z 29 września 1985:

*Jeszcze nie zrobiłem z sobą rozstrzygającego porządku,  
Czyli nie nadaję się jeszcze do tego, aby śmierć mnie sprzątnęła.*

*Niech nie spadnie mi cegła na głowę, póki nie będę wiedział,  
Jaki to ma być porządek i jak przyjdzie mi go zrobić.*

*Może mi będzie dana ta wiedza w chwili,  
Kiedy odwrócę się w łóżku do ściany i powiem: — Dość tego.*

*Mówili mi rodzice, że rodziłem się w domu  
I że ojciec wtedy trzymał moją matkę za rękę.*

*Modlę się o to, żebym i umierał w domu,  
We własnym łóżku i w obecności bliskich,*

*I żeby ktoś z nich trzymał mnie za rękę do przedostatniej chwili,  
W ostatniej chwili niech puści rękę, bo wtedy trzeba mi być  
[samemu.*

*Wtracony zostałem w czas, kiedy dzieci rodzą się po klinikach  
I ludzie umierają po szpitalach: początek i koniec w aseptyce,*

*To znaczy: w wyjątowieniu. Jak tu robić porządek  
W stosownym czasie? Jałowość to nieruchomy chaos.*

*W sterylnych fabrykach narodzin i śmierci  
Nie ma sposobności i sposobu na robienie porządku.*

*I ludzie odchodzą stamtąd niedojrzali in ultimo momento,  
In ultimo movimento. Jałowy chaos niczego nie rozstrzyga.*

*Co do mnie, trzeba mi nie tyle spokoju, co czasu,  
Bo wiem, że trzeba zdążyć, lecz nie w zdyszonym wyścigu.*

Ale czasu pozostawało niewiele. Witold Wirpsza zmarł w zachodnioberlińskim szpitalu 16 września 1985 roku. Czy zdążył, czy mimo wszystko zdążył zrobić z sobą „rozstrzygający porządek”? Czy w nieziemskim lub ziemskim blasku tego porządku byłby mi wybaczył, że ostatnie wiersze czytam nie tylko z podziwem, ale i z podchodzącym pod gardło wzruszeniem? I że wzruszenie to nie płynie z przejścia się mistrzowską także i w tych wierszach „grą znaczeń”, lecz z niezwykłej czystości i przejrzystości owej gry poetyckiej, przejrzystości dochodzącej do rozstąpienia się, rozpląnięcia w powietrzu, aby spoza gry mogła się ukazać, w całej intensywnej wyrazistości, w całej powadze i dostojenstwie, ta *summa* żywota, *summa* człowieczeństwa, jaką tylko w rzadkich momentach największego olśnienia zdoła czasem wcielić poeta? Czy pojął, sam wzruszony, że jego na koniec spotkało to wyróżnienie, ten wybór ze strony Boga, w którego nie wiadomo czy zdołał uwierzyć, ze strony języka ojczystego, w który wierzył niezłomnie, ze strony niewiadomego żywiołu — losu, sztuki, przypadku, ten wybór, w którego obliczu można tylko schylić głowę w milczeniu.

Te wiersze — to „Liryki lozańskie” Witolda Wirpszy. Albo — żeby przywołać poetę, którego bardziej wielbił niż Mickiewicza — jego „Treny”.

W jednym z rozdziałów „Polaku, kim jesteś?”, opowiadając o Janie z Czarnolasu, Wirpsza podał w wątpliwość istnienie Orszulki Kochanowskiej i jej śmierć przedwczesną, i wyraził przypuszczenie, iż „ból i żalność ojcowska są tu fikcją literacką, doświadczeniem poetyckiego pióra”.



Może przyjdzie czas, że sceptyczny czytelnik też za koncept uzna życiorysowe realia „Trudności” i „Porządku”; i pochwali za to umarłego poetę.

Ale ja wiem, że wszystko było prawdziwe — i ogień, i przesłuchanie, i kula, i blizna. Prawdziwe życie — i prawdziwa poezja, która wzbraniała się przed bezpośrednim z nim związkiem, aż uległa — i zwyciężyła.

Berlin, październik-listopada 1985

Wiktor WOROSZYLSKI

## WILKI PODCHODZĄ ZE WSZYSTKICH STRON

Nowy

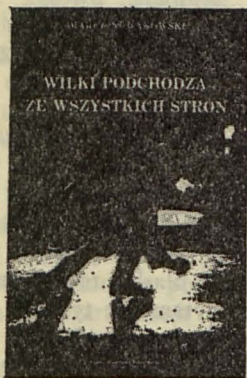
ZBIÓR OPOWIADAŃ

Marka

**Nowakowskiego,**  
wybitnego prozaika z Polski,  
autora rewelacyjnego "Raportu  
o stanie wojennym".

*Fascynująca lektura dająca  
obraz szarej, ponurej rze-  
czywistości w Polsce Ludo-  
wej. Bogaty przekrój typów  
i zachowań ludzkich.*

Do nabycia u wydawcy:



**POLONIA BOOKSTORE**

2886 Milwaukee Ave., Chicago, IL 60618 • tel. (312) 489-2554

a także w innych księgarniach polskich.

Cena \$8.00 lub równowartość w US\$

# LIBELLA

12, Rue Saint-Louis-en-Pile — 75004 Paris

Métro: Pont Marie.

Tél.: 326-51-09.

KSIAŻKI POLSKIE • KSIAŻKI FRANCUSKIE DO-  
TYCZĄCE POLSKI I EUROPY WSCHODNIEJ •  
PRZEKŁADY Z JĘZYKA POLSKIEGO NA FRANCUSKI

Katalogi bezpłatne wysyłamy na każde żądanie

## Miesiące

Styczeń 1985

Przez okno widzę stromy francuski dach kryty blaszaną łuską, w nim trzy mansardy z ozdobnymi lukarnami, nad nimi komin. To jest dach komisariatu policji. Komisariat mieści się w budynku z epoki napoleońskiej naprzeciw domu, w którym mieszkam. Siedzę twarzą do okna, wpatruję się w dach i mam pisać. Dach jest mokry, w trzecim dniu nowego roku od rana pada deszcz. Po mojej lewej ręce stoją półki z książkami. Na górnej półce oparta o ścianę rozpościera skrzydła drewniana sójka wyrzeźbiona przez ludowego artystę, garbuska, we wsi Dalny Las pod Augustowem. Tę sójkę nabyłem w czasie wakacji dwanaście lat temu, artysta siedział na zydlu w ciemnej izbie, po której chodziły kury. W Warszawie sójka wisiła nad stolikiem za moim tapczanem, wychylona dziobem na pokój. M. wieszała na niej swoje medaliony i korale i w końcu sójka utraciwszy kształt ptaka stała się podobna do wschodniej cesarzowej w ciężkim koronacyjnym stroju. Teraz stoi bez ozdób, na sztorc, widać jej fioletowe podgardle, zielony dziób ma skierowany do góry. Skrzydła są tak szeroko rozpostarte, że obejmują niemal cały rząd fotografii, które ustawiłem na wierzchu półki. Prawe skrzydło dosięga pocztówkowego zdjęcia, na którym mój ojciec w roku 1924 siedzi na hotelowym tarasie w trzcinowym fotelu pod wielkim parasolem z frędzlami. Zaraz obok ja z moim bratem w Zakopanem, rok 1930, sfotografowani przez sympatyzującą z ojcem pannę Avelis. Miałem wtedy niecałe czternaście lat, pierwszy raz w garniturze z krawatem i w długich spodniach. Lewym skrzydłem sójka celuje w portretową fotografię M., którą zrobił cztery lata temu Joël Prince u Piotrów Słonimskich w Gif. Ojciec patrzy na mnie spod ściągniętych brwi, M. się uśmiecha.

Wśród zdjęć są jeszcze inne. Fronton pałacu w Oborach, Klara, córka Moniki, grająca na skrzypcach, Ewa z Wawrzkiem w pokoju na Filtrowej, i my z małą Danielą na ławce. Z Warszawy przyszło ostatnio wiele zdjęć z różnych okresów naszego życia. Ewa nadesłała je przez wspólnych znajomych, którzy jechali do Paryża. Są także fotografie rodzinne M. i moje zdjęcie z indeksu uniwersyteckiego, sceny zbiorowe z okupacyjnych wódek na Słonecznej, Marian w oficerskim mundurze z września 1939, młode kobiety w kostiumach kąpielowych. Gdyby czasu było więcej, mógłbym z tych zdjęć ułożyć autobiograficzną kompozycję, rodzaj fryzu obrazującego przebieg mojego życia. Sójkę przywiozła Ewa w listopadzie. Przyleciała z nią na Orly, wyszła z samolotu w pierwszej grupie pasażerów i szła zarumieniona, cisnąc do piersi drewnianego ptaka z zielonym dziobem i ogromnymi skrzydłami. Wręczyła mi go mówiąc: — Uważaj, dziób ma sklejonny.

W niedzielę na 7-mą wieczór byłem zaproszony z M. do redakcji *Kontaktu*. Przed tygodniem telefonowali zapowiadając pokaz filmowy z kaset video przywiezionych z Polski. Miały być wyświetlane programy kilku kabaretów, m.in. Owcy i Piwnicy Pod Baranami. Do stacji metra zeszlismy koło Hôtel de Ville, był 10-stopniowy mróz i prosił śnieg. Czekają niewielu pasażerów. Zauważyłem dwóch kloszardów leżących przy ścianie peronu, twarze mieli zakryte gazetami. Pod reklamą filmu z piękną Catherine Deneuve siedziała stara kobieta w czapce z daszkiem, ranych pantoflach i trzech dziurawych swetrach nałożonych jeden na drugi. Na chudych nogach miała opadające pończochy. Była całkowicie zajęta sobą. Odgarniając warstwy swetrów drapała się w pasie, z przodu, z tyłu, z boku. W pewnej chwili odsłoniła brzuch. Chyba spostrzegła, że się jej przyglądam, ale nie przestała się drapać po wzdętym brzuchu i w jej zaferowanej obojętności, w samotnym pochłonięciu swędzeniem i drapaniem było coś przykuwającego, nie mogłem odwrócić wzroku. Najdziwniejsze, że obserwując ją czułem rozbawienie i zgrozę, a zarazem jej pozazdrościłem.

Do redakcji *Kontaktu* wchodzi się wprost z podwórza domu przy ulicy Saint-Maur, w brzydszej, niereprezentacyjnej części Paryża, na wschód od placu Republiki. W parterowym lokalu był tłok, ludzie siedzieli na stołach i krzesłach, na podłodze, wiele osób stało. W półmroku świecił tylko ekran. Gdzieś w przodzie zrobiono nam miejsce i kiedy przeciskaliśmy się deptając po nogach i płaszczach, z ekranu ktoś o znajomej twarzy mówił: — ...i to jest bardzo dobrze, proszę państwa... Bo jak się naprawdę zastanowić... ale właściwie dlaczego nie włożył pan butów? — To był Jerzy Dobrowolski z kabaretu Owca. Obok

nego Stanisław Tym, którego pamiętam jeszcze z STS-u, stał w dwurzędowym ubraniu z krawatem i boso. Szeptem wskazano mi po ciemku miejsce pod ścianą, usiadłem, chyba na bardzo niskim krześle lub fotelu. Było tak ciasno, że z tyłu nade mną dziewczyna siedząca na biurku obejmowała moje plecy kolanami. Z boku grzał kaloryfer. Nie mogłem zdjąć płaszcza ani wygodniej się oprzeć. Na ekranie Tym wygłaszał monolog o świni i rudym konduktorze. Trudno mi było skupić uwagę. Wśród stojących osób rozpoznawałem fragmenty profilów: Alikowie, Barbara, Andrzej Dobosz... Chojecki siedział na podłodze blisko ekranu. Potem ukazał się kabaret Pod Baranami, Piotr Skrzynecki, siwy patriarcha w czarnym kapeluszu, zapowiadał kolejne występy, młode kobiety o długich włosach śpiewały.

Byłem się poruszyć. Nie tylko dlatego, że dziewczyna obejmująca mnie z tyłu kolanami gotowa by to wziąć za nieprzyzwoitość. Czułem niepokój. Z początku wydawało mi się, że twarze na ekranie i profile widzów oświetlane przez ekran nie są całkiem realne. Były niby odbiciem, powtórzeniem czy przedłużeniem czegoś, co kiedyś tworzyło rzeczywistość — kiedyś, za pierwszym razem. Większość tych twarzy znałem z Warszawy lub Krakowa, z STS-u, Klubu Literatów czy *Zapisu*. Teraz jak gdybym oglądał ich cienie. Jedne widać było na szkle, inne wyłaniały się z ciemności. Mogło zresztą być odwrotnie, Tym przywieziony w kasecie z Warszawy mógł stać pośród widzów, a Dobosz ukazać się na ekranie, i dałoby to identyczny efekt wtórnej rzeczywistości. Stała się rzecz osobliwa: jakby wywieziono nas z prawdziwego czasu, ich i nas, i teraz odtwarzamy niejasno własne rysy i słowa. Miałem wrażenie, że aktorzy na ekranie usiłują przypomnieć sobie dawne teksty z Owcy i Piwnicy, a my po ciemku także chcemy sobie przypomnieć nas samych.

Równocześnie z tym wrażeniem narastał we mnie niepokój. Pamiętałem transmisję z sali sądowej w Toruniu i twarze oskarżonych. Zwłaszcza jedną. Główny oprawca, Piotrowski, dorodny oficer w cywilnym ubraniu, czytał z kartki swoje oświadczenie. Dokonane morderstwo uzasadniał politycznie: Kościół nie może stać ponad prawem, trzeba było unieszkodliwić księdza, który co tydzień w kazaniach podburzał tysiące ludzi przeciw państwu. Piotrowski mówił to ze wzgardliwą pewnością siebie, właściwie oskarżał Kościół i przestrzegał rząd. Trzeba było ukarać księdza Popiełuszkę, wyręczyć prawo. Twierdził, iż nie powodowała nim osobista nienawiść („Po godzinie 16-tej w ogóle o nim nie myślałem...”), a fakt, że pogruchotał księdzu głowę i kości drągiem nazwał „wypadkiem przy pracy”. Przemawiał z twardym przekonaniem, jak ideowy SS-man, i prawdopodobnie wiedział, że przemawia w imieniu swojej kasty. W ciągu czterdziestu lat, pisząc i mówiąc o socjalizmie, hodowano rodzinę za-

bójców, *camorę* utrzymywaną przez państwo i wyposażoną w nowoczesną technologię i broń. Kapitan Piotrowski, przedtem nauczyciel matematyki, pochodzi z rodziny policyjnej; matka była dyrektorką więzienia w Fordonie, ojciec i brat również związani ze służbą bezpieczeństwa. Piotrowski ma 33 lata — druga generacja w zawodzie — jest przystojnym, silnie zbudowanym mężczyzną i po swoim lojalnym kolegą. Nie zwałił winy na swych współpracowników. Proces osiągnął nadrzędny cel. Każdy, kto słuchał tych zeznań, dowiedział się, czego powinien się bać, i zrozumiał, że jest od dawna w rękach ludzi, którzy mogą z nim uczynić wszystko. Włącznie ze skrytobójstwem i pozbawieniem czci. Mordercy w trakcie rozprawy pomówili uśmierconego księdza o afery erotyczne, a jednego z biskupów o współpracę z Gestapo w czasie okupacji.

Zwłoki Jerzego Popiełuszki, drobne, o zmasakrowanej twarzy i połamanych ramionach — prasa francuska zamieściła fotografie — unaocniają śmierć innych ofiar, tych z lat ubiegłych. Ludzi zabitych po kryjomu, wyrzuconych z okna albo utopionych; ciała odnajdywały się potem w piwnicach i studniach. Były to wiadomości, o których mówiono po cichu. Tym razem pokazano trupa i twarze wykonawców. Ujawniono także ich mentalność oraz szczegółową technikę roboty. I język funkcjonariuszy naukowego socjalizmu: „Kamulki przywiązaliśmy do nóg”. Zbrodnia przestała być tylko ustną wiadomością, weszła w sferę publiczną.

Od tego procesu wieje grozą. Niektóre szczegóły przypominają zabójstwo Szatowa w *Biesach*. Ktoś powiedział o Piotrowskim: Pietia Wierchowieński. Ktoś inny dodał: plus mołojec z sowieckiego *eastern'u*. Nie jest wykluczone, że Piotrowski stanie się wzorcem bohatera SB, a jeśli go powieszą, będzie miał w rodzinie policyjnej legendę męczennika. Ten demon zachował w sali sądowej katowski hart ducha. Ale prócz niego na ławie oskarżonych zasiada jeszcze Smerdiakow. Błady, czelny pułkownik Pietruszka, i cały w drgawkach porucznik Chmielewski, i Pękala ze swoimi płaczliwymi zeznaniami, wszyscy trzej razem są Smerdiakowem, którego przekonano, że nie ma Boga. „Myśleliśmy, że władza będzie z nas zadowolona i dostaniemy awans”. Rolę Iwana Karamazowa spełniła w tej zbrodni władza. Ilu Smerdiakowów wychowano przez czterdzieści lat! I nie tylko w Polsce, i nie tylko w Rosji. Znow przychodzi mi na myśl Sartre, który odwiedził w więzieniu niemieckiego terrorystę Baadera. Baader mógł mu powiedzieć to samo: myślałem, że będzie pan z nas zadowolony. Pełno dziś na świecie Smerdiakowów, uświadomionych przez swych braci przyrodnych, rewolucyjnych intelektualistów. Dostojewski był jasnowidzem. Nie przewidział tylko, że rewolucja utożsami się z ochroną.

Wiele osób liczy policyjna rodzina. Są wszędzie. Nie znamy

ich. Artyści na ekranie, długowłose śpiewające dziewczyny i ten chłopak z gitarą, my wszyscy — jesteśmy tylko pozornie bezpieczni. Wszędzie mogą nas wypatrzeć i osiągnąć. Przypuszczam, że byli wśród nas podczas projekcji w lokalu *Kontaktu*. Wróciliśmy metrem ze stacji Goncourt po 10 wieczór. Wsiadając przy Hôtel de Ville zobaczyłem na peronie starą kloszardkę w czapce z daszkiem. Siedziała w tym samym miejscu, grzebiąc ręką między swetrami a spódnicą, i kiedy mnie spostrzegła, kiwnęła wesoło głową. Ukłoniłem się.

Mróż trzyma. W telewizji pokazują martwe czaple i flamingi. Sójka na mojej półce wznosi dziób do góry, jak gdyby przeklinając niebo za zimowe utrapienia ptaków.

*marzec-kwiecień*

Paryż... Francja... Życie nie w domu u siebie, lecz u inteligentnej ciotki, której nie obchodzę, ale która daje mi żyć bo jest zaprzęgnięta własnymi sprawami. Ośrodek bólu znajduje się na zewnątrz. Zgroza, poniżenie, bezsilność dochodzą stamtąd na wszystkich falach. — Tym, co się dzieje w Polsce — opowiadał mi dziennikarz z Mediolanu — jestem od dawna zafascynowany jak filmem kryminalnym. Od tego nie można się oderwać. Czeka się na jakąś pointę, na sprawiedliwe zakończenie... — Był w Warszawie podczas pierwszej wizyty Papieża i nazywa ją „drugim chrztem Polski”.

Kiedy wczoraj rozmawiało się w parę osób o życiu Francuzów, mój znajomy, paryski adwokat, który dawno opuścił Polskę i w ojczystym języku robi od czasu do czasu błędy, powiedział litewskim akcentem: — Wiadomo, Byzancja. W Byzancji przyjemnie żyć.

Wojna, która toczy się między Irakiem a Iranem, ma już na koncie pół miliona trupów. O co w niej chodzi, nie wiem. To jest wojna konwencjonalna. Rakiety wystrzeliwane przez obie strony nie mają głowic atomowych, z samolotów puszcza się staroświeckie bomby na ludność cywilną. Słowem, niemieccy pacyfiści nie muszą bić na alarm — to nie jest wojna, która grozi światu zagładą. Codziennie przez kilka minut oglądam w wieczornym dzienniku filmowe reportaże z frontu, popijając herbatę. Bezsensowna wojna, krwawa wojna, ale na szczęście daleka i zlokalizowana. Po wiadomościach można jeszcze obejrzeć film polityjny z czarnej serii, a później spokojnie poczytać w łóżku.

Co nas chroni od trzeciej wojny światowej? Podział na strefy

interesów dokonany w Jałcie? W to mogą dzisiaj wierzyć politycy z amerykańskich uniwersytetów, ale nie my. Od czterdziestu lat nie ma wojny między przemysłowymi cywilizacjami, bo Zachód i Wschód boją się totalnej katastrofy. Bo politycy i wojskowi zarówno w Waszyngtonie jak w Moskwie wiedzą, że uderzenie z jakiegokolwiek strony rozpęta nuklearną apokalipsę, która pochłonie kraje i narody — wraz z nimi. Dlatego nie ma powszechnej wojny. Dlatego że czterdzieści lat temu kilkunastu fizyków i matematyków w Stanach Zjednoczonych (między nimi lwowianin Stanisław Ulam) wynalazło narzędzie zniszczenia globu i że ów wynalazek zrzucano na Hiroszimę. Ludzkość zobaczyła atomowy grzyb i zapamiętała, co pozostaje z miasta po opadnięciu pyłów. Dlatego nie ma wojny. Gdyby nie uczeni z Los Alamos, mielibyśmy — prawdopodobnie około roku 1960 — Trzecią Konwencjonalną, w której sowieckie lotnictwo i dywizje pancerne w ciągu miesiąca zrujnowałyby zachodnią Europę.

Do Polskiego Instytutu Naukowego w Nowym Jorku przychodzi na odczyty pewien wariat. Pierwszy zabiera głos w dyskusji, mówi z gniewnym podnieceniem i obraża prelegenta. Po czym opuszcza salę wśród protestów oburzonej publiczności. Dwa lata temu w Polskim Instytucie wygłosił odczyt profesor Stanisław Ulam. Mówił o polskiej szkole matematycznej. Kiedy przewodniczący zagał dyskusję, wariat natychmiast zerwał się z krzesła i poprosił o głos. Wytrzeszczonymi oczami wpił się w profesora Ulama, żądając, by uczony złożył rachunek moralny za skonstruowanie bomby atomowej i zniszczenie Hiroszimy. Publiczność zaczęła protestować, zdenerwowany przewodniczący rozwiązał zebranie. Nie było mnie na odczyt, ale opowiedziano mi o tym przykrzym incydencie.

Stanisław Ulam, który od roku nie żyje, był skromnym i pełnym elegancji człowiekiem. Poznałem go w czasie mego pobytu w Nowym Jorku i polubiliśmy się. Teraz się zastanawiam, jak profesor Ulam powinien był odpowiedzieć na żenujące wystąpienie. Myślę, że jego odpowiedź mogła być mniej więcej taka: „Wiedzieliśmy, że pracujemy nad doniosłym odkryciem naukowym. Wiedzieliśmy także, iż to odkrycie kiedyś może spowodować kataklizm. Lecz wówczas przede wszystkim wiedzieliśmy, że nasz wynalazek przyczyni się do szybkiego zakończenia wojny. Nie wiedzieliśmy jeszcze, że skonstruowane przez nas narzędzie zagłady ocali cywilizację na dalsze kilkadziesiąt lat. Niestety, aby stało się to możliwe, konieczne było zniszczenie Hiroszimy. O czym również nie wiedzieliśmy”.

To brzmi strasznie. Gdyby dobitniej wyrazić tę myśl, należałoby stwierdzić, że zbrodnia popełniona na mieszkańcach japońskiego miasta była pożyteczna.

Zapisałem to, co myślę. Wprawdzie obawiam się, czy moja myśl nie jest zbyt potworna, ale jednocześnie wiem, że jest znacząca, bo tkwi w niej ogólne podejrzenie w stosunku do życia. W jego zasadzie, w samym jądrze losu kryje się paradoks. Najczęściej cyniczny lub pełen ironii, niekiedy monsturalny. Wszelkie rozumowe przewidywanie jest zawodne, mechanizmy przypadków nie zdają się potwierdzać reguł etycznych. Nie wiemy dlaczego i jak zło obróci się w dobro i odwrotnie, w jaki sposób i o jakim czasie skutki zaprzeczają przyczynom. Czy życiem na ziemi kierują stałe prawa, wyznaczone w celu zachowania ludzkiego gatunku, czy też jego zniszczenia, nawet tego nie wiemy. Przymuszalnie mają słuszność fideiści — modlitwa i wiara w niezbadane wyroki Opatrzności to najlepsze wyjście z niewiadomych obrotów Wszechrzeczy. Ale jeśli człowiek chce myśleć, jeżeli stawia pytania i pragnie odpowiedzi... niestety, będzie skazany na wieczną niepewność. Którą wolę od religijnej pewności. Panie Zastępów, wybacz te słowa niewierzącemu w Kościół Powszechny chrześcijaninowi.

Chirurg dr Roux wyznaczył datę mojej operacji w szpitalu Cochin na 14 maja. Od kilku miesięcy stale już chodzę o lasce. Młode kobiety ustępują mi miejsca w autobusie. M. zauważyła: — Siadasz tylko wtedy, jak jest brzydka.

### lipiec-wrzesień

Operacja polegała na zastąpieniu zużytego biodra kawałkiem metalu i gałką ze sztucznego tworzywa. Doktor Roux wykonał to w ciągu dwóch godzin. Przez czas mego pobytu w szpitalu mieszkał u nas JMR, który przyjechał na kilka tygodni z Warszawy. W szpitalu Cochin byłem dwadzieścia jeden dni. Zrobiłem trochę notatek i nieraz kilka zapisanych zdań urzędowało mi cały dzień. Byłem spokojny, nie pragnąłem niczego więcej. Taki jest mój zawód i to jest dobro mojego zawodu. Jedna notatka dotyczyła *Miesiący*: „O czym są *Miesiące* naprawdę. O dwojgu ludziach, którzy za blisko związali się ze sobą i wiedzą, że wkrótce będą musieli się rozstać”. Notatki zacząłem robić dopiero po operacji, najczęściej nocą. O samej operacji nie mam wiele do opowiedzenia.

Palenie rzuciłem nie zaraz po operacji, lecz dopiero w sześć tygodni później. W połowie czerwca wysłano mnie do ośrodka reedukacyjnego w Villiers-Saint-Denis. M. udało się załatwić dla siebie w tym samym ośrodku skierowanie do pawilonu kardiologii, pojechaliśmy więc razem. Jest to kilkusethektarowa posiadłość w Szampanii, z siedemnastowiecznym pałacem i pawilonami

rozieszczonymi w starym parku. Chodziłem o kulach (mówi tu się o nich *cannes anglaises*) na ćwiczenia reedukacyjne. Przed obiadem godzina w wielkiej sali gimnastycznej z mnóstwem przyrządów, po południu godzina na basenie w podziemiu. Woda miała temperaturę 35 stopni. Po rozebraniu się w szatni i ciepłym natrysku dwadzieścia postaci sunęło gęsiego, o kulach i boso, w pelerynach z białego płótna zawiązanych na supełek z przodu. Przeważnie siwi mężczyźni i brzydkie kobiety. Wchodziło się w upał. Basen był ogromny, poprzedzielany błyszczącymi poręczami na przegrody o różnych głębokościach i oświetlony jarzeniowym światłem. Przed wejściem do wody zostawiało się peleryny i kule, po czym trzeba już było trzymać się poręczy. Przy samym basenie czuwali *kinés* w białych kitlach i spodniach. Pedałowałem i ćwiczyłem nożyce, zanurzony po szyję w nagrzanej wodzie. Piątego dnia po kwadransie ćwiczeń poczułem ból w klatce piersiowej. Dobywał się jakby spod przepony, zarazem ściskający i rozsadzający. Czułem jak blednę. Wyszedłem z wody trzymając się poręczy. Było mi słabo, traciłem oddech. Pacjent z sąsiedniej przegrody zapytał: — Tak wcześniej? — Odpowiedziałem, że niezbyt dobrze się czuję, pewnie żołądkowa przypadłość, ale pomyślałem: zawał. Objawy zawału znam z licznych relacji, a te były typowe. Ból promieniujący spomiędzy żeber na przestrzał do pleców i uczucie duszności. Dawniej mówiono dusznica bolesna, była to lepsza nazwa niż choroba naczyń wieńcowych. Wiedziałem, że trzeba się położyć na wznak. Byłe dojść do szatni. Jedna z *kinés*, Marokanka, objęła mnie wpół, ktoś zarzucał mi już prześcieradło na ramiona, ktoś inny wołał: — Wezwać lekarza, szybko! — Doprowadzono mnie do szatni, tam usiadłem i powiedziałem, że zaraz mi przejdzie. Ładna Marokanka ocierała mi pot z twarzy szepcząc: — Boże, jaki on biały... — Nie czułem przerażenia, raczej zażenowanie, że umieram w nieco groteskowych okolicznościach i że M. o tym nie wie. Byliśmy umówieni na 4-tą u mnie w pokoju.

Chciałbym powtórzyć: w szatni miałem prawie pewność, że umieram. Na swoje konto dodatnie mógłbym zapisać, że się nie bałem i więcej martwiłem się o M. niż o siebie. Mówię „prawie pewność”, bo jednocześnie liczyłem się z tym, że wyjdę z zawału i przeżyję. I jakkolwiek może się to wydać dziwne, w owej groźnej sytuacji rozpaczą napełniała mnie myśl o naszym dalszym życiu, wstrząśniętym i wywróconym przez moją chorobę. W rozpacz przebłyskiwała nadzieja, że jednak umrę i nie będę już miał żadnych obowiązków. Piszę o tym z dokładną świadomością, bo mimo iż ból mnie skręcał rejestrowałem w pamięci swoje reakcje psychologiczne, które poniekąd mnie dziwiły. Choćby to, że rozmawiając z otaczającymi mnie osobami przez cały czas uważałem, aby nie robić błędów językowych i w którejs

chwili dysząc spytałem młodego lekarza, czy należy mówić *un malaise* czy *une malaise*.

Podobno byłem koloru prześcieradła, cały, z uszami i stopami włącznie. Ułożono mnie na stole do ćwiczeń gimnastycznych, wokół mnie zebrało się pięciu lekarzy, w tym jeden Murzyn, i stałoko pielęgniarzek. Powiedziałem do doktora Cabanal, że scena przypomina *Lekcję anatomii* Rembrandta, ale nie wiem, czy rozumiał. Przy czym zdawałem sobie sprawę z tego, że jeżeli ból trochę jeszcze się zwiększy, stracę przytomność i serce może mi pęknąć; dręczyłem się więc, że M., kiedy nie zastanie mnie w pokoju, przyjdzie tu i zobaczy mnie leżącego na stole. A równocześnie, przez sekundę i jakby pod spodem, ulga na myśl o uwolnieniu się od siebie.

(Moje zachowanie i reakcje były objawami zagrożenia nagłego i nieoczekiwanego, gdyby jednak sprawy miały się inaczej, gdyby — na przykład — lekarz pewnego dnia mi oznajmił, iż pozostało mi trzy miesiące życia... tu nie wiem nic, każda próba wyobrażenia sobie własnej psychologii w takich okolicznościach — zawodzi).

Nie zastała mnie w pokoju, więc zeszła na dół. Sądziła, że spotka mnie przy wyjściu z basenu, koło windy. Zatrzymał ją młody lekarz, który właśnie zrobił mi elektrokardiogram. Kiedy weszła, odzyskałem już kolor i żartowałem z pielęgniarkami. Elektrokardiogram nie wykazał zawału ani oznak choroby wieńcowej. Robiono mi go dwukrotnie. M. stała obok doktora Cabanala. Stwierdziłem nie po raz pierwszy, że głęboki wstrząs nerwowy powoduje u niej zniecieruchomienie twarzy, która wtedy traci wyraz, jak gdyby oczom ubywało światła. Ten sam brak wyrazu twarzy zaobserwowałem u niej na dwóch pogrzebach, to jej odruchowa maska.

Rzecz nie wyjaśniła się do dzisiaj. Mikroskopijny skrzep w płucach? nagły ucisk przepony w rozgrzanej wodzie? czy jednak *angina pectoris*? No, to się okaże. W początku września zrobią mi w Hôpital Necker elektrokardiogram wysiłkowy.

W obydwóch szpitalach zetknąłem się ze średnią Francją, z Francją nauczycieli, urzędników, drobnych przedsiębiorców, mocno już tkniętą napływami ludności z dawnych kolonii. Moim sąsiadem w Villiers był Mohammed Badji, murarz, emigrant z Algierii, spokojny, łagodny człowiek. Gdy na skutek przygody w basenie leżałem pod kroplówką z glukozą, pan Badji siedział patrząc na mnie smutno i powtarzając: — Nie jestem zadowolony... Nie jestem zadowolony... — W obu szpitalach przekonałem się, że w tym kraju postępuje „cichy socjalizm” i każdy człowiek jest tu chroniony przez opiekę społeczną dużo lepiej niż w Polsce. Spotykałem różnych ludzi. Byli dla mnie uprzejmi, sto razy na dzień słyszałem *comment ça va, merci, excusez-moi, bon après-*

*midi*. O tym że pod francuską grzecznością może się kryć obojętność, bezwzględność, a czasami brutalność, nie należy wątpić. Zamożni rodzice pożyczający swoim dorosłym dzieciom pieniądze na procent, takie fakty we Francji są na porządku dziennym. W Polsce o podobnych wypadkach nie słyszałem, trudno nawet je sobie wyobrazić, i to jest jeden z miłych skutków historycznego niedorozwoju mieszczaństwa. Natomiast w mojej ojczyźnie, gdzie ludzie są rozdrażnieni, formalna grzeczność nie jest przestrzegana. Ilekroć M. po kupieniu pieczywa w spółdzielni mówiła „dziękuję”, patrzono na nią jak na osobę niespełna rozumu.

Lubię tę średnią Francję. Podoba mi się jak mówią i jedzą, jak wysiadają na tarasach kawiarni przy placu Bastylli albo koło Denfert-Rochereau. Mam wrażenie, że potrzebują mniej narkotyków niż Amerykanie. Odziedziczyli kulturę życia i mimo narzekania na tempo współczesnej cywilizacji umieją jeszcze żyć powoli. Nigdzie tak często nie widywałem starych par małżeńskich grających ze sobą codziennie po południu w karty. Tutaj przez kilka wieków arystokratyczne nieroby przynajmniej nauczyły ludzi, jak spędzać wolny czas.

W Villiers przy sześciuosobowym stole w wielkiej jadalni rozmawiano przeważnie o jedzeniu i chorobach. Kilkakrotnie próbowałem narzucić inny styl rozmów, za każdym razem bezowocnie. Gdy któregoś dnia zauważyłem w czasie kolacji, że widok dwuszeregu pacjentów z rękami i nogami w gipsie, siedzących na wózkach przed opancerzonym wejściem do windy, przypomina sceny z filmów Bunuela — nikt się nie odezwał. Po chwili ktoś mnie poprosił o musztardę. Moi współstołownicy byli uważni na najmniejszy gest czy spojrzenie sąsiada i nadzwyczaj dyskretni. Przez cały pobyt w Villiers nie pytano mnie o zawód, wiek ani narodowość. Raz tylko w parku na ławce przysiadł się do mnie siwiejący mężczyzna w okularach, także o dwóch laskach, i bez wstępów oznajmił, że jest kompletnie głuchy; po czym zażądał, abym mówił powoli i wyraźnie, gdyż rozpoznaje słowa jedynie po ruchach ust. A kiedy wypowiedziałem dobitnie parę zdań o pogodzie, rzekł wpatrzony w moje wargi: — *Vous avez un petit accent*. — Był to poeta z grupy lettrystów; żeby przezwyciężyć głuchotę, ćwiczył latami umiejętność słuchania wzrokiem.

Przybyszewski: za życia geniusz, nadczłowiek, sławny w świecie, modlili się do niego. Dziś nie da się go czytać ani wystawiać.

Zeromski: miał pogrzeb jak monarcha, był wieszczem niepodległościowego pokolenia. Po śmierci już trzecie pokolenie kpi sobie z niego.

Norwid: odtrącony przez współczesnych, umarł w przytułku dla starców, dzisiaj jest czwartym wieszczem.

Witkacy: za życia uznawany przez nielicznych, dla większości szarlatan, dyletant, półwariat, jego sztuki padały po kilku przedstawieniach, dziś genialny prekursor, sławny w świecie.

Boy: mędrzec, instytucja społeczno-kulturalna, symbol walki z ciemnogrodem, formował świadomość polskiej inteligencji, wielbiony lub nienawidzony. Dziś intelektualści nim gardzą.

Wat: zdawało się, raczej postać literacka niż twórca, komunizujący futurysta bez dorobku, później omal nie zamęczony przez komunizm, dziś w aurze legendy jako poeta, myśliciel i człowiek.

Więc co: skoro ta przewrotna gra narusza moje pojęcia o dobrych obyczajach, trzeba sobie wymyślić inną grę, własną grę ze sobą o siebie.

Z lektur: *Dziennik* Micheleta. Ten wspinały człowiek nie potrafił zrobić z siebie głównej postaci dzieła. Marnuje dziesiątki stronnic na drobiazgowo relacje o chorobie kiszek dręczącej jego żonę. Szukałem śladów przyjaźni z Mickiewiczem. Znalazłem tylko krótkie wzmianki: „Mickiewicz o 5-tej”, albo: „O 5-tej u Mickiewicza”.

Na lewym brzegu chodzą rodziny Skandynawów. Wysokie, długonogie matki, młodzi ojcowie w obcisłych spodniach z żaglowego płótna, dzieci niesione w torbach na plecach lub piersiach. Wszyscy mają różowe twarze i białe włosy, a w oczach spokojny błękit. Sowieckie łodzie podwodne przypluwają pod ich domy. Za tydzień wybieram się do Centre du Dialogue na odczyt Stefana Kisielewskiego pod tytułem „Czy Europa musi zginąć?”.

Po śmierci Witolda Wirpszy napisałem w liście do jego syna: „Zmniejsza się i ubożeje nasz świat. Jest jakaś pociecha w tym, że wy będziecie go kontynuować”.

Nieprawda. To nie jest żadna pociecha.

### październik

Od dziś znowu piszę po przerwie. Zaczęło już grać w kaloryferach, ale pierwsze dni października są tak ciepłe, że na noc wyłączam. Lektury: *Europejczycy* Jamesa i pamiętnik Las Cases'a pisany na Św. Helenie. Pojechałem do agencji IBERIA na Avenue Montaigne, zwolniłem miejsce w samolocie do Madrytu i lekki wróciłem do domu autobusem z przystanku na placu Alma niedaleko pomnika Mickiewicza. Przedtem wysłałem list do biura kongresu. Autobus był wewnątrz rozgrzany, mijał po drodze tarasy pełne ludzi siedzących w rzędach jak w teatrze i zwróconych twarzami do słońca. U stóp jasnokamiennej wieży Saint-Jacques kręci się rokokowo-secesyjna, białoróżowozłota karuzela w kształcie pagody. To miasto bezustannie się reżyseruje. Wieczorem karuzela zapala się jak lampa. Przez cztery dni był Gor-

baczow, nowy sekretarz generalny partii ZSSR. Pokazywali go w telewizji, udzielili wywiadu, przemawiał. Ktoś powiedział: taki sam pies i tak samo szczeka, tylko inaczej szczyrzy zęby. O tym, że Gorbaczow się uśmiecha, paryscy spikerzy mówią z pełnym wzruszenia zachwytem. Wiele się też pisze o tym, że wyszedł ze szkoły KGB, najpotężniejszej policji świata. Jeśli się okaże wybitny, potwierdzi to moją teorię, według której najbardziej utalentowani Rosjanie, tacy jak niegdyś Tołstoj, Dostojewski, Gogol, dzisiaj nie stają się pisarzami, lecz wstępują do KGB, gdzie możliwości dla talentów są bez porównania większe niż w sowieckiej literaturze. Niski, krępy, z łysiną, Gorbaczow fizycznie jest doskonałym egzemplarzem gatunku *homo sovieticus*, włącznie ze stałą w oku, kiedy mówi: *Sawietiskij Sajuz...* Przyjechał z żoną, o której tutejsi dziennikarze piszą w upojeniu, że jest szczupłą.

Z pamiętników Las Cases'a dowiedziałem się o niektórych mało znanych pomysłach Napoleona. W czasie pobytu na Św. Helenie mówił, iż żałuje kilku swoich nieureczywistnionych projektów. Jednym z nich były obozy pracy przymusowej dla jeńców wojennych. Twierdził, że jeńca nie może spotkać nic bardziej zbawiennego niż praca na świeżym powietrzu, roboty ziemne, budowa mostów... Był niewątpliwym prekursorem. Marzył o państwie totalnej demokracji, w którym życie społeczne zastąpiłaby armia. Rzemiosło, sądy, szkoły, przemysł, medycyna — wszystko powinno stać się formacjami militarnymi, podobnie jak artyleria czy saperzy. Jego umiłowanym wzorem żołnierza był rzymski legionista, który miał w tornistrze ręczny młyn do mielenia zboża i sam wypiekał sobie chleb. Na Św. Helenie wygłaszał monologi w szlafroku, z głową owiniętą ręcznikiem, chodząc po pokoju o zwisających tapetach, spleśniałych z wilgoci. Raz z jego kapelusza leżącego na stole wyskoczył szczur. Monologował także w czasie posiłków. Kiedyś przy kolacji wypowiedział się o sprawach rosyjskich. Twierdził, że Rosji nie można podbić, bo jest za rozległa, natomiast Rosja z łatwością mogłaby podbić Europę. Mówił, że jeśli władzę nad tym imperium obejmie mądry i energiczny cesarz, to w ciągu miesiąca armia rosyjska dojdzie do Calais. Dziwił się, że to się jeszcze nie stało, i dawał do zrozumienia, że on by tak postąpił. Gdy zapytano go w jakim celu, odpowiedział z uśmiechem: — Żeby zmienić porządek świata. — Po kolacji do późna w nocy czytał na głos dramaty Eurypidesa, napominając słuchaczy, aby nie zasypiali.

Przed wieczorem telefonowałem do Mariana. Znow to samo wrażenie braku odległości. Po kilku zdaniach przeprosił mnie — musiał otworzyć komuś drzwi — i usłyszałem jak mówi: — Wejdźcie, siadajcie, rozmawiam właśnie z bratem... — Potem zbliżające się głosy: — Może przeszkadzamy? — i jakby skrzywienie podłogi, przysuwanie krzesel... O półtora tysiąca kilo-

metrów, w mieszkaniu na Marszałkowskiej. To niemal seans spirytystyczny. I raptem przelatuje przeze mnie lęk. Ale czy to jest odpowiedni wyraz — lęk? Chciałoby się wynaleźć nowe słowo, które by oddało istotę tego wzdrygnięcia, tej nerwicy oddalenia. Nagle poczułem cały niepokój bycia tutaj i nie bycia tam, obawę przed wszystkim i niczym, którą w rozmowie z M. nazwałem kiedyś emigracją, a która musi być podobna do wiecznego strachu kaleki przed poślizgnięciem na gładkim parkiecie (nasuwają się też inne skojarzenia: jazda bez biletu, teatr, w którym siedzi się na cudzym miejscu), i wskutek niej Polska jawi się chwilami jak ciepły przytułek. Kiedy dzwoniłem, Halina była pewnie w swoim pokoju. Jest chora, parę tygodni temu ją operowano.

Widziałem jak ładna młoda kobieta zajechała na białym skuterze przed Franprix. Zostawiła skuter przy krawężniku i weszła do sklepu. Krótka ostrzyżona, z hełmem w rękę, spodnie opinały jej pełne uda. Nie było wiele czasu, aby jej się przyjrzeć, zauważyłem tylko, że miała szare, poważne oczy i w rysunku ust trochę smutku. W kilka minut później spostrzegłem jak uciekała. Gonił ją niski kędzierzawy mężczyzna, drugi wypadł ze sklepu zaraz za nim. Biegła szybko, oddalając się od skutera i kołyszac biodrami, wciąż z hełmem w rękę. Na chodniku było tłoczno, zdawało się że jej nie dopadną i ten kędzierzawy właściciel już zrezygnował, ale drugi, wyższy, przebiegał się energicznie, skacząc i rozgarniając ludzi. Po chwili zobaczyłem jak wracali we troje, spokojnie, ona w swoim poważnym zamyśleniu, z hełmem przewieszonym przez ramię, dwaj mężczyźni z obu jej stron, nieco z tyłu. Razem weszli do Franprix bocznymi drzwiami. Dowiedziałem się potem, że ukradła dwie paczki kawy i myślę o niej z prawdziwym współczuciem, jakim nieczęsto obdarzam moich bliźnich, gdy popadają w tarapaty nie ze swojej winy. Trudno mi jednak znaleźć racje, które by mogły to współczucie uzasadnić. A zarazem myślę o niej z odrobiną wstrętu i chyba podobnie mieszane reakcje budziłyby widok nietoperza złapanego w siatkę na motyle. Po południu na kawie para z Warszawy, dwoje pracowników naukowych. Opowiadali o życiu w Polsce. Wracają za trzy tygodnie, mówią: beznadziejność dusi — i mówią to z uśmiechem, by po chwili także z uśmiechem opowiedzieć o pielgrzymce studentów na Jasną Górę. Oboje mają krzyżyki zawieszane na szyi. Młodzież wędrująca drogami do obrazu Madonny z bliźną na policzku, przy dźwięku gitar i śpiewach, tak, to działa na imaginację: Słyszę: Zachód jest zmaterializowany, czy pan nie uważa, że nagromadzenie takiej masy towarów to nieprzyzwoitość? Nie, tu się nie uważa masy towarowej za nieprzyzwoitą... — urywam, bo wiem, że w roli znawcy wolnego rynku będę nieporadny. Zresztą rozmowa przeskakuje na gazetki

podziemne, wymieniają tytuły i nazwiska, oboje zapalają się, potem o grobie zamęczonego księdza i biciu w więzieniach. Rozumiem, że ich nie obchodzi Zachód ze swymi problemami, tylko tamten odpływający od Europy kawał ziemi, na którym osiadą za trzy tygodnie. I myślę, czy kiedyś nastąpi tam wybuch mistycyzmu i zabrzmi spór z Bogiem. Bo to, co jest dzisiaj narodowe w Polsce, wydaje mi się stąd bardziej dewocyjne niż mistyczne.

W każdej liturgii wypowiada się słowa i wykonuje gesty, które wprawiają mnie w zażenowanie, ponieważ nie wiążą mnie z nimi głębokie przeżycia i nie odczuwam ich potrzeby, tych słów i gestów. To jest nieblahe pytanie, czy niewierzący w Przemienienie powinni klęczeć w chwili spełniania się Ofiary. Stoję wtedy z pochyloną głową, chcąc uszanować cudze uczucia religijne, a jednocześnie zaznaczyć, że jeśli ich doznaję, to w innych okolicznościach i w inny sposób. Zbiorowy obrzęd jest dla mnie widowiskiem — pięknym, jak nieraz msze w kościołach lub chóry synagogalne, ale nie potrafię uczestniczyć w Tajemnicy, jestem tylko widzem. Wszelka obrzędowość zawsze miała dla mnie cechy naiwne i może dlatego najlepiej mieściła się w folklorze: w wiejskim kościółku bądź w żydowskim miasteczku. Dziwiło mnie natomiast, że profesor uniwersytetu żegna się dłonią umoczoną w wodzie święconej lub nakłada masoński fartuszek. Również dzisiaj wydaje mi się to niezupełnie zrozumiałe i pytam w myśli: po co? czy ludziom dla utwierdzenia w sobie własnych przekonań naprawdę są niezbędne zbiorowe ruchy i znaki? W latach gdy należałem do studenckiej organizacji lewicowej, a później do partii komunistycznej, nieodmiennie czułem skrepowanie w chwili kiedy intonowano wspólny śpiew — *Czerwonego Sztandaru* albo *Międzynarodówki* — bo zbiorowy śpiew, zwłaszcza męski, nieco mnie śmieszył i przypominał szkołę. W okresie Solidarności, gdy po każdym zgromadzeniu śpiewano *Boże coś Polskę*, przeżywałem zbliżone uczucia. Myślę, czy ludziom mądrym i odważnym wspólny śpiew istotnie jest potrzebny. Dziś w Polsce brzmią pieśni w kościołach, nad grobami i na drogach pielgrzymek. Telewizja francuska dość często pokazuje wnętrza kościelne wypełnione śpiewającym tłumem i to jest już niemal obowiązkowy szablon, tak się Francuzom przedstawia współczesny polski folklor. Ale ja w tym śpiewającym tłumie dostrzegam twarze intelektualistów, dla mnie to nie jest folklor. Naturalnie, zdaję sobie sprawę z wszystkich przyczyn, jakie doprowadziły do wzrostu praktyk religijnych wśród inteligencji. A jednak zastanawiam się: co będzie dalej, co będzie z myśleniem, co z życiem umysłowym — czy „drugi chrzest Polski” nie uczyni z Polaków narodu odprawiającego swoje patriotyczno-religijne obrzędy i nie rozumiejącego spraw świata.

W czasie nabożeństw studenci śpiewają pieśni konfederatów

barskich. Jest w nich staropolska nieforemność języka i czysty, przejmujący ton. Śpiewali je Rycerze Maryji przeszło dwieście lat temu w pierwszym z polskich powstań narodowych. Rycerze Maryji to była dzielna, poczciwa młodzież szlachecka, nienawidząca Rosji i Familii z narzuconym przez nie królem Ciołkiem. Rycerze Maryji nienawidzili także reform społeczno-politycznych. Bronili złotej wolności wraz z *liberum veto* i czuli najgłębszy wstręt do wszystkiego, co zostało później nazwane polskim Oświeceniem. Pod względem umysłowym Konfederacja Barska była katastrofą. Bohaterską katastrofą. Konstytucja 3 Maja wyszła z obozu jej wrogów, ze stronnictwa reform. Potem nadszła Targowica. W jednej z rozmów paryskich Mickiewicz, gdy towarzystwo potępiało Targowicę w zgodnym oburzeniu, przypomniał że wśród szlachty, która ją poparła, było wielu dawnych konfederatów barskich, szczerze przekonanych, że nadal bronią patriotycznych i religijnych swobód. Byli to ówcześni Prawdziwi Polacy.

Wielu dawnych konfederatów barskich walczyło przeciw Targowicy i w Powstaniu Kościuszkowskim, a przedtem, jak Pułaski, w wojnie o niepodległość Ameryki Północnej (to jakby dzisiaj Bujak nagle się objawił w Salwadorze na czele lewicowej partyzantki). Zagmatwane są polskie dzieje i tym bardziej upiększa się je retuszami, usuwając to co nietwarzowe. Dziś nietwarzowe jest czerwień, *czerwony* oznacza śmiesznego diabła, reżim sowieckich agentów. Tej barwy nie da się jednak z polskiej historii wywabić, bo byli czerwoni Styczniowcy i czerwony sztandar PPS. W roku 1945 była czerwona łódzka *Kuźnica*, która wzięła nazwę po Kołłątajowskiej. Na tej łódzkiej *Kuźnicy* wychowywało się pokolenie, które niebawem — jak Kołakowski i inni — odrzuciło marksizm, a jej roczniki po latach wertował z przejściem Adam Michnik.

Piszę tu o gestach liturgicznych, o śpiewach i znakach. W moich latach uniwersyteckich nieraz przed południem szedłem w pochodzie, wznosząc z zaciśniętą pięścią okrzyki przeciw faszyzmowi, a po południu u państwa Zenowiczów odstukiwałem w niemalowane drzewo, ilekroć w rozmowie nieopatrznie wymknęło mi się beztróskie słówko. Rodzice M. byli przesądni. Obydwa gesty — zaciśnięta pięść i stuknięcie knykiem — miały na celu odpędzenie złych mocy. Pierwszego nauczyłem się od socjalistów, drugiego od Zenowiczów. Znakiem krzyża w domu M. kreślono się jedynie w chwilach doniosłych, w chorobie albo przed podróżą, i również to sobie przyswoiłem. Kiedy osiem lat temu przywoziłem M. z zachodniego Berlina na operację do Warszawy, położono ją w trzyosobowym pokoju ze starszą panią, Wilnianką, i robotnicą z Ursusa. Przed operacją zjawił się ksiądz pełniący w szpitalu kapłańskie obowiązki. M. uprzejmie odmówiła spo-



wiedzi. Ksiądz nie okazał się dobrym psychologiem: zaczął ją straszyć piekłem, dając do zrozumienia, że operacja jest poważna. Wówczas M. jeszcze uprzejmiej odmówiła. W tydzień po operacji, myjąc się w łazience przyległej do pokoju, usłyszała jak robotnica z Ursusa przemawia do starszej pani z Wilna: — Co mi tam pani mówi „niewierzająca”? Żydowica i tyle. A on nie. Bo jak ją wieźli na operację, to ją przeżegnał.

W małym normandzkim kościele, w ścianie kaplicy jest wmurowana płyta ku czci okolicznego *seigneur'a*, który w XVII wieku zapoczątkował eksport perszeronów do Kanady. W kościółku na Podhalu nie byłoby łatwo wmurować tablicę upamiętniającą zasłużonego hodowcę baranów. Odwieczne i nieprzyzwoite zmaturalizowanie Zachodu... Dlaczego akurat teraz mi się to przypomina, nie mam pojęcia. Pisałem o zbiorowych gestach. Kiedy wykonują je wszyscy razem i jednocześnie, „nie jestem zadowolony”, jak mówił w szpitalu pan Badji. Na szczęście w Polsce narodowy humorek często pokrapia symbole i wygasza patos. W zeszłym roku kilkaset osób zebranych przed kościołem na Żoliborzu witało Adama Michnika, który tylko co wyszedł z celi. Wznoszono okrzyki na jego cześć, Michnik był trochę zmieszany. — Adaś, pokaż zajęcia... — szepnął wówczas ksiądz Popiełuszko. W polskim alfabecie podobno nie ma znaku zwycięstwa, za to w mazowieckim pejzażu jest zajac. Cóż to za scena. Płomienny inteligencki synek z polsko-żydowsko-marksistowskiej rodziny i żarliwy kapłan, syn chłopski, złączeni wspólną wiarą i dowcipem, obaj z *dawnych bohaterów*. Dzisiaj jeden znów jest w celi, a drugi, męczennik, w grobie przed tym samym kościołem. „Wszystkie nasze dzienne sprawy...”, śpiewaliśmy w klasie. Takie są polskie dzienne sprawy. Wypełniając tu w różnych formularzach rubrykę *nationalité*, wpisuję *polonaise* i przez chwilę się zamyślam. Od dawna utożsamiam moją narodowość z przynależnością do polskiej inteligencji, a ściślej do jej części wyzwolonej z nienawiści i przesądów. Nazywano ją kiedyś postępową. Była to — i może jest nadal — jakby osobna społeczność w narodzie, o własnych obyczajach, sposobie odczuwania i myślenia. „Solidarność” znacznie poszerzyła moje pojęcia o tej społeczności, zetknąłem się z inteligencją katolicką i z typem inteligenta-robotnika. W owym czasie wiele spraw się odsłoniło, różnych, dobrych i mniej dobrych. W zadumie nad formularzem zadaję sobie pytanie, jak określiłaby moją narodowość robotnica z Ursusa, albo działacz Ruchu Młodej Polski czy Konfederacji Polski Niepodległej, jak określiłby ją urzędnik prokuratury generalnej lub major wojska polskiego — jak by ją określili, gdyby zapoznali się z wszystkimi moimi poglądami i metrykami rodzinnymi. Dowiedziałem się z prasy emigracyjnej, że korespondent warszawski *New York Times'a* zapytał na konferencji prasowej rzecznika rządu, czy

uważa za słuszne, że na procesie Adama Michnika w Gdańsku określono go jako obywatela polskiego narodowości żydowskiej, gdy tymczasem Michnik sam określa swoją narodowość jako polską. Rzecznik rządu wyjaśnił: — Nie potrafisz odpowiedzieć na pytanie, czy każdy obywatel polski ma prawo sam określać swoją narodowość, czy też uznaje się narodowość za fakt obiektywny. — Po czym zwrócił się do korespondenta: — Czy pan, panie Kaufmann, uważa to za rzecz uwłaczającą? — Aby w pełni odczuć demonizm tej scenki, trzeba by wiedzieć, że nie tylko Michnik jest Żydem z pochodzenia, i nie tylko korespondent *New York Times'a*, lecz również rzecznik rządu.

Gdybym umiał się modlić, tak bym się pomodlił: „Panie, moją ojczyzną wolną są ludzie uznający moją narodowość, którą sam określiłem, moja ojczyzna jest tam, gdzie wolno mi wypowiadać moje własne, indywidualne słowa i wykonywać moje własne, prywatne gesty”.

### listopad

Prawdopodobnie obecną misją polityczną *Twórczości* jest stwarzanie wrażenia, że literatura w kraju prosperuje normalnie, że nic się nie stało cztery lata temu w grudniu, a jeśli ktoś ubył, to znaczy że nie miał wybitnej rangi. Kilka poważnych nazwisk autorskich w numerze jubileuszowym zdaje się potwierdzać ów stan rzeczy. Jednakże w numerze brak wielu innych ważnych nazwisk — pisarzy, którzy od lat drukowali swoje utwory w *Twórczości*, a teraz drukować w niej nie chcą. Zasypywanie rowu nie idzie tak łatwo, wbrew pozorom. Używam tego określenia, „zasypywanie rowu”, bo użyto go wielokrotnie w trakcie chaotycznej dyskusji, jaka odbyła się tutaj w prywatnym mieszkaniu, bodaj jeszcze we wrześniu, z udziałem około trzydziestu osób. Takie dyskusje urządzi się co pewien czas, zwykle z okazji czyjegoś przyjazdu z kraju. Tym razem przyjechał znany dziennikarz, były członek zespołu *Polityki*. Wyszedłem z tego spotkania poirytowany, zwyczajnie mówiąc: wściekły, gdyż przez trzy godziny trwało coś w rodzaju sejmiku, z przekrzykiwaniem się, z nedorzecznymi pytaniami i wnioskami. Jakiś nietrzeźwy mężczyzna bezustannie przerywał mówcom, domagając się, aby każdy z dyskutantów wymieniał swoje nazwisko i zawód (nie wszyscy mieli ochotę, bo na takich zebraniach są również osoby z kraju i te często wolą zachować *incognito*). Ktoś inny natarczywie dowiadywał się o przyczyny rozpadu życia małżeńskiego pewnej osobistości politycznej. Pod koniec część zebranych wyniosła się do przyległej kuchni, gdzie opróżniono lodówkę gospodarzy, i dysku-

sję uniemożliwiły odgłosy wesołej pijatyki, którą przyciszano okrzykami: — Hej, trockiści, uspokójcie się!... — Miałem uczucie, że wróciłem do PRL i znowu tkwię w niechlujnym bezsensie. Na początku jednak w pytaniach często się przewijał temat „zasypany rowu”. Kilka osób wyraziło niepokój, czy rów dzielący władzę od społeczeństwa nie staje się płytszy, czy nie zasypują go ludzie skłonni do kompromisów i zamazywania różnic. Wymieniono parę nazwisk, mowa była także o kabarecie „Pod Egidą” i tygodniku *Polityka*, który nadal istnieje mimo opuszczenia redakcji przez znaczną część zespołu po 13 grudnia. Padały uwagi o reportażach i artykułach pozorujących krytykę reżimu, o pseudo-satyrze chłuszczącej rząd w salce, w której najlepsze miejsca rezerwuje się dla ministrów przydzielających mieszkania i samochody. I o innych przejawach zmiękczenia, pośredniczenia, przejednywania i tworzenia atmosfery „najlepszego ze światów”. Przypuszczalnie do rzędu tych zjawisk należy również *Twórczość* ze swoim eklektyzmem i apolityczną literackością (pałki nie mieszczą się w czystej sztuce). W pewnej chwili poprosiła o głos pani siedząca nieco z boku, przedstawivszy się jako lekarka z kraju. Sens jej uwag był taki: ludziom jest potrzebna do życia tkanka łączna — to, co nazwano tutaj „zasypaniem rowu”, często jest wypełnianiem próżni — jej znajomi rozchwytają nagrania kabaretu „Pod Egidą” — czy byłoby lepiej, gdyby podobne teatrzyki nie istniały? Osobę tę zakrzyczano.

Dopiero po powrocie z zebrania uświadomiłem sobie, że mimowoli została stwierdzona przez tę panią rzecz charakteryzująca lata codzienności w Polsce Ludowej. Zasypanie rowu, wypełnianie próżni... Właściwie od początku trzeba było zasypanie i wypełniać. Wszystko, co uważało się za normalne, ważne, rzeczywiste, w istocie tworzyło złudzenie normalności, a było ważne przez to, że zastępowało tkankę lub substancję, bez których nie istnieje życie. Życie wybuchało na krótko co kilkanaście lat, w październiku, w marcu, w sierpniu, po czym znowu wypełnialiśmy próżnię i zasypywaliśmy rów: rozmijając się z rzeczywistością, chodząc na Wiejską, opowiadając polityczne dowcipy, słuchając kabaretowych piosenek o małej stabilizacji, czytając *Politykę* — biorąc udział w grze. Tygodnik *Polityka*, zanim opuściła redakcję uczciwsza część zespołu, spełniał przez dwadzieścia pięć lat identyczną rolę w grze tworzenia pozorów obywatelskiego krytycyzmu, jaką spełnia dzisiaj. To samo dałoby się powiedzieć o scenie „Pod Egidą” z jej antyrządowymi kupletami. I przez wszystkie te lata — niestety — ludziom było to potrzebne. Było potrzebne zapełnianie pustki, pośredniczenie między fałszem a prawdą i zmiękczenie przeciwieństw, bo dla większości ludzi to był najlepszy sposób na życie, a może inaczej: najbardziej podobny do życia. Mówię o sposobie czy rodzaju istnienia

w systemie zamkniętym od góry i z zewnątrz. Ale mówiłem także o „uczciwszej części zespołu”. Dla życia — w najważniejszym znaczeniu tego słowa — jest konieczne, aby istniała uczciwsza część zespołu (z *Polityki* ta uczciwsza część przeszła do pisma związku niewidomych, w czym kryje się pewnie jakaś alegoria). Na razie obecna *Polityka*, w której wszystko polega na przemysłanym kłamstwie, ma swoją publiczność, najpewniej taką jak poprzednia: w systemie, który jest przekleństwem dla ludzi, publiczność zachowuje niektóre naturalne zwyczaje i odruchy, np. kupowania gazet. Być może powinienem jeszcze dodać, że cała ta gra, polegająca na tworzeniu zastępczego życia, nie byłaby do wytrzymania dla większości ludzi, gdyby nie zbiorowe poczucie, że nad ich głowami toczy się walka między dobrem a złem, która za jakiś czas spowoduje kolejny wybuch życia autentycznego.

Dziś nadeszły dwa listy bardzo *à propos*, jak gdyby aneksy do tych uwag. Jeden pisany w Nowym Jorku po występie dawnego kabaretu „Pod Egidą”, który przyjechał z kraju na całkowicie oficjalne amerykańskie *tournee*: „Ogromna sala była wypełniona po brzegi — dostawione krzesła. Dawno się tak nie śmiałem. Cała sala po prostu ryczała z radości, brawa nieomal po każdej kwestii. Po wyjściu Monika słusznie zauważyła, że właściwie należało płakać nad niedolą tego kraju, upodleniem, zakłamanem, zapiciem. Wszystko z czegośmy się śmieli — głęboko tragiczne”.

Drugi list przekazano mi z Warszawy: „Piszesz, że ciężko przeżywasz sprawy publiczne i pytasz, czy ja mam jakąś nadzieję. Na pozytywne przemiany w kraju, zwłaszcza zaś w niedalekiej przyszłości — nie mam. Ta, którą mam, dotyczy tego, co już jest i nie wygląda na to, żeby mogło zostać zdławione (przy obecnej skali terroru; bo, oczywiście, masowe mordy i wywózki na Sybir załatwiłyby wszystko, ale z kolei wątpię, czy się na to zdobędą). Chodzi mi o to 'drugie życie', które rozwinęło się w Polsce w o wiele szerszych niż 7-8 lat temu środowiskach i które dla wielu jest życiem pierwszym i nieomal że jedynym, mimo istnienia za oknem, w gazecie i telewizorze tego oficjalnego, ostentacyjnie obrzydliwego. Powstały takie związki międzyludzkie, takie 'struktury' (nie lubię tego słowa), takie uporczywe aspiracje i realizacje — w domach prywatnych, w kościołach, w sieci redakcyjno-wydawniczo-kolportażowej, w gronach zawodowych (np. plastyków, lekarzy, kolejarzy), i nie tylko w takich, że wprowadzie nie jest to w sumie 'państwo podziemne', ale jest 'inne życie', w którym tkwiąc można wytrzymać, a nawet można niekiedy czuć się szczęśliwym”.

Nie dość wyraźnie omówiłem tu sprawę mojego udziału w zasypaniu rowu. Powieść *Obywatele* i przedtem *Człowiek nie*

umiera, obydwie te książki były cegłami zamurówującymi próżnię. To, że *Obywateli* w roku 1954 naprawdę czytano, niczego nie zmienia. Już po roku w Szczecinie ktoś, kto chciał nabyć wiadro w spółdzielni, musiał równocześnie kupić moją książkę. Zawiodła mnie o tym żona znajomego plastyka w czasie wakacji nad morzem. Należałem do uczciwszej części zespołu, niemniej byłem przeświadczony, że rodzi się — w bólach — nowe, obywatelskie społeczeństwo. Nie będę tłumaczyć, jak to było i dlaczego tak było. Zaniepokojonych i spragnionych wyjaśnień mógłbym zapewnić, że uważam to za swoją winę, a także opowiedzieć dalszy ciąg. Bo jest istotne, co się później robi ze swoją winą. Parokrotnie jednak, kiedy dotknąłem tych spraw, przekonałem się, że ówczesnych mechanizmów psychologicznych nie da się dziś zanalizować tak, aby stały się możliwe do pojęcia dla studentów zainteresowanych niedawną przeszłością. W każdym razie, jeśli się do tej przeszłości wraca, nie można jej zbywać takimi epitetami jak „zdrada narodowa” lub „agenci Moskwy”. Lepiej używać zdań złożonych. Na przykład Kundera w kilku swoich esejach i wywiadach twierdził, że totalitaryzm to nie tylko piekło, lecz równocześnie sen o raj — stare marzenie o świecie, w którym wszyscy żyją połączeni wspólnym szczęściem i wiarą — i gdyby totalitaryzm nie eksploatował tych marzeń, tkwiących głęboko w nas wszystkich i zakorzenionych we wszystkich religiach, nie zdołałby przyciągnąć tylu wartościowych ludzi.

W Polsce mają nastąpić zmiany w rządzie po wyborach, których społeczeństwo nie wygrało. W pierwszą rocznicę śmierci na grób księdza Popiełuszki ściana dwadzieścia tysięcy ludzi (na pogrzebie było pół miliona). Słyszałem przez radio jak śpiewano nową pieśń: „Ojczyzno ma!...”. Był to potężny ryk, grzmot, zdawało się, że żywioł o takiej sile zdruzgotuje wszystko, co stanie mu na drodze, i przypuszczalnie to jest jedyne, czego rząd jeszcze się boi.

Szkice fabularne zarysowują mi się najczęściej w snach. Poprzedniej nocy zśliśmy z Marianem i z grupką francuskich elewów wojskowych w błękitnych kepi na jakąś rewię czy akademię. Szliśmy przez wiejski krajobraz, Marian bardzo młody i przedwojennie ubrany, w dużym beżowym kapeluszu, a obok nas milcząca dziewczynka w pelerynie prowadziła na smyczy psa, owczarka. Potem Marian zniknął, szukam go i nagle w dole, u podnóża góry, widzę stojącą małą figurkę matki. Zstępujemy z Marianem ze wzgórza, ostrożnie, żeby jej sylwetka się nie rozwiała. Za nami schodzi dziewczynka z psem. Raptem pies zrywa się ze smyczy i pędzi w dół wzniciając kłęby kurzu. Gdy kurzawa opadła, matki już nie było.

Cała młodsza część życia, ta spędzona z rodzicami, staje się coraz bardziej upoetyzowana i jakkolwiek nie zawsze była przy-

jemna, teraz nabrała cech baśniowych. Sen, który tu opisałem, stopniem fantastyczności i tajemniczym nastrojem niewiele się różni od moich wspomnień. Praca pamięci, ewokując prawdziwe fakty i sceny, wytwarza sentymentalną nadwartość; dzieciństwo, park, szkoła przemieniają się w niewiarygodne, bajeczne obrazy i czasami trudno wyznaczyć granicę pomiędzy myślą o przeszłości a snem. Przy czym zarówno w snach jak i wspomnieniach podlega się biblijnym przekazom, osoby matki, ojca i brata są podniesione do rzędu świętości, są Matką, Ojcem i Bratem. Obserwuję niemal z podziwem, jak — mimo trzeźwej i dość krytycznej pamięci — te wczesne lata ukazują mi się oczyszczone z wszystkiego, co nie jest potrzebne do bajki, i jak moje dzieciństwo, na mocy praw starszych i silniejszych ode mnie, wchodzi w psychosferę mitu. To jest nowe doświadczenie, chociaż można je było przewidzieć, bo zostało opisane. Podobno wszystko już było opisane, a jednak do końca jest zaskakujące i człowiekowi, któremu na starość przypaść los Króla Lira, nie ma co tłumaczyć, że dawno opisał to Szekspir.

Możliwe, że w późnym okresie życia przekracza się próg, za którym terażniejszość obojętnieje, a przeszłość staje się podwójnie frapująca. W Zaduszki pojechaliliśmy na cmentarz Montmartre, gdzie jest grób Stendhala. Na płycie leżało parę zakurzonych sztucznych kwiatów — widocznie czytelnicy *Czerwonego i czarnego* rzadko tu przychodzą. Pisał tę książkę niezbyt daleko stąd, na rue Richelieu, i chyba na tej samej ulicy w sklepie poraził go wylew mózgowy. Grób jest zaniedbany, tablicę z płaskorzeźbą ufundowali wielbiciele w pięćdziesiąt lat po jego śmierci. Próbowaliśmy wyobrazić sobie jego pogrzeb, na którym było mało osób. Długo nie mogłem odejść. Czułem to, co się zwykle przeżywa w takich razach: trochę przejęcia i smutku (nagrobek sprawiał wrażenie, że leży tu ktoś całkowicie zapomniany), daremny wysiłek, żeby usłyszeć czyjś głos sprzed półtora wieku, litość dla siebie i zmarłego, myśl o czasce, piszczelach, robakach... Nad grobem Stendhala doznałem ponadto uczucia zbliżonego do pocieszenia i nieoczekiwanej satysfakcji. Było to zdanie jak gdyby wyszeptane za moimi plecami: „dał się nabrać Napoleonowi...”. To, że taka myśl przyszła mi do głowy nad grobem autora *Pustelni Parmeńskiej*, może się wydać niestosowne, ale fakt pozostaje faktem: człowieka tak inteligentnego i nieskłonного do złudzeń urzekł bonapartyzm, włącznie z cesarstwem, tyranią i straszliwym przelewem krwi, uważanym przez niektórych historyków za ludobójstwo *avant la lettre*. W chwili upadku Napoleona Stendhal miał 32 lata. Był człowiekiem, który lubił życie. Odstawiwszy na bok paru gigantów, takich jak Dante czy Szekspir, pisarzy można by podzielić z grubsza i prywatnie na tych, co lubią życie, i na tych, w których życie budzi odrazę. Jednych od drugich

najlepiej odróżniają postacie kobiet w ich twórczości — panna de la Mole, panie Rênal i San Severina, każda z nich uosabia sympatię Stendhala do życia. Zdaje się, że ci, którzy czują sympatię do życia, łatwiej dają się nabierać despotom i prorokom. Przeczytałem niedawno tom esejów Orwella. Trudno w nich zauważyć ciepły stosunek do życia, ale z pewnością ich autor był pisarzem, który nie dał się nabrać. W czasie gdy intelektualisci ulegali zbiorowym psychozom, kiedy poetów hipnotyzowały dyktatury i komunizm, Orwell dostrzegał pozerskie fałszy i małości, przewidywał rzeczywiste niebezpieczeństwa i we wszystkim miał rację. Rzadko się zdarza, aby ktoś do tego stopnia się nie mylił, aby miał rację tak nieodpartą a zarazem wyrażoną w sposób tak spokojny i logiczny. W trakcie lektury zdawało mi się, że mówi do mnie komputer zaprogramowany na niesympatyczne prawdy o świecie. Przypuszczam, że Orwell był właśnie tak zaprogramowany — jakby natura uodporniła go na wszelkie iluzje i nadzieje, dając mu od urodzenia wiedzę o prawach życia. Niewielu autorów przekazało równie przygnębiający obraz swych lat szkolnych i niewielu wyciągnęło z nich tak zdecydowane wnioski: „Gdzieś od czternastego roku życia wierzyłem w Boga i w to, co o nim opowiadano. Ale świetnie zdawałem sobie sprawę, że Go nie kocham. Wręcz przeciwnie, nienawidziłem Go, tak jak nienawidziłem Jezusa i patriarchów hebrajskich. Jeśli miałem jakieś uczucia sympatii dla postaci ze Starego Testamentu, to dla takich ludzi jak Kain, Jezabela, Haman, Agag i Sysara. W Nowym Testamencie moimi przyjaciółmi, jeżeli ich w ogóle miałem, byli Ananiasz, Kaifasz, Judasz i Poncjusz Piłat”. Naturalnie takie wyznania o dziecięcych latach zazwyczaj są nieco żartobliwe i nie należy ich traktować dosłownie. Chyba jednak w tym przypadku wynikały z przeżytych doświadczeń. W szkole wstępnej St. Cyprian's kilkunastoletni chłopiec odkrył zasadę świata — przemoc wobec słabych i upokorzenie biednych. Nie sądzę, aby mały Orwell naprawdę nienawidził Jezusa, lecz najpewniej z tych lat pozostało mu zrozumienie nienawiści: rozumiał, czym są jej męczarnie. Również w tym względzie potrafił być obiektywny i mówić rzeczy przykre. W recenzji z *Mein Kampf*, pisanej w roku 1940, oświadczył, że nigdy nie udało mu się znienawidzić Hitlera, gdyż czuł w nim coś głęboko pociągającego. Tak pisał o jego fotografii: „Widać na niej żalostną psią twarz człowieka cierpiącego męki nie do zniesienia, podobną do twarzy Chrystusa ukrzyżowanego, lecz bardziej waleczną, i niewątpliwie Hitler sam siebie tak właśnie widzi. Można się tylko domyślać pierwotnej przyczyny jego osobistego żalu do świata; ale bez wątplenia żal ten w nim istnieje. Jest męczennikiem, ofiarą, Prometeuszem przykutym do skały, bohaterem, który poświęca się tocząc w pojedynkę nierówną walkę”. To nie oznacza, że Orwell kochał

Hitlera, to znaczy tylko, że rozumiał jego nienawiść (podobnie jak rozumiał wściekłość Céline'a i obrzydzenie Henry Millera). Może trzeba było rozumieć tak nieprzyjemne sprawy i mieć tyle odporności na sugestie i pokusy świata, aby napisać *Rok 1984*.

George Orwell był przenikliwym i nieugiętym człowiekiem. Pozostawił po sobie najgroźniejszą wizję nowoczesnej cywilizacji niewolniczej. Czytając jego książki zaczynam gwałtownie tęsknić za opisem letniej nocy w miasteczku Verrières, kiedy Julian w ciemności dotknął ręki pani de Rênal. Dawno temu w Mediolanie znajomy wydawca przekonywał mnie, że wizja Orwella nigdy się nie spełni, przeciw czemu oponowałem, powołując się na ówczesne osiągnięcia chińskie. Nie wiadomo, kto miał rację. Dobrze pamiętam tę rozmowę, ponieważ byłem wtedy w czarnym garniturze z błyszczącej i niezwykle cienkiej alpaki, zakupionym na bazarze w Rembertowie, i gdy w trakcie wymiany poglądów założyłem nogę na nogę, materiał pękł i z pęknięcia wyrzało moje nagie kolano.

Z docierających relacji o kraju nie wyłania się monumentalna wizja orwellowska. Francuskim intelektualistom katolickim, którzy byli niedawno w Polsce, częściej narzucały się analogie z reżimem vichystowskim we Francji. W opróżnione miejsca wlało się błoto, ludzie nędznego autoramentu objęli stanowiska w administrowanej nauce i kulturze. Po raz pierwszy od lat niemieckiej okupacji jest w użyciu termin *kolaborant*, a umundurowany szef państwa podobno wkrótce ma zostać marszałkiem.

Nie lubię źle wróżyć, obawiam się jednak, że większość społeczeństwa zacznie ulegać potrzebie życia i godzić się ze stanem rzeczy, jaki istnieje i jaki będzie istniał. Przyjmie życie zastępcze. Niejednej kabaretowej piosenki jeszcze posłuchamy, gdy *Żeby Polska była Polską* stanie się już hymnem PRON-u. Można się pocieszać tym, że lawa nie ostygnie i mniejszość będzie tworzyć własne zastępcze życie. Widocznie życie normalne nie jest w polskich obyczajach.

Kazimierz BRANDYS

## SPOTKANIE

Na ulicy w New Yorku  
Spotkałem Norwida  
I chociaż niesłem w twarzy  
Jego wiersze  
Nie spojrzął na mnie

Szedł lekko przygarbiony  
Niósł pod pachą swoje nieszczęście  
Jak stary dziurawy płaszcz

Otworzyłem usta  
Potem je zamknąłem  
Tak ryba wyrzucona na brzeg  
Daje znaki niebu  
W nadziei że to morze

I minąłem go w milczeniu  
Jak mija się czas już dawno miniony  
Rozmieniony na centy  
Złotówki krwawe ruble

Lecz przecież nawet  
Gdybym chwycił go za rękę  
Zimną jak lód  
Cóż bym mu powiedział

W kraju zmieniło się wiele  
I nie zmieniło się nic

W małym mazowieckim miasteczku  
Widziałem jak na rynku  
Wieszano na czerwonym transparencie  
Wiersz Norwida

New York, czerwiec 1985

STARY CMENTARZ  
W MONTMORENCY

Grób generała Kniaziewiczza  
Rozbity kopytem powietrza  
Obok Celina żona pana Adama

Wiersze

Tomasz JASTRUN

## CMENTARZE

Zostawiłem cmentarz  
Na którym nocują narodowe powstania  
Przychodzą tam starzy i młodzi  
I karmią je okruszkami chleba

Zostawiłem cmentarz  
Na którym leży mój ojciec  
Z książką zastygłą w dłoniach  
Podbiegam tam czasami  
By przewrócić mu kolejną stronę

I zostawiłem miasto  
Zakryte dymem  
To gdzieś tam fruwa mój syn  
Raz smutny raz wesoły  
Zielonooki mądry owad

I zostawiłem kraj  
(słowo ojczyzna nie mieści mi się już w gardle)  
Miejsce o nierównych brzegach  
Z pochylonym drzewem  
Nad którym zawisł nasz poczciwy sęp  
Trawożerny mazowiecki ptak

New York, czerwiec 1985

Z dziećmi zbyt starymi  
 Aby mogły chodzić  
 Dalej Norwid w roztrzęsionej gromadzie  
 Zębów kości i włosów  
 Pensjonariuszy domu św. Kazimierza  
 I z brzegu Olga Boznańska  
 Z wlepionym we mnie wzrokiem  
 Jasnowłosej dziewczynki

Na tym cmentarzu  
 Groby szepcą po polsku  
 Skarżą się na ceny  
 Które rosną w oczach  
 I na pogodę która od wieku  
 Nie do zniesienia

A tu śpiew francuskiego języka  
 Na pobliskiej ulicy  
 I ciągle zbiera się na burzę  
 Gwałtownego zapomnienia

Paryż, grudzień 1985

Tomasz JASTRUN

Leszek SZARUGA

## ODPOWIEDŹ

Czy mógłbym tutaj zostać (na Zachodzie)? Po co wracam (do Polski)? Wciąż te same pytania Na które nie odpowiadam. Zostać? Wracać? I tak się nie wymknę Swojemu losowi. To nie patriotyzm. To tylko ludzka słabość. Kocham moich przyjaciół. Lubię moje Mieszkanie. W końcu wszędzie Można żyć po ludzku. I zawsze Płaci się za to zbyt wiele. Tu Czy tam? To wszystko jedno. Ale Oni wszyscy (którzy zadają pytania) Chcą mnie na czymś przyłapać. Chcą Żebym coś potwierdził. Czemuś Zaprzeczył. Lecz moje życie nie jest Odpowiedzią na cudze pytania.

Leszek SZARUGA

## Archiwum polityczne

### Instrukcja dla dyplomatów

(CZY MOŻNA PRZYGOTOWAĆ DYPLOMATÓW DO PRACY W KRAJACH KOMUNISTYCZNYCH?)\*

Osoby, mające o świecie komunistycznym dogłębną, opartą na znajomości faktów i usystematyzowaną wiedzę są we wszystkich krajach rzadkością. Istnieje sporo ludzi, którzy ją zdobyli na własnej skórze, zachowując na ogół milczenie na temat tego przeżającego doświadczenia. Istnieją również wyspecjalizowani w tej dziedzinie eksperci, którzy znają odpowiednie języki, śledzą prasę lokalną i analizują statystyki. Jednak kompetentni specjaliści, o których myślę, nie należą zazwyczaj do żadnej z tych dwu kategorii. Ani Orwell, ani Suwarin do nich nie należeli.

Po ostatniej wojnie Stany Zjednoczone wykształciły kilku autentycznych, wysoce utalentowanych specjalistów. Żaden z nich nie był nigdy „blisko władzy”; można nawet sądzić, że właśnie zakres kompetencji ich od władzy oddalał. Ani Fainsod, ani Gerschenkron, ani Ulam, ani Malia nie byli nigdy na serio pytani o radę i w najmniejszym stopniu nie uczestniczyli w decyzjach. Podobnie było w Anglii z Łabędziem i Shapiro, a we Francji z Suwarinem, Lazitchem, Lauratem czy Hellerem. Pipes przez jakiś czas należał do Rady Bezpieczeństwa i *team B* w *Foreign Intelligence Advisory Board*. Niedługo tam zabawił. Tak się bowiem składa, że kompetentni specjaliści bronią koncepcji skrajnie przeciwnych utartym szablonom, obowiązującej doktrynie, strawnej wulgacie. Działacze polityczni, a zwłaszcza ministrowie spraw zagranicznych, albo przesiąknęli powszechnie przyjętymi liczmanami, albo muszą się liczyć z opinią publiczną, bowiem

\* *Commentaire* nr 31, 1985.

takie są wymogi demokracji. W konsekwencji odsuwają kompetentnych specjalistów na margines życia politycznego (za „kompetentnego specjalistę” uważam tego, czyje książki nie tracą aktualności po dziesięciu latach) a zamiast nich powołują innych ekspertów, mniej „radykalnych”, mniej jednoznacznych, mniej zawziętych, obiektywniejszych, bardziej finezyjnych, słowem, mających wszelkie zalety poza tą jedną, by książki ich nadawały się do czytania po dziesięciu latach.

Dyplomaci francuscy wychodzą na ogół ze Szkoły Nauk Politycznych. Tych z mojej generacji wtajemniczali w tajniki komunizmu Pierre George, Jean Bruhat i Jean Baby, a także dostojni, nieskazitelnie konserwatywni profesorowie, którzy tłumaczyli, że istnieją dwa rodzaje demokracji, demokracje „pluralistyczne” i demokracje „ludowe”, rozprawiali o konstytucji ZSSR w porównaniu do konstytucji Stanów Zjednoczonych oraz badali stopę wzrostu gospodarczego w gospodarce planowej, wyższą aniżeli w gospodarkach liberalnych. Ośmielam się twierdzić, że ten „burżuazyjny” akademizm przyniósł więcej szkód aniżeli zapał profesorów komunistów.

To się zmieniło. Wydawnictwa francuskie opublikowały tyle książek „antysowieckich”, że opinia uległa zmianie, nawet w Szkole Nauk Politycznych. Istnieje jednak kilka szkół sowietologicznych. W Stanach Zjednoczonych powstała „nowa sowietologia” (jej najślynniejsi przedstawiciele to Jerry Hough i Steve Cohen), owoc buntu przeciwko wielkim profesorom z lat sześćdziesiątych. Stara się ona zbanalizować zjawisko sowietyzmu i dostrzec w nim — przy walnej pomocy *social sciences i political sciences* — społeczeństwo niemniej pluralistyczne niż w Stanach Zjednoczonych, jeśli nie wręcz bardziej liberalne, oferujące kilka dodatkowych plusów. Akademizm „burżuazyjny” niezwłocznie ruszył w ślady tych jakże uczonych i rozsądnych sowietologów, odmalowujących Związek Sowiecki w barwach, w jakich go chcielibyśmy zobaczyć. Krótko mówiąc, studenci ENA<sup>1</sup> przygotowujący się do kariery dyplomatycznej muszą po omacku szukać drogi przez zaminowane pole rywalizujących ze sobą koncepcji sowietologicznych. We Francji na przykład muszą zdecydować, czy myli się Marie Lavigne, Basile Kerblay, Helène Carrère d'Encausse, Cornelius Castoriadis, Alain Besançon, Michał Heller, Georges Sokoloff, Annie Kriegel, Michel Tatu czy jeszcze ktoś, by pozostać przy nazwiskach renomowanych wykładowców uniwersyteckich. Nie mają żadnego sposobu, by *a priori* wybrać któregoś z tych specjalistów, z których żaden nie uważa, by wszyscy pozostali mieli rację.

1. ENA — Ecole Nationale d'Administration — Wyższa Szkoła Administracji, pepiniera francuskiej klasy politycznej.

Warto zwrócić uwagę na jeden element. Dogłębna znajomość historii i cywilizacji krajów wschodnich przed opanowaniem ich przez komunizm jest mało użyteczna. Przeciwnie nawet, wiedza taka dostarcza pewnego schematu interpretacyjnego, który ma wszelkie dane po temu, by wprowadzać w błąd. Im więcej człowiek wie o Iwanie Groźnym i Piotrze Wielkim, im lepiej zna Tołstoja, Dostojewskiego i Czechowa, tym bardziej będzie miał skłonność do odnoszenia komunizmu do rosyjskiego substratu i postępowania z sowieckimi dyplomatami niczym Benedetti czy Paléologue na dworze petersburskim, myśląc w ten sposób Ministerstwo Inostrannych Dier z Piewczim Mostem<sup>2</sup>. Ze względów praktycznych lepiej znać język rosyjski lub raczej sowiecką nowomowę, gdyż ona właśnie będzie językiem naprawdę przydatnym<sup>3</sup>.

Jedyną potrzebną wiedzą jest znajomość komunizmu. Dyplomata, z którym będziemy mieli do czynienia — Polak, Kubańczyk, Wietnamczyk czy Rosjanin — będzie w każdym z tych przypadków komunistą, tzn. będzie postępował zgodnie z zasadami leninizmu. Zasady to proste, wręcz nienormalnie proste. Trudno je sobie jednak wyobrazić, gdyż nie odpowiadają normom, do których są przyzwyczajeni nasi dyplomaci. Tam, gdzie zawodzi wyobraźnia, gdzie oczywiste wnioski mogą być spaczony błędnym założeniem teoretycznym, naprawdę pouczające jest tylko doświadczenie. „Kompetentni specjaliści”, o których wspominałem, wszyscy niemal (właściwie nie widzę wyjątku) zetknęli się bezpośrednio z komunizmem. Jednakowoż status dyplomaty prawie zawsze przed tym zetknięciem chroni. Państwo sowieckie, z którym stykają się nasi dyplomaci, pokazuje im Rosję, a skrywa komunizm. Niekiedy jednak udaje im się go dostrzec. Stara generacja dyptomatów francuskich (a mają oni następców) — Jean Laloy, Jean-Marie Soutou, François de Rose — bezbłędnie rozszyfrowała grubiańskie ale skuteczne zasady komunizmu. Dlatego też odsunięto ich od spraw sowieckich na przeważający okres ich kariery.

Podsumujmy. Od ponad dwudziestu lat istnieje francuska polityka sowiecka, która zdaje się cieszyć niemal jednomyślnym poklaskiem prawicy, lewicy oraz opinii publicznej. Miserne owoce tej polityki nie zakłóciły powszechnej zgody, ale doprowadzają do rozpaczliwych prawdziwych specjalistów, których właśnie z uwagi na ich wiedzę nikt nie pyta o zdanie. Dyplomaci, czyli wyko-

2. Przy Piewczym Moście mieściło się carskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych.

3. Nasz dyplomata natomiast dobrze by zrobił, gdyby się baczniej przyjrzał technice i procedurze dyplomacji carskiej. Zostały one bowiem (w innych celach) przejęte przez dyplomację sowiecką, gdyż dobrze się dla niej nadawały: technika dominacji imperialistycznej może doskonale służyć dominacji komunistycznej, mimo iż ta ostatnia nie ma natury królewskiej.

nawcy polityki swych rządów, nie mają powodu, by kosztem wielkich wysiłków wychodzić poza utarte i wyuczone koncepcje. Poza — licznymi na szczęście — wyjątkami będą więc do pracy źle przygotowani i nauczy ich dopiero praktyka w terenie.

### *Jak selekcjonować?*

Wyobraźmy sobie rząd, pragnący zmienić politykę, której hołdował przez przeciąg całej generacji. Na jakim personelu dyplomatycznym mógłby się oprzeć?

Jeśli moje obserwacje są trafne, to w każdej ambasadzie na Wschodzie jest co najmniej kilku dyplomatów, którzy *z r o z u m i e l i*. Tych, rzecz jasna, należy forować. Ambasador w kraju komunistycznym powinien być bardzo inteligentny i bardzo odważny: te dwie zalety są rzadkie we wszystkich zawodach i nieczęsto idą w parze. Ponieważ jednak nie można być pewnym wyboru, proponuję w imię ostrożności następującą zasadę: mianować na stanowiska ambasadorów dyplomatów bardzo starych i bardzo zmęczonych. Bardzo starych, by nie mieli ambicji zawodowych i by ludziom z Ministerstwa Inostranych Dziej trudniej było trzymać ich w szachu względami na karierę. Bardzo zmęczonych, by nie podejmowali niewczesnych inicjatyw, nie prowadzili własnej polityki ani w ogóle żadnej polityki. Wnoszę o ambasadorów typu „kłoda”. Natomiast trzeba mianować bardzo dobrych konsulów. Uparty, obkuty w konwencjach, przewrotny i doświadczony konsul może oddać bezcenne usługi tam, gdzie naprawdę warto je oddawać: to jest w sprawach ludzkich. Konsul może pomóc obywatelowi sowieckiemu wydostać się z ZSSR albo Francuzowi wydostać się z gułagu. Może przemówić do rozumu przejeżdżnym francuskim inżynierom, którzy palą się do małżeństwa z przydzielonymi im sowieckimi tłumaczkami i naiwnym Francuzeczkom, którym serce kraje się z litości nad nieszczęsnym ćwierć-dysydemtem czy pseudo-dysydemtem, który je prosi o rękę.

### *Żadnej aktywności*

W porównaniu z ambasadą francuską, ambasady włoska czy hiszpańska w krajach wschodnich wydają się sensne i nonszalancie. Francuzi kompensują skromne środki gorączkową aktywnością. W ten sposób mają nadzieję utrzymać rangę godną ambicji Francji.

Naiwny i aktywny ambasador to niewątpliwie najgorsza z możliwych kombinacji: taki mnoży *faux-pas*, wiążące i zarazem kompromitujące umowy, zabiegi obciążające przyszłość. Można

jednak uważać, że ambasador świadomy i aktywny jest kombinacją niemal równie złą. Biorąc pod uwagę naturę ustroju sowieckiego i niezmiennosc jego celów wobec ustrojów „kapitalistycznych” czy „imperialistycznych”, mało czego można się spodziewać po gorączkowej aktywności, natomiast wszystkiego można się po niej obawiać. *Nasz* system dyplomatyczny porównać można — jak słusznie zauważył Pipes — do kancelarii adwokackiej, która stara się doprowadzić do zgody klientów na bazie wspólnego interesu. *Ich* system dyplomatyczny odmawia partnerom prawa do bronięcia własnych interesów, a interes narodowy państwa sowieckiego podporządkowuje interesom „socjalizmu”. Innymi słowy nie zabiega o rozsądny kompromis, lecz o całkowitą wygraną. Nie chodzi mu o osiągnięcie obopólnych korzyści, lecz o zniszczenie przeciwnika, między innymi przy pomocy układów. W naszej dyplomacji traktaty czy konwencje są głównym narzędziem polityki pokojowej, u nich służą strategii zniszczenia. Mnożenie układów jest więc zbędne i niebezpieczne.

Inteligentny ambasador — podobnie zresztą jak głupi — dobrze zrobi, jeśli będzie cichutko siedział w swojej ambasadzie. W ten sposób zazna mniej afrontów. Niech dba o swoich pracowników, podobnie jak on zamkniętych na izolowanej tratwie. Niech prowadzi jak najspokojniejsze życie towarzyskie z członkami innych poselstw zachodnich. Niech spotyka dobrych pisarzy, flirtuje ze sztuką, kolekcjonuje bibeloty. Czternastego lipca niech wyda przyjęcie, wygłosi podniosłe i jałowe przemówienie, każe podać szampana i pti-fury. I na tym niech poprzestanie. Więcej nie trzeba, a i to wymaga niemało dyplomacji i uporu, bo bez przerwy będą go nakłaniać „aby coś zrobił”. Czas swój niech jak La Fontaine podzieli na dwie części, „jedną na sen, drugą na nieróbstwo”.

### *Złudne kontakty*

Zachodnie życie polityczne jest oparte na kontaktach *osobistych*. Ważne jest wiedzieć, kto jest kim, umieć dotrzeć do odpowiednich ludzi, znać ich. To robią sowieccy dyplomaci na Zachodzie. Równoległe do sieci znajomości, podległych Wydziałowi Zagranicznemu KC KPZS (obejmuje ona sympatyków komunizmu i miejscowe partie komunistyczne) istnieje sieć stosunków podległych Ministerstwu Spraw Zagranicznych, którymi steruje ono za pośrednictwem ambasad. Sowieccy dyplomaci przyjmują, są przyjmowani i w ten sposób, w miarę potrzeb, wzbogacają swe notesy adresowe.

Sowieckie życie polityczne jest *bezosobowe* lub przynajmniej do tego stanu zmierza. Zastanawianie się, co naprawdę myśli



Gorbaczow czy którykolwiek z jego podwładnych jest na ogół fałszywie postawionym pytaniem. Z niełaski czy też awansu tego lub innego funkcjonariusza partyjnego nie można wysnuwać żadnych wniosków. Aby zrozumieć linię polityczną partii, wystarczy umiejętnie czytać oficjalne dokumenty ogłaszane w prasie. Można to robić równie dobrze w Paryżu, jak w budynku ambasady francuskiej w Moskwie. Zachodni dyplomata nie ma z tytułu swej lokalizacji żadnej przewagi nad jakimkolwiek specjalistą od zagadnień sowieckich. Nie jest mu to jednak miłe. W normalnym trybie jego stosunki nie wykraczają poza spotkania z nieprzeniknionymi, opancerzonymi, niezłomnie trzymającymi się nowo-mowy funkcjonariuszami sowieckiego MSZ-tu. Nasz dyplomata chętnie rzuciłby okiem na drugą stronę, za mur. Stara się więc nawiązać kontakty „pół-oficjalne”. Chce nareszcie wymienić informacje i osobiste poglądy z osobami dostatecznie zaprzyjaźnionymi, aby móc z nimi rozmawiać w języku naturalnym, znaleźć wspólny grunt, dowiedzieć się, co się kryje za protokolarnymi notami, krótko mówiąc wyrobić sobie jaśniejszy pogląd i żywszy obraz życia kraju. Wtedy właśnie wystawia się na duże ryzyko.

Zmuszając dyplomatę zachodniego do życia w obleżonej twierdzy, zamykając go za murami getta, gnębiąc go inwigilacją policji, faszując ambasadę i prywatne mieszkania aparaturą podsłuchową, śledząc go od rana do nocy, rządy komunistyczne świadomie podsycają jego gorące pragnienie, by się wyrwać z tego getta, zbadać teren, poznać go, czyli nawiązać kontakty.

Tym samym dyplomata naraża się przede wszystkim na zwyczajną prowokację KGB. (Bywałem w ambasadzie w Moskwie w czasach, kiedy była „infiltrowana” od góry do dołu, o czym dziś wszyscy wiedzą, co jednak trudno było wówczas odgadnąć takiemu rzadkiemu gościowi jak ja. Dziś dyplomata zachodni jest już nareszcie na ogół świadom tego niebezpieczeństwa).

Bardzo zdradliwe są rzekome kontakty pół-oficjalne. Komuniści bowiem sami dostarczają tych tak gorąco przez dyplomatę upragnionych kontaktów. Może to być gosposia albo sekretarka ambasad, najczęściej jest to jakiś profesor, artysta czy duchowny, który głosi poglądy na pół dysydenckie, zdaje się być lekko prześladowany — i zresztą może być naprawdę trochę prześladowany. Z twarzy tego człowieka bije szlachetna niezależność. Nasz dyplomata jest bardzo dumny, że został przezeń zaproszony. Uważa za akt wielkiej odwagi ze swej strony, że i jego zaprasza na przyjęcia do ambasady. Przez niego dowiaduje się, „co w trawie piszczy”, słyszy nieskończoną ilość dowcipów i poznaje całą starannie ukrytą mękę życia sowieckiego. Przez niego nareszcie poznaje kraj i zaczyna go kochać. Co za niezapomniana, niezwykła przyjaźń! Więc w tym ohydny ustroju zdarzają się jednak

wzniosłe dusze, prawdziwie serdeczni ludzie o rozległej kulturze! Skąd miałby nasz dyplomata wiedzieć, że jego przyjaciel należy do wyspecjalizowanej grupy, krążącej wokół wszystkich ambasad zachodnich, i że wszędzie pełni te same funkcje, tzn. włącza do głów dyptomatów dezinformację, którą tamci tym łatwiej przełykają, że mają do niego zaufanie i z entuzjazmem przyjmują wszelkie informacje o kraju swojej służby.

Pascal słusznie powiedział, że całe nieszczęście zachodniego dyplomaty polega na tym, że nie potrafi spokojnie siedzieć w fotelu i czytać prasę sowiecką<sup>4</sup>.

### *Stosunki handlowe*

„Nie rozumiem Pana, mój drogi” — rzekł mi pewien ambasador francuski w jednej z demokracji ludowych. — „Odwiedza Pan ludzi nic nie znaczących, a zaniedbuje tych, którzy się liczą. Jestem pod dużym wrażeniem kadr ekonomicznych tego kraju. To są wartościowi, świetnie wykształceni i poinformowani ludzie. Opracowali inteligentną i szeroko zakrojoną reformę ekonomiczną, która wkrótce wyda owoce. Wierz mi Pan, wkrótce będziemy musieli się z nimi liczyć na rynkach światowych. Trzeba im pomóc, przyznać im kredyty, bo jak nie, to inni to zrobią za nas...”. Trzy miesiące później wspomniany kraj (zrujnowany) ogarnęła rewolucja, a ogrom bankructwa był widoczny dla wszystkich z wyjątkiem zachodnich bankierów, którzy wpadli na pomysł, żeby mu dostarczyć nowych kredytów dla spłacenia odsetków z poprzednich. Zaś co do ludzi bez znaczenia, których odwiedzałem, to przez jakiś czas kierowali krajem, zanim się znaleźli w więzieniu.

Przez ambasadę francuską przewija się nieprzerwany strumień naszych businessmenów, bankierów z upaństwowionych banków, operujących państwowymi pieniędzmi i szefów prywatnych przedsiębiorstw, którzy za pośrednictwem COFACE<sup>5</sup> operują pieniędzmi podatników. Ich monopolistyczni partnerzy, czyli państwa komunistyczne, traktują ich jak konkurentów bankierów i szefów przedsiębiorstw z innych państw zachodnich. Tym samym nasi businessmeni mogą się oddawać złudzeniom, że ZSSR

4. Dyplomata może wyciągnąć korzyści z przypadkowych kontaktów, jeśli jest w miarę pewny, że rzeczywiście są przypadkowe. Może pracować podobnie jak zagraniczni korespondenci. Błyskawiczna ewolucja uczciwych dziennikarzy akredytowanych w Moskwie (patrz ewolucja kolejnych korespondentów *Le Monde*) dowodzi, że zachowanie w tym kraju dyplomatycznego punktu obserwacyjnego może być przydatne.

5. COFACE — francuska instytucja państwowa, udzielająca bankom gwarancji rządowych na pożyczki udzielane innym państwom.

stanowi „rynek”. Nasi dyplomaci, wyszkoleni w ENA w najrozmaitszych technikach handlowych i finansowych, dokładają wszelkich starań, aby ich w tym złudzeniu utrzymać. Tak się bowiem składa, że w interesie kariery dyptomatów leży podpisywanie jak najliczniejszych i jak największych kontraktów. Tego oczekuje od nich rząd. Argumenty na to ma trzy, przedstawiane w kolejności. Przede wszystkim Keynes. Trzeba rozkręcać przemysł, walczyć z bezrobociem, poprawić nasz bilans handlowy. Następnie Pisar. Handel „ich” wiąże, wychowuje, obłaskawia, normalizuje. Wreszcie strach: ponieważ nie da się już ukryć, że są „źli”, to my bądźmy dobrzy, by się nie stali jeszcze gorsi. Nasze ambasady, które organizują z zapałem kontakty naszych upaństwowionych businessmenów z ich sowieckimi „odpowiednikami”, stanowią ważne ogniwo łańcucha handlowego, w którym za nasze pieniądze kupujemy dobra i usługi oraz sprzedajemy — również za nasze pieniądze — inne dobra i usługi. Sprowadza się to koniec końców do dodatkowego opodatkowania Francuzów.

Jednym z nielicznych pożytków, jakie można by wyciągnąć z tych transakcji, jest wiedza o warunkach życia i pracy w Związku Sowieckim. Są one wszakże tak ciężkie i tak niewiarygodne, że gdyby były z góry znane, zniechęcić by mogły do zawierania kontraktów. Toteż dyplomaci mają za zadanie nie pytać o nie i jak najstarannie ukrywać to, czego się mimo wszelkich usiłowań dowiedzą. Zetknąłem się z pewnym inżynierem, który spędził dwa lata na południu Uralu, gdzie instalował jedną z tych fabryk „gotowych do użytku”, z których jesteśmy tak dumni. Byłem pierwszym, któremu mógł opowiedzieć swoje przeżycia. Wszyscy inni rozmówcy, czy to w ambasadzie, czy w centrali jego firmy, uważaliby jego opowieść za wyssaną z palca, a zwłaszcza za najzupełniej zbędną. Dlatego właśnie prezydent Mitterrand polecił ambasadzie francuskiej w Moskwie sprawdzić, czy przy budowie gazociągu syberyjskiego zatrudnieni są więźniowie. Ambasada była zaiste najodpowiedniejszym organem, by odpowiedzieć przecząco.

### *Stosunki kulturalne*

Rozległa współpraca kulturalna z takim krajem jak Francja leży w żywotnym interesie Sowietów. Pozwala ona na legalne zdobywanie technologii zachodniej. Sowietci czerpią korzyści z wysyłania techników do francuskich laboratoriów i z przyjmowania francuskich techników u siebie. Dziwnym trafem natychmiast zaczynają się koło naszych techników kręcić kobiety, pragnące ich poślubić, co będzie znacznie łatwiejsze, gdy narzeczeni będą fachowcami w dziedzinie najnowszej technologii. Kanały dyplo-

matyczne ułatwiają wymianę naukową, w ramach której nadaje się sowieckim łowcom technologii laury akademickie i status profesorski. Umożliwia to pewien wpływ Sowietów na nasze laboratoria i uniwersytety.

Dzięki współpracy kulturalnej Sowietci kontrolują informacje na swój temat. Umowy kulturalne dają rządowi sowieckiemu wgląd we francuskie podręczniki historii i geografii. Aby utrzymać współpracę w przyjaznych i życzliwych ramach, na jakich zależy naszym rządzącym, wydawcy naszych podręczników zostali zobowiązani do sporządzenia takiej wersji historii i geografii ZSSR, którą rząd sowiecki będzie mógł zaakceptować. Dyrektorzy naszych kanałów radiowych i telewizyjnych są uprzedzeni, że nie należy nadawać programów, które mogłyby być poczytane za wrogie lub nieprzyjazne (w nadziei na hipotetyczną wzajemność). Ponieważ obiektywna informacja o rzeczywistości sowieckiej musi być „antysowiecka”, jest ona okrajana lub rozwadniana. Mówiąc jasno: cenzurowana.

Jednym z głównych powodów, dla których nasza dyplomacja uprawia tę grę jest troska o upowszechnienie języka francuskiego. Dla każdego, kto zna jałowość sowieckiego życia kulturalnego, utrzymanie pozycji języka francuskiego wydaje się jednym z nielicznych sensownych celów. Nauczanie rosyjskiego we Francji i francuskiego w Rosji doprowadziło jednak do następującej sytuacji: nasze uniwersytety przyjmują sowieckie lektorki, wytrawne komunistki, przekształcające swój wydział w ośrodek propagandy, w którym mają całkowitą swobodę ruchów. My wysyłamy do odległych zakątków ZSSR młode dziewczęta bez najmniejszego przygotowania. Żyją one w Kiszyniowie lub Mińsku w bardzo trudnych warunkach materialnych i jeszcze trudniejszych moralnych. Każdy ich ruch jest śledzony, nie mogą się niemal zupełnie poruszać. Jeśli zachorują, ambasada radzi im udać się do miejscowego szpitala, którego żałosny poziom jest lub powinien być jej znany. Jeśli zdarzy im się wejść w konflikt z miejscowymi władzami, ambasada surowo je strofuje i niekiedy niechętnie ich broni. Niektóre z nich wariują, padają ofiarą gwaltów albo popełniają samobójstwo. Inne, co zdarza się częściej, zrezygnowane wychodzą za mąż za tubylca, aby uciec przed samotnością i rozpaczą. Powyższa praktyka odzwierciedla dwa elementy naszej praktyki dyplomatycznej:

1. Małą wagę obywatela francuskiego wobec polityki rządu francuskiego. Pamiętamy formułę de Gaulle'a „interesy algierskich Francuzów nie są tożsame z interesami Francji w Algierii”. Transponując możemy powiedzieć, że interesy Francji nie są tożsame z interesami Francuzów w Związku Sowieckim. Anglik czy Amerykanin w ZSSR wie, że może liczyć na *bezwartunkową*

opiekę swojego państwa i swojej ambasady. Czy można to samo powiedzieć o Francuzie?

2. Lekceważenie zasady wzajemności. To jednak wymaga rozwinięcia.

### *Wzajemność*

Wzajemność jest podstawą stosunków dyplomatycznych. Rozpatrzenie naszej polityki wobec Sowietów w świetle tej zasady przekracza ramy tego artykułu. Zadowolmy się jednym punktem: jak przedstawia się wzajemność w samym wykonywaniu zawodu dyplomatycznego? Poruszę tu sprawy poważne i powszechnie znane.

W ZSSR jest mniej niż pięćdziesięciu dyplomatów dysponujących francuskim paszportem dyplomatycznym, we Francji jest ponad siedmiuset sowieckich. Aby utrzymać konsulat francuski w Sankt Petersburgu (dziś Leningrad), gdzie zanudza się na śmierć trzech urzędników konsularnych, zezwoliliśmy Sowietom na otwarcie konsulatu w Marsylii. Pracuje w nim od świtu do nocy dwudziestoosobowy personel, chociaż ruch okrętów sowieckich w tym porcie oraz liczba obywateli sowieckich w tym rejonie są takie, że powinni mieć masę wolnego czasu.

Proponuję następującą tezę: pierwszym krokiem na drodze sanacji naszej służby dyplomatycznej powinno być ukrócenie tej nienormalnej nierówności. Zaczniemy od zredukowania do pięćdziesięciu liczby akredytowanych w naszym kraju dyplomatów sowieckich. Następnie zmniejszymy, wciąż dbając o wzajemność, personel naszych przedstawicielstw dyplomatycznych. Zważysz na to, co możemy zrobić użytecznego i czego się możemy spodziewać po naszych stosunkach z krajami komunistycznymi, nie potrzebujemy tam przedstawicielstw liczniejszych aniżeli np. w Argentynie, kraju zaprzyjaźnionym, z którym nas łączy liczne więzy.

Nie potrzebujemy też licznych przedstawicielstw sowieckiego. Dużą część jego zadań — jak wszystkim wiadomo — stanowią szpiegostwo, dezinformacja, wywiad i infiltracja. Zdaniem zbiegów sowieckich jedna trzecia sowieckich dyplomatów na Zachodzie pracuje dla KGB albo GRU — wszyscy kompetentni, odpowiedzialni ludzie potwierdzają tę opinię — a pozostałe dwie trzecie ściśle z nimi współpracują. Nie można tego samego powiedzieć o przedstawicielstwach francuskich w ZSSR i w innych krajach komunistycznych, a tymczasem jest tak, że domniemany sowiecki szpieg korzysta z przywilejów i immunitetu dyplomatycz-

nego, a francuski dyplomata walczy z przeszkodami i inwigilacją właściwą wobec domniemanego szpiega.

Dyplomaci sowieccy mają praktycznie całkowitą swobodę poruszania się (stale śledzeni są wyłącznie przez swych własnych zbirów). Pozwolono im zbudować w sercu Paryża prawdziwą fortecę. Kiedy francuski kontrwywiad przedstawia pękate akta szpiegowskie tych dyplomatów, władze domagają się dowodów materialnych bardziej nieodpartych aniżeli w procesie o morderstwo. Kiedy kontrwywiad zbierze te dowody, Quai d'Orsay interweniuje, twierdząc, że wszystko to nie ma wielkiego znaczenia, natomiast ujawniony skandal zachwieje misterną polityką, którą z takim trudem wypracowano i wprowadzano w życie. Kiedy w obliczu nieodpartych dowodów rząd zgodził się ekspulsować czterdziestu kilku agentów, tenże sam Quai d'Orsay z naciskiem domagał się, aby zostali zastąpieni co do jednego, czyli co do agenta.

Nasi dyplomaci natomiast żyją w gettach. Kiedy wychodzą z domu, wartownik telefonuje w odpowiednie miejsce. Niemal całe terytorium ZSSR jest przed nimi zamknięte. Jeśli po uzyskaniu odpowiednich zezwoleń udają się w podróż, są ostentacyjnie inwigilowani. Ich rozmowy są nagrywane i wiedzą doskonale, że wszystkie ściany są naszpikowane mikrofonami. „Naszpikowane” są też maszyny do pisania, teleksy itd. Dyplomata, który by zechciał „chodzić własnymi drogami” ryzykuje „wypadkiem”. W toku swej pracy muszą znieść tysiące afrontów, bezmiar upokorzeń, niezliczone zniewagi. Ich kontakt z krajem macierzystym jest wąty. Gazety nadchodzą pocztą dyplomatyczną z opóźnieniem. Są zamknięci, podejrzani, traktowani jak winowajcy i oskarżeni. A jak reagują?

### *Jak się oswaja dyplomate?*

Reagują na ogół kulturalnie i z uśmiechem. W małym którym kraju dyplomata francuski jest równie zgodny, układny i uprzejmy jak w Związku sowieckim. Widzę szereg przyczyn tej przykładnej układności.

Po pierwsze potrzeba sprawiania przyjemności. Koniec końców podobać się zawsze należało do obowiązków dyplomaty. Kiedy rozmówca jest szorstki i bezczelny, można to złożyć na karb złego wychowania (rosyjski niedźwiedź!), grubiańskich manier właściwych krajowi, złego humoru i wreszcie okoliczności politycznych, w których Francja nie jest bez winy. Ale trzeba „utrzymać kontakty”, co jest warte przełknięcia kilku żab.

Druga to nawyk posłuszeństwa. Niemało przedstawicieli rodu ludzkiego lubi posłuszeństwo, a nawet uległość. Ministerstwo Spraw Zagranicznych jest instytucją hierarchiczną, podobnie jak całe państwo francuskie. Władza, choć temperowana uprzejmością i utartymi formami, jest w nim jednak mocno wyczuwalna. Niektórzy więc urzędnicy, nawykli do posłuszeństwa w stosunkach z państwem francuskim, chcą tylko zachować ten nawyk w stosunkach z państwem komunistycznym, którego autorytaryzm uważają wyłącznie za wyższy stopień tego, co znają z domu. Nawykli słuchać Iksa, spontanicznie skłonni są słuchać Igreka, zwłaszcza że podnosi głos i zdaje się być tak przyzwyczajony do posłuchu.

Trzecia to właściwe wszelkiej dyplomacji pragnienie, aby unikać incydentów, „nie robić szumu”.

Czwarta to wierna służba dalekosiężnym celom polityki francuskiej, to znaczy polityce „odprężenia, porozumienia i współpracy”. Instrukcje dyplomatyczne zalecają wcielać ten program w życie. Nie można jednak ich wykonywać i jednocześnie reagować tak, jak reagowałby przedstawiciel Francji w Afryce Południowej czy Chile, któremu kazano trzaskać drzwiami i tłuc szyby przy byle zatargu.

Piąta to strach. Strachem nasi dyplomaci zarażają się od mieszkańców krajów, w których wszyscy się boją. Choć niebezpieczeństwo jest niewielkie (ale jednak jest: znam *attaché* wojskowego, który omal nie został przejechany przez ciężarówkę, podobnie jak jego synek), strach rodzi się nieuchronnie w świecie komunistycznym, zbudowanym na kształt koncentrycznego więzienia: przedstawicielstwa zachodnie znajdują się na obrzeżach najbardziej zewnętrznego kręgu, ale jednak też na terenie obozu koncentracyjnego. Przypomina im się o tym co krok przez stałe powoływanie się na suwerenność państwa sowieckiego, polskiego czy rumuńskiego na własnym terytorium.

Szosta to potrzeba działania. Jeśli chce się podpisywać umowy i konwencje, organizować spotkania, podróże, „szczyty”, trzeba ponosić pewne koszty. Mało kto zdaje sobie sprawę, że te koszty są ustępstwami politycznymi w imię celów dyplomatycznych. Nazywam to odwróceniem celów polityki i dyplomacji. W stosunkach z krajem komunistycznym zabiegi o ugodę polityczną są skazane na porażkę. Aby ukryć tę porażkę, mocarstwa zachodnie starają się zachować cały splendor przedstawicielstw dyplomatycznych. Ponieważ „spotkanie na szczycie” nie może zaowocować politycznym ustępstwem Związku Sowieckiego, ustąpimy my, byle tylko zorganizować spotkanie na szczycie.

Różne kombinacje tych sześciu przyczyn (które na pewno nie

wyczerpują całości) składają się na stopniowe „oswojenie” dyplomaty na placówce w kraju wschodnim. To oswojenie może niepostrzeżenie doprowadzić do uchybień honorowi. Kilku „Francuzów z gułagu” i kilku dysydentów, którzy odważyli się na ucieczkę na teren naszej ambasady, zachowało gorzkie wspomnienie rozmaitych mało chwalebnych postępów z jej strony. Dodajmy do tego, że tchórzliwa pokora naszych dyptomatów przysporzyła nam głębokiej pogardy rządów komunistycznych. Przykro stwierdzić, że w ZSSR mówi się poufale o Francji jako o „szesnastej republice” (sowieckiej).

Nie widzę na to wszystko innego lekarstwa jak to, które zalecał Fryderyk II: żołnierz ma się bardziej bać kija swego kaprała aniżeli kuli wroga. Gdyby najmniejsze nawet uchybienie honorowi ze strony dyplomaty francuskiego wobec państwa komunistycznego było ogłaszane i karane z całą należną surowością, nasi dyplomaci mniej by się balі tego państwa i bardziej by byli przez nie szanowani.

#### *Przedstawicielstwa dyplomatyczne jako wyraz wzajemności*

Porażki naszej dyplomacji sięgają najwcześniejszych lat naszych stosunków ze Związkiem Sowieckim. Większość porażek wynika zapewne z podstawowego kroku, jakim było uznanie *de iure* rządu sowieckiego.

Posunięcie to (Włoch, Wielkiej Brytanii, Francji) zrobiono w chwili, kiedy w ZSSR uchwalono NEP. Nie tylko obserwatorzy zachodni, ale nawet część emigracji rosyjskiej myślała wtedy, że bolszewizm został definitywnie pogrzebany. Wszyscy mieli w pamięci historyczny model Wielkiej Rewolucji Francuskiej i jej stopniową „normalizację” po Termidorze. Jednym z powodów uznania państwa sowieckiego była chęć dopomożenia i przyspieszenia tej normalizacji przez zniesienie „kordonu sanitarnego”, który — jak twierdzono — otaczał od 1917 roku i niepotrzebnie radykalizował państwo sowieckie.

Wojna rozszerzyła i niesłychanie pogłębiła to uznanie. Demokracje mają to do siebie, że ich sojusznicy muszą być moralni, a ich przeciwnicy niemoralni. Hitler rzeczywiście był gorszy od Wilhelma II, ale stalinowską Rosję oceniano jako równie „dobrą” jak mikołajowską. Co więcej, Stalin grał z całej siły na nucie nacjonalizmu. W oczach zachodnich mężów stanu, którzy po raz pierwszy zetknęli się fizycznie z Rosją, był nowym carem.

Wizja Termidoru połączyła się więc z wizją imperium carskiego i wspólnie nadały reżymowi sowieckiemu znamiona legalności. Uznanie *de iure* ustanawiało formalną symetrię między

światem komunistycznym i resztą planety. Wspólne zwycięstwo nad hitleryzmem nadało tej symetrii realność. Przynajmniej w oczach Zachodu.

W rzeczywistości sowiecka partia komunistyczna nigdy, w żadnym oficjalnym dokumencie, nie zaakceptowała tej symetrii. My uważamy dyplomację za instrument, mający na celu zapobieganie wojnie. Sowiecka partia komunistyczna uważa dyplomację za jedną z broni w permanentnej wojnie. Komunistyczny dyplomata uważa się za żołnierza w stanie wojny z rządem zachodnim, przy którym jest akredytowany i odpowiednio się zachowuje. Rząd komunistyczny uważa akredytowanych przy sobie zachodnich dyptomatów za wrogów, których należy obezwładnić, oszukać i zniewolić. Taki też mają los nasi dyplomaci w państwach komunistycznych.

Francuski dyplomata w ZSSR wije się więc jak piskorz między instrukcjami swego rządu, które zakładają stan pokoju, a rzeczywistością sowiecką, która sugeruje stan wojny. Ta sprzeczność tłumaczy różnorodne postawy, jakie obserwujemy u naszych przedstawicieli.

1. Mogą wybrać zaprzeczanie rzeczywistości (stanowi wojny) i jak najściślej przyleganie do fikcji (stanu pokoju). Będą wówczas kultywowali ignorancję, starali się niczego nie widzieć i niczego nie wiedzieć. Tytułem kompensaty wzbudzą w sobie życiwe uczucia. „Tu nie jest w końcu tak źle... niejedno da się zrobić... utrzymuję doskonałe stosunki z... Pan Popow to prawdziwy przyjaciel... przyjaciel Francji...”. Będą się skrupulatnie wywiązywać ze swych dyplomatycznych obowiązków, ignorując świadomie specyfikę terenu, na którym przyszło im je wykonywać, niczym ptaki o za sztywno wyregulowanym instynkcie, które wiją gniazda i lęgną się na ziemi albo w klimacie, który im nie odpowiada. Będą skrupulatnie podążać za „ewolucją”, w nadziei że swą nieposzlakowaną postawą zasłużą na inną, przyjemniejszą placówkę. Niechętnie będą się odnosić do wszystkiego, co mogłoby zakłócić ich linię postępowania: do incydentów, dysyden-tów, informacji.

2. Mogą przeżywać tę sprzeczność jako coś przykrego albo jak wyzwanie. Będą więc rozpaczliwie zabiegać o spotkanie sam na sam z jakimś ludzkim sowieckim funkcjonariuszem, wyrozumiałym, z którym „da się mówić”. Będą również szukać kontaktów „pół-oficjalnych”. Gospodarze dostarczą im i jednych, i drugich.

3. Mogą wreszcie uczyć się, starać się zrozumieć, dowiedzieć się i przystąpić do „oporu”. Jak już powiedziałem, we wszystkich ambasadach na Wschodzie istnieją ludzie i tego trzeciego

gatunku. Współczuję im i podziwiam ich odwagę. Są bowiem osamotnieni. Mogą liczyć tylko na samych sobie i swój oświecony patriotyzm, który interpretuje i naprostowuje otrzymywane instrukcje.

Pragniemy pokoju i bez wątpienia mamy rację. Nasz błąd polega na tym, że bierzemy życzenia za rzeczywistość. Rzeczywistością zaś jest wojna, jaką nam wypowiedziano, wojna o tyle skuteczniejsza, że przebrana w szaty pokoju. Kiedy jednak ustępujemy przed fikcją pokoju, dokonujemy ustępstwa *politycznego*. Godzimy się na legitymowanie dyplomacji sowieckiej, sankcjonujemy jej protokół i słownictwo. Przyjmujemy za dobrą monetę i opieramy nasze układy na pojęciach suwerenności, niezawisłości, nieingerencji, pokoju, praw człowieka itd., rezygnując z publicznego demaskowania przepaści między powszechnie przyjętym rozumieniem tych pojęć a znaczeniem odwrotnym, jakie im przypisuje dyplomacja sowiecka. Każda umowa staje się kolejną pułapką, w którą tym chętniej wpadamy, im więcej trudu włożyliśmy w doprowadzenie do jej podpisania: Sowieci każą sobie drogo płacić za podarki, które im robimy.

Jeżeli chcemy wrócić na dobrą drogę, musimy przede wszystkim przyjąć do wiadomości, że narzucono nam stan wojny<sup>6</sup>. Następnie musimy z tego faktu wyciągnąć wnioski<sup>7</sup>. Otóż nasze placówki dyplomatyczne powinny pomóc w dokładniejszej ocenie zasięgu tej wojny, a w zależności od tej oceny należy ustalić stopień przyznania lub nieprzyznania legitymacji ustrojowi sowieckiemu i jemu podobnym. Dyplomacja opiera się na zasadzie wzajemności: położenie naszych placówek w ZSSR może więc być bezcennym testem, pozwalającym zbadać — przez porównanie z położeniem sowieckich placówek u nas — jak dalece wzajemność jest przestrzegana. Przedstawicielstwo dyplomatyczne stałoby się — przy zdrowej polityce — źródłem informacji dla rządzących. W tej samej mierze, w jakiej przy niezdrowej polityce jest źródłem dezinformacji.

Alain BESANÇON

(Z francuskiego przełożyła Julia JURYS)

6. *Attachés* wojskowi z tytułu swej funkcji wiedzą, że są w stanie wojny, toteż stanowią często najprytmniejszą część naszego personelu dyplomatycznego na Wschodzie.

7. Sowieci traktują naszych dyptomatów na zmianę jako współników lub jako przestępców: „towarzystwo” mnoży stosunki przyjaźni, a równocześnie noty Ministerstwa Inostrannych Diał wciąż przypominają im, że są tylko przyszyłymi pokonanymi. Nasi dyplomaci często od tego tracą głowę. Powinni zrozumieć powody i cele obu sposobów postępowania.

## Widziane z Brukseli

### *L'Ordre règne à Varsovie?*

Lech Wałęsa nie ma szczęścia do kolegów po Noblu. Dwa razy zaprosił ich do siebie do Gdańska, dwa razy odmówili. Afrykański biskup Tutu był właśnie rok temu w Oslo po odbiór nagrody i Wałęsa uznał, że to tak blisko, iż mgr. mógłby wstąpić, poznać kolegę, też laureata, no i rzeczywistość polską. Tutu wpiął znaczek „Solidarności” w sutannę, ale nie mógł, nie miał czasu, spieszo mi, powiedziały, do domu, gdzie padają codziennie ofiary. Został co prawda w drodze przez kilka tygodni, ale argument był nie do odparcia: ofiary padały, Tutu był w pierwszym szeregu walczących przeciwko zarazie *apartheid*'u w Południowej Afryce. Wałęsa żałował, ale rozumiał.

Brandt Willy też nie miał czasu, choć był jeszcze bliżej i nie stoi w pierwszym szeregu. Brandt udał się do Warszawy w grudniu 1985 roku z okazji 15-tej rocznicy zawarcia układu normalizacyjnego polsko-zachodniemieckiego, podpisanego przez niego samego z kończącym się właśnie wtedy — ale o tym nikt nie wiedział — Gomułką. Wałęsa postanowił skorzystać z okazji pobytu Brandta w Warszawie i zaproponował, na dwa miesiące z góry, krótką wizytę w Gdańsku, gdzie niemiecki socjaldemokrata miałby okazję odwiedzić kolegę-laureata pokojowej nagrody Nobla. Byłoby to wydarzenie symboliczne: spotkaliby się wtedy byli jedyni dwaj europejscy laureaci pokojowej nagrody Nobla mogący w ogóle się spotkać. Trzeci laureat, prof. Sacharow, nie może opuścić miasta Gorki, do którego z kolei pozostali dwaj nie mogą się udać, jako że jest to miejsce niedostępne dla gości zagranicznych.

Brandt spędził w Polsce trzy dni, widział trzy razy Jaruzelskiego i Glempa, dom Chopina, miał czas na bankiety, koncerty i przemówienia, tylko do Gdańska nie zdążył. Mógł naturalnie spotkać Wałęsę w Warszawie, ale musiałyby w tym celu wnieść do władz PRL podanie o zezwolenie podejrzanemu Wałęsie Lechowi na opuszczenie Gdańska, czego mu miejscowy prokurator kategorycznie zabronił. Mógł Brandt jeszcze uratować twarz, udając się na grób księdza Popiełuszki, co uczynili inni zachodni „realiści” bez wywołania wojny światowej. Ale widocznie nawet na podróż z centrum na Żoliborz Brandt „nie miał czasu”.

Postępowanie Brandta ma dla Polaków inny, niż biskupa Tutu, ciężar gatunkowy. I może mieć poważniejsze konsekwencje. Odmowa Brandta miała charakter demonstracji politycznej. Nadeszła w dwa miesiące po wystosowaniu zaproszenia, nie wprost, a poprzez ambasadę RFN w Warszawie i sprowadzała się do

stwierdzenia, że „program zajęć” jest tak wypełniony, że nie pozwała na podróż do Gdańska. W politycznym wymiarze i w nie-dyplomatycznym języku oznacza to, że Brandt nie chce się spotkać z Wałęsą. W ten sposób Brandt wybrał sobie partnerów nie w narodzie polskim, a zamiast.

Jest to wybór delikatny z dwóch powodów. Po pierwsze, Brandt jest przywódcą SPD, socjaldemokracji zachodniemieckiej i po drugie Brandt jest Niemcem. Otóż tak się składa, że żaden z przywódców SPD, którzy z wyjątkową regularnością i z nietajoną satysfakcją przebywają właściwie bez przerwy od grudnia 1981 w Warszawie, nie nawiązał kontaktu z przedstawicielami opozycji polskiej, ani Vogel, ani Wiszniewski ani inni. Jest to o tyle zabawniejsze, że sama SPD działa jako partia... opozycyjna i uważa za zupełnie normalne zjawisko prowadzenie własnej polityki zagranicznej. SPD podpisała nawet wspólny komunikat o „środkach zabezpieczenia pokoju” itd. z PZPR, której nadała w ten sposób najzupełniej normalny statut partii politycznej chociaż, jak wiadomo, także w RFN, jest to partia nie reprezentująca nikogo, nawet siebie, bo musiała wydzierzawić swe własne kierownictwo oddając je w ręce wojskowych.

Volker Ruehe, rzecznik chadeckiej partii kanclerza Kohla dla spraw polityki zagranicznej, powiedział na ten temat: „Co by się stało gdyby np. demokraci, stanowiący w USA partię opozycyjną, podpisali z partią bolszewicką porozumienie zajmujące stanowisko w 100 % odmienne od pozycji ich demokratycznie wybranego rządu. Przypuszczam, że w USA nazwano by takie postępowanie po prostu zdradą. U nas, w RFN, nazywa się to nieodpowiedzialnością”. Jeżeli w tych warunkach SPD bojkotuje „Solidarność” i Wałęsę, to ma to oczywiście znaczenie politycznego sygnału. Sygnał jest podwójny.

Pierwszy ujawnia prawdziwą treść tego co nauczyliśmy się nazywać Ost-polityką. Jak wiadomo Brandt dostał Nobla za bardzo szlachetną i w Polsce wysoko cenioną próbę pojednania Niemców z ich byłymi ofiarami w drugiej wojnie światowej i w wielu miejscach kaźni i pogardy. Chodziło — wydawało się wówczas — m.in. o Polaków, którzy zapłacili za niemieckie szaleństwo bardzo wysoką cenę. Odmowa Brandta spotkania się z narodem, który tę cenę zapłacił, oznacza, że Ost-polityka miała inny, prawdziwy cel, polegający nie na polepszeniu stosunków niemiecko-polskich, a niemiecko-niemieckich. Głównym przedmiotem troski Brandta i jego przyjaciół politycznych jest los nie Polaków czy Czechów, a 18 milionów Niemców po drugiej stronie muru. Ponieważ nic w stosunkach niemiecko-niemieckich nie może się zmienić na lepsze bez zgody Moskwy, Ost-polityka oznacza łagodzenie i uleganie Moskwie, co tłumaczy w poważnym stopniu pacyfistyczną kampanię SPD.

Drugi sygnał wynika z pierwszego. Ponieważ — w rozumowaniu Brandta i jego politycznych przyjaciół — los Niemców w NRD zależy od dobrej woli Kremla, która z kolei zależy od stanu normalizacji w krajach satelickich, to normalizacja ta leży także w interesie Niemców. Stąd ogromna nieufność i niechęć,

wcale nie tylko w socjaldemokracji, ale w ogóle w Niemczech, wobec „Solidarności”, podejrzewanej — moim zdaniem słusznie — o aspiracje — także moim zdaniem słusznie — destabilizacyjne, w tym sensie w jakim polityczny zakładnik czy więzień ma najzupełniej słuszne ambicje destabilizacji krat, za jakimi się niesłusznie znalazł. Stąd umiłowanie politycznego *status quo* stanowi (ale to nie nowość, pisałem o tym już chyba trzy lata temu) religię zachodniemiecką, wcale nie tylko socjalistyczną. Dlatego dla większości Niemców „Solidarność” stanowi zamknięty (i nieprzyjemny) rozdział w historii Polski, Niemiec i Europy w ogóle.

Nie trzeba nad tym rozdzierać szat. To jest właśnie polityka. Można jedynie rozpaczć, że tak żałośnie się kończy epepeja jednego z nielicznych Niemców, którzy mogli w historii stosunków między narodami polskim i niemieckim odegrać pozytywną i historyczną rolę.

Zapraszając Brandta, Wałęsa dał mu właściwie ogromną szansę. Przewodniczący „Solidarności” zaprosił Brandta do odwiedzenia Gdańska, miasta gdzie stoją dwa pomniki, których symbolika powinna była przemówić do serca i rozumu niemieckiego socjalisty. Pierwszy, to Westerplatte, gdzie zaczęła się druga wojna światowa. Drugi pomnik, to trzy krzyże wbite w niebo ku pamięci robotników poległych w grudniu 1970 roku, symbolizujące także powstanie pierwszego w historii komunizmu, niezależnego związku zawodowego, którego niektórzy twórcy bardzo wyraźnie identyfikowali się z hasłami zachodnioeuropejskiej socjaldemokracji.

Nic z tego. Nie pojechał. Bronisław Geremek, doradca „Solidarności”, przypomniał w wywiadzie dla brukselskiego *Le Soir*, że w 1970 roku Brandt kłękając przy pomniku getta warszawskiego, dał dowód odwagi moralnej i politycznej. Pytanie — zastanawiał się Geremek — dlaczego mu tej odwagi zabrakło w 1985 roku?

Pytanie retoryczne. Nieobecność Brandta u stóp pomników w Gdańsku zaciera obraz, wspomnienie i symbolikę obecności Brandta przy pomniku getta. Geremek jeszcze powiedział, że gest Brandta z roku 1970 wejdzie albo już wszedł do podręczników historii. Tak, ale pytanie w jakim zostanie rozdziale.

„*Très positif*”

Brandt nie pojechał więc do Wałęsy, ale za to Jaruzelski pojechał do Mitterranda. Odpowiedź na pytanie po co Jaruzelski pojechał do Paryża wydaje się prosta. Chciał mieć zdjęcie z prezydentem Francji, chciał siedzieć przez kilkadziesiąt minut obok prezydenta Francji na fotelu w pałacu Elizejskim. Według większości komentatorów zachodnich, Jaruzelski miał podwójny interes we wproszczeniu się na elizejskie salony. Po pierwsze, zdjęcie z Mitterrandem miałyby podnieść jego autorytet w oczach Polaków. Na pozór jest to wniosek prawidłowy. Prasa polska czy telewizja nie pokazały oczywiście upadających okoliczności wizy-

ty: wejścia kuchennymi schodami, obraźliwej nieobecności Mitterranda na peronie, gdzie czekali dziennikarze, aby dokonać zwyciężajowego zdjęcia uścisku dłoni, do którego ma w Paryżu prawo nawet najbardziej ponury kacyk afrykański, a nie miał Jaruzelski. Telewizja warszawska nie pokazała manifestacji przyjaciół „Solidarności” z Yves Montandem i innymi, prasa nie opowiedziała jak to właściciel przedsiębiorstwa wycieczkowego odmówił wynajęcia *bateau-mouche* dla „gen. Pinoszeckiego”, albowiem „gościł był uprzednio pana Lecha Wałęsę”. Łatwo więc było rzeczownikowi polskiej delegacji stwierdzić — cytując za prasą francuską — że wizyta stanowiła „sukces ponad najśmielsze oczekiwania”, że trwała dłużej niż przewidywano, że przeszła bez żadnych zgryzotów, choć oczywiście poglądy nie zawsze się zgadzały. Generał Jaruzelski stwierdził osobiście, że wizyta była „nad wyraz pożyteczna i bardzo szczerą”. *Très positif*, podkreślił generał.

Przypuszczenia zachodnich komentatorów są błędne. Wizyta w Paryżu nie podniesie autorytetu generała. Polacy i tak wiedzą co się naprawdę w Paryżu zdarzyło, słuchają radia itd. A poza tym autorytet generała nie waha się w zależności od tego, jak go traktuje Zachód. Polacy mają własne zdanie, wyrobione na podstawie własnego doświadczenia: autorytet generała zależy od tego jak on traktuje Polaków. Żadne kompanie honorowe niczego w tym zmienić nie mogą. Wałęsa i Geremek potraktowali spotkanie Mitterrand-Jaruzelski z żalem i ze zdziwieniem, ale spokojnie. Spotkania prezydentów, normalna rzecz. Poczekamy, zobaczymy co ono przyniesie. Polacy także chcieliby się spotkać z Jaruzelskim, cóż kiedy generał nie chce. Na zakończenie generał zresztą poinformował, że nie wspomniano nazwiska Lecha Wałęsy „bo to nie jest temat do rozmowy między szefami państw”.

Część prasy francuskiej, wierna prezydentowi *malgré tout*, chciała za wszelką cenę znaleźć jakieś racjonalne przesłanki zgody na zaproszenie Jaruzelskiego do Paryża. Wpadła w zawile rozważania na temat czy Jaruzelski to człowiek Moskwy czy też ukryty patriota, ujawniła jego skryte marzenia o staniu się polskim Kadarem. W swej nadgorliwości, wielki lewicowy tygodnik paryski sięgnął do analogii z niedawnej historii bliskiej Francuzom i powiedział, że Jaruzelski to taki polski Pétain, którego Polacy woleli od polskiego Laval'a. I to takiego człowieka przyjmował Mitterrand? Zawracanie głowy.

Paryska wizyta Jaruzelskiego — bez znaczenia dla sytuacji w Polsce — może natomiast okazać się szkodliwa, i to jest punkt numer dwa, w dziedzinie międzynarodowej. Są w Europie rządy, które czekają tylko na sygnał nobilitacji reżymu warszawskiego, aby natychmiast wyciągnąć z tego korzyści dla siebie samych, nic z Polakami i ich losami nie mające wspólnego. Po pokazie cynizmu w wykonaniu premiera Papandreu, który pierwszy przekroczył próg Jaruzelskiego, i po scenie upadku z Brandtem w roli głównej, przyjdzie (już może przyszła) kolej na pragmatykę w wykonaniu Kohla. Rząd w Bonn pierwszy, bardzo szybko, aby nie dać się uprzedzić, wyraził poparcie dla decyzji Mitterranda

przyjęcia Jaruzelskiego. Sprawa jasna. Kohl ma wobec generałów w Warszawie uczucie niesmaku takie samo jak Mitterrand, ale on także chce ubić swój interes: jeżeli Bonn chce mieć dobre stosunki ze wschodnim Berlinem — a jest to niezbędne w każdym układzie — to musi mieć także normalne stosunki z Warszawą, no i Moskwą. Zaproszenie Jaruzelskiego do Bonn, albo Kohla do Warszawy, jest w tym równaniu ceną za przyjazd Honeckera do RFN. To nie jest wysoka cena, jeżeli zważyć, że los 18 milionów Niemców w Niemczech wschodnich stanowi najważniejszy dziś chyba argument wyborczy w Niemczech zachodnich. Kohl, tak jak Brandt, jest skłonny tę cenę zapłacić.

No dobrze, ale jaki w tym wszystkim interes miał Mitterrand? Nie wiadomo dokładnie. Wszystkie scenariusze są możliwe, ale ani jeden nie jest pochlebny dla socjalistycznego prezydenta francuskiego mocarstwa. Można, jak ktoś powiedział, postawić moralność ponad interesem, albo interes ponad moralnością, ale Mitterrand działał i bezinteresownie i niemoralnie. Mógł Mitterrand np. przyjąć i rehabilitować Jaruzelskiego w zamian za poważne ustępstwa w dziedzinie ludzkiej, zwolnienie Michnika, Frąsnyiuła i Lisa. A tymczasem, równocześnie z wizytą w Paryżu czystka ideologiczna zmiotła 76 rektorów i dziekanów polskich szkół wyższych. A może Mitterrand ustąpił na prośbę Gorbaczowa i przyjął Jaruzelskiego w zamian np. za uruchomienie żydowskiej emigracji? Też nie bardzo. Z 400.000 kandydatów, w listopadzie 1985 wyjechało... 120 osób. A może gest wobec Jaruzelskiego miał umożliwić Polsce poruszanie się po innej — takiej np. jak rumuńska — orbicie w polityce zagranicznej? Śmieszne, trzeba jeszcze chcieć się poruszać, zakładając oczywiście, że taka inna orbita jest dla Polski osiągalna.

Nie ma właściwie niczego racjonalnego w decyzji Mitterranda przyjęcia Jaruzelskiego. Mógł jej uniknąć, był przecież dosłownie na chwilę przed wyjazdem na Antyle. Mógł ją także rozegrać przyzwyczajenie a nie traktując wizyty prezydenta PRL, jak choroby wenerycznej, ze wstydem, w tajemnicy przed najbliższymi i pozwalając w dodatku na ubliżanie gościowi. Nie jestem bliskim przyjacielem Jaruzelskiego, ale gdybym z jakichś względów postanowił go do siebie zaprosić, to wpuściłbym go frontem i nie pozwolił telewizji wyśmiewać jego choroby oczu. Groteska.

Pismo codzienne *Le Matin*, bardzo bliskie prezydentowi, poprosiło 40 intelektualistów francuskich o wypowiedź w sprawie wizyty Jaruzelskiego. Ani jeden nie znalazł dobrego słowa dla generała. A przecież bardziej krwawi dyktatorzy znaleźli już we Francji obrońców. Pol-Pot miał wyznawców, Castro jest ubóstwiany, Kadafi został określony niedawno jako „światły przedstawiciel nareszcie wyprostowanego trzeciego świata”, nawet syryjski Asad, który wymordował całe miasta innowierców, został przez pewne pismo uznany za „człowieka roku”. Tylko Jaruzelski nie ma przyjaciół.

Dlaczego? Jak wytłumaczyć tę szczególną niechęć do Jaruzelskiego? Chyba tylko tym, że w żadnym innym układzie historycznym przepaść między racją stanu a moralnością, między siłą

a nadzieją, nie była tak głęboka. Żaden inny dyktator — chyba nawet Pinochet — nie wyduśił tak brutalnie tak wielkiej nadziei w tak ogromnej historycznej i geopolitycznej skali. Pinochet zgwałcił jeden naród, Jaruzelski udławił cały rozdział w historii Wschodniej Europy, demokracji i godności człowieka. Wszystkie dyktatury typu Chile wyładowały lub wyładują w demokracji, żadna dyktatura komunistyczna nie dała się zwalić. Otóż to właśnie: „Solidarność” była najdalej posuniętą próbą utworzenia jakiejś struktury godnego życia w ramach totalitarnego pancerza. Jaruzelski właśnie zniszczył to. Nienawiść do Jaruzelskiego nie jest funkcją liczby ofiar śmiertelnych, lecz liczby żywych, którym zdawało się, że można żyć inaczej. I, w skrócie mówiąc — z winy Jaruzelskiego nie mogli. Dlatego wizyta Jaruzelskiego jest nie tylko wydarzeniem polsko-francuskim, ale także francusko-francuskim. Po raz pierwszy od wyboru w 1981 roku, Mitterrandowi udało się zjednoczyć wszystkich Francuzów. Przeciwko sobie.

Francuscy prezydenci nie mają szczęścia do Polski. W 1980 roku Giscard d'Estaing pojechał do Warszawy na spotkanie z Breżniewem u stołu Gierka. Kto nazwał go wtedy „małym telegrafistą Breżniewa”? Mitterrand. Teraz jego nazywają „małym impresariem komunistycznych dyktatur”. I po co mu to było?

Geremek przypuszczał, że Mitterrand miał zapewne bardzo poważne powody, aby przyjąć Jaruzelskiego. Francja, powiadał, prowadziła wobec Polski po zamachu 13 grudnia najbardziej twardy kurs w Zachodniej Europie. Aby Mitterrand z tego kursu zszedł, musiało — sądził Geremek — coś się zmienić albo w Polsce albo we Francji. Niekoniecznie. Zmienił się Mitterrand.

Mitterrand wie, że już przegrał wybory z marca 1986 roku i że znajdzie się za trzy miesiące w sytuacji bezprecedensowej: socjalistyczny prezydent będzie rządził Francją, której premier i większość w parlamencie będzie centrowo-prawicowa. Nikt nie wie co z tego wyjdzie, bardzo możliwe, że Francja idzie ku głębokiemu kryzysowi o wielu niewiadomych. Aby sprostac wyzwaniu dwóch lat, które dzielą go od następnych wyborów prezydenckich, Mitterrand musi skupić maksimum władzy w swoich rękach, chce m.in. udowodnić iż rządzić potrafi — jak w przypadku Jaruzelskiego — na przekór nie tylko opozycji, ale i własnemu premierowi i własnej partii.

Kto zna charakter Mitterranda, ten wie, że nie jest to kombinacja przesadna. Jest to bardzo wybitny polityk i intelektualista, ale niesłychanie próżny człowiek. Odmówił udziału w spotkaniu przed-genewskim z Reaganem, ale przyjął Gorbaczowa, nie pojechał na spotkanie po-genewskie z Reaganem, ale tego samego dnia kiedy prezydent USA zdawał sprawozdanie wobec swoich sojuszników w NATO w Brukseli, prezydent Francji zwołał własną konferencję prasową. Mitterrand, w imię tego co on uważa za niepodległość Francji, postanowił — póki ma jeszcze naprawdę wolne ręce — zająć jak najlepsze miejsce w pogoni za nową wersją *détente*, tej która jawi się w mgłę genewskiej.



To na tej drodze właśnie spotkał Brandta. Jest to rodzaj mlecznej drogi, prowadzącej ku gwiazdzie, której na imię *status quo*. To bardzo generalna koncepcja, to zarazem ideologia i polityka, a nawet religia. Jest to koncepcja moralnie dwuznaczna, a politycznie niebezpieczna. Jest to prawdopodobnie najkrótsza droga do samobójstwa Europy.

#### Na drodze do samobójstwa

Pierwszy odcinek jest natury biologicznej. Trzy pokolenia Europejczyków wyrosły w pokoju i w pełnym lub względnym, mimo kryzysu i bezrobocia, dobrobycie. Stanowią one dzisiaj ogromną większość żyjących Europejczyków, masę ludzi korzystających z dobrodziejstw demokracji, z wolności słowa, podróży itd., a nie znających ani przez doświadczenie własne, ani przez naukę, ani przez przekaz ustny (rodzice itd.), żadnej z europejskich form totalitaryzmu: hitleryzmu czy stalinizmu. Zjawisko ignorancji historycznej jest zatrważające: spotkałem dziennikarzy z działów zagranicznych dużych gazet, którzy nie wiedzieli co zaszło w Monachium w 1938 roku (myśleli, że też Olimpiada), ani kto to był, czy jest Dżilas. 40 lat po drugiej wojnie światowej bezpieczeństwo polityczne w Europie stało się pojęciem normalnym, istniejącym *per se*, nie wymagającym uzasadnienia i coraz mniej umacniania i obrony. Dla młodych wyrafinowanych lewicowych czy liberalnych intelektualistów, główne zagrożenie idzie od „Dallas” czy „Dynasty”, dla mas — wrogiem naturalnym jest bezrobotny Arab czy Murzyn wążający się po zaułkach przedmieść Paryża czy Marsylii. Za kryzys gospodarczy, bezrobocie i bomby terrorystów odpowiedzialny jest kapitalizm, a kapitalizm to Stany Zjednoczone.

Słowo kapitalizm stało się obelgą. Kiedy powiedziałem na spotkaniu z młodymi, że zachodzi związek przyczynowy między pojęciem wolnego rynku a wolnością w ogóle, zostałem prawie wygwizdany. Mój wywód, że Hiszpania, Grecja, Portugalia, Argentyna czy Brazylia itd., prawicowe dyktatury wojskowe wylądowały stosunkowo miękko w demokracji, właśnie dzięki kapitalistycznej infrastrukturze ekonomicznej, a narodom z bloku komunistycznego się to nie udało, m.in. z powodu braku takiej właśnie infrastruktury, został potraktowany jako tania propaganda.

Wynik jest taki — w uproszczeniu naturalnie — że podczas kiedy w Paryżu przeciwko wizycie Jaruzelskiego protestowało najwyżej 1.000 osób (ktoś powiedział, że to i tak dużo), a przeciwko wizycie Gorbaczowa właściwie nikt nie protestował, to manifestacja przeciwko NATO wpędziła w ulice Madrytu ponad 100.000 ludzi i w chwili pisania tych słów nikt nie ma wątpliwości, że w referendum, jeżeli do niego dojdzie w marcu 1986 roku, większość wypowie się za wyjściem Hiszpanii z Paktu Atlantycznego.

Drugi odcinek na mlecznej drodze ku powszechnemu *status quo*, to spadek poczucia zagrożenia sowieckiego. Nikt, to jasne,

nie ma dziś iluzji co do bankructwa modelu sowieckiego społeczeństwa. Nawet francuscy komuniści już nie jękają się na temat „bilansu globalnie pozytywnego” krajów bloku sowieckiego. Jest to w poczuciu ogólnym model zbankrutowany, i dlatego m.in. nie jest to system niebezpieczny. Jest to po prostu inna ale normalna formacja gospodarczo-społeczna, z jej problemami, radościami i smutkami. We wpajaniu tego obrazu „normalnego” systemu sowieckiego rola rozmaitego typu intelektualistów jest kolosalna. Sowieolog amerykański Jerry Hough, ulubieniec wielkich sieci telewizyjnych, wynalazł i sprzedał światu obraz Andropowa jako „ukrytego liberała”, jego kolega Stephen Cohen, ulubieniec prasy amerykańskiej, wylansował obraz Gorbaczowa jako wielkiego reformatora. Kiedy wspomniał Norman Davies nieśmiało zauważył, że najwięksi reformatorzy w historii Rosji od Piotra Wielkiego do Stalina byli także największymi tyranami, został natychmiast okrzyknięty jako podżegacz.

Businessmeni nie pozostali za intelektualistami, a nawet ich wyprzedzili. Armand Hammer i Samuel Pisar przed, w czasie, no i po genewskim szczycie, przeszli do ofensywy pod hasłem: „pokój przez handel”. Jeszcze euforia po-genewska nie opadła, a już... 400 ludzi businessu z USA wylądowało w Moskwie w celu uczestniczenia w komisji mieszanej amerykańsko-sowieckiej dla spraw handlu i współpracy gospodarczej. Tuż po Genewie cztery wielkie banki amerykańskie udzieliły ZSSR kredytu 400 milionów dolarów. Suma niewielka, nieważny nawet fakt, że stopa procentowa jest niższa niż obowiązujące normy międzynarodowe (tzw. LIBOR), ważne, że był to pierwszy kredyt udzielony przez Amerykanów Rosji od... inwazji Afganistanu w 1979 roku.

Prasa też nie dała się wyprzedzić. Niektórzy z moich wybitnych kolegów amerykańskich odkryli istnienie na Kremlu „gołębi” i „jastrzębi”, uprzedzili, że jeżeli nie pomożemy Rosji to główny gołąb Gorbaczow oczywiście zostanie osłabiony ze szkodą dla Zachodu, przypomniał, że Reagan swoją zimno-wojenną retoryką zniszczył niedawno... pro-amerykańską frakcję na Kremlu i że nie wolno do tego znowu dopuścić. Rekord głupoty czy cynizmu pobił angielski wydawca labourzystowski milioner Maxwell. Wydał pisma zebrane generała Jaruzelskiego, „polityka i żołnierza”, który w grudniu 1981 „uratował Polskę, Europę i świat”. A jak zakwalifikować ogromny — faktycznie cały numer — wywiad tygodnika *Time* z Gorbaczowem, w którym amerykańska redakcja nie zadała sowieckiemu przywódcy ani jednego pytania na temat praw człowieka? Może to była cena za wywiad? A jeżeli tak, to jak się to nazywa?

A rola polityków? Dlaczego się dziwić Brandtowi i Mitterrandowi, kiedy prezydent Reagan też uznał, iż Europa Wschodnia nie stanowi „rejonu konfliktowego” i nie warta jest, jak Etiopia czy Angola, nawet wspomnienia w Genewie? Na cztery tygodnie przed szczytem, Reagan przyjął Jerzego Milewskiego, dyrektora biura Solidarności w Brukseli. Było to wydarzenie poważne, Reagan nie przyjmuje codziennie przedstawicieli związków zawodowych, zwłaszcza podziemnych. Miał to więc być — tak mi się

przynajmniej wydawało — jakiś sygnał dla świata: my o Polsce nie zapominamy, będzie o niej mowa w Genewie, a prezydent USA przyjmuje Milewskiego właśnie teraz przed szczytem, a nie w 1983 czy w 1986 roku po to, aby Gorbaczow nie poczuł się w Genewie zaskoczony.

Cóż, kiedy o tej audyencji nikt właściwie się nie dowiedział. Byłem wtedy w Waszyngtonie i byłem pod Białym Domem. Łało, zimno, ale to nie z powodów klimatycznych nie było wtedy na Pensylwania Avenue ani jednego przedstawiciela wielkiej prasy amerykańskiej. Podejrzewam — choć lojalnie podaję, że osoby odpowiedzialne w Białym Domu się ze mną nie zgadzały — że komuś zależało na tym, aby o audyencji Milewskiego u Reagana nikt albo prawie nikt się nie dowiedział, że Reagan pod czymś wpływem uznał, że Milewskiego właśnie wtedy należało przyjąć, ale że pod wpływem innych zawstydził się tego, co sam zrobił. Biały Dom wie przecież jak się ściąga prasę, kiedy prezydentowi na tym zależy. Tym razem nie ściągnęli. Kilka dni potem byłem w redakcji *New York Times*'a, gdzie poważny dziennikarz... nie wiedział o tym, że Milewski był u Reagana.

#### Czekając na konwulsje

Wynik powinien skłonić do myślenia. Po pierwsze, pod wpływem prasy zachodniej, która w stosunku do ZSSR używa słownika zaczerpniętego z doświadczeń zachodniego systemu politycznego i opisuje ZSSR przy pomocy takich pojęć jak parlament, prezydent, prasa, dziennikarz, a nawet demokracja, reforma itd., państwo sowieckie, zwłaszcza przez niedouczonej młodych, jest traktowane jako twór polityczny absolutnie normalny, jako formacja wyłącznie polityczna a nie ideologiczna.

Po drugie, prowadzi to nie do językowego a logicznego i politycznego zwyrodnienia, pomieszania i zamazania pojęć, wyrażającego się przede wszystkim w postaci tzw. „ekwidystansu”, poszukiwania autonomicznej pozycji w równej odległości od USA i ZSSR. „Oba super-mocarstwa mają swoje rozliczenia w dziedzinie szacunku dla praw człowieka, USA w Haiti np., a ZSSR — w Afganistanie” napisał pewien uczony polemolog w dużej gazecie belgijskiej. „Gwałt charakteryzuje oba państwa. Wystarczy przytoczyć postępowanie ZSSR na Węgrzech, w Czechosłowacji, w Polsce, czy w Afganistanie, a z drugiej strony przypomnieć okres maccarthyizmu w USA”, napisał pewien dziennikarz zachodni. Rekord pobili ów komentator, który w artykule na temat sesji Międzynarodówki Socjalistycznej taki oto sformułował wniosek końcowy: „Europa powinna więc znaleźć miejsce własne między tendencjami hegemonistycznymi ZSSR, a aspiracjami dominacji ze strony USA”. Na zdrowie.

Po trzecie, ludzie wychowani na takiej prasie uważają, że ZSSR, państwo normalne, dba jak inne, to jasne, o swoje interesy i że nie można mieć do niego o to pretensji. Dla tych ludzi z tego stwierdzenia nie wynikają żadne wnioski, co do ekspansywnej natury systemu sowieckiego. Jeżeli więc Europa nie ma

powodu czuć się zagrożona przez ZSSR, to zanika również potrzeba sojuszu z USA jako niezbędnej siły, mogącej stawić tamę nieistniejącemu wszak niebezpieczeństwu sowieckiej ekspansji.

Po czwarte, jeżeli tak jest, to nie należy czynić niczego co mogłoby wzbudzić poczucie zagrożenia... ZSSR ze strony Europy i jej amerykańskiego sojusznika, niegodnego zresztą zaufania, jako że podejrzanego o swoje własne egoistyczne cele (ale to inny temat). Trzeba z Rosjanami żyć więc w pokoju i nie macić *status quo*. Europa Zachodnia nie powinna w żaden sposób podniecać narodów Europy Wschodniej, czyli powinna odwracać się tyłem do cierpień i kryzysów w Europie Wschodniej, tak jak się „odwrócił” Brandt od Wałęsy.

Wyjątkową rolę w tym politycznym procesie „odwracania się tyłem” odgrywają Niemcy zachodnie. W artykule pod tytułem „Deutschland, Deutschland”, wydrukowanym w *Kulturze* chyba natychmiast po zamachu grudniowym, uprzedzałem do czego prowadzi niemiecki nacjonal-pacyfizm. Zostałem wówczas ostro skrytykowany przez niemieckich liberałów. Muszę donieść ze smutkiem, że miałem rację i że jest gorzej niż wtedy przypuszczałem. Nikt naturalnie nie może mieć pretensji do Niemców, że dbają o swoje interesy. Ale dlaczego zawsze się to musi dziać kosztem innych, a przede wszystkim Polski? Dlaczego Ost-polityka od Brandta i Schmidta aż po Kohla i znowu Brandta i dlaczego Genewa w tłumaczeniu na niemiecki muszą brzmieć Jałta? Jak mogą Polacy myśleć o pojednaniu z Niemcami kiedy wpisani są w klamrę:

— otwartą w grudniu 1981 przez kanclerza Schmidta przebywającego wówczas w wizytą w NRD: „Wydarzenia w trzecim kraju nie powinny wpływać na stosunki między dwoma państwami niemieckimi”;

— sformułowaną teoretycznie przez Theo Sommera z *Die Zeit*: „Tak jak Niemcy zrezygnowali w imię pokoju z marzeń o jedności, tak Polacy powinni, w imię tego samego pokoju (pojałtańskiego — dopisek L.U.) zrezygnować z marzeń o niepodległości”;

— umocnioną pragmatycznie przez Nannena ze *Stern*'u: „Polacy myśleli, że się mogą wystrajkować (aluzja do „Solidarności” — dopisek L.U.) z Paktu Warszawskiego, zapominając, że leżą w tej części Europy, która należy do strefy sowieckiej”;

— zamkniętą zachowaniem się i wypowiedziami Brandta w Warszawie „Europa potrzebuje ustabilizowanej Polski”, natychmiastowym poparciem Kohla dla Mitterranda za jego „realistyczny” gest wobec generała Jaruzelskiego oraz sugestią Brandta, że Kohl, jak Mitterrand, powinien się spotkać z Jaruzelskim, najlepiej w Warszawie. Zainteresowanych bliżej analizą niemieckiego „realizmu” odsyłam do znakomitego eseju Timothy Garton Asha w *New York Times Review of Books* ze stycznia 1985, przedrukowanego — we fragmentach — w *Aneksie* nr 39/1985 i do jego wniosku o tym, jak „Deutschland-politik” przyczynia się do umacniania stabilności i umocnienia funkcjonowania systemów politycznych na wschodzie!

*Gdzie leży Afganistan?*

Stabilizacja, której fundamentem jest „krzywda” narodów, jest możliwa, ale nietrwała. Polacy np. już kilkakrotnie się takiej stabilizacji sprzeciwili. Uczynią tak znowu, nie zgodzą się na umieszczenie Polski poza Europą, na — jak to powiedział Gerek — europeizację Europy polegającą na przyłączeniu dużego europejskiego kraju do innego kontynentu. Jasne, przez pewien czas Zachodnia Europa będzie nieobecna w Europie Wschodniej, nie będzie interesować się konwulsjami ani kryzysami w Polsce czy gdzie indziej. Pewnego dnia jednak Europa Zachodnia zostanie tymi konwulsjami objęta. Będzie do tego nieprzygotowana. I drogo za to zapłaci. *L'ordre règne à Varsovie*, powiedział minister Sebastiani w 1831 roku po zdobyciu Warszawy przez gen. Paskiewicza. I mylił się. Mylą się także Brandt i Mitterrand. Powinni raczej wołać tak jak inny Francuz, niejaki Charles Floquet, który w czasie wizyty i w obecności cara Aleksandra II w 1867 roku w Paryżu zawołał *Vive la Pologne, Monsieur*.

Byłem w listopadzie w Londynie, brałem udział w bardzo interesującym spotkaniu zorganizowanym przez redakcję miesięcznika *Encounter* dla przedyskutowania sprawy aspektów intelektualnych, politycznych i psychologicznych „zakłóconego dialogu” europejsko-amerykańskiego. Sformułowałem tam kilka z myśli dziś tutaj przytoczonych. Ktoś mi wtedy powiedział, że ja wszystko widzę za czarno i że w każdym razie można liczyć na Sowietów, którzy nieuchronnie — taki już jest fatalizm ich dynamiki — popełnią jakieś kolosalne głupstwo czy zbrodnię, która, tak jak inwazja Afganistanu, skonsoliduje Zachód, przywróci mu jasność myślenia i wolę obrony.

Odpowiedziałem na to, że owszem, jest to bardzo możliwe, a może nawet nieuniknione. Tylko, że ja nie mam pewności, że czas gra dla mnie i nie wiem kiedy, a przede wszystkim gdzie, w którym miejscu np. Europy, zostanie ten nowy Afganistan popełniony? *That is the question!*

Leopold UNGER

Pisane 10 grudnia 1985

## Korespondencja z Rzymu

SYNOD: „RÓŻNORODNOŚĆ W JEDNOŚCI”

Około 400 korespondentów prasy światowej — wśród których połowę stanowili Anglosasi — przybyłych dla obsługi Nadzwyczajnego Synodu Biskupów (około 200 jest stale akredytowanych), było przekonanych, że Sobór Watykański Drugi zostanie zakwestionowany, jeśli nie wręcz pogrzebany pod obuchem zwycięskiej

„restauracji”. Na to przeświadczenie wpłynęły zarówno pesymistyczne rozważania kardynała Ratzingera w słynnej książce „Raport o wierze”, jak i rozbieżności interpretacyjne wśród znanych teologów na temat zwrotu dokonanego przez Sobór. Przyczyniły się do tego również opinie tych publicystów, którzy spory i podziały w międzynarodowym życiu politycznym przenosili w sposób absurdalny na grunt problematyki kościelnej. Stąd zamieszanie i fałszywy pogład, upatrujący w Soborze źródło faktycznych trudności, jakie przechodzi Kościół Powszechny. Tymczasem przebieg obrad synodalnych nie wykazał ani cienia „restauracyjnych” ciągów („przedmiotem naszych obrad nie jest pewna książka” — powiedział ironicznie kardynał Danneels, główny sprawozdawca Synodu), nie ujawnił domniemanego rozłamu czy też konfliktów, lecz po prostu różne poglądy i akcenty w zależności od sytuacji lokalnych.

Europejczyków interesowało głównie niebezpieczeństwo sekularyzmu i rozluźnienia dyscypliny, przedstawicieli Afryki — inkulturacja czyli przystosowanie Ewangelii do rodzimych kultur, Ameryki Łacińskiej — teologia wyzwolenia. W debacie wystąpiła — podkreślona z zadowoleniem przez Papieża — „różnorodność w jedności”. Rozczarowanie spotkało tych, którzy oczekiwali, że Synod nie potwierdzi rezultatów soborowych. W rzeczy samej nikt z ojców synodalnych nie wystąpił na rzecz położenia kresu reformom i przywrócenia stanu przedsoborowego. Jedynie krnąbrny bp Lefebvre, zawieszony w swych funkcjach przez Pawła VI w 1968 roku, pokazał rogi występując z listem do Papieża i pewnej liczby biskupów. Papież uśmiechając się zwrócił się przy obiedzie do współbiskupów: „uważajcie, bo jestem złym pasterzem”. (Lefebvre pisał, że jeśli Papież nie odwoła reform liturgicznych to okaże się „złym pasterzem”).

Ci co sztucznie dramatyzowali istniejące kontrasty wykorzystywali obrady synodalne do przeciwstawienia się pontyfikatowi, który w zasadniczych kierunkach i opcjach nie jest przecież odmienny od pontyfikatu Pawła VI. Nie wyklucza to, że choć w dyskusji uniknięto rozbieżnych interpretacji na temat Soboru (czego domagał się Papież), wystąpienia były zróżnicowane w sprawach takich jak doktryna kolegiałności czy rola Kościołów lokalnych, zwłaszcza w ich stosunkach z Kurią Rzymską. Na tę ostatnią narzekali niektórzy Afrykańczycy, twierdząc, że centrala nie rozumie ich problemów.

Jeśli chodzi o teologię wyzwolenia, to jej obrona względnie krytyka niektórych nurtów, ograniczyły się do kręgu ojców synodalnych z Ameryki Łacińskiej (głównie z Brazylii, Kolumbii i Meksyku). Zdaniem bp. Ivo Lorscheitera, przewodniczącego episkopatu brazylijskiego, jest błędem sądzić, że teologia wyzwolenia stanowi wytwór niewielu teologów izolowanych i najbardziej śmiałych. Kardynał Eugenio Sales z Rio de Janeiro polemizował z jego stanowiskiem i dziękował Papieżowi za wydaną „instrukcję”. Podczas kiedy dla pierwszego z nich i większości członków episkopatu brazylijskiego ta doktryna nie popycha bynajmniej do przemocy, nie usprawiedliwia ideologii marksistowskiej i nawet jeśli

zakłada ryzyko, to jest ono nieodzowne dla akcji Kościoła — zdaniem kardynała Ahumedy z Meksyku Watykan dobrze zrobił potępiając „błędy pewnej teologii wyzwolenia”. Dodał jednak: „równocześnie uznajemy poważne niesprawiedliwości społeczne na naszym kontynencie”. Wydaje się, że dopiero drugi, zapowiedziany dokument papieski na ten temat położy kres dotychczasowym kontrowersjom i wskaże na to, jaka doktryna w tej materii jest „zdrowa” i aprobowana przez Kościół.

Głos przedstawicieli Europy Wschodniej nie jest tym razem (tak jak był na Soborze) wart szczególnego odnotowania. Kardynał Vaiwods z Rygi i abp Povilonis z Kowna nie przemawiali i zastrzegli sobie tajność swych wypowiedzi złożonych na piśmie. Podobnie uczynili biskupi z Teheranu i Hong Kongu. Kardynał Tomášek ograniczył się do eufemistycznego stwierdzenia, że „w Czechosłowacji Kościół żyje w warunkach szczególnych”. Kardynał Lubacziwsky nie ominął twardych słów pod adresem sowieckich ciemiężycieli i ponownie przedstawił postulat nadania Kościołowi Ukraińskiemu ustroju patriarchalnego. Jest rzeczą interesującą, że w echem synodalnych większą groźbę niż totalitarny komunizm stanowiły skrajne ruchy islamu czyli „teokratyczne panowanie nie do pogodzenia z obecnością chrześcijan”. Kardynał Khoraiche, patriarcha maronicki z Bejrutu, bił na alarm i mówił o „chrześcijanach drugiej kategorii”, podobnie jak kardynał Wyszyński na Soborze mówił o katolikach, „obywatelach drugiej kategorii” w Polsce, dyskryminowanych w życiu publicznym.

Dwa dokumenty synodalne, zatwierdzone przez Synod, „Orędzie do Ludu Bożego” i przede wszystkim raport końcowy, umożliwiają syntetyczne spojrzenie na blaski i cienie 20 lat, jakie upłynęły od zamknięcia Soboru. Cienie: najpierw konstatacja, że w świecie zachodnim mamy do czynienia ze zjawiskiem odwyknięcia (dosłownie: ostudzenia uczuć) od Kościoła, zwłaszcza u młodzieży, co stanowi rezultat „idolatrii”, bałwochwalstwa dóbr materialnych. Obok tego akcent samokrytyczny: „byliśmy zbyt wahający się w realizacji Soboru, mówiliśmy zbyt dużo o strukturach, o Kościele instytucjonalnym, za mało natomiast o Chrystusie i świętości”. Stąd postulat dążenia do „odzyskania świętości i tajemnicy wiary”. Jeśli już mowa o samokrytyce, to trzeba odnotować ważką wypowiedź bp. J. Foley'a, Amerykanina, przewodniczącego Papieskiej Komisji d/s środków społecznego przekazu. Oświadczył on: „Kościół wciąż pozostaje w tyle w dziedzinie *mass mediów*, a niektórzy rzecznicy kościelni wykazują złą wiarę, ducha defensywnego i strach przed prawdą”.

Podobnie jak w czasie Soboru, tak i na obecnym Synodzie stwierdzono z większym jeszcze naciskiem, że Kościół jest przyjmowany bardziej pozytywnie tam, gdzie jest uciskany przez ideologię totalitarne i gdzie podnosi swój głos przeciw niesprawiedliwościom. Kościół Powszechny „powinien profetycznie denuncjować wszelką formę ucisku”. Wśród przyczyn zewnętrznych kryzysu wymienić trzeba: „komunizm narodów bogatych, który rodzi ślepotę wobec wartości duchowych”. Wśród przyczyn wew-

nętrnych: „selektywną lekturę Soboru i akceptację zeświecczonej mentalności”. Należy odrzucić jednostronną koncepcję socjologiczną Kościoła.

Sprawa jedności i kolegalności: Kościoły lokalne są zwierciadłem Kościoła Powszechnego, Papież stanowi centrum jedności wiary i jedności hierarchicznej. Należy popierać „wielorakość form w jedności”, ale nie „czysty pluralizm”, pojmowany jako pluralizm stanowisk przeciwstawnych, co prowadzi do dezintegracji i utraty tożsamości. Konferencje episkopalne jako narzędzie kolegalności powinny przestrzegać „niezbywalnej odpowiedzialności każdego biskupa”.

Co należy robić? Upowszechniać i lepiej wyjaśniać dokumenty soborowe, dbać więcej o życie duchowe i pilnować nauczania teologii w seminariach, opracować katechizm uniwersalny lub kompendium, zawierające podstawowe prawdy wiary i moralności, jako punkt odniesienia dla edycji krajowych. Jak wiadomo, dotychczasowe różne próby katechizmów, jak w Holandii czy we Francji, nie powiodły się i napotkały na ostrą krytykę. Raport końcowy wzywa do pogłębiania nauki społecznej Kościoła w różnych sytuacjach na świecie, podobnie jak należy studiować konkretne zastosowania tzw. opcji preferencyjnej na rzecz ubogich.

Nie sposób pominąć jeszcze jednej kwestii: ogromnego zainteresowania międzynarodowej opinii publicznej dla spraw Kościoła. Jak się okazuje, mimo takich czy innych trudności w sprawowaniu rządów w Kościele, wykazuje on wciąż wielką żywotność. Ciągle jeszcze oczekuje się w świecie na to, co Kościół Rzymski ma do powiedzenia. „Proces otwarty”, jak określił ostateczny wynik Synodu jego sekretarz generalny bp Jan Schotte, oznacza, że przełom jakiego dokonał Sobór w życiu Kościoła i w jego stosunkach ze światem zewnętrznym, jest nieodwracalny. Jest to bowiem proces permanentnego dojrzewania, bardziej uświadomionego uczestnictwa, realistycznego podejścia do różnych rozterek nękających świat. I wierności wobec magisterium z równoczesnym zachowaniem prawa do własnych ocen.

Dominik MORAWSKI

Pisane 10 grudnia 1985

## List z Londynu 191

Bob Geldof, irlandzki *pop singer*, który dzięki koncertowi na stadionie w Wembley zebrał 50 milionów funtów na umierającą z głodu środkową Afrykę, postanowił osobiście zobaczyć, jak sprawy wyglądają na miejscu. Wynajął samolot i wraz z dyrektorem organizacji *Live Aid*, Kevinem Jendenem, odbył morderczą po-

dróż. W rozchełstanej koszuli, w brudnych spodniach, z włosami opadającymi na ramiona, w temperaturze prawie 50° Celsjusza, zaczął od zachodu i lądował kolejno w Bamako, stolicy federacji Mali, tamże w Timbuktu, w Niamey na terenie Nigru, w Ndjamena w zachodnim Czadzie, w Chartumie (stolicy Sudanu) i wreszcie w Addis Abebie, stolicy Etiopii.

Wszystkie te kraje, w których panuje nieopisana nędza, są jednak niepodległe, w każdym z nich rządzą obwieszani orderami władcy, którzy nie mogli przepuścić takiej okazji, by się nie postawić. Wszędzie była wielka gala, wszędzie śpiewak musiał wysłuchiwać długich przemówień i spożywać uroczyste posiłki, tu posadzić pamiątkowe drzewko, tam podlać krzaczek ryżu, słuchać lokalnych chórów, oglądać tancerzy. Poprzedzająca go fama stworzyła obraz skrzyżowania amanta z Hollywood z Matką Teresą i jako takiego go przyjmowano. Gdyby gościem był, na przykład, następca brytyjskiego tronu, od lat przygotowywany do takich okazji, pewno wszystko odbywałoby się sprawnie i normalnie. Przyjechał jednak zwyczajny irlandzki chłopak i zetknięcie dwóch tak odległych od siebie światów musiało nieustannie zamieniać się w operetkową farsę. W Czadzie, gdzie przyjął go z wielkimi honorami prezydent Hissène Habré, Geldof spojrzął nań i zawołał: „Hej, pan jest siwy, a na fotografiach pokazują pana jako ciemnego blondyna. Czy pan farbuje włosy?”. Później, w czasie audyencji, robił dłońmi gesty, które rozśmieszały otoczenie dostojnego gospodarza. Gdy w Chartumie Generał Swar al-Dahab udekorował go niebiesko-biało-złotym orderem Dwoch Nilów, śpiewak zapytał: „A gdzie są kolczyki?” W Nigrze na audyencji u prezydenta w ogóle nie przyszedł i skomentował to zdaniem: „Jestem zainteresowany tylko takimi szaleńcami, którzy posiadają siłę”. Na wszystkich przyjęciach żuł gumę i drzemał z przymkniętymi oczami.

Początkowo liczni przedstawiciele zachodnich organizacji charytatywnych, którzy w tych krajach przebywają od wielu miesięcy, z przerażeniem patrzyli na to wszystko, ale z upływem czasu ich stosunek do Geldofa zaczął się zmieniać. Jego arogancja miała w sobie wiele merytorycznego uzasadnienia. Nie wahał się przed najbardziej drastycznymi pytaniami, kierował je do lokalnych wielkości, wręcz zarzucał im korupcję, domagał się wyjaśnień, robił więc to, co każdy z urzędników charytatywnej pomocy chciałby zrobić, ale za co zostałyby wyrzucony w ciągu kilku godzin. Śpiewak zaatakował także organizatorów zachodnich agencji, zarzucając im brak współpracy a nawet ambicje, przeradzające się w nikomu niepotrzebną konkurencję. Był dociekliwy, mimo wyczerpania rozmawiał z setkami ludzi, dotarł do zapadłych kątów, poznał braki mechanizmu rozdzielania żywności.

■ Po powrocie do Europy Geldof począł tworzyć plany dalszych koncertów i organizacji pomocy dla Afryki. Wystąpił w europejskim parlamencie, gdzie nietaktownie, ale słusznie apelował o przesłanie ginącym z głodu gór masła i zboża, które co roku produkują w zbytecznych ilościach ciągle subsydiowani europejscy

farmerzy. Był już w Australii w tych sprawach, będzie przyjęty przez Papieża.

Na tle dramatu milionów umierających ludzi i różnych odruchoń pomocy obliczonych na propagandę, jakich to powiew świeżości. Ciągłe narzekamy na młode pokolenie, zarzucamy mu egoizm, ignorancję, chuligaństwo, brak poszanowania dla tradycji, lenistwo, i oto pojawia się nagle zwyczajny chłopak, modny śpiewak, i jednym zamachem ofiarowuje głodnym sumę większą niż rządy wielu dużych państw. Sumę tę zebrał głównie dzięki młodzieży, dzięki swemu pokoleniu. Mało o tym wiemy, ale gdy się chce wiedzieć, zdumienie ogarnia na wiadomość, że tysiące młodych dziewcząt i chłopców, Amerykanów, Francuzów, Brytyjczyków, Włochów, Niemców, znajduje się w zacofanych lub żywiołami nawiedzonych krajach. Jadą tam często na własny koszt, za grosze, wprost za utrzymanie pracują w szpitalach, szkołach, sierocińcach, domach dla starców, przy rozdziale żywności.



Dnia 15 listopada 1985 roku premierzy Wielkiej Brytanii i południowo-irlandzkiej Republiki podpisali porozumienie, nad którym pracowano przez wiele miesięcy i które po raz pierwszy od 63 lat wyznacza Republice pewną rolę w sprawie Ulsteru. To historyczne porozumienie ogranicza się w tej chwili do międzyrządowej, brytyjsko-irlandzkiej Konferencji, której głównym zadaniem będzie w tej fazie zahamowanie terroryzmu, współpraca organów bezpieczeństwa, ochrona północnej, katolickiej mniejszości i wymiana poglądów, ale jest to olbrzymi krok naprzód. Po wielu latach Wielka Brytania zgodziła się na udział Republiki w sprawach północy, która przecież należy do Zjednoczonego Królestwa. Droga jest daleka, w tej chwili rząd brytyjski mocno podkreśla, że mowy nie ma o oddaniu Ulsteru niezależnej Republice, ale jest to na pewno pierwsze pociągnięcie w tym kierunku.

Porozumienie wywołało furię protestanckich lojalistów z demagogicznym pastorem, Ianem Paisly, na czele. Zorganizowano w Belfaście olbrzymią demonstrację z udziałem 100 tysięcy ludzi, ogłoszono totalny bojkot poczynań rządu, rozpoczął się nacisk na członków Izby Gmin, by odrzucili porozumienie. Tym razem jednak, wbrew wieloletniej praktyce, opozycja poparła rząd i pakt przeszedł olbrzymią większością głosów. Tak samo postąpił Parlament południowej Irlandii.

Ian Paisly zapowiedział walkę do ostatka, siedemnastu posłów do Izby Gmin z Ulsteru złożyło poselskie mandaty, terror na pewno zaraz nie osłabnie, ale pierwsze, najtrudniejsze posunięcie zostało już zrobione. Najbliższe miesiące a raczej lata pokażą czy zakończy się powodzeniem. Miejmy nadzieję, że tak. Wskazywały na to przykład Francji i jej Północnej Afryki: francuscy koloniści, osiedleni tam wiele lat temu, byli w sytuacji podobnej do brytyjskich lojalistów w Ulsterze (o jego historii pisałem w „Liście z Londynu”, *Kultura* wrzesień 1983). Wtedy

wielką rolę odegrał autorytet de Gaulle'a, tutaj takiego autorytetu nie ma, ale wyrówna go cierpliwość Brytyjczyków.



Dwanaście lat temu obroniłem na *London School of Economics and Political Science* (londyński uniwersytet) pracę doktorską na temat ruchu podziemnego w Oświęcimiu. Wyszła ona później w formie książki, pt. *Fighting Auschwitz*, i obiegała świat, mając wiele wydań angielskich, dwa amerykańskie, jedno francuskie i jedno polskie. Na temat oświęcimskiego obozu wydano ponad 7 tysięcy książek, ale tylko moja prezentuje tamtejszy ruch podziemny w formie dokumentalnej, historycznej pracy, zaakceptowanej przez wielki uniwersytet. W tym zakresie jestem przez historyków różnych krajów uznany za eksperta, niezależnie od własnych oświęcimskich doświadczeń.

W tej roli, którą uzupełnia historyczna specjalizacja w zakresie drugiej wojny światowej, zabrałem głos na naukowym sympozjum zorganizowanym po pokazie filmu *Shoah* przez *Institute of Polish-Jewish Studies* w Oksfordzie. Ograniczyłem się do prostowania jaskrawych fałszów, bo w filmie powiedziano, że ruch podziemny stworzyli Niemcy po to tylko, by łatwiej przeżyć, a jedynym rezultatem była większa ilość Żydów wysyłanych do komór gazowych. Tylko Żydzi cierpieli w obozie, reszta to „pasażerowie”, którzy mieli wszelkie szanse przeżyć, oczywiście kosztem innych.

Reżyser filmu, Claude Lanzmann, pokwitował naukową dyskusję wypowiedzią: Każdy dureń mógł przeżyć Oświęcim i napisać książkę, kto przeżył obóz, to tylko po trupach innych, ja lepiej wiem jak było i moja wizja artystyczna kryje wszystko. Po tym wstępie wysłuchaliśmy godzinnego wykładu, który był dnem ignorancji i kompletnej niezajomości elementarnych faktów dotyczących ubiegłej wielkiej wojny.

Słyszałem później głosy kilku członków dyskusji, którzy próbowali tłumaczyć, że należy oddzielić osobowość twórcy od jego dzieła, że należy mu wybaczyć nawet chamstwo. Kto chce, niech wybacz (przeważnie wybaczają ci, których to nie dotyczy) nikomu jednak nie wolno akceptować ignorancji. Kto porywa się na temat tak trudny, kontrowersyjny i bolesny, jakim było ludobójstwo (dotyczące nie tylko Żydów) i jakim był Oświęcim, musi znać fakty i musi umieć słuchać, gdy ktoś kompetentny błędy jego prostuje. A sympozjum historyczne nie może być platformą wrzasku i arogancji.



Kilka lat temu, gdy Margaret Thatcher przygotowywała dla parlamentu wnioski w sprawie związków, nikt nie dawał jej szansy na zwycięstwo, a krańcowi malkontenci w jej własnej partii szli nawet dalej. Twierdzili, że projekt ustawy niczego nie

załatwi. Istotnie dotyczył dwóch punktów i obydwie zależały wyłącznie od samych związków. Pierwszy wymagał, by każdy oficjalny strajk, zarządzony przez któryś ze związków, został poprzedzony tajnym głosowaniem wszystkich członków, drugi zmuszał związki, by w specjalnej uchwale potwierdziły, że są nadal za wpłacaniem poważnych sum do kasy *Labour Party* na działalność polityczną.

Uchwała przeszła przez parlament, ale wszyscy rozumieli, że to dopiero początek, że teraz ruszą do ataku związki zawodowe. Najodpowiedniejszym do mocnego uderzenia był Związek Górników prowadzony przez głośnego już komunistę, Arthura Scargilla, i on zarządził strajk, *oczywiście bez tajnego głosowania*. Miała to być próba sił. Strajk trwał rok, kosztował kraj kilka miliardów funtów, był widownią wyjątkowego rozwydrzenia górników i nieprzygotowanych ataków skrajnej lewicy na policję, a jednak rząd wytrzymał presję i zwyciężył. Stało się tak, bo podstawowy trzon społeczeństwa okazał się mimo wszystko zdrowy. Nie było tajnego głosowania, strajk nie miał prawa się zacząć, nie może się więc skończyć zwycięstwem łamaczy prawa.

Od załamania się strajku górników żaden inny strajk bez tajnego głosowania nie powiódł się, a nowy Związek Demokratyczny Górników liczy już ponad 30 tysięcy członków i każdego dnia wzrasta. Centrala związków (*TUC*) została rozbita z powodu różnicy poglądów, a *Labour Party*, której siła opiera się na związkach, nie wie jakie zająć stanowisko. Trudność polega na tym, że tam, gdzie działa nowy Związek Górników, znajduje się kilka marginesowych okręgów wyborczych. Tak długo jak nowy związek nie zostanie zaakceptowany przez centralę, a ona się przed tym broni, nie może być afiliowany do *Labour Party*, a to oznacza stratę tysięcy głosów.

Symbolem nowej sytuacji jest zamknięcie kopalni w Cortonwood, w obronie której zaczął się ponad rok temu górniczy strajk. Wtedy tamtejsi górnicy byli najbardziej bojowi, teraz sami głosowali za zamknięciem nieekonomicznego przedsiębiorstwa. Starsi górnicy przyjęli hojne odprawy i emeryturę, młodszych przeniesiono do innych kopalń.



Zajrzałem do informatora Kongresu Kultury w Londynie i pod rubryką *Alfabetyczna lista uczestników zgłoszonych do 15. 8. 1985* znalazłem moje nazwisko z przydziałem do sesji historycznej. Sięgnąłem do mej korespondencji z prof. Szczepanikiem, kierującym Kongresem, i w liście moim do niego z 7 listopada 1984 roku znalazłem zdanie: „proszę o wycofanie mego nazwiska z wszelkich biuletynów i publikacji Kongresu”.

Nie można było jasniej wyrazić swego stanowiska, a jednak popełniono jaskrawe nadużycie. Mniej drastycznie, ale również bezprawnie i niepoważnie wygląda sprawa innych osób, które nie zgłosiły się do Kongresu, a których nazwiska znalazły się w informatorze.

Józef GARLIŃSKI

## Z Japonii nad Wisłę przez Kansas

Gospodarze III Światowego Kongresu Studiów Sowieckich i Wschodnioeuropejskich (*III World Congress for Soviet and East European Studies*), który 4 listopada zakończył się w Waszyngtonie, są przekonani, że było to największe wydarzenie w obecnym dziesięcioleciu. Głównymi organizatorami tej wielkiej imprezy był Międzynarodowy Komitet Studiów Sowieckich i Wschodnioeuropejskich (*The International Committee for Soviet and East European Studies*) zrzeszający organizacje z 17 krajów, w tym tak odległych jak Australia, Korea i Japonia, oraz Amerykańskie Stowarzyszenie do spraw Rozwoju Studiów Słowiańskich (*The American Association for the Advancement of Slavic Studies*).

Sławiści, w terminologii uczestników Kongresu, to ludzie zajmujący się nie tylko językiem w najszerszym nawet, filologicznym, znaczeniu. To wszyscy ci, którzy profesjonalnie interesują się sprawami bloku wschodniego, a więc nie tylko znawcy języków i literatur słowiańskich (sam Związek Sowiecki jest zlepkiem kultur w dużym stopniu azjatyckich), Polski, Czechosłowacji, Jugosławii, Bułgarii itd., narodów słowiańskich etnicznie, nie kulturowo. Nie możemy przecież mówić o jednolitej kulturze słowiańskiej. Używając tego rodzaju kategorii można by również traktować o krajach indoeuropejskich lub ugrofińskich. Kwestia nazwy jest tu nie tylko kwestią lingwistyczną, ale również organizacyjną, bo osadzenie niezwykle obszernej tematyki w jakiegokolwiek wspólnej płaszczyźnie może sprawiać kłopot. Jak bowiem zakwalifikować ludzi dyskutujących sprawy Związku Sowieckiego, Czechosłowacji i Jugosławii, a także Albanii, Węgier i Niemiec Wschodnich? Stworzony na Zachodzie termin *sowietolog* znalazł większą popularność w Polsce niż w USA i w tym wypadku ma uzasadnienie niewiele większe niż *slawista*. Sowietologia, jeżeli zajmuje się ochroną środowiska, technologią, filmem, czy literaturą, to w sensie politologicznym. Do sowietologów można od biedy zaliczyć również językoznawców badających język aparatu partyjnego ale na pewno nie jest sowietologiem specjalista zajmujący się Cyrylem i Metodą. W tym samym sensie argumenty dla określenia Polski jako kraju Europy Wschodniej znajdujemy na mapie politycznej, nie fizycznej. Dla Polaków kwestia terminu jest kwestią identyfikacji z Europą i poczucia wspólnoty z Zachodem. Lokalizowanie Polski na wschodzie wydaje się dla wielu nieuzasadnione, więcej, jest rozumiane jako umiejscowienie nas w granicach Związku Sowieckiego. Jest w tym wielka przesada; Amerykanie, a na pewno bliżsi nam zachodni Europejczycy nie mają takich skojarzeń.

Problem nazwy był dyskutowany co prawda nieoficjalnie, bo w kuluarach, ale szeroko. Motywowano to tradycją, co jest zapewne najlepszym wytłumaczeniem. Znakomita część zarówno organizatorów, jak i uczestników Kongresu wywodzi się z instytucji, z których niemal wszystkie mają *słowiański*, *sowiecki* lub *wschodnioeuropejski* w nazwie. W ten również sposób możemy szukać odpowiedzi na pytanie o czym był Kongres. Dyskusje toczyły się w 217 grupach tematycznych (*panels*), w ramach siedemnastu 2,5-godzinnych sesji, które odbywały się równolegle w różnych miejscach hotelu Washington-Sheraton. W ciągu 6 dni trwania obrad wygłoszono 346 referatów. Najbardziej nawet wytrwali mogą więc mieć jedynie bardzo fragmentaryczny obraz całości wydarzenia. Nie o to zresztą chodzi. Historycy przybyli do Waszyngtonu zainteresowani głównie historią, lingwiści językoznawstwem, socjologzy zagadnieniami nauk społecznych itd. Dziennikarz, który chce przedstawić możliwie pełny obraz przebiegu Kongresu znajduje się w sytuacji niezgrabnej i jeżeli nie chce być posadzony o ignorancję, powinien z tego po prostu zrezygnować, bo musiałyby zająć się omawianiem zagadnień szczegółowych, co jest przecież, przy takiej obfitości tematów, niemożliwe i wymaga bardzo fachowej znajomości rzeczy — powrót do barokowej wszechstronności przy dwudziestowiecznej specjalizacji i zawansowaniu nauk nie może być niczym innym jak dyletantyzmem. Charakteryzowanie zatem przewodniej idei Kongresu jest zadaniem, jeżeli w ogóle wykonalnym, to niezwykle trudnym i nie jestem przekonany czy w ogóle ma sens. Można natomiast mówić o celach, jakkolwiek z zastrzeżeniem, że organizowanie Kongresu po raz trzeci wyływa z naturalnych potrzeb środowisk akademickich na świecie. Nawiazanie i odnowienie kontaktów, wymiana myśli oraz możliwość przeglądu badań są celami samymi w sobie i nie trzeba ich sztucznie stymulować. Kongres więc był spotkaniem tych, którzy czytają i słuchają o innych, znają książki i chcą znać autorów, ale był również spotkaniem tych, którzy nie słuchają i nieczytają, natomiast bardzo by chcieli posłuchać i poczytać, to znaczy chcieliby wprowadzić się w środowiska obecne na Kongresie.

Program, niesłychanie bogaty, obejmował wszystkie okresy chronologiczne od Średniowiecza po ostatnie, najbardziej aktualne wydarzenia i zawierał wszechstronny przegląd większości dyscyplin naukowych. Rozrzut tematów był więc olbrzymi. Mielisłmy prace dotyczące twórczości Gogola, Trifonowa, Sołżenicyna i korespondencji Pasternaka z Łomonosową, gospodarki w przedwojennej Rumunii i mużułmanów w Bułgarii, życia rodziny sowieckiej i ostatniego etapu budowy BAM, problemów metodologii, trudności w prowadzeniu badań i wykorzystaniu ich rezultatów (restrykcje ideologiczne i cenzura). Temat Polski przewijał się przez wiele dyskusji i ujmowany był w różnych aspektach — od kształtowania się elit społecznych w I Rzeczypospolitej po temat „Partia, armia i państwo w PRL”. Specjalne „panele” poświęcone były m.in. „Solidarności” i związanym z nią publikacjom, polskiej polityce zagranicznej w XIX wieku, świadomości

narodowej emigrantów w Europie i Ameryce itd. Wiele prac traktowało bezpośrednio o Polsce i były wśród nich tak frapujące jak artykuł Jadwigi Maurer „Z obcej matki: Czy Mickiewicz był żydowskiego pochodzenia?” lub Takayuki Ito „Nomenklatura i wolne wybory: Polski eksperyment 1980-1981”. Pomimo tej różnorodności uważano powszechnie, że jak na liczbę uczestniczących w Kongresie Polaków i zainteresowanie wśród innych uczestników, polskich tematów było jednak za mało. Profesor Maurer, która była moim przewodnikiem w Waszyngtonie, twierdzi, że wynika to z „polskiej inercji” i uważa, że Polacy niechętnie zajmują funkcje organizacyjne, wymagające dodatkowych obowiązków i odpowiedzialności. Oczywiście gdyby ktokolwiek w Komitecie organizacyjnym zgłosił wniosek o poszerzenie problematyki polskiej, nie byłoby sprzeciwów, ale nikogo takiego nie było. W komisji programowej z Polaków zasiadał jeden Andrzej Korboński z Los Angeles, grupa zaś, która mogłaby wpłynąć na kształt Kongresu, Polish Institut of Arts and Sciences, nie wykazała dostatecznego dynamizmu.

Ciekawostką była obecność Jerzego Wiatra, „człowieka stamtąd” w sensie geograficznym i duchowym, związanego z władzą profesora Uniwersytetu Warszawskiego. Uprzejmie przywitany przez gospodarzy (*We have a pleasure...*), niezauważany przez gości, w wystąpieniach używał dziwacznej tutaj nowomowy: „Zyczymy sobie owocnej współpracy”, *We wish ourselves a fruitful cooperation*. Powiało sadem, bo rząd PRL nie wypuścił z kraju żadnego z zaproszonych naukowców i jeżeli przypisywać jakiegokolwiek znaczenie wypowiedziom Wiatra, interpretowanie *owocności* jako rezygnacji z podejmowania tematów zakazanych w krajach bloku sowieckiego byłoby posądzeniem go o bezczelność. Ci z polskich uczonych, którzy pojawili się na Kongresie przebywają w Stanach Zjednoczonych już od jakiegoś czasu, jak Aleksander Fiut z Uniwersytetu Jagiellońskiego, czy Wojciech Siwiński, profesor ekonomii w Warszawie, obaj goszczący w University of Indiana. Prof. Siwiński znajdował się w Waszyngtonie przy okazji innego kongresu, dotyczącego problemów zadłużenia. Nie było oczywiście Rosjan z ZSSR, choć byli z Izraela, Bułgarów, Czechów, Niemców ze wschodu. Pojawili się Jugosłowianie, ale po nocie ich rządu, w obawie przed kłopotami po powrocie, niektórzy z nich zrezygnowali z wystąpień, inni brali udział w dyskusjach politycznie neutralnych. Nieobecność specjalistów z Polski została przez jednego z organizatorów, chyba nie bardzo jednak orientującego się w realiach innych niż amerykańskie, określona jako bojkot. Oczywiście nie może być o tym mowy, bo do Waszyngtonu przyjechali ci, którzy mogli przyjechać. Nie mógł Jacek Wasilewski z Krakowa, ale mógł Aleksander Fiut z Bloomington. Wiatr kłopotów z paszportem nie miał. Uczestniczył on zresztą w „panelu” na temat wymiany naukowej Wschód-Zachód, gdzie podczas dyskusji stwierdził, że rozumie obie strony. Mianowicie: rząd w Warszawie nie może wysłać ludzi niesprawdzonych, a Amerykanie z kolei nie przyjmują ludzi, którzy są „za bardzo czerwoni”. Wiatra jednak Amerykanie przyjęli,

i to w miarę serdecznie. Znowu więc, jeżeli brać poważnie to co mówi półoficjalny przedstawiciel „drugiej strony”, to Wiatr jest równocześnie i sprawdzony i nie „za bardzo czerwony”. Stwierdzenia tego rodzaju, gdyby wypowiedział je człowiek innego rodzaju, mogłyby szokować. W wykonaniu członka nomenklatury nie dziwią. To oczywiście, że władze komunistyczne boją się otwartych dyskusji i starć na polu innym jak propagandowe. Dla systemu, który p. Wiatr reprezentuje jest to walka. Dla wszystkich innych natomiast jest to naturalna wymiana myśli i nie ma wątpliwości, że opinie ludzi „sprawdzonych” wynikają z zakłamania.

Mimo jednak swojej oczywistości, fakt, że światowe spotkania intelektualistów zajmujących się sprawami krajów tzw. socjalistycznych z udziałem specjalistów z tych krajów nie jest możliwe, musi budzić refleksje. Komunizm pozornie tylko pozostaje obojętny na interpretację spoza własnej ideologii. Uczuleni na krytykę komuniści decydują się na milczenie w sprawach, w których polemiki nie są w stanie podjąć, nieważne czy z powodu intelektualnej niedyspozycji ich ideologów, czy z przyczyn politycznych. Przy braku rzeczywistych argumentów zawsze jednak pozostaje wybór między propagandą z jej wyzwiškami i zarzutem o prowokacyjnym mieszanu się w wewnętrzne sprawy, oraz cenzurą, czyli milczeniem. To drugie jest o tyle wygodne, że Kongres został zorganizowany i przeprowadzony przy wybitnym udziale ludzi, z których sporą grupę stanowili uchodźcy z krajów komunistycznych, a wielu z nich nadal pozostaje obywatelami tych krajów. Tak więc o ile oskarżenie o prowokację może się jeszcze ostać, to ingerencja w sprawy wewnętrzne, nawet dla partyjnej propagandy, jest zarzutem zbyt absurdalnym.

Dla mnie osobistą rewelacją był wspomniany już Takayuki Ito, profesor z Hokkaido University w Sapporo, który poprowadził dyskusję na temat roli aparatu partyjnego w zarządzaniu. Popisał się nie tylko doskonałą i bardzo szczegółową analizą okresu ostatnich lat, orientacją nawet w składzie KC, ale również biegłą znajomością języka polskiego. Elżbieta Adamczyk z University of Kansas twierdzi, że nie jest to wcale sprawa wyjątkowa, a zainteresowanie Polską nie wynika bynajmniej z poszukiwania sensacji. Na uniwersytecie w Lawrence przebywa wielu studentów z Korei i Japonii, uczących się języka polskiego (!) po to aby rozwijać sławistykę w tych krajach. Pytanie *po co* jest może i naturalne. Musimy jednak uświadamiać sobie, że w obecnym świecie istnieje zapotrzebowanie na specjalistów w każdej dziedzinie. Wyznaczniakiem rozwoju — i możemy to obserwować na przykładzie Stanów Zjednoczonych — jest możliwe kompletne opracowanie pozornie najmniej nawet ważnych tematów. Zawiera się w tym dwustronna implikacja: świat, który kurczy się coraz bardziej poprzez postęp nauki właśnie, w imię tego postępu wymaga najwyższego stopnia specjalizacji. System sowiecki, w którym Polska jest istotnym elementem politycznym, odgrywa w świecie rolę równorzędną roli krajów demokratycznych. Potrzeba badań, nie tyle nawet systemu jako takiego, ale krajów,



które go tworzą, wynika z potrzeb nie tylko samej nauki, ale również jej praktycznych aplikacji. W tym wypadku obojętne jest czy badania będą adoptowane do planowania handlu z Bułgarią w Tokio, czy kontaktów dyplomatycznych z Moskwą w Waszyngtonie.

W sytuacji, kiedy wyspecjalizowana informacja naukowa ma znaczenie decydujące w każdym nowoczesnym społeczeństwie, hamowanie nauki jest samobójstwem dla rozwoju. Zapóźnienie krajów tzw. socjalistycznych wynika między innymi i z tego, że dla przyczyn ideologicznych, a te z kolei warunkowane są przez czynniki *stricte* polityczne, nie pozwala się na naturalny rozwój nauki. Nawet stosunkowo proste środki techniczne, które pozwoliły na eksplozję technologiczną i postęp naukowy w ostatnich latach, jak powszechnie na Zachodzie (a także w Korei i Japonii) *personal computers* i *copiers*, są w Związku Sowieckim, Polsce i innych krajach bloku po prostu zakazane z obawy, że mogłyby być użyte do celów, które propaganda nazywa wywrotowymi. We wszystkich pracowniach naukowych na świecie jest to obecnie element równie nieodzowny jak kiedyś kałamarz i pióro. W związku z tym musimy sobie zdawać sprawę, że zapóźnienie, o którym mówimy dzisiaj, wkrótce będzie należało rozpatrywać w kategoriach dwóch różnych cywilizacji.

W dyskusjach poświęconych polskiej emigracji zgodne było przekonanie o wielkiej energii ostatniej fali, tzw. „solidarnościowej” (określenia tego używano na tyle powszechnie, że można mówić o jego adoptowaniu się jako terminu). Prof. Antoni Kruszewski z University of Texas w El Paso, analizując ostatni okres podkreślał, że z Polski różnymi sposobami ucieka tysiące ludzi doskonale wykształconych, tworzących wielki intelektualny potencjał. Można ich znaleźć w tak zaskakujących miejscach jak Vera Cruz, gdzie 15 polskich muzyków tworzy główny człon orkiestry symfonicznej i Mexico City, gdzie znalazła się grupa polskich specjalistów od komputerów. Duża część emigrantów nie potrafi jednak przezwyciężyć bariery językowej, bez czego jakkolwiek awans, czy to zawodowy, czy społeczny, nie jest możliwy. Od początków polskiej emigracji, poszukiwanie możliwości mówienia i pisania prawdy decydowało o intencjach wielu emigrantów. W przypadku uchodźstwa do Stanów Zjednoczonych, symbolizm wolności był szczególnie motywujący. W ostatnich kilku latach, i to odróżnia „falę solidarnościową” od poprzednich, motywacje tego rodzaju są równie silne jak pobudki chociażby ekonomiczne. W jakimś stopniu znalazło to również potwierdzenie w Waszyngtonie, gdzie znaczna część Polaków to ludzie w wieku przed lub tuż po trzydziestce, z kartami wizytowymi najbardziej szanowanych uniwersytetów świata, od amerykańskiego Harvardu i angielskiego Oxfordu, po francuską Sorbonę i niemiecki Heidelberg.

Jerzy PIEKARSKI

## Kronika amerykańska

### FUNDACJA NA RZECZ „SOLIDARNOŚCI”

Fundację powołano do życia 19 listopada 1985 roku. Jednym z najczynniejszych inicjatorów Fundacji jest Piotr Mroczyk, członek polskiej redakcji „Głosu Ameryki”. Należał on do tych, którzy zainteresowali ideą Fundacji dwóch wybitnych polityków: demokratycznego senatora z New Jersey Williama Bradley'a i republikańskiego członka Izby Reprezentantów z okręgu Buffalo — Jacka Kempa. Jack Kemp wysuwany jest przez pewne środowiska Partii Republikańskiej jako kandydat republikański na prezydenta Stanów w przyszłych wyborach. Obydwaj ci politycy są współprzewodniczącymi Komitetu Doradczego Fundacji. Wśród członków Komitetu figurują nazwiska kilku byłych ambasadorów Stanów Zjednoczonych w PRL. Poza nimi Midge Decter, dyrektor Komitetu dla Spraw Wolnego Świata, Jerzy Giedroyc, Alojzy Mazewski prezes KPA, Bayard Rustin z AFL-CIO, Stephen Solarz, demokratyczny członek Izby Reprezentantów z Brooklynu, Jeane Kirkpatrick, b. ambasador Stanów Zjednoczonych w ONZ, Leslie Lenkowski, dyrektor Instytutu do Spraw Oświaty (instytucja prywatna), Gregory Wierzyński — wybitny dziennikarz z tygodnika *Time* oraz biskup James W. Malone. Przewodniczącym zarządu Fundacji jest Richard Davies, b. ambasador USA w PRL. Neil Livingstone — wiceprzewodniczący, Barry Schochet — sekretarz-skarbnik, Thaddeus Kontek, William Livingstone, Sławomir Suss i Piotr Mroczyk — obecny dyrektor zarządu.

Okolicznością, która „Fundacji na rzecz Solidarności” nadała szczególne znaczenie i wzmocniła nadzieje jej sukcesu był list prezydenta Reagana. Tekst jego przytoczamy w całości:

«Żałuję, że nie mogę być z wami podczas tego ważnego zebrania jakie zwołaliście, by ogłosić utworzenie „Fundacji Solidarności”. Pragnę jednak zapewnić, że podziwiam waszą działalność i popieram wasze zamierzenia. Niewiele wydarzeń w naszych czasach pobudziło tak świadomość i zainteresowanie ludzkości jak saga „Solidarności” w Polsce. Najpierw był okres euforii, poruszający widok milionów robotników i rolników złączonych żądaniem sprawiedliwości i poszanowania godności ludzkiej. Później przyszedł zdradziecki cios. Po złamanych obietnicach nastąpiły represje i stałe zastraszanie.

Wielu ludzi było gotowych odpisać na straty „Solidarności”, kolejną nieudaną próbę oporu przeciw nieodpartej potęgze współczesnego państwa totalitarnego. Lecz spojrzeli ponownie i zobaczyli, że grób „Solidarności” jest pusty. „Solidarności” nie zgodziła się na śmierć. Dzięki niewiarygodnemu heroizmowi całego narodu pokładającego nadzieję w Bogu, „Solidarności” nadal żyje. „Solidarności” nie zginie, ponieważ jej istota jest niezniszczalną prawdą, żyjącą w sercu każdego człowieka. „Solidarności” pozostaje wciąż źródłem nadziei: idee są światłem, którego nie da się zgasić.

„Nasze działania muszą być oparte na poszanowaniu człowieka. Państwo powinno służyć człowiekowi, a nie sprawować nad nim rządy. Państwo powinno służyć społeczeństwu i nie powinno być identyfikowane z jedną partią polityczną. Państwo powinno stanowić wspólne dobro należące do całego narodu”. Przytoczone słowa pochodzą z programu przyjętego na Zjeździe „Soli-

darności" w Gdańsku ponad cztery lata temu. Prezydenci Waszyngton, Jefferson i Lincoln gorąco by je poparli. Który prezydent, który Amerykanin nie usłyszałby w tych słowach jasnego i zdecydowanego potwierdzenia naszych najbardziej podstawowych wartości?

Pochwalam utworzenie Fundacji, której celem jest propagowanie ideałów „Solidarności” i udzielanie skutecznego poparcia „Solidarności” w Polsce poprzez pomaganie jej przedstawicielom na Zachodzie. Rozumiecie oczywiście, że nikt nie jest samotną wyspą i że ci, którzy miłują wolność i godność człowieka muszą pozostać w solidarności z „Solidarnością”, ukazując czynami, a nie tylko słowami, jak bardzo miłujemy wolność i cenimy odwagę. Niech Bóg błogosławi waszym zamierzeniom ».

Tyle prezydent Reagan.



Przez 17 lat w Stanach Zjednoczonych hiszpański był językiem wykładowym w szkołach, w których większość dzieci pochodziła z domów mówiących po hiszpańsku. Obowiązkowym, ale właściwie obcym, był język angielski. Szkoły te nazywano szkołami dwujęzycznymi, co nie było zgodne z faktycznym stanem rzeczy. Nauczanie w języku hiszpańskim wymagało przyjmowania nauczycieli znających dobrze angielski i hiszpański, co w praktyce nie zawsze było łatwe. Impreza ta kosztowała Amerykę kilkanaście miliardów dolarów, a po dłuższym czasie zauważono, że absolwenci wychodzący z tych szkół źle znają angielski, co utrudnia im zarówno zdobycie pracy jak i przyjęcie do szkół wyższych (*colleges*), w których językiem wykładowym był angielski. W istocie padali więc ofiarą dyskryminacji, choć cała impreza zainicjowana była pod kątem widzenia antydyskryminacyjnym. 29 września 1985 William Bennet, sekretarz oświaty w gabinecie Reagana, oświadczył, że tzw. dwujęzyczne szkoły zostaną zlikwidowane i językiem wykładowym stanie się z powrotem angielski. Po tym oświadczeniu sekretarz Bennet z miejsca został zaatakowany przez szereg polityków pochodzenia meksykańskiego i portorykańskiego, znających zresztą doskonale angielski, bez którego nie doszliby w Ameryce do obecnych stanowisk. Bennetowi zarzucono ciasnotę, dyskryminowanie mniejszości etnicznych, religianctwo i cały szereg innych grzechów włączając w to wrogi stosunek do „biedoty”, chociaż cała sprawa nie ma nic wspólnego z problemem amerykańskiej biedoty, a jeżeli — to odwrotny, bo wypuszcza przez szereg lat młodych ludzi nie znających angielskiego w kraju, w którym mówi się tym językiem. Decyzja wprowadzenia dwujęzycznych szkół oparta była na orzeczeniu Sądu Najwyższego USA sprzed wielu lat. Sąd Najwyższy orzekł wówczas, że żadne dziecko nie może być dyskryminowane w szkołach z racji nieznajomości angielskiego. Teoretycznie oznaczało to wprowadzenie 25 języków etnicznych do szkół amerykańskich, bo tyle było uznanych mniejszości etnicznych w Ameryce, włączając do nich również polski. Oczywiście w praktyce chodziło o język hiszpański. Wywołało to wówczas nawet zadowolenie w niektórych kołach polonijnych, chociaż nie było polskich rodziców którzy kwapiliby się do oddawania swoich dzieci do szkół z językiem wykładowym polskim. Zresztą szkół takich w ogóle nie było.

Możliwe, że przywódcy mniejszości meksykańskiej i portorykańskiej zwrócą się do Sądu Najwyższego o uchYLENIE decyzji Benneta. Można się z tym liczyć, ale w praktyce nie musi to nastąpić. Sekretarz Bennet przed swą decyzją prawdopodobnie nieoficjalnie wysłuchiwał opinie poszczególnych członków obecnego Sądu Najwyższego, którego większość uznała absurdalność decyzji sprzed 17 lat o dwujęzycznych szkołach.

Zbigniew BYRSKI

**Kraj**

## Jaruzelski versus Jaruzelski

Po wstrząsie 1980 roku, po okresie Solidarności i w konfrontacji z masowym „drugim obiegiem” informacji ekipa Jaruzelskiego nie może po prostu powielać starych wzorców propagandy. Jej istota pozostała niezmienna, ale zakłamanie rzeczywistości (tu mowa będzie głównie o gospodarce) stało się bardziej finezyjne. Częściej stosowane są półprawdy, ujawniane trudności i pozorowana „otwartość”.

W tej konwencji zdarzyło się generałowi powiedzieć w końcu 1984 roku z kokieterijną szczerością: „Jestem optymistą i pesymistą”. Pesymizmu — z istoty władzy — nie wolno mu okazywać, ale wionie nim często z fragmentów jego przemówień. Optymizm zaś manifestować musi, jakkolwiek kruche lub żadne byłyby po temu podstawy.

Mdły to na ogół optymizm, skoro Jaruzelski z roku na rok powtarza „krok za krokiem”, a wyrwał mu się i „kuśtykanie”. W prasie zaś napotyka się co niemiara zwrotów takich jak: „szczypta optymizmu”, „mogło być gorzej”, „lepiej, ale...”, „lepiej nie znaczy dobrze” itp. Generał bywa oględny, gdy mówi w 1983 roku o „umiarkowanym optymizmie”, w 1984 roku o „ostrożnym” czy „realnym optymizmie połączonym z niedosytem”. Nie obeszło się oczywiście bez tego, że „naszą pewnością i spokojny optymizm wzmacnia poczucie solidarności i braterskiej pomocy ZSRR”.

Pomyli się, kto chciałby umiar zapisać na dobro generała. Prezentowany przezeń jako „realny”, optymizm przybiera bowiem często wręcz surrealistyczną, maniacką postać. Między presją rzeczywistości a jej optymistyczną mistyfikacją obraca się generał w kręgu orwellowskiego „podwójnego myślenia”, raz po raz sobie

zaprzecza, często w jednym przemówieniu, innym razem dezawuuują go ludzie jego ekipy.



W stanie wojennym generał pocieszał („I nam wzejdzie słońce” — zwrot zresztą zapożyczony), a trudności tłumaczył tym, że „kraj jest rekonwalescentem po długiej chorobie”. W następnym roku wyjaśniał, że „wychodzenie z zapaści” jest trudne. W 1984 roku mówił wprawdzie o „ozdrowieńczym procesie”, ale też z desperacją o „chronicznych chorobach” gospodarki.

Towarzyszy tej „medycznej diagnostyce” charakterystyczny ciąg dwuczłonowych ocen: „najbardziej dramatyczne za nami, najtrudniejsze przed nami” — oświadczył generał w 1983 roku. W następnym roku toż samo, tyle, że z optymistycznym dodatkiem: „ale i najlepsze”. Pod koniec roku dodatek zniknął, a Jaruzelski z naciskiem wyjaśnił, że „najtrudniejsze” nie jest zwrotem retorycznym, lecz zapowiada „trudniejszą Polskę”. W 1985 roku powtarza dosłownie jak przed trzema laty: „Najbardziej dramatyczne za nami, najtrudniejsze przed nami”. Spośród tych na różną modłę powtarzanych zwrotów jeden, z 1984 roku, jest szczególnie znamienity, mianowicie że po decyzji o stanie wojennym „w rezultacie stało się dramatycznie trudniej”.

Istotnie, dramatyzm sytuacji bynajmniej nie jest „za nami”, choć jest inny niż w stanie wojennym. Gdy Jaruzelski mówił w 1983 roku o „naszym myśleniu uwikłanym w dramaturgię kryzysowych wydarzeń”, mogło to ująć za zwykłą konstatację. Ale inną ma wymowę, gdy w 1985 roku — ostatnim roku planu — mówi o „dramatycznej sytuacji, dramatycznych potrzebach” gospodarki, a niedługo potem o „szarpających, dramatycznych polskich sprawach”.



Minorową tonację wymusza na generale twarda rzeczywistość. Równocześnie wymyśla on zmistyfikowaną „drugą rzeczywistość”, popadając w nieuchronne sprzeczności. Różuje sytuację, gdy mówi np. jesienią 1983 roku w sowieckiej TV: „na wszystkich właściwie odcinkach poprawa”. Mniejsza z tym, że przed kilku miesiącami bliski mu Barcikowski stwierdził, że „stoiśmy w obliczu rozregulowanej gospodarki, do wyjątków należą odcinki znajdujące się w stanie równowagi”, ale sam Jaruzelski niedługo po w/w wywiadzie zaprzeczył sobie, mówiąc na Plenum KC o narastaniu luki technologicznej i „ratowaniu” (!) przed przyspieszoną dekapitalizacją.

Też w wiosnę 1984 roku generał znów uderza w optymistycz-

ny ton w wywiadzie dla zagranicy: „nie ma takiej dziedziny, w której nie dokonuje się mniejszy lub większy postęp”. Jeśli tak, czemu po dwóch tygodniach dezawuuje swego szefa rzecznik rządu, powiadając, że „sytuacja jest zła, ale nie należy dramatyzować”. W połowie roku zaś mówiono wprawdzie w Sejmie o „znacznych osiągnięciach w dźwiganiu kraju z trudności”, ale przewodniczący NIK przestrzegał przed pochopnym optymizmem, bowiem „trudno liczyć na realną poprawę sytuacji”.

I tak ciągną się sekwencje falujących i sprzecznych ocen do końca drugiego roku planu, uznanego za pomyślny. Jesienią, na Plenum KC Jaruzelski wypowiedział zdanie, które będzie powtarzał: „idziemy krok po kroku, ale ciągle naprzód”. W dyskusji powiedziano jednak m.in.: „robimy krok do przodu, a cofamy się o dwa”, wytykano deklaratywność i nadmierny optymizm władz. Padło też pytanie: „jeśli jest tak dobrze, to dlaczego jest tak źle?”. Na to „przewrotne” pytanie generał odpowiedział, że mimo osiągnięć „jest źle w odczuciu społeczeństwa wobec spiętrzonych potrzeb”. Wyjaśnienie częste również w ustach innych przedstawicieli władzy.

Pod koniec roku Jaruzelski w przypływie optymizmu mówi dziennikarzom zagranicznym o „liczącym się postępie na drodze uzdrawiania gospodarki”, ba, o jej „prężności”. I tym razem ostrożniejszy jest szef planowania, gdy stwierdza wprawdzie pomyślne wyniki produkcyjne, ale dodaje: „jednak pogłębiły się również zjawiska niekorzystne”. Na ostatnim w 1984 roku Plenum KC Jaruzelski, zastrzegając się („nie upiększajmy jednak rzeczywistości”) wypowiada znów stereotypowe zdanie: „nie ma dziedziny, w której nie byłoby większego lub mniejszego postępu”. W następnym omal zdaniu zaprzecza sobie, przyznając, że „nie można zaliczyć do osiągnięć” budownictwa i jakości produkcji (wymienił jeszcze sprawę młodzieży). Inne dziedziny, w których również nie sposób dopatrzeć się postępu, pominął milczeniem. Nie wspominał też o zapowiedzianym we wstępnym referacie dalszym (!) ograniczeniu czynników produkcji.

Odnutowawszy postęp we wszystkich dziedzinach, generał w tymże przemówieniu z nutą zazdrości przypomniał o tych krajach socjalistycznych, w których... „kupno kilograma kiełbasy nie urasta do rangi problemu”. Współbrzmiał z tym to, co w tymże czasie powiedział jeden z ministrów, gdy po wylczeniu osiągnięć przyznał, że... brak sznurka rolniczego, a „urasta do miary symbolu — pasta do zębów”. Jaruzelski zaś już poprzednio równie żałośnie mówił: „... nie zawsze potrafimy zrobić porządne widły” zaś na Kongresie Techników wręcz żenująco: „... żeby polski gwóźdź można było wbić jak należy i żeby polska klamka zamykała się kiedy trzeba”. Takimi nekającymi problemami przesy-

cone jest całe życie kraju. Co gorsza, nie zapowiada się żadna poprawa.

Mało co może zadziwić w płataninie optymistycznych deklaracji i żalów generała, niekiedy jednak udaje mu się przejść samego siebie. Oto wiosną 1984 roku stwierdził: „Gdyby jakiś kraj kapitalistyczny w tak krótkim czasie dokonał takiego postępu, nazwano by to w całym świecie cudem”. Pod koniec tegoż roku: „...dokonał się gigantycznego (!) kroku naprzód”.

Zwraca uwagę w tej mentalności znamieny tok myślowy — kompensowanie wyimaginowaną przyszłością dzisiejszych trudności i frustracji. „Słabości i niedomagania są zarazem rezerwą”, powiada generał jesienią 1983 roku. Po kilku miesiącach znów: „Nasze słabości i niedomagania w wielu dziedzinach są jednocześnie naszą siłą, naszą rezerwą”. Słabości — siłą i to jednocześnie? Przywódcy sekundują na różną modłę jego przybocznicy. Najdalej posunął się jeden z profesorów, którzy poszli w ministrowie (Łopata) w uogólnieniu: „Każdy kryzys był wykorzystany w ostatecznym rachunku do postępu, do uwolnienia się od hamulców rozwoju”. Wynikałoby z tego, że kryzysy lat 1956-1970-1980 były przydatne. Czy zatem i kolejny? Jaruzelski zaś znów w końcu roku, powiedziawszy o „gigantycznych” osiągnięciach, powtarza swoje: „Te nasze słabości, jeśli je przezwyciężymy, staną się naszą siłą”.

Patrząc na wskaźniki wzrostu produkcji przemysłowej w 1983-1984 roku, trzeba mieć na uwadze, że były one wysokie tylko w stosunku do „dna” 1982 roku. Wyrażone w tzw. „produkcji sprzedanej”, nie są one równoznaczne z realnym wzrostem, a zgoła nie wyrażają efektywności produkcji. Przy tym — jak oficjalnie stwierdzano — wzrost produkcji osiągnięto głównie przez wykorzystanie tzw. „rezerw prostych”, które w praktyce są na wyczerpaniu. W żadnej mierze natomiast nie można było uznać za pomyślny stan podstawowych czynników gospodarki — wręcz przeciwnie. Zwłaszcza — ale nie tylko — niepowstrzymana dekapitalizacja zagraża — jak się wyraził szef planowania — „zasadniczo możliwości wzrostu gospodarczego”. Aktualnie zaś stwierdzano w Sejmie w końcu 1984 roku utrzymywanie się ogólnej nierównowagi gospodarki i wyrażano wątpliwości co do szans poprawy sytuacji w następnym roku.

Sytuacja na początku 1985 roku okazała się gorsza niż najgorsze przewidywania. Skutki ostrej zimy uderzyły w zrujnowaną gospodarkę ze zwielokrotnioną siłą. Po spadku produkcji przemysłowej i budownictwa w dwóch pierwszych miesiącach, wyniki

I kwartału — mimo pewnej poprawy w marcu — były deprymujące. Gdy Jaruzelski wystąpił po dwóch miesiącach milczenia, znów powtórzył swą oklepaną już formułę: „najdramatyczniejsze za nami, najtrudniejsze przed nami”. Przyznał jednak, że „panuje obawa”, że plan na 1985 rok jest zagrożony. Obawa niepełna, potwierdziły ją wyniki półrocza i 3 kwartałów. Musiała też być głęboka, jeśli Barcikowski mówił w kwietniu o „wychodzeniu z pozimowej biedy” pocieszał, że „momentem optymistycznym (!) jest, że nie dopuścimy do sytuacji 1979 roku”, a rzecznik rządu zapewniał w połowie roku, że „rząd nie dopuści do powtórzenia się jeszcze jednego kryzysu i do bratobójczych konfliktów”. Ale szokujące dla władzy były wyniki ankiety opublikowanej w lipcu w tygodniku partyjnym\* (przedziwne rzeczy zdarzają się w tym kraju o ostrej cenzurze). Na pytanie mianowicie „czy wierzy, że działania władz są gwarancją zapobieżenia kryzysowi?” — 64 % odpowiedzi było negatywnych: „nie” lub „raczej nie”. Rzecznik rządu usiłował sprawę zbagatelizować, była jednak na tyle drastyczna, że nie mógł jej pominąć Jaruzelski. Po miesiącu, na Plenum KC, uznał tę opinię za subiektywną i niesprawiedliwą, ale przyznał, że trzeba się z nią liczyć.

Sytuacja gospodarcza z pozostającą „pod planem” produkcją zapewne sprawiła, że generał w szeregu wystąpień jakby spuścił z tonu. Wprawdzie twierdził — dość zresztą ogólnie — że „uruchomione zostały procesy wzrostu gospodarczego”, ale zapowiadał, że „niełatwo będzie również w najbliższej przyszłości”, że „nadal mniej jest do podziału”. Słabą pociechą jest, że „nie jesteśmy skazani na wegetację”, a „nasze zadania przekraczają pod wieloma względami budowanie zrębów ludowej państwowości”.

Po obrzędowym sloganie o „nieodwracalności dziejowych rozstrzygnięć” przyznaje Jaruzelski w 1-majowym przemówieniu, że „trudności nie brakuje, nie raz ciężar ich przytłacza”. By dodać jednak otuchy zapewnia, że „tę bolesną świadomość partia ma we krwi” (!). Na marginesie warto odnotować charakterystyczną perswazję w przemówieniu sekretarza Komitetu Warszawskiego partii. Nie można mianowicie „patrzeć na socjalizm tylko przez pryzmat niepowodzeń i skutków woluntaryzmu”. Co oczywiście zmierza do pomniejszenia odpowiedzialności obecnej ekipy za obecne niepowodzenia. Zaś „wielkości socjalizmu nie rozpatrujemy tylko w skali własnego kraju”. Czyżby miało nas pocieszać, że w innych krajach bloku dzieje się nie tak źle jak w Polsce?

Cokolwiek powiedziano na uroczystościach, w dwa tygodnie

\* *Polityka* z 27 lipca 1985.

później w Komisji d/s reformy Jaruzelski mówił nie tylko o blaskach i cieniach gospodarki, ale wręcz o jej „chronicznych już chorobach”. W szczególności wymienił niską wydajność i złą jakość produkcji, mały dynamizm innowacyjny i słaby postęp naukowo-techniczny.

Postęp naukowo-techniczny stanowił główny temat majowego Plenum KC poświęconego inteligencji. Punktem wyjścia był wywód Jaruzelskiego: były czasy, gdy naczelnym zadaniem było odzyskanie niepodległości, następnie odbudowa i rozbudowa gospodarki, dziś głównym problemem jest „jakościowy skok w dziedzinie naukowo-technicznej. Ta dziedzina — jedna z „chronicznych chorób” — nękała i poprzednie ekipy, przybierając na ostrości w obliczu rewolucji naukowo-technicznej w rozwiniętych krajach Zachodu.

Jaruzelski wielokrotnie poruszał tę sprawę, popadając jak zwykle w sprzeczność z samym sobą. Obwieszczał, że „kraj wyrwany został z zacofania”, wygłaszał doktrynalny slogan, że „socjalizm oznacza szybkie przezwyciężenie zacofania” itd. Ani bez mała 70 lat ZSSR, ani 40 lat PRL bynajmniej na to nie wskazuje. Z drugiej strony — częściej i alarmistycznie — mówił o narastaniu luki technologicznej, o zwiększaniu się dystansu, o tym, że „pociąg nowoczesności się oddala” itd.

Sprawa nabrzmiewała, kulminując na Plenum w hamletycznym zdaniu generała, że jest to „prawdziwie polskie 'być albo nie być'”. Jaruzelski użalał się m.in. na marnotrawstwo intelektualne. Narzeka się na jakość pieczywa czy obuwia, a nie mniej strat przynoszą — jak się wyraził — „buble” (!) w sferze projektów, programów, ocen itp. *Nota bene* niedawno przedtem ekonomista-poseł na Sejm użył jeszcze drastyczniejszego zwrotu o „powszechnej bubelizacji” gospodarki\*. Mówi to niemało o sytuacji, jeśli rodzi ona takie słownictwo.

Przebieg narady w końcu maja, która była niejako mobilizacją do planu 5-letniego, dowiódł, że patetyczne wezwanie generała „niechaj polskość oznacza najwyższą efektywność” jest czystą fantazją. W jednym z referatów wyliczeniu pozytywnych symptomów towarzyszyło zastrzeżenie, że one jednak „nie upoważniają do optymizmu”. Wśród barier i zagrożeń podkreślono zwłaszcza degradację techniczną i spadek jakości. Na inne wskazywano,

\* *Życie Gospodarcze* z 31 marca 1985. Prof. Mujżel w dyskusji o reformie gospodarczej.

mniej lub bardziej alarmistycznie, w dyskusji — w tym na postępującą dekapitalizację, niską wydajność produkcji, niewydolność eksportu itd. Prosi się w tym miejscu, by odnotować na marginesie przypadek o swoście groteskowym posmaku. Wicepremier Messner zapożyczył mianowicie od generała hamletyczny zwrot o postępie technicznym, tyle że go zmodyfikował: sprawą „być albo nie być” jest eksport.

Jaruzelski zamknął naradę w swoistym dlań stylu, apelując, by jej „plon... przetopić” we właściwe ustalenia. Nim to nastąpiło, plonem narady okazał się „Apel o podjęcie idei socjalistycznego współzawodnictwa pracy” (nawiązanie do historycznych pierwszych powojennych lat). Mniejsza z tym, że nie „pierwszych”, ale niezgorszy to przyczynek do obiegowego powiedzenia „nowe wraca”. *Nota bene* Jaruzelski przy innej okazji wyrażał nostalgiczny żal, że po 1956 roku zanikło „przodownictwo pracy”. Ten nawrót do anachronicznych wzorców ekstensywnej gospodarki okresu Bieruta, zresztą i wówczas zawodnych, wiele mówi o sytuacji.

Zasadniczym wątkiem w/w narady była rola reformy gospodarczej w świetle planu 5-letniego. Nie tu miejsce dla omówienia tej sprawy, ale po trzech latach wydaje się oczywiste, że „kardłubowa” i na dodatek hamowana reforma nie spełniła oczekiwań. W dyskusjach w 1985 roku pojawiało się pytanie, „czy reforma jest nieodwracalna”, wyrażano opinie, że „nie doprowadziła do istotnych zmian w rzeczywistym sposobie funkcjonowania gospodarki”, wskazywano na nawroty czy „grawitowanie” do systemu nakazowo-rozdziałczego, zwłaszcza wobec zapowiedzi wzmocnienia centralnego planowania. Dla atmosfery dyskusji znamienne jest głoś obrony (z urzędu), że reforma „nie ugrzęzła”, że nie ma podstaw do pesymizmu i... „totalnej frustracji”.

Jaruzelski zapewniał oczywiście na naradzie, że „reforma jest nieodwracalna”. Uogólnił przy tym, że jest ona „prawidłowością obecnego etapu budownictwa socjalizmu”, o czym świadczą „dynamizujące działania” w ZSSR i „bratnich krajach”. Zauważmy wszelako, że nie widać, by te „działania” — wraz z poczynaniami Gorbaczowa — w czymkolwiek dynamizowały polską reformę gospodarczą.

Jaruzelski mówił m.in., że reforma przyczynić się ma do „zdecydowanego wzrostu społecznej wydajności pracy, która w perspektywie, w ostatecznym rachunku, potwierdzić powinna i na tym polu wyższość socjalizmu”. Tymczasem zaś... w latach 70-tych szacowano na ogół, że wydajność pracy w Polsce jest 2-2,5 razy niższa niż w rozwiniętych krajach Zachodu, później sam Jaruzelski mówił o 3 razach. Na naradzie natomiast uznany

ekspert (prof. Tymowski, którego wystąpienie generał w podsumowaniu pochwalił) oceniał, że wydajność jest aż 4-6 razy niższa. Takiego dystansu, przynajmniej publicznie, dotąd jeszcze nie podawano.

Jakakolwiek była ocena przez Jaruzelskiego stanu reformy, nie wydaje się, by potwierdziła ją dyskusja, w której powracało pytanie o gwarancje nieodwracalności reformy, a zarazem wskazywano na przeliczne jej słabości. Ani charakterystyczna wypowiedź bliskiego generałowi Barcikowskiego, że reforma... „co najmniej nie przeszkodziła”. Na pewno zaś była rozbieżna z oceną generała wyrażona w piśmie ekonomicznym obawa, że „grozi petryfikacja kryzysogennej struktury gospodarki”. Obawa niepłonna, jeśli ponad dwa miesiące po naradzie relacja prasowa z Sejmu notuje „symptomy zatracania się dynamiki reformowania gospodarki”. W miesiąc później szokujące dla władzy wyniki przyniosła ankieta opublikowana w piśmie ekonomicznym: 60 % odpowiedzi stwierdzało, że nie widać efektów reformy, a omal 50 %, że nigdy się ona nie uda\*. Minęło pół roku od narady, a pełnomocnik d/s reformy nadal musi polemizować z opiniami o jej „wygasaniu”. Jedną, w każdym razie, z ocen generała — jeszcze sprzed narady — nie straciła mocy, mianowicie, gdy przyznawał, że zamierzone „zadanie dokonania podstawowych rozwiązań systemowych w 1986-1990 nasycone jest niepewnościami”. Wydaje się raczej pewne, że dokonane nie zostaną.



Plan 5-letni jest pełen niepewności. Jeszcze w poprzednim roku Jaruzelski zapowiadał, że do pokonania będą „liczniejsze niż w przeszłości bariery”. W początkach zaś 1985 roku mówił, że bardzo trudne będą uwarunkowania wewnętrzne i zewnętrzne planu. Bardziej drastycznie wyraził obawy o plan 5-letni szef planowania: jeśli nie zostanie powstrzymana dekapitalizacja, grozi „w wielu dziedzinach stagnacja, a nawet regres”. Nic zaś i nikt nie mówi, że dekapitalizacja została powstrzymana. W opublikowanych założeniach planu powiedziano dosłownie, że „aparaturę wytwórczą obecnie jest mniej sprawny niż przed 5 laty”. Jeśli bowiem stopień zużycia maszyn i urządzeń w przemyśle w 1980 roku stanowił niespełna 50 %, to w 1985 roku doszedł do 58 %. Szef planowania podawał, że ten wskaźnik przekroczył 60 % (w najnowocześniejszych przemysłach — ale nie tylko — i aparaturze naukowej 70 % i powyżej).

W założeniach planu uderza częsty tryb warunkowy (można... jeśli itp.) i by tak rzec — „defensywność” (nie dopuścić,

zapobiec, złagodzić, przezwyciężyć bariery itp.). W dyskusjach i konsultacjach wskazywano na wiele niewiadomych w planie, na „życzeniowe podejście” w jego konstrukcji. Z drugiej strony wytykano jego „stagnacyjny” charakter (m.in. przewodniczący nowych związków zawodowych na w/w naradzie).

We wczesniej fazie opracowania planu dyr. Instytutu Ekonomicznego PAN, prof. Pajestka, pisał m.in.: „Nie pamiętam, żeby nasz kraj kiedykolwiek znajdował się w sytuacji, z której wynikałyby tak kiepskie prognozy i tak trudne uwarunkowania procesu rozwojowego”. W późniejszych — aż do końcowej — fazach powtarzały się sady, że jest to najtrudniejszy plan 40-lecia.

Tym trudniejszy, że stan gospodarki w roku 1985 zgoła nie zapowiadał dobrego startu. Jaruzelski powtórzył wprawdzie w ONZ swe sakramentalne „krok po kroku idziemy napród”, ale znał już przecież wyniki 3 kwartałów. Nie nadrobiono strat zimowych, produkcja przemysłowa pozostawała nadal grubo poniżej planu (wzrost o 2,7 % wobec planowanego 4 %). Co gorsza, również „krok po kroku” — i to niemałymi krokami — postępuje dekapitalizacja i poszerza się luka technologiczna. Nielepszy jest stan wielu innych podstawowych czynników gospodarki. Równocześnie, jak stwierdzano we wrześniu w Prezydium rządu, nastąpiło „zwolnienie równoważenia rynku”. Faktem jest, jak pisano w komentarzach do informacji GUS, że utrzymują się podstawowe zagrożenia i ogólna nierównowaga gospodarki. Nic w tym zaskakującego, jeśli według wyników niedawnej ankiety Konsultacyjnej Rady Gospodarczej liczyć się trzeba z „zagrożeniem równowagi” do 1990 roku.



W jednym z niedawnych artykułów ekonomista-doradca Sejmu przyznał, jak wielu innych, że ten plan 5-letni jest najtrudniejszy w całym 40-leciu, i to nie tylko ze względu na bariery, ale i na sytuację polityczną i psychologiczną. Zresztą i wcześniej zarówno Jaruzelski jak i jego ludzie mówili o barierze polityczno-psychologicznej w odniesieniu do gospodarki.

Czy i o ile wybory (jeśli to pojęcie jest tu w ogóle właściwe) mogą wpłynąć na tę sytuację? Władza będzie usiłowała, przynajmniej na krótką metę, politycznie dyskutować swoje oficjalne dane o ponad 78 % frekwencji. Zaprzeczać będzie, że cyfra ta — o ile jest prawdziwa — jest wynikiem połączenia znużenia społeczeństwa, jego obojętności wobec sensu i realnego znaczenia wyborów, „małego strachu” i fałszerstwa. Jak zresztą wiadomo, podziemna opozycja, na podstawie dość wnikliwej obserwacji, szacuje frekwencję o 12-15 % niżej niż oficjalne dane, zwłaszcza w dużych ośrodkach przemysłowych. Z czym zbieżny

\* *Życie Gospodarcze* z 1 września 1985.

jest m.in. fakt, że przynależność do nowych związków zawodowych — co swego czasu nazwano swoistym „referendum” — pozostaje poniżej 50 % spośród ponad 11 milionów zatrudnionych w gospodarce uspołecznionej, w wielkich zakładach zaś odsetek ten jest znacznie niższy.

Przy jakiegokolwiek zaś interpretacji wyborów mieć trzeba na uwadze, że akt ten w takim jak w Polsce systemie przebiega tylko „na powierzchni” życia polityczno-społecznego. Ani nie wyraża, ani istotnie nie zmienia rzeczywistych postaw, nastrojów i podskórnych prądów „w głębi” społeczeństwa. Tym bardziej za żywej pamięci wstrząsu 1980 roku i okresu Solidarności.

Nie należy zapominać — do czego skłonni są powierzchowni obserwatorzy bieżącej chwili — jak pozorne znaczenie miały wszystkie wybory o ponad 99 % frekwencji i magicznej liczbieomal 100 % głosów oddanych na przywódców. *Nota bene* i tym razem obdarzono nią (96-98 % głosów) Jaruzelskiego, Rakowskiego, Kiszczaka i innych z tzw. listy krajowej. Władza, udając, że w to wierzy, domaga się, by w to uwierzyło społeczeństwo i zagranica. W odniesieniu zaś do gospodarki pouczające są już pierwsze, sowieckiego wzorca, wybory w 1952 roku, blisko połowy planu 6-letniego: w następnym roku wyraźne już były oznaki jego załamania się. Tym bardziej pouczające są te wybory, które zbiegały się z końcem kolejnych planów, a nie zapobiegły ani jego załamaniu się, ani kryzysowi społeczno-politycznemu. „Rytualna” była frekwencja wyborcza w 1969 roku, również na... Wybrzeżu. Taką była w 1976 roku, również w Radomiu, Ursusie, Płocku. Tym razem wybory zbiegły się z początkiem nowego planu — a gospodarka toczyła się już ku kryzysowi. W wyborach 1980 roku... 4 miesiące przed Sierpniem, frekwencja wyniosła 98 %!

Nie szukajmy uproszczonych analogii i prognoz: taka jak poprzednie sekwencja zapewne nie powtórzy się teraz, ale może powtórzyć się w bliższej czy dalszej przyszłości. Doświadczenia poprzednich kryzysów nie tracą swej dobitnej wymowy. W tym świetle grzeszą nadmierną pewnością siebie powyborcze enuncjacje m.in. rzecznika rządu, że wybory stanowią cezurę, zamykającą „okres konfliktów, czas przywracania stabilizacji” itp.. Warto sięgnąć pamięcią do przeliczonych enuncjacji po poprzednich wyborach, również tych sprzed 5 lat — różnych w treści, ale z podobną dozą załamania, zawodnego samozadowolenia i samoobłudy. Jakkolwiek władza ocenia — również na własny użytek — wybory, nic nie wydaje się wskazywać, by mogły w znaczącej mierze przyczynić się do pomniejszenia bieżących trudności i długofalowych tzw. „zagrożeń” gospodarki i przejaśnienia perspektywy następnego 5-lecia.

Co pewien czas odzywają się w partii i jej otocze głosy o „głodzie perspektywy”. W dyskusji, raczej ospałej, o perspektywicznym programie PZPR, słyszy się często zastrzeżenia, czy sytuacja na to pozwala. (Zapowiedziany przez Gorbaczowa nowy program KPZS doda zapewne, jak zazwyczaj, bodźca polskim towarzyszom).

Tymczasem zaś partia zadowolona musi zapewnić pewność „generała, że „z twórczych źródeł socjalizmu czerpiemy pewność jutra”. Wszyscy poprzednicy Jaruzelskiego mówili to samo, również przed „jutrami” lat 1956-1970-1980. Dziś — oświadczył generał w połowie 1984 roku — „znajdujemy się w fazie zaawansowanej socjalistycznej odnowy”. Musiał jednak po roku wystąpić na Plenum KC przeciw opiniom o „wygasaniu odnowy”. Wy-mogi doktryny — nawet w okresie „zamętu ideologicznego” — nakazują sekretarzowi partii określenie „etapu”, zatem: „w większości istotnych dziedzin stworzyliśmy podstawy socjalizmu... ale są obszary, w których panuje zastój a nawet niepokojący regres”. W dyskusji nad programem partii powiedziano zaś m.in.: „ustrój socjalistyczny jest w Polsce dominujący, ale w wielu dziedzinach tylko formalnie”. W *Trybunie Ludu* natomiast odnotowano w końcu 1984 roku opinię, że Polska będzie krajem zbudowanych podstaw socjalizmu za... lat 20!

Zakładano te podstawy za Bieruta, budowano za Gomułki, aż za Gierka uznano, że zostały zbudowane i kraj wkracza w etap „rozwinętego budownictwa socjalizmu”. Prosi się tu o przytoczenie niezgorszy przykład ideologicznej aberracji: gospodarka jest u prognozy załamania, a profesor-minister (Bafia) pisze o problemach „zaprogramowanego przez PZPR przechodzenia do etapu budownictwa rozwinętego socjalizmu”. Opublikowano to w *Nowych Drogach* w numerze z... sierpnia 1980 roku! Ekipie generała przyszło na gwałt „związać” ten „rozwinęty socjalizm” i wracać do porysowanych przez wstrząs „podstaw”.

Jakkolwiek by określać socjalistyczne etapy, przez które przeszła Polska — łącznie z „socjalistycznym” stanem wojennym — kraj znalazł się w stanie wyniszczenia gospodarki ze znikomą ludnością. Ale nic to dla generała, gdy obwieszcza, że dorobek 40-lecia jest... „dziejowym pomnikiem partii”!

Bolesław DRUKIER

Październik 1985

## Sprawy i troski

### Fundusz S.O.S.

Od maja 1985 roku pomocą Funduszu objęto 25 chorych: 4 osoby przebywały na leczeniu w szpitalach na Zachodzie (2 chorych we Francji, 1 w Holandii, 1 w Austrii). Jeden chory jest oczekiwany.

25 przypadków zostało skonsultowanych przez specjalistów w Paryżu, dla 5 osób załatwiono protezy kończyn dolnych, jedno dziecko niedowidzące zaopatrzone w specjalne okulary, dwóm inwalidom wysłano wózki.

#### CHORZY LECZENI NA ZACHODZIE

1. Chora z Wrocławia, 38 lat, robotnica (troje dzieci): zakrzepowe zapalenie tętnic nóg. Niewłaściwe rozpoznanie i leczenie spowodowało amputację jednej nogi. Ażeby uratować drugą, chora została przebadana w specjalistycznym ośrodku w Holandii, gdzie wytyczono leczenie. Otrzymała protezę, obecnie zaopatrujemy ją systematycznie w leki.

2. Chory z Łodzi, 23 lata, student: nieodwracalna niedomoga nerek. Ze względu na niedobór w Polsce aparatów do dializy (sztucznych nerek) został przewieziony do Austrii, gdzie po kilku miesiącach dializy (dializa trzy razy w tygodniu, koszt każdego seansu 4.000 FF), udało się przeszczepić mu nerkę. Wraz z Polskim Komitetem Pomocy w Austrii pokryliśmy koszt pobytu w szpitalu. Obecnie wraca do Polski.

3. Chory z Gdańska, 26 lat, student: ciężkie schorzenie neurologiczne i przewlekłe zapalenie nerek. Rozpoznanie ustalone zostało w szpitalu specjalistycznym w Paryżu, gdzie wytyczono leczenie.

4. 5-letnie dziecko z województwa krakowskiego: astma, nawracające zapalenie oskrzeli i płuc, wada w przewodzie pokarmowym, nietrzymanie moczu. Po miesięcznym pobycie w szpitalu dziecięcym w Paryżu dziecko wróciło do Polski z leczeniem. Zaopatrujemy je w leki.

5. Chora z Warszawy, 31 lat (jedno dziecko): nieuleczalne w Polsce schorzenie układowe skóry. Przez kilka miesięcy posyłałszy leki, które pozostawały bez efektu. Obecnie przebywa w specjalistycznym szpitalu dermatologicznym w Paryżu. Chora nie jest w stanie poruszać się, konieczny wózek inwalidzki.

6. Chory z Poznania, 30 lat: ślepnący z powodu postępującej ząmy o niewyjaśnionym w Polsce tle. Operowany bez poprawy. Przyjeżdża do szpitala okulistycznego do Paryża celem diagnostyki i ewentualnej operacji.

#### WYSYŁANIE LEKÓW

Wielu chorym wysłano leki niedostępne w Polsce. Sześć osób przewlekłe chorych zaopatrywanych jest w leki systematycznie.

Celowość wysyłania niedostępnych leków zapisanych w kraju jest omawiana ze specjalistami w Paryżu. Niektóre z nich, zakwalifikowane jako konieczne — zostają zakupione, inne — zdyskwalifikowane — nie są wysyłane.

#### REKRUTACJA CHORYCH

O pomoc zwracają się chorzy pisząc bezpośrednio do organizacji humanitarnych, kościelnych, do Biura Koordynacyjnego z Komisją Charytatywną Episkopatu Polski w Paryżu, do byłego Komitetu Pomocy Ewie Kądziałskiej, w jednym przypadku do Polskiego Radia w Warszawie. Wiadomości o chorych potrzebujących pomocy przywożą też ludzie przyjeżdżający z Polski. W wielu przypadkach chorzy zgłaszani są przez lekarzy polskich. Dotychczas, z wyjątkiem jednego przypadku, byli to chorzy, którzy nie mieli żadnych „dojść”, żadnej sytuacji uprzywilejowanej ani w złym, ani w dobrym sensie, żadnych krewnych ani przyjaciół za granicą. Fundusz był dla nich jedyną szansą ratunku.

#### SPOSÓB POSTĘPOWANIA

Z każdym chorym, który ma być objęty pomocą Funduszu staramy się wejść w bezpośredni kontakt, bądź korespondencyjnie, bądź za pośrednictwem współpracowników Funduszu w kraju, którzy w razie potrzeby udają się do miejsca zamieszkania chorego w innym mieście. Jednocześnie w ten sam sposób kontaktujemy się z lekarzem leczonemu. W miarę możliwości kontaktujemy się z odpowiednimi specjalistami (autorytet medyczny i moralny) w Polsce.

Z reguły każdy przypadek jest konsultowany ze specjalistą z danej dziedziny w Paryżu. Dalsza decyzja zależy wyłącznie od wyników tej konsultacji.

Historie choroby przesłane z Polski i teksty Funduszu są tłumaczone przez tłumaczy-wolontariuszy w Paryżu.

Chorym przyjeżdżającym na leczenie Fundusz przygotowuje miejsce w szpitalu lub mieszkaniu i utrzymanie. Opieka w czasie pobytu zapewniona jest dzięki dobrej woli kilku wolontariuszy, którzy służą również jako tłumacze.

W dwóch przypadkach opłaciliśmy koszt przyjazdu samolotem i raz pociągiem. Dwóch chorych przyjechało z osobą towarzyszącą.

#### SZKOLENIE LEKARZY

Lekarze polscy nie mają obecnie możliwości śledzenia postępu medycyny (brak pism zagranicznych i wymiany).

Poza bezpośrednią pomocą chorym zaczęliśmy również organizować staże na Zachodzie dla wybranych (pod względem fachowym i moralnym) lekarzy z Polski. Dotychczas przyjechało na staż czterech lekarzy do Paryża: 1 pediatra, 1 laryngolog, 1 ginekolog i 1 anestezjolog do Colmaru.



## STRONA FINANSOWA FUNDUSZU

Podstawą dotychczasowej działalności była niewykorzystana w całości suma, zebrana uprzednio dla niewidomej Ewy Kądzielskiej, głównie przez działaczy polskich w Luksemburgu (p. Potworowska, p. Z. Dudziński, w Anglii Mrs. M. Giedroyc, dr. T. Kołakowska), oraz przez *Kulturę*.

Mimo apeli Funduszu zamieszczonych w pismach polonijnych i kilkuset listów rozesłanych do Polaków na Zachodzie w ciągu 8 miesięcy wpłaciło na Fundusz jedynie 110 osób, 3 organizacje polonijne oraz *Głos Polski* z Kanady i *Kultura*.

Ten brak odzewu jest zastanawiający i napawa pesymizmem.

Oczekujących na pomoc jest wielu, pomoc Funduszu jest dla nich jedyną szansą powrotu do zdrowia lub zahamowania postępującej utraty sprawności, a czasami po prostu podjęciem ostatniej możliwości walki o życie.

Ta szansa zależy od stałych wpływów na Fundusz.

Dziękując w imieniu chorych, którym udało się dzięki Państwa ofiarności pomóc, zwracamy się z ponowną prośbą o kontynuowanie tej formy współpracy z nami.

Najcenniejszym udziałem jest miesięczny stały przelew na konto Funduszu. Ważna jest nawet najskromniejsza suma. (Redakcja *Kultury* przekazuje na Fundusz S.O.S. F.10.000,00).

SOS COORDINATION POLOGNE  
13, RUE DAUBENTON  
75005 PARIS. Tel.: 45.35.74.19.

**W A W E L**  
**PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA**  
w Niemczech Zachodnich

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30.

Również sprzedaż wysyłkowa.

## Sąsiedzi

## W sowieckiej prasie

Zamykając poprzedni przegląd prasy sowieckiej przed genewskim „spotkaniem na szczycie”, pozwoliłem sobie przepowiedzieć jego wyniki: „Gorbaczow w każdym przypadku wyjdzie ze spotkania zwycięsko. To on wybrał pole bitwy — rozbrojenie, fałszywy problem, który pozwala Związkowi Sowieckiemu przystrajać się w szaty 'obroncy pokoju'. Jeśli Reagan zgodzi się (w jakiejkolwiek formie) na rezygnację z programu 'strategicznej inicjatywy obronnej', zwycięstwo Gorbaczowa będzie spektakularne. Jeśli prezydent Stanów Zjednoczonych nie ugnie się pod szantą... Gorbaczow przystoi się w szaty obrońcy ludzkości, któremu 'podlegacz wojenny' uniemożliwił dobrą robotę”.

Dzisiaj znamy już wyniki rokowań genewskich i echa, jakie wzbudziły. Możemy porównać opisy „szczytu” z komentarzami, ogłoszonymi w prasie amerykańskiej, europejskiej i sowieckiej. Miliony słów, jakimi zaczerpniono papier z okazji radosnego wydarzenia, nie pozostawiają najmniejszych wątpliwości — zadowoleni są wszyscy. Bardzo zadowoleni są Amerykanie. Reagan nie dał się pożreć Gorbaczowowi, czego się wszyscy bali (nie bez kozery, bo przy okazji „spotkań na szczycie” został pożarty niejeden amerykański prezydent, od Roosevelta poczynając). Kongres Stanów Zjednoczonych powitał wracającego z Genewy prezydenta stojąc, jak bohatera! Bardzo zadowoleni są też zachodni Europejczycy — dwa mocarstwa rozpoczęły znów dialog! Satisfakcję wyraził również przedstawiciel ZSSR. *Prawda* napisała po spotkaniu genewskim: „W gruncie rzeczy mowa była o tym, czy przetrwa, czy nie przetrwa życie na Ziemi...”. Na okładce tygodnika *Time* (2 grudnia 1985) zdjęcie uśmiechniętych, zadowolonych przywódców Stanów Zjednoczonych i Związku Sowieckiego opatrzone napisem: „Na razie wszystko w porządku”.

Wszystko w porządku, więc wypada się cieszyć, a w każdym razie śmiać optymizmem i ufać, że wszystko będzie dobrze.

Rezultaty „spotkań na szczycie” na ogół są widoczne dopiero

w jakiś czas po powrocie przywódców do domu. Jednak owoce spotkania genewskiego dały się poznać już kilka tygodni po nim. Przede wszystkim słownik propagandowy Moskwy wzbogacił się o zwrot „duch Genewy”, tzn. duch ugody z Moskwą, duch „walki o pokój”. Wszystkie posunięcia państw zachodnich w polityce zagranicznej i wewnętrznej można obecnie mierzyć „duchem Genewy”.

Dość wyliczyć kilka pierwszych „wniosków” konferencji genewskiej, aby sobie uprzytomnić jej skutki. W *Times*’ie z 9 grudnia 1985 ukazała się notka pod szumnym, godnym książki tytułem, „Kremlin calling and U.S. banks are answering”. Kreml zwywa, a banki amerykańskie odpowiadają: First National Bank z Chicago, Bankers Bank z Nowego Jorku, Morgan Guarantee, Irving Trust i kanadyjski Royal Bank of Canada wspólnie przyznały Związkowi Sowieckiemu dwieście milionów dolarów na zakup amerykańskiego i kanadyjskiego zboża. To dopiero początek — Amerykanie obliczają, że Moskwa kupi w bieżącym roku zboża za miliard sześćset milionów dolarów. Bankierzy martwią się: w pierwszych dwóch kwartałach 1985 roku sowiecki eksport przyniósł o 23 % mniej waluty aniżeli w tym samym okresie 1984 roku. Bankierzy spieszą z pomocą: w roku 1986 ogólna suma kredytów udzielonych ZSSR wyniesie osiem miliardów dolarów. Na apel Kremla odezwały się nie tylko banki: 9 grudnia 1985 przybyło do Moskwy 400 biznesmenów i amerykański minister handlu. Towarzysz Gorbaczow zachęcał ich: „Jeśli zostaną usunięte przeszkody polityczne, otworzą się przed nami szerokie perspektywy”.

„Duch Genewy” spowoduje szerokie otwarcie kredytów także dla pozostałych państw socjalistycznych. Wizyta Jaruzelskiego w Paryżu jest wymownym rezultatem spotkania w Genewie. Przygotowywane już od dawna w tajemnicy spotkanie prezydenta Mitterranda z Jaruzelskim wzbudziło oburzenie społeczeństwa francuskiego i zdumienie „klasy politycznej”. Mitterrand już ponad rok temu, podczas wizyty w Moskwie, zatrąbił na powrót do odprężenia. Francja była też pierwszym zachodnim krajem, który zaszczycił swą wizytą nowy generalny sekretarz. Po szczycie genewskim Moskwa — celem poinformowania prezydenta Francji — wysłała do Paryża wiceministra spraw zagranicznych ZSSR Korniczenkę. Amerykanie nie posłali nikogo.

Prezydent Francji nie ma żadnych wątpliwości, że pociąg „odprężenia” wyruszył ze stacji Genewa i trzeba pospieszyć zajmować miejsca. Redaktor *Nouvel Observateur* Jean Daniel, gorący zwolennik Mitterranda, dopuszczony do tajemnic bogów, tłumaczył w radio 8 grudnia, dlaczego francuski prezydent przyjął polskiego pierwszego sekretarza. Przede wszystkim dlatego, że Gorbaczow solennie mu przyrzekł podczas wizyty w Paryżu, że przekształci Polskę w Węgry. Ponadto dlatego, że francuski minister spraw zagranicznych był w Watykanie i papież zapewnił go, że Jaruzelski nie jest całkiem pozbawiony uczuć patriotycznych, więc należy mu pomóc.

Można zarzucić Mitterrandowi łątwowierność: wystarczy lek-

ko pokopać w gnoju sowieckiej historii, aby sobie przypomnieć, co warte są obietnice sowieckich przywódców. Ale Mitterrand będzie mógł się powołać na Amerykanów: jeśli oni wierzą, dlaczego nie mieliby wierzyć i inni?

Zdumiewająca łątwowierność Amerykanów w Genewie wyszła na jaw przede wszystkim w „kwesii afgańskiej”. W przeddzień spotkania Reagan zaproponował włączenie do porządku rozmów „regionalnych konfliktów”, w tym i kwestii sowieckiej interwencji w Afganistanie. Gorbaczow propozycję odrzucił. O Afganistanie rozmawiano nieoficjalnie, przy kominku. Gorbaczow w najlepszym przypadku milcząco wysłuchał amerykańskiego prezydenta. Mimo to gazety przez kilka dni triumfowały. 22 listopada na pierwszej stronie *International Herald Tribune* można było przeczytać „USA wyczuły (! — A.K.) że Sowiety są bardziej otwarte jeśli idzie o wojnę afgańską”; waszyngtoński korespondent *Le Monde* pisał 24-25 listopada: „Waszyngton myśli (! — A.K.), że sowieckie stanowisko w kwestii Afganistanu ewoluuje”; *International Herald Tribune* z 26 listopada doniosła: „Sekretarz Stanu Shultz zwraca uwagę (! — A.K.), że Sowiety miękną w kwestii afgańskiej”.

Uczuciom, intuicji, domysłom — instrumentom mało precyzyjnym — Związek Sowiecki przeciwstawia słowa i czyny. Jeśli przeczyta sowieckie gazety i obejrzeć telewizję z okresu, w którym amerykańscy dyplomaci oddawali się poszukiwaniom „alu-zji” (koniecznie wskazujących na ewolucję), widać jasno, że oszukuje się tylko ten, kto chce być oszukany.

Wojna afgańska przekształciła się nieodwracalnie w wojnę w obronie socjalistycznej ojczyzny. W odpowiedzi na list czytelnika, pytającego „dlaczego mój brat służy w Afganistanie?”, *Komsomolskaja prawda* odpowiada piórem generała F. Mażajewa, niegdyś walczącego z Niemcami na Kaukazie: „Afganistan ma z nami długą granicę... Na afgańskiej ziemi nasi żołnierze spełniają swój internacjonalistyczny obowiązek, ale zarazem bronią swych ukraińskich, sybirskich, kazachskich domów”. Afgańska granica została w ten sposób zrównana z granicą ZSSR. Naska granica została w ten sposób zrównana z granicą ZSSR. Nawet nie z granicami obozu socjalistycznego, jak na przykład granica Czechosłowacji w 1968, Polski w 1981. Nie — chodzi o „rubieżę Ojczyzny”.

Wojna afgańska ma jeszcze jeden aspekt, na który dziwnym trafem mało kto zwraca uwagę. W ostatnim półroczu organ ministerstwa obrony ZSSR *Krasnaja zwiezda* zaczął dużo pisać o oficerach, pełniących wzorowo służbę po chrzcie bojowym w Afganistanie. Aleksander Prochanow, autor powieści o wojnie afgańskiej, o konfliktach w Kambodży, Mozambiku i Nikaragui, w reportażu pt. „Zapiski na panczeru” pisze o doświadczeniach w Afganistanie: „... Dowódcy, niektórzy z akademickimi tytułami, dopiero tu, w Hindukuszu, stają się prawdziwymi żołnierzami” (*Literaturnaja gazeta* z 28 sierpnia 1985).

*Krasnaja zwiezda* donosi, że „Afgańczycy” w randze pułkownika i generała brygady obejmują obecnie odpowiedzialne stano-

wiska w armii sowieckiej. Niektórzy specjaliści twierdzą, że oficerowie nie zdobywają w Afganistanie zbyt dużego doświadczenia. Nie należy jednak zapominać, że „odprężenie” wprawdzie chroni świat przed wojną atomową, ale bynajmniej nie przeszkadza w prowadzeniu wojen lokalnych. Nieprzypadkowo Związek Sowiecki z takim oburzeniem odrzuca wszelkie rokowania na temat „konfliktów regionalnych”.

Można naturalnie zarzucać Zachodowi łatwowierność, ale w 1985 roku brzmi to humorystycznie. Chodzi o co innego. Podczas konferencji prasowej w Genewie Gorbaczow powtórzył to, co mówił w grudniu 1984 roku w Londynie, kiedy podbił Anglików włącznie z Margaret Thatcher. Powtórzył mianowicie słowa Palmerstona, które jakoby utkwily mu w pamięci jeszcze za czasów uniwersyteckich: Anglia nie ma odwiecznych przyjaciół ani odwiecznych wrogów, ma tylko odwieczne interesy.

„Odwieczne interesy” dyktują stosunek Zachodu do ZSSR. W przededniu Genewy międzynarodowy adwokat, Samuel Pisar, który już od lat walczy o rozwój stosunków ekonomicznych z ZSSR (dziwnym trafem jest prezydentem kompanii handlujących z krajami socjalistycznymi) opublikował w *Le Monde* i *International Herald Tribune* artykuł, w którym pouczał, że należy brać pod uwagę „niebezpieczeństwo totalitaryzmu” (a jakże — koniecznie!), ale też pamiętać, że „tylko wymiana gospodarza i kulturalna może temu niebezpieczeństwu zapobiec”. Krótko mówiąc, tylko pomagając totalitaryzmowi można go rozbroić.

W odprężeniu zainteresowane są rozmaite „interesy”. Spotkanie genewskie nie zrodziło „ducha Genewy”, a stało się tylko katalizatorem procesu, zawieszono go chwilowo po inwazji Afganistanu, zahamowanego przez Solidarność, a teraz znów puszczono go w ruch.

Nie należy się łudzić co do miejsca, jakie zachodni politycy wyznaczają Polsce w nowej erze „odprężenia”. Zdaniem Brandta pokój w Europie nie jest możliwy bez stabilnej Polski. Zdaniem Mitterranda „los na długo przypieczętował sowieckie panowanie i wpływy w tej części Europy. Na długo”. Mitterrand, który w 1981 roku, oszołomiony świeżo zdobytą władzą, ogłosił, że „pora wyjść z Jałty”, dziś (10 grudnia 1985) pogodził się z tym, że „pojałtańska Europa nie rozpadnie się jutro rano” (*Le Monde* z 11 grudnia 1985).

Zadowolony ze zwycięstwa Gorbaczow mógł w spokoju odjechać do domu. Po powrocie mógł w spokoju zająć się rozrywkami. Mając zapewnione amerykańskie zboże za amerykańskie kredyty, mógł przystąpić do „reform”. 23 listopada 1985 gazety sowieckie opublikowały skrócony (do jednej strony) tekst uchwały KC KPZS i Rady Ministrów o „dalszym doskonaleniu zarządzania kompleksem agro-przemysłowym”. Czytając od wielu, wielu lat i z narastającym obrzydzeniem prasę sowiecką, znajduję w niej jednak od czasu do czasu perły, przy których najważniejsze artykuły z *Financial Times* wydają się powierzchownymi faccjami. Taką „perłą” jest „reforma rolna” Gorbaczowa. Zanim przejdę do samej reformy, wypada przypomnieć, że zaled-

wie trzy lata temu Kreml znalazł czarodziejski klucz, otwierający przed sowieckim rolnictwem róg obfitości, mianowicie rozbięcie ministerstwa rolnictwa na kilka specjalistycznych ministerstw: ministerstwo owoców, ministerstwo jarzyn, ministerstwo mleka, mięsa itd. Genialne odkrycie Gorbaczowa, uchwalone na ostatnim plenum KC, polega na zjednoczeniu wszystkich specjalistycznych ministerstw w jeden gigantyczny urząd, nazwany Państwowym Komitetem Agro-Przemysłowym ZSSR, w skrócie Gos-AgroProm ZSSR.

Wiele lat temu Sołżenicyn opisał w „Kręgu pierwszym” postać ojca narodów w ten sposób: „Noc była dla Stalina porą najobfitszych płodów. Nieufna jego myśl rankami rozkręcała się powoli. Chmurny, poranny rozum służył do dawania dymisji, obcinania budżetów, do scalania ministerstw po dwa i po trzy naraz. Nocny zaś rozum, pełen giętkiej bystrości i przebiegłości, podpowiadał jak rozdrabniać i dzielić ministerstwa, jakie nazwy dawać nowo kreowanym...”.

Nie wiadomo jeszcze, kiedy Gorbaczow zdecydował, że należy stworzyć Gos-AgroProm, rankiem czy nocą. Nie ulega natomiast kwestii, że ten znawca gospodarki rolnej — w każdym razie kierował nią przez siedem lat — wie, że „scalanie” i „rozdrabnianie” ministerstw może wprawdzie dostarczyć przyjemności generalnemu sekretarzowi, ale w żaden sposób nie wpływa na plony. Gorbaczow bawi się jak Stalin, bo może sobie na to pozwolić, mając zapewnione amerykańskie zboże za amerykańskie pieniądze. Najważniejsze to tworzyć pozory działania i utwierdzać swoją reputację w kraju i za granicą.

Dużym akcją politycznym typu „szczyt” w Genewie towarzyszą surmy propagandy sowieckich specjalistów w ZSSR i poza nim. Ich działalności przyświeca nowy program KPZS, który głosi m.in. „aktywne propagowanie sowieckiego stylu życia i ofensywne, uargumentowane demaskowanie antyludowego, nieludzkiego charakteru imperializmu...”.

Przykładami tej propagandy można by zapełnić tomy. Za przykład „aktywnego propagowania sowieckiego stylu życia” może służyć 46-ty numer tygodnika *Der Spiegel* z 11 grudnia 1985, poświęcony Raisie Gorbaczowowej. Ogromny artykuł o niej nosi tytuł „Raisa — tajna broń Kremla”. Od śmierci Hitlera, Stalina i Mao o nikim chyba nie pisano z podobnym zachwytem. Zdobyszy z nieujawnionego źródła „intymne” szczegóły z życia małżonków Gorbaczowych od dzieciństwa do naszych dni, autorzy hymnu na cześć Raisy nie ukrywają, że nie tylko Związek Sowiecki, ale cały świat powinien się uważać za szczęśliwy, że wypadło mu żyć w tych samych czasach co „stepowy cud”. Wśród obficie cytowanych złotych myśli „Rajeczki” warto zwrócić uwagę na oświadczenie Madame Gorbaczowowej, że „rosyjskie kobiety dojrzały do życia w luksusie”. Ponieważ nie wszystkim się to na razie udaje, robi to za nie Rajeczka.

Natomiast przykładem „ofensywnego demaskowania nieludzkiego charakteru imperializmu” jest artykuł W. Zapiewałowa „Pa-

nika na Zachodzie, czyli co się kryje za sensacją wokół AI?" (*Literaturna gazeta* z 30 października 1985). Do niedawna prasa sowiecka mało pisała o „syndromie wtórnego deficytu immunologicznego” (Sida), podkreślając zazwyczaj, że choroba ta w ZSSR nie występuje i wystąpić nie może. Nic dziwnego, że nie może, skoro zdaniem sowieckich dziennikarzy Sida jest chorobą zakaźną, szerzącą się „wśród osób, skłonnych do zbroceń seksualnych i wśród narkomanów, używających niewysterylizowanych igieł”. Jak podobne indywidualia mogłyby istnieć w sowieckiej atmosferze? Aż tu towarzysz Zapiewałow powołując się na nieujawnione źródła donosi, że Sida jest groźniejsza od cholery i dżumy i wkrótce wysunie się na pierwsze miejsce wśród powodów zgonu. W dalszym ciągu sowiecki dziennikarz szczegółowo wyjaśnia, że Sidę wywołał świadomie Pentagon i CIA.

Za przykład tekstów „szczególnego typu” mogą służyć rozdziały z przygotowywanej książki Władimira Sołowiowa i Eleny Klepikowej „Hamletyczne rozterki Kremla: co zrobić z Polską”. Tekst ten ukazał się w rosyjskim piśmie emigracyjnym *Wriemia i my*, wychodzącym w Nowym Jorku (nr 84, 1985). Autorzy, krytycy literaccy sporo publikujący w prasie sowieckiej, wyemigrowali do Stanów Zjednoczonych w 1977 roku i zajęli się publicystyką polityczną. Najpierw wydali biografię Andropowa. Sądząc po publikacji we *Wriemia i my*, zabrali się teraz do biografii Jaruzelskiego. Bogobojna biografia Andropowa wyszła po angielsku. Także życiorys Jaruzelskiego przeznaczony jest dla Amerykanów.

Autorzy „Hamletycznych rozterek Kremla” stoją po stronie Polski, ale tylko pod warunkiem, że Polska pokocha i doceni generała Jaruzelskiego. Portret Raisy Gorbaczowowej w *Spieglu* i Jaruzelskiego we *Wriemia i my* są do siebie dziwnie podobne, przede wszystkim dzięki zakochanemu spojrzeniu autorów. Sołowiowi i Klepikowa tak oto widzą biografię Jaruzelskiego: absolwent elitarnego jezuickiego gimnazjum, ojciec imieniem Miczek (?) zginął w sowieckich obozach koncentracyjnych, matka Żydówka (co z nią się stało, nie wiadomo), Jaruzelski sam był zesłany na Syberię, gdzie pracował w kopalni w Karagandzie, potem na wyrębie lasów w Ałtaju, tam popsuł sobie wzrok, potem jednak ukończył szkołę oficerską w Riazaniu itd. Najważniejsze nastąpiło w czasie, kiedy Solidarność doprowadziła Polskę na skraj katastrofy. Kiedy Polska znalazła się nad przepaścią, Rosja stanęła w obliczu hańby, a ludzkość w obliczu trzeciej wojny światowej: „kto zatrzymał konia w pół skoku, kiedy już wisiał kopytami nad przepaścią?”. W tym miejscu czytelnik powinien dusząc się z przejęcia zakrzyknąć: No kto? Wtedy usłyszy w odpowiedzi: generał Jaruzelski! To on „dokonał przewrotu wojskowego, zawiesił wszystkie swobody obywatelskie oraz działalność zarówno Solidarności jak polskiej partii komunistycznej, skupił w swoich rękach pełnię władzy, i w Polsce zrobiło się — dobrze.

Autorzy biografii Jaruzelskiego, jak przystało na znawców literatury, przy portrecie bohatera wykorzystują skojarzenia lite-

rackie. E.T.A. Hoffmann napisał bajkę o złym potworku, którego dzięki dobrej wróżce wszyscy biorą za szlachetnego i urodziwego młodzieńca. Los okrutnie się zabawiał z generałem Jaruzelskim: jego, szlachetnego i urodziwego młodzieńca, wszyscy uważają za złego potwora. Sołowiowi i Klepikowa dokładają wszelkich starań, aby oddać mu sprawiedliwość.

Po tym dziele, w którym wszystkie półsłówka, subtelne aluzje i niedopowiedzenia służą oczywiście celowi, chętnie wrócimy do tekstów prostych, chamsko jednoznacznych i grubiańskich.

Tygodnik *Krokodil*, który od dziesiątków lat uprawia tzw. „humor sowiecki”, zapowiedział w najbliższych numerach druk „dokumentalnej powieści satyrycznej” Aleksieja Gołuba pod zniewalającym tytułem „Cztery oblicza agenta Iks”. Z powieści dowiemy się, „w jakie szaty przystrajają się agenci CIA USA w swoich knoowaniach przeciwko Polsce ludowej, gdzie i dlaczego Lech Wałęsa tańczył charlestona z czarującą Japonką” i wielu, wielu innych rzeczy...

Wszystko to opiszemy w następnym przeglądzie prasy sowieckiej.

Adam KRUCZEK

11 grudnia 1985

## List z RFN

Dziesiątki tysięcy mieszkańców Europy Wschodniej przekraczają każdego roku granice Układu Warszawskiego po to, aby jako Niemcy zgłosić się w obozie przejściowym Friedland lub jego filii w Norymberdze. W latach 1950 do 1981 blisko 700 tysięcy przybyszów z Polski otrzymało tam obywatelstwo Republiki Federalnej Niemiec. Z Rosji przybyło w tym czasie 90 tysięcy osób, tyleż samo z Czechosłowacji, z Węgier 13 tysięcy, z Rumunii około 120 tysięcy. Uwzględniając przyjazdy z ostatnich lat okazuje się, że co pięćdziesiąty czy sześćdziesiąty posiadacz zachodniemieckiego paszportu mieszkał, pracował, uczył się w Polsce.

Jeszcze częściej występują swojsko brzmiące nazwiska w książkach telefonicznych poczty federalnej. Wiele z nich zachowało nawet oryginalną pisownię, chociaż ich właściciele często nie potrafią ich po polsku przeczytać. Jest to efekt wielowiekowej tradycji wymiany obywateli pomiędzy dwoma sąsiednimi narodami. Nie zawsze był to ruch jednokierunkowy. Zdarzało się, że trzy czwarte studentów Uniwersytetu Jagiellońskiego stanowili

Niemcy. Emigranci z nad Łaby i Renu mieli swój udział w tworzeniu polskiego przemysłu... ale to jest osobny temat.

Do roku 1951 Niemcy wyjeżdżali z Polski na mocy traktatu poczdamskiego. Od tego roku też datuje się początek akcji łączenia rodzin, która trwa do dzisiaj. Intensywność wyjazdów była zawsze wypadkową sytuacji gospodarczej i politycznej w obu krajach oraz szczelności granic. W pierwszej połowie lat pięćdziesiątych w ten sposób opuściło Polskę zaledwie kilkanaście tysięcy osób. Absolutny rekord wyjazdów stanowiły lata 1957 i 1958, kiedy to w RFN zameldowało się 220 tysięcy osób. Wysoka fala spowodowana była niewątpliwie polepszającą się sytuacją gospodarczą Niemiec, rozczarowaniem do socjalizmu i ułatwieniami wyjazdowymi w popaździernikowej Polsce. Wśród przesiedleńców z tamtych lat było też wielu, którzy — wychowani na niemieckim Śląsku czy na Pomorzu — lepiej władali językiem niemieckim niż polskim.

W następnych latach liczba wyjazdów ustaliła się w okolicach 10 tysięcy rocznie. W pierwszym roku gierkowskim niewątpliwą łatwością otrzymania paszportu spowodowała wzrost zgłoszeń we Friedlandzie do 25 tysięcy. Potem ludzie uwierzyli, że w Polsce może być lepiej, co spowodowało w kolejnych latach znaczny spadek kandydatów na zostanie Niemcem. Natomiast od roku 1976 obserwujemy stały wzrost kandydatów na pozostanie na stałe w RFN. W latach osiemdziesiątych notuje się około 35 do 50 tysięcy takich decyzji rocznie.

Wynika z tego, że każdego roku wyprowadza się do Niemiec przeciętne miasto powiatowe. Problem dotyczy praktycznie kilku rejonów Polski: Górnego Śląska, Opolszczyzny, Warmii i Mazur oraz Gdańska. Nie może to nie mieć wpływu na polską gospodarkę. Trudno jest ocenić, czy państwo, które cierpi na chroniczny brak pracowników, a jednocześnie nie potrafi ich ubrać i wyżywić, traci czy korzysta na masowym exodusie swoich poddanych. Faktem są nie obsadzone stanowiska pracy jak również niejedna wiejska przychodnia zdrowia, przedszkole, sklep otwarte w budynku pozostawionym przez wyjeżdżającego do Niemiec.

Bilans strat i zysków RFN jest jeszcze trudniejszy do oceny. Faktem jest, że liczba ludności Niemiec maleje. Powodem jest niski przyrost naturalny oraz stała emigracja zamorska i do krajów Wspólnoty Europejskiej (około 50 tysięcy rocznie). Jednocześnie Niemcy Zachodnie należą do najgęściej zaludnionych obszarów świata, co ma niewątpliwie negatywny wpływ na stan środowiska naturalnego. Powolutku, ale jednak stale wzrasta bezrobocie. Gwałtowny, niekontrolowany postęp techniczny, polegający na automatyzacji produkcji, będzie pogłębiał ten proces. Jeden przesiedleńca kosztuje podatnika w RFN kilkadziesiąt tysięcy DM, a duży ich napływ i osłabienie tempa wzrostu gospodarczego spowodowały już decyzje rządu bońskiego, zmniejszające wydatki na ten cel. Odnosi się także wrażenie, że zostały zaostrome kryteria przyjęcia we Friedlandzie. Trudno

jest to jednoznacznie ustalić, ponieważ odpawieni z kwitkiem, stojąc przed perspektywą powrotu do kraju, nie są skłonni do zwierzeń.

### Jak zostaje się Niemcem?

Artykuł 116 Konstytucji Republiki Federalnej Niemiec mówi, że obywatelem niemieckim jest ten, „kto posiada niemieckie obywatelstwo lub jest uciekinierem albo wypędzonym narodowości niemieckiej lub jego współmałżonkiem albo potomkiem, który zamieszkiwał obszar Rzeszy Niemieckiej według stanu z 31. 12. 1937 roku”. Artykuł 6 Ustawy Przesiedleńczej wyjaśnia dodatkowo, iż do narodu niemieckiego należy ten, „kto w swoim kraju przyznaje się do niemieckiej przynależności narodowej, co może zostać potwierdzone przez takie charakterystyczne cechy jak pochodzenie, język, wychowanie i kultura”.

W zachodniemieckim prawie istnieje więc naród, który nie jest określony ani granicami geograficznymi, ani żadnymi współczesnymi podziałami politycznymi, a jego definicja oparta jest o cechy etniczne. Wypędzony (*Vertriebener*), przesiedleńca (*Umsiedler*), wysiedleńca (*Aussiedler*) późny wysiedleńca (*Spätaussiedler*) są powszechnie używanymi określeniami osób, które spełniły powyższe wymagania.

Co musi zrobić Jan, aby przeistoczyć się w Hansa? Istnieje kilka dróg osiągnięcia celu. Najlepiej, jeżeli Jan posiada krewnych na Zachodzie, których niemieckie pochodzenie zostało już wcześniej bezspornie udowodnione i chcą złożyć odpowiednie urzędowe oświadczenia. Jeżeli, używając polsko-niemieckiego żargonu, sprawa kłapnie, Janowi nie pozostaje nic innego jak przyjechać do RFN.

Podczas gdy władzom niemieckim wystarczają więzy krwi do kilku pokoleń wstecz, rząd warszawski uznaje łączenie rodzin w wąskim kręgu małżonków i dzieci, a i to realizowane jest z dużymi oporami. W RFN mówi się o liczbie od półtora do trzech milionów mieszkańców Europy komunistycznej (z wyłączeniem Niemiec Wschodnich), którzy mają prawo do obywatelstwa niemieckiego. Z tego przeważająca część ma mieszkać w Polsce, gdzie nie uznaje się istnienia mniejszości niemieckiej. Statystyczny Jan-Hans ma więc niewielkie szanse na „stały wyjazd”. Pozostają zwyczajne drogi polskiej emigracji: wycieczka zagranicą, wyjazd prywatno-czasowy czy służbowy, jak pisze się w krajowych kwestionariuszach paszportowych.

Jeżeli z krewnymi nie uda się, Jan może zgłosić się do urzędu we Friedlandzie i powiedzieć po prostu: — Jestem Niemcem! Wtedy nastąpi sprawdzanie w archiwach, co wspólnego z Niemcami mieli przodkowie Jana. Bońskie zbiory są zadziwiająco bogate. Można tam znaleźć spisy żołnierzy kolejnych wojen światowych, głosy uczestników plebiscytu, który rozstrzygnął o podziale Śląska po pierwszej wojnie światowej i wiele innych do-

kumentów. Częściej jednak Jan przywozi ze sobą jakieś papiery, które mają dowodzić jego pochodzenia. Mogą to być metryki dziadków, sztabuch, czyli urzędowo prowadzona książka rodzinna — tradycyjny dokument niemieckiej administracji, różnego rodzaju legitymacje służbowe z dawnych czasów itp.

Jednak wszystkie te papiery można do kosza wyrzucić, kiedy okaże się, że dziadek był wprawdzie feldfeblem, ale przy pierwszej nadarzającej się okazji zdezerterował do wojska polskiego. Babcia natomiast pochodziła z Krakowskiego i w podopolskiej gminie zawsze była zarejestrowana jako Polka. Taka przygoda spotkała pewnego mojego znajomego, który urodził się w latach pięćdziesiątych na Śląsku. W domu rodzinnym mówiło się często po niemiecku i do czasu wizyty we Friedlandzie żył w przekonaniu, że jest Niemcem. Sytuację uratowała jego żona, której znów nigdy do głowy nie przyszło, że w jej żyłach płynie domieszka niemieckiej krwi. Jej ojciec był żołnierzem Armii Krajowej, a ona nauczycielką języka polskiego.

Istnieje kilka granic pomiędzy Polską i Niemcami. Jedna przebiega wzdłuż Odry i Nysy. Drugą wyznaczają urzędnicy Federalnego Urzędu Przesiedleńczego, sortując każdego dnia kandydatów na Niemców. Trzecia granica przebiega w sumieniach ludzi. Nie zależy ona od jakiegokolwiek biurokracji. Zależy od doświadczenia życiowego, wspomnień, wiedzy i wyobraźni; zmienia się w zależności od nastroju. Można raz czuć się bardziej Polakiem, innym razem Niemcem, tak jak można kochać kilku mężczyzn, kilka kobiet jednocześnie i nie musi to być od razu brudne, nieuczciwe uczucie. Granica sumienia jest nie do zaakceptowania przez biurokratów i generałów. Pierwsi nie znoszą zjawisk zmienionych i niewymiernych. Drudzy potrzebują dla swoich celów przede wszystkim posłusznego rekruta.

Trudno jest w krótkim artykule omówić wszystkie przypadki, jakich dostarcza życie. Zastanawiający jest natomiast fakt, że — mówiąc obrazowo — dzieci uczestników antyniemieckich powstań śląskich zabiegają teraz często o niemieckie obywatelstwo. No cóż, taki jest przywilej ludności granicznej, że może wybierać pomiędzy dwoma państwami. Niestety, w życiu nie dostaje się niczego za darmo, więc oznacza to także zaplątanie się w tryby interesów politycznych i ekonomicznych. Na domiar złego w tym miejscu przebiega linia podziału współczesnego świata, i jeżeli z tej perspektywy spojrzeć na problem, to należy się cieszyć, iż jest lepiej niż w Libanie, Angoli czy Salwadorze.

#### Sytuacja materialna przesiedleńca

Już we Friedlandzie, po zarejestrowaniu się, można otrzymać kilkusetmarkową zapomogę. Przepisy przewidują także zwrot kosztów przyjazdu oraz odszkodowania za pozostawione na Wschodzie mienie. Kiedyś zdarzało się, że rodzina po podsumo-

waniu wpływów zabierała się do budowy domu. Dzisiaj wysokość odszkodowania nie powoduje zawrotu głowy\*.

Najważniejszą pozycją w budżecie przesiedleńca są zasiłki dla bezrobotnych. Warunkiem otrzymania zasiłku jest wykonywanie w Polsce takiego rodzaju pracy, która w Niemczech podlega obowiązkowemu ubezpieczeniu przeciw bezrobociu. W praktyce oznacza to wyłączenie z tego przywileju osób, które w kraju pochodzenia parały się działalnością gospodarczą na własny rachunek, na przykład taksówkarze, właściciele warsztatów rzemieślniczych lub osoby nigdzie nie zatrudnione. Zasiłek (*Arbeitslosengeld*) wypłacany jest przez 12 miesięcy kalendarzowych w wysokości 68 % zarobków netto, jakie uzyskuje się przeciętnie na analogicznym stanowisku w Niemczech. Jednocześnie Urząd Zatrudnienia zobowiązany jest do przygotowania przesiedleńca do pracy w RFN. Służą temu celowi różnego rodzaju kursy językowe i zawodowe. Młodym przesiedleńcom, którzy zdążyli wcześniej uzyskać świadectwo maturalne lub przerwali w Polsce studia, z reguły proponuje się naukę na wyższych uczelniach RFN. W dalszym ciągu wypłacane są zasiłki (*Arbeitslosenhilfe*) zależne od sytuacji materialnej rodziny. Jeżeli wysokość pomocy ustali się poniżej poziomu socjalnego, do akcji wkracza Urząd Pomocy Społecznej. Obecnie zapomoga z tego źródła dla trzyosobowej rodziny wynosi około 1.000 DM miesięcznie, plus pokrycie kosztów wynajęcia trzypokojowego mieszkania, plus jednorazowe zasiłki na odzież. Trzeba przyznać, że przesiedleńcy bardzo rzadko muszą korzystać z tej ostatniej formy pomocy.

Sprawę emerytur reguluje porozumienie zawarte pomiędzy rządami RFN i PRL, na podstawie którego praca w Polsce zaliczana jest do obliczania wysokości emerytury w Niemczech. Żeby nie zanudzać czytelnika dalszymi szczegółami, należy podsumować temat stwierdzeniem: oficjalnie przesiedleńcy traktowani

\* Odszkodowanie za pozostawione w Polsce mienie nie przekracza kilku tysięcy marek. Jednak jest to tylko cząstka całego rachunku, na który składają się między innymi:

— zasiłek dla bezrobotnych (*Arbeitslosengeld*) wypłacany przez 12 miesięcy kalendarzowych. Jego wysokość waha się w granicach 800-2.500 DM w zależności od tego, jaką pracę wykonywał przesiedleńcy w Polsce,

— rodzaj stypendium (*Unterhaltsgeld*) wypłacany w wysokości około 850 DM w trakcie ośmiu miesięcy kursu językowego,

— koszty dojazdu do szkoły, wynoszące przeciętnie od 30 do 300 DM miesięcznie,

— opłata za kurs, pomoce szkolne i egzaminy wynosi od 6 do 8 tys. DM,

— regułą jest kierowanie przesiedleńca na dalsze kursy dokształcające lub umożliwiające zdobycie nowego zawodu. Wtedy stypendium wynosi kwotę zbliżoną do zasiłku dla bezrobotnych, a koszty kursu są znacznie wyższe niż w szkołach językowych.

— dopłaty do mieszkania, obniżka podatku jeżeli przesiedleńcy zacznie pracować, koszty korepetycji dla dzieci jeszcze nie zamykają listy wydatków rządowych na adaptację zawodową i społeczną przesiedleńca.

jest tak jak gdyby całe swoje życie spędził w Niemczech, a nawet w niektórych przypadkach jego sytuacja jest korzystniejsza od tej, w jakiej znajduje się rodowity Niemiec, kiedy straci pracę.

Przesiedleńca został zaliczony do grupy osób, którym przysługuje prawo do mieszkania sfinansowanego ze środków publicznych. Nie zawsze są to mieszkania najtańsze, ale gwarantują niezły standard i stabilność czynszów. Jednak pierwszym stałym miejscem pobytu kandydata na Niemca jest pokój w domu przejściowym, jakie posiada niemal każde miasto i gmina. Dom, nazywany przez zainteresowanych lagrem, z reguły jest zwyczajnym budynkiem wielorodzinnym. W kilkupokojowych mieszkaniach mieszka po kilku rodzin. Łączą ich wspólne kuchnie i łazienki. Osoby samotne kwaterowane są w kilkuosobowych pokojach. Umeblowanie stanowią zużyte sprzęty. Problemem jest utrzymanie czystości i porządku we wspólnie użytkowanych pomieszczeniach. Posiadane pieniądze, niskie ceny alkoholu i duża porcja stresów na ogół sprzyjają pijaństwu. Odnosi się to przede wszystkim do ludzi, których współmałżonkowie i dzieci zostały w starym kraju. Zdarzają się próby samobójstw. Maksymalny czas pobytu w lagrze ograniczony jest do jednego roku. Niektórzy przenoszą się do samodzielnych mieszkań dużo wcześniej, inni, pomimo administracyjnych ponagleń, starają się mieszkać tam jak najdłużej.

Odnotować należy, że już w kilka tygodni po zameldowaniu się w miejscu stałego pobytu przesiedleńca otrzymuje niemiecki dowód osobisty i paszport. Przypuszczam, że jest to najkrótszy termin uzyskania tego rodzaju dokumentów zachodniego kraju przez obywatela państwa komunistycznego.

### *Trudności integracji*

Na pierwszej stronie dowodu osobistego napisano tłustym drukiem: „Posiadacz dowodu jest Niemcem”. Dla urzędu sprawa jest jasna, gdyż urzędnicy realizują prawo. Natomiast ludność RFN, szczególnie młodsza generacja, skłonna jest wiązać narodowość i obywatelstwo niemieckie z granicami Niemiec Zachodnich. Dlatego przesiedleńca, pomimo że formalnie może zostać nawet prezydentem Republiki, wśród sąsiadów, w miejscu pracy nadal uważany jest za Polaka, Rumuna, czy Rosjanina. Podobnie zresztą traktowani bywają przybysze z Niemiec Wschodnich, chociaż ze względów językowych mniej odróżniają się od otoczenia.

Najlepsze niemieckie szkoły nauki języków obcych organizują kursy niemieckiego dla przesiedleńców. Nauka trwa osiem miesięcy w systemie całodniowym. Całkowite koszty kursu łącznie ze stypendium, które wynosi około 800 DM miesięcznie, pokrywa Urząd Zatrudnienia. Zajęcia odbywają się w grupach kilkunastoosobowych. Dla wielu jest to w ogóle pierwszy poważniejszy kontakt z językiem niemieckim. W Bonn twierdzi się, że słabe

wyniki tych kursów są skutkiem intensywnej akcji polonizowania; natomiast w Warszawie, gdzie język ojczysty uważany jest tradycyjnie za wskaźnik narodowości, powyższy fakt daje podstawy do zaprzeczania istnienia mniejszości niemieckiej we współczesnej Polsce. W każdym razie przeciętny Jan-Hans pomimo wielomiesięcznej nauki zna język zaledwie na tyle, żeby robić zakupy, ale zbyt słabo, żeby zarabiać pieniądze i poznawać reguły gry w nowej ojczyźnie. Zdarza się, że przedsiębiorczy Jan-Hans zdołał zrealizować przywieziony ze starego kraju program konsumpcji, a więc ma już umeblowane mieszkanie, samochód, telewizor i może imponować kolegom z Polski. Sprzyja temu rozwinięty system kredytowy oraz... pomoc charytatywna. Dopiero teraz rozpoczyna się tak naprawdę przesiadka z ciuchci społeczeństwa współpracy, gdzie „ręka rękę myje”, do odrzutowca społeczeństwa konkurencyjnego, gdzie wygrywa najlepszy, a kryteria wyścigu wymyśla nie „najsilniejszy we wsi”, tylko samo życie. Trzeba się nauczyć oszczędzać wodę i ogrzewanie, wybierać lekarza dla siebie i swoich dzieci, zdecydować o ubezpieczeniach, wybrać bank dla swoich oszczędności... Męka wyboru spośród wielkiej oferty przy jednoczesnej nieznajomości metody, pierwsze wpadki, trudności w znalezieniu pracy stanowią początek drugiej fazy integracji, której towarzyszy rozczarowanie. Pęka bańka mydlana wyidealizowanego Zachodu. Jan-Hans miewa czasami ochotę rzucić to wszystko w diabły i wrócić w strony rodzinne. Teraz Polska podlega idealizacji i będzie to trwało do czasu pierwszych po ucieczce krajowych odwiedzin, kiedy stwierdzi, że już tam nie potrafiłby żyć.

W okresie pierwszym, zaraz po przyjeździe, na ogół unika się kontaktów z dawnymi znajomymi. Natomiast w fazie rozczarowania rosną gwałtownie rachunki za rozmowy telefoniczne z Polską, wysyła się drogie paczki, pomimo wysokich kosztów przyjmuje się gości z kraju, zaprasza do domu poznanych na ulicy polskich turystów, kupuje się krajową prasę, która jest dostępną w każdym większym mieście Niemiec.

We współczesnym świecie obserwuje się proces spychania problemów narodowościowych w kierunku folklorystycznej ciekawostki. Niestety, nie jest to takie proste. Człowiek żyje tylko raz i wszelkie próby wymazania z pamięci doświadczeń przeszłości kończą się zwyczajnym kalectwem, które tak jak brak nóg czy ślepotą skazują człowieka na margines. Nic tutaj nie pomoże kupno nowego mercedesa, najdroższego telewizora i skórzanej kanapy. Taki styl konsumpcji przeważa w trzeciej fazie integracji, kiedy ma się już pracę, stawia pierwsze kroki w kierunku samodzielności ekonomicznej i następuje powolne przyzwyczajenie do nowego otoczenia. Z moich obserwacji wynika, że osoby, które nie wstydzą się swojej polsko-śląskiej przeszłości i starają się w niej znaleźć powody do dumy, znacznie wyżej lądują w nowym społeczeństwie niż ci, którzy chcą ją ukryć i za wszelką cenę starają się zostać „prawdziwymi” Niemcami. Pierwsi znajdują siły do walki o byt i poczucie własnej wartości, co jest podstawowym warunkiem istnienia w społeczeństwie zachodnim.

Drudzy hodują w sobie kompleksy niższości i narażają się na śmieszność.

Inne będą już losy dzieci przesiedleńców, ale i te będą różne, zależnie od tego czy chodzi o osoby urodzone jeszcze w Polsce, czy też już w RFN.

Danek TURCZYŃSKI

## Kronika niemiecka

Na zaproszenie *Fundacji Rupperta* przebywała w Karlsruhe 20-osobowa grupa polskich dziennikarzy, publicystów i działaczy katolickich ze *ZNAK-u*, *WIĘZI* i *KIK-u*. Polacy zamieszkali u rodzin niemieckich i przez trzy tygodnie uczęszczali na intensywny kurs nauki języka niemieckiego oraz odbyli szereg spotkań z dostojnikami Kościoła katolickiego, politykami i przemysłowcami. Adwokat Ruppert z Karlsruhe, założyciel *Fundacji*, postawił sobie za cel organizowanie kontaktów niemiecko-polskich o charakterze prywatnym. ■ Rozgłoszonia *Südwestfunk* w Baden-Baden nadała godzinną dyskusję z okazji 20-lecia wymiany listów biskupów polskich i niemieckich. W dyskusji uczestniczyli: dr Rudolf Hammerschmidt, rzecznik prasowy *Konferencji Biskupów Niemiec*, Reinhold Lehmann, działacz katolicki, b. długoletni sekretarz generalny sekcji niemieckiej *PAX Christi*, oraz prof. Władysław Bartoszewski, wykładający obecnie na *Katolickim Uniwersytecie* w Eichstätt (Bawaria). ■ W Bonn zaprezentowano nowe wydawnictwo *Biura Prasowego Konferencji Biskupów Niemiec* — broszurę dawnego formatu pt. *Ver-söhnung aus der Kraft des Glaubens (Pojednanie z mocy wiary)*. Stanowi ona cenną dokumentację dwudziestolecia stosunku wzajemnego Kościołów katolickich w Polsce i RFN od chwili wymiany listów *Episkopatów* w listopadzie i grudniu 1965 roku. ■ *RABANUS-MAURUS Akademię* zorganizowała w katedrze frankfurckiej (*Frankfurter Dom*) uroczysty wieczór z udziałem Reinholda Lehmana i prof. Władysława Bartoszewskiego, poświęcony stosunkom polsko-niemieckim w nawiązaniu do wyżej wymienionej rocznicy. ■ Liczna publiczność polska i niemiecka przybyła na wieczór autorski Wiktora Woroszyńskiego w *Ośrodku Kultury Wschodnioeuropejskiej IGNIS* w Kolonii. Pisarz czytał wiersze i opowiadania w obu językach (po niemiecku — w przekładach Karla Dedeciusa, Helgi Hirsch i Marii Kureckiej), następnie odpowiadał na pytania i podpisywał egzemplarze swoich książek, sprzedawane z powodzeniem na miejscu, w stoisku kolońskiej księgarni *WAWEL*. ■ *Nie cieszymy się tu życzliwością* — w ten sposób *Gazeta Pomorska* zatytułowała wypowiedź Jerzego Tepli, stałego korespondenta *Polskiego Radia i TV* w Bonn („Polskiego dziennikarza interesuje to, co jest drugim nurtem życia, ale niesłychanie istotnym. Mam tu na myśli np. różne zjazdy przesiedleńców czy złoty byłych SS-manów, wiecowania neofaszystów. (...) Wiadomo, że *Bundestag* jest jednym wielkim teatrem politycznym, a poza nim istnieją jeszcze bardzo wpływowe koła i ośrodki polityczne”. Jeśli są, to dlaczego SS-mani i neofaszyści dotąd nie zdobyli ani jednego mandatu do owego „teatralnego *Bundestagu*“?). ■ Na uwagę zasługują przemówienie prof. Hansa Maiera, ministra kultury w rządzie bawarskim, przewodniczącego *Komitetu Głównego Katolików Niemieckich* — wygłoszone

na forum tej federacji. Prof. Maier podkreślił m.in. stanowisko katolików niemieckich w kwestii praw ludzkich, łamanych zarówno w Chile, w Południowej Afryce, Nikaragui jak i Europie Środkowej i Wschodniej. List biskupów polskich z listopada 1965 prof. Maier nazwał wydarzeniem o historycznym znaczeniu („list biskupów polskich zapoczątkował współpracę między katolikami obu krajów”); w latach 1971-1973 doszło do ożywionych kontaktów pomiędzy grupą *ZNAK* a *Komitetem Głównym Katolików Niemieckich*; powstała we Fryburgu Br. *Fundacja im. Maksymiliana Kolbe*, organizacja charytatywna, wspierająca materialnie b. kacetowców i ich rodziny w Polsce. Prof. Maier przypomniał ponadto podróże kardynałów Doepfnera i Höffnera do Polski i wizytę delegacji *Episkopatu Polski* w RFN z prymasem Wyszyńskim i kardynałem Wojtyłą na czele; laikat zachodniomiecki udzielał moralnego poparcia *Solidarności* w Polsce, a po ogłoszeniu stanu wojennego wezwał społeczeństwo do wysiłki żywności, lekarstw i odzieży; była to największa w dziejach powojennych akcja pomocy na kontynencie europejskim; „nie możemy ustawać w wysiłkach, zmierzających do pomocy i zapewnienia Polsce godziwego miejsca w Europie wolnej i zjednoczonej”. ■ Kanclerz Kohl w wywiadzie udzielonym *Kölnner Stadt-Anzeiger* opowiedział się za dobrymi stosunkami z Polską i zapewnił ponownie o obowiązywaniu układu z 7 grudnia 1970 roku. ■ W ambasadzie NRD w Warszawie udekorowano przewodniczącego *PRON-u* Jana Dobraczyńskiego orderem *Złotej gwiazdy przyjaźni między narodami*, przyznany mu przez *Radę Państwa NRD*. ■ Zdecydowana większość (73 %) społeczeństwa RFN, w tym także byli mieszkańcy ziem za Odrą i Nysą, opowiada się za uznaniem obecnej zachodniej granicy Polski. Wśród przesiedleńców, którzy stanowili jedną trzecią ankietyowanych, za uznaniem terytorialnego *status quo* opowiedziało się 70 % respondentów. ■ W monachijskim miesięczniku *Politische Studien* (nr 284/1985) piszą m.in.: Jan Józef Lipski — *Die antideutsche Karte des polnischen Regimes (Antyniemiecka karta polskiego reżymu)*; Tomasz Mianowicz — *Menschenrechtsbewegungen in Polen (Ruchy na rzecz obrony praw człowieka w Polsce)*; Marek Ciesielczyk — *Zensur in der Volksrepublik Polen (Cenzura w PRL)*. ■ *Frankfurter Allgemeine Zeitung* zamieściła w ilustrowanym dodatku opowiadanie Sławomira Mrożka pt. *Der Wächter der chinesischen Vase (Strażnik chińskiej wazy)* w tłumaczeniu Klausza Staemmlera. ■ Prof. Piotr Wandycz w referacie wygłoszonym na *Kongresie Kultury Polskiej na Obczyźnie* w Londynie: „Dwieście lat to nie jest długi okres w historii i obecnie widzimy poważne zmiany ze strony zachodniej. Niemcy, które są i będą naszym sąsiadem przechodzą pewną ewolucję, której podlega zresztą cała zachodnia Europa. Z faktu tego należy wyciągnąć pewne wnioski, poświęcając uwagę tematyce niemieckiej. Trzeba przyznać, że sporo się robi w tym kierunku, że wspomnę tylko jeden ośrodek emigracyjny — grupę paryskiej *Kultury* i publikacje od książki Juliusza Mieroszewskiego poczynając, a na ostatnio wydanym specjalnym numerze niemieckim kończąc”. ■ W zachodniobierlińskim dzienniku *Die Tageszeitung* ukazał się wywiad z członkiem redakcji *Tygodnika Powszechnego*, Mieczysławem Pszonem, o sytuacji społeczno politycznej w PRL po wyborach do Sejmu. Wywiad nosi tytuł: *Zmęczone, sfrustrowane społeczeństwo* („Nie wiem jednak, dlaczego partnerem Kościoła ewangelickiego nie jest Kościół katolicki w Polsce. *Rada Ekumeniczna*, będąca dotąd partnerem rozmów, jest przecież organizacją o niewielkim znaczeniu. Już choćby ze względów liczebnych organizacje niekatolickie nie odgrywają w Polsce żadnej roli. Kościół ewangelicki w RFN jest znaczącą siłą polityczną i nawiązanie stosunków z Kościołem katolickim w Polsce byłoby niewątpliwie korzystne”). ■ Aresztowany w marcu ub. roku pracownik *Urzędu d/s Przesiedleńców* w Bremie nie nazywa się bynajmniej Heinz Peter Arnold lecz po prostu Jerzy Kaczmarek i jest oficerem PRL-owskiego wywiadu. Tak brzmi lakoniczny komunikat *Generalnej Prokuratury RFN*. ■ Z „odezwy” *Stronnic-*



twą Chrześcijańskiej Demokracji (Koło w Hamburgu), wydanej w 3 tys. egzemplarzy i podpisanej przez G. Klag (przewodniczący) i M. Rutkowski (sekretarz): „Polska, jak nam wszystkim wiadomo, jest najbogatszym krajem w Europie i z dobrze rozwiniętym przemysłem, a doprowadzenie jej do tak wielkiego stanu zubożenia i zacofania świadczy o tym, jak wielki jest wyzysk narodu polskiego przez Rosję Sowiecką”. Książę Adam Czartoryski w liście do gen. Karola Kniaziewicza i Ludwika Platara z 15. 5. 1832: „Niech pamiętają, że śmieszność wszelką sympatię niweczy, że nieszczęśliwy kiedy śmieszny się robi przestaje interesować. (...) Strzeżmy się śmieszności”. Piszący *Kronikę niemiecką* dedykuje te słowa wyżej wymienionej organizacji polskiej w Hamburgu. ■ Prof. Stefania Jabłońska (*Zakład Dermatologii Uniwersytetu Warszawskiego*), prof. Gérard Orth (*Institut Pasteur, Paryż*) i prof. Harald zur Hausen (*Niemieckie Centrum Badań nad Rakiem w Heidelbergu*) otrzymali wspólnie Nagrodę im. Roberta Kocha (80 tys. marek). Wymienieni naukowcy zajmują się badaniami nad tzw. wirusem Papillom, który wywołuje schorzenia rakowe. ■ Nakładem krajowego PIW-u ukazała się książeczka Heinricha Bölla „Kim wreszcie ten chłopak ma zostać? Kiedy wybuchła wojna? Kiedy się wojna skończyła?”. Przekładu dokonały Maria Gero-Różniewicz i nieżyjąca już Teresa Jętkiewicz, która spolszczyła większość utworów pisarza. ■ W Ośrodku Kultury i Informacji NRD w Warszawie czynna była wystawa malarstwa i grafiki, przygotowana przez *Galerie Junge Kunst* we Frankfurcie nad Odrą. ■ W 40-lecie historycznych procesów zbrodniarzy hitlerowskich odbyła się w Norymberdze międzynarodowa konferencja (oprowadzana przez komunistów ze Wschodu i Zachodu!). Z PRL zjechali: Adam Łopatka, kierownik Urzędu d/s Wyznań; dyr. Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich i Instytutu Pamięci Narodowej, prof. Kazimierz Kąkol; Józef Musioł, wice-minister sprawiedliwości i propagandysta-historyk — prof. Franciszek Ryszka. PRL-owska delegacja stwierdziła, że domaganie się uwolnienia Rudolfa Hessa jest „urąganiem pamięci milionów ofiar hitlerowskiego bezprawia”. ■ Ernst Breit, przewodniczący DGB — Niemieckiej Federacji Związków Zawodowych, która reprezentuje 17 związków branżowych zrzeszających ok. 8 mln członków, złożył na ręce Tadeusza Olechowskiego, ambasadora PRL, list wyrażający ostry protest przeciwko nowym aresztowaniom niezależnych polskich związkowców. W ogłoszonym w Düsseldorfie liście Breit w imieniu centrali związkowej domagał się stanowczo, aby władze PRL przestrzegały uznanych międzynarodowych praw i wolności związkowych. ■ Zabierając głos w Akademii Ewangelickiej w Mülheim, premier Nadrenii Północnej Westfalii i kandydat na kanclerza z ramienia SPD Johannes Rau stwierdził, iż zdaniem jego partii zachodnia granica Polski jest ostateczna. W seminarium wzięli m.in. udział Ryszard Wojna (KC PZPR) i prof. Witold Benedyktowicz oraz Andrzej Wojtowicz z Polskiej Rady Ekumenicznej. Podczas sympozjum bońskie Towarzystwo KONTINENT rozdało ulotki z różnymi wypowiedziami Ryszarda Wojny. Członek KC PZPR i poseł na Sejm w *Słowie Powszechnym* (14. 4. 1981): „Solidarność już dzisiaj jest ważną częścią struktury społeczeństwa polskiego. Jej reprezentatywność, szczególnie w odniesieniu do klasy robotniczej, pozostaje poza wszelką dyskusją. W związku z tym uważam za oczywiste i naturalne, iż zarówno Solidarność winna być zainteresowana reprezentowaniem jej punktu widzenia w Sejmie, jak i również posłowie powinni być zainteresowani, aby znać punkt widzenia Solidarności i uwzględnić go w proponowanych w Sejmie rozwiązaniach”. Ryszard Wojna na łamach *Żołnierza Polskiego* (4. 8. 1985): „Opozycja chciała dojść do władzy na trupie polskiej gospodarki, poprzez ciągłe osłabianie państwa, władzy, skłócenie społeczeństwa. (...) Zachód żądał jątrzenia, strajków, osłabiania partii i więzów Polski ze Związkiem Radzieckim. I niestety, ludzie stojący na czele Solidarności byli tym żądaniom, popartym odpowiednimi dolarowymi dotacjami oraz obietnicami nowych, jeżeli taką czy inną

akcję antyrządową uda się przeprowadzić, posłuszni. Ba, doszło do tego, że w imię swoich ambicji zaczęli prześcigać się w szkalowaniu swojego państwa, szkodzeniu polskiej racji stanu”. Ewangelicy organizatorzy sympozjum w Mülheim usunęli z sali obrad kolporterów wypowiedzi Ryszarda Wojny...

■ Ciągłe spada tranzyt towarów przez PRL: w kierunku wschód-zachód ok. 98 % przewozów stanowią sowieckie towary przewożone do NRD, natomiast w kierunku zachód-wschód ponad 70 % stanowią towary NRD oraz blisko 20 % towary z RFN. W ciągu ostatnich 10 lat przewozy w kierunku wschód-zachód spadły o ponad 3 mln ton. Przede wszystkim zmniejszyły się przewozy między NRD i CSRS, na skutek niekorzystnych warunków ekonomicznych oferowanych przez PKP. Tabor kolejowy PKP znajduje się w opłakanyim stanie. ■ 65-lecie urodzin Tadeusza Nowakowskiego, znanego pisarza i publicyisty, zostało szeroko odnotowane przez prasę zachodniemiecką. ■ Wspólnota Europejska przeznaczyła z natychmiastowym skutkiem 5,5 mln marek na zaopatrzenie szpitali dziecięcych w Polsce w specjalne żywności i sprzęt medyczny. Przeznaczoną sumą będą dysponować głównie zachodniemieckie organizacje charytatywne. ■ Rząd federalny w Bonn przeznaczył również na rok 1986 kwotę 2 mln marek na zakup książek dla krajów wschodnioeuropejskich, m.in. dla Polski. Pieniądze otrzymała do dyspozycji *Gildia Niemieckich Księgarzy i Wydawców* we Frankfurcie n/Menem, która poczyni odpowiednie zakupy na rynku niemieckim. ■ Na konferencji prasowej w Warszawie przedstawiono dokumentalną publikację pt. *Układ PRL-RFN z grudnia 1970 a proces normalizacji. Aspekty prawne i polityczne*. (175 str., nakład 4 tys. egzemplarzy). Książka ukazała się nakładem PA INTERPRESS. ■ *W Kunstverein und Kommunale Galerie* w Gelsenkirchen czynna jest wystawa prac fotograficznych Dietera Grundmanna pt. *Leben in Polen (Życie w Polsce)*. ■ Dzięki pomocy finansowej *Deutsche Bank* zapewnione jest dalsze funkcjonowanie organizacji pn. *Akcja Pomocy Szpitalom w Polsce* z siedzibą we Friedenheim k/Lahr, która od 1981 roku dostarczała do PRL lekarstw i sprzętu medycznego o łącznej wartości 26 mln marek. W końcu grudnia ub. roku odszedł do Polski transport z kompletnym wyposażeniem 21 pokoi szpitalnych. ■ *Kölnner Stadt-Anzeiger* doniósł, że przeprowadzone przez kolońską policję kryminalną dochodzenia potwierdziły praktyki nielegalnego angażowania polskich turystów do prac zarobkowych na budowach. ■ W Krakowie odbyło się *IV Forum PRL-RFN*, na którym próbowano dokonać oceny bilansu 15-lecia stosunków między obu krajami. Podczas gdy Ryszard Wojna (KC PZPR) atakował „rewizjonistów bońskich” (w czym pomagali mu zachodniemieccy socjaldemokraci!), ze strony niemieckich chadeków padały prawie wyłącznie głosy pojednawcze. I tak Volker Ruehe i Hans Stercken (prominentni politycy CDU) raz jeszcze podkreślili, że „podstawą stosunków RFN i Polski pozostaje układ zawarty 7. 12. 1970 roku”. W końcu mówiono mgliście o współpracy przemysłowej (Berthold Beitz i Marion hr. Dönhoff). Przy tej okazji członkiem delegacji RFN udało się przeformować w komunikacie końcowym ważny *passus*, podkreślający znaczenie „kontaktów kulturalnych, naukowych oraz kontaktów między organizacjami młodzieżowymi RFN i PRL”. Po cichu uczestnicy „poparli idee zwolnienia w 1986 roku *II Forum Młodzieży Polska-RFN*”. ■ Z doniesienia *Frankfurter Allgemeine Zeitung* dowiedzieliśmy się, że Niemcy zabiegali o wmurowanie tablicy pamiątkowej w majątku Krzyżowa (pow. Świdnica), gdzie spotykali się członkowie antyhitlerowskiej grupy oporu (por. *Kultura* nr 11/1985, str. 106-107). Pałac w Krzyżowej (do 1945 roku właścicielami była rodzina von Moltke) znajduje się w stanie kompletnej ruiny. ■ *Chór Uniwersytetu Jagiellońskiego* wystąpił z koncertami w *Auditorium Maximum Uniwersytetu w Botskiego* (przed publicznością niemiecką) i w kościele św. Marii w Dortmundzie chum (przed publicznością niemiecką) i w kościele św. Marii w Dortmundzie podczas polskiej Mszy św. ■ Z listu Kornela Morawieckiego, przewodniczącego *Solidarności Walczącej*, skierowanego do Willy Brandta: „Odrzuca-

jąc zaproszenie Lecha Wałęsy do spotkania z Panem, okazał Pan nieświadomość autentycznych przedstawicieli społeczeństwa polskiego. Nieświadomość, która zburzyć może Pana osiągnięcia jako kanclerza dokonane w latach 70-tych". *Regionalna Komisja Wykonawcza NSZZ Solidarność Regionu Mazowsze* wystosowała również list otwarty do Brandta: „Obecna polityka SPD wywołuje w Polsce nastroje nieufności, bo współpracując z władzami PRL partia ta nie bierze pod uwagę aspiracji polskiego narodu” (fragment). List podpisali: Zbigniew Bujak, Konrad Bieliński, Wiktor Kulerski i Jan Lityński. List otwarty do przewodniczącego socjaldemokratów zachodnoniemieckich wysłał także prof. Edward Lipiński, członek-założyciel KOR-u. Cała fala protestów w RFN i Polsce nie odniosła skutku. Brandt został dwukrotnie przyjęty przez Jaruzelskiego (*Die Zeit*: „Odwaga Mitterranda godna gratulacji...”), widział się z Cyrankiewiczem, kard. Glempem, Czyrkiem i z 64 innymi reprezentantami nomenklatury. Żeby zatuszować złe wrażenie (prasa zachodnoniemiecka odnotowała szczegółowo protesty polskiej opozycji), urządzono Brandtowi w warszawskiej ambasadzie RFN spotkanie z działaczami *Klubu Inteligencji Katolickiej* (Mazowiecki, Stomma, Śliwiński i Święcicki, którzy, niestety, na spotkanie to przyszli).

Andrzej J. CHILECKI

### ZOFIA ROMANOWICZOWA „BAŚKA I BARBARA”

Drugie wydanie offsetowe

Jan Bielatowicz — „*Życie*”, Londyn 1956:

... Najpiękniejszym wydarzeniem roku bieżącego w prozie emigracyjnej jest „*Baśka i Barbara*”. Rzadko się zdarza, aby książka znalazła uznanie tak powszechne. Sprawila to i wieczność tematu (przymierze matki z dzieckiem), i jego aktualność (dziecko polskie na obczyźnie), i — przede wszystkim — piękna proza książki.

Stron 224.

Cena F. 65,00 + porto 10%.

Do nabycia u wydawcy:

„LIBELLA”

12, rue St.-Louis-en-l'Île, 75004 Paris, France

(książki wysyłamy na cały świat)

i w księgarniach polskich na emigracji.

Katalogi bezpłatne wysyłamy na każde żądanie.

## Doroczne Nagrody «Kultury»

za r. 1985

### NAGRODA LITERACKA IM. ZYGMUNTA HERTZA: ZOFIA ROMANOWICZOWA

Zofia Romanowiczowa, z domu Górską, pochodzi z Radomia i była tam aresztowana w roku 1941 jako 17-letnia uczennica. Przez pierwszy rok trzymano ją w więzieniu kieleckim a następnie pińczowskim, po czym przez ponad dwa lata była więźniarką obozu w Ravensbrück, skąd na krótko przed końcem wojny wysłano ją do komanda fabrycznego w Neu-Rohlau koło Karlsbadu. Z obozu niemieckiego kompletnie samotną, już sierotą, wyciągnęła i wywiozła ciężarówką do Włoch p. Rychlewiczowa z Polskiego Czerwonego Krzyża (a nie Melchior Wańkowicz, jak głosi legenda o „starym Budrysie” kryjącym pod burką „dziewczę z uśmiechem dziecka i smutkiem dojrzałości”). Po maturze, uzyskanej we Włoszech, Zofia (jeszcze Górską) znalazła się w Paryżu pod opieką profesorowej Boutière, Polki, żony słynnego prowan-salisty z Sorbony. Miało to zapewne wpływ na bibliografię jej prac figurują m.in. przekłady poezji trubadurów, wydane przez Ossolineum w „Bibliotece Narodowej”. Potem — według własnego jej ujęcia — „małżeństwo, macierzyństwo, same prywatności”. Mieści się w nich wiele, bo i dorobek pisarski i praca wraz z mężem, Kazimierzem Romanowiczem, w Księgarni i Wydawnictwie „Libella” i związanej z nimi Galerie Lambert na Wyspie św. Ludwika w Paryżu. Wreszcie — rozległe lektury.

Życiorys wskazuje jasno dlaczego najwcześniejszymi utworami Romanowiczowej były wiersze obozowe, których część ogłoszono

w Kraju w antologii pod wymownym tytułem „Wciąż stoję w ogniu” (1961). Jeśli dziś klasyfikuje się je jako raczej próby niż osiągnięcia poetyckie, to, parafrazując słowa Micheline Maurel, francuskiej towarzyszkii niedoli Romanowiczowej, powiedzieć można, że tam — w Ravensbrücku, wiersze jej miały „wymowę poezji”. „Uczono się ich na pamięć”, „przenoszono z obozu do obozu”, odrywały się od autorek i krążyły bezimiennie.

Przeżycia więzienne i obozowe tkwiły — a może tkwią do dziś w żywej pamięci pisarki. Dała im wyraz po kilkunastu latach, niemal po upływie pokolenia, gdy mogła się zdobyć na oderwanie ich od własnego życiorysu i przeniesienie na platformę ponadosobistą i ponadnarodową. Wcześniej — w roku 1956 — w „Baśce i Barbarze” — doszedł do głosu i otrzymał kształt artystyczny niepokój matki o przyszłość urodzonej na obczyźnie córki, komplikacje ścierania się różnych tradycji kulturalnych, języków i emigranckich kompleksów. O aktualności książki świadczy świeżeży daty (1985) jej wznowienie i krajowy przedruk w okresie „odwilży”. I właśnie w Kraju Zofia Starowiejska-Morstinowa dostrzegła, iż „Baśka i Barbara” „nie jest oparta ani osnuta na zagadnieniach emigracyjnych. Wyrasta ze spraw ludzkich”.

Wydana w trzy lata później druga powieść Romanowiczowej — „Przeście przez Morze Czerwone” przyjęta była przez krytykę krajową równie entuzjastycznie i, w wydaniu krajowym, uznana przez Helenę Zaworską za „książkę doskonałą”. Po roku 1961 Romanowiczowa znalazła się na liście pisarzy przemilczanych, — przestano ją wydawać. To, że pisała nie gorzej, ale właśnie lepiej nie miało znaczenia.

W latach 1960-1984 Romanowiczowa wydała 8 dalszych książek: „Słońce dziesięciu linii”, „Szklana kula”, „Łagodne oko błękitu”, „Groby Napoleona”, „Sono felice”, „Skrytki”, „Na Wyspie” (powieści) i tom opowiadań „Próby i zamiary”. Wszystkie wyrosły na pożywcze przeżyte wojennych, śledzenia konsekwencji specyficznego „dziedzictwa” obozów i szukania miejsca na świecie — a także z niesłuchanie umiejętnych, realistycznych obserwacji otoczenia, co wspaniale ilustruje najnowsza powieść „Na Wyspie” (1984).

W dwu ostatnich powieściach: „Skrytkach” i „Na Wyspie” trzonem fabuły jest nieuleczalna choroba, warunkująca bieg wydarzeń i decydująca o losach bohaterów. Narkolepsja z „Na Wyspie” wyrosła jednak na tle przeżyć wojennych, a niepełnosprawne, kalekie dziecko ze „Skrytek” ma bezradnie szukających własnego domu rodziców. Mimo pewnych powtórzeń sytuacji (np. zakończenie „Sono felice” i wyznanie „oblubienicy śmierci” w „Słońcu dziesięciu linii” — „Ja byłam szczęśliwa”) kolejne powieści Romanowiczowej mają swe własne racje bytu i odrębną

problematykę. Łączy je natomiast doskonałość prozy, dbałość o kompozycję, swoisty tok narracji — a nawet starania o „co dalej?” i skłonność do tragicznych finałów takich jak: samobójstwo, morderstwo, dramatyczne rozstania i wypadki samochodowe.

m.z.

## NAGRODA PUBLICYSTYCZNA IM. JULIUSZA MIEROSZEWSKIEGO: KRZYSZTOF POMIAN

W roku 1982 ukazała się w Paryżu książka Krzysztofa Pomiana *Pologne: défi à l'impossible?* z podtytułem *De la révolte de Poznan à Solidarité*. Ostatnio *Aneks* wydał ją po polsku pod tytułem *Wymiary polskiego konfliktu 1956-1981*.

Pomian, historyk filozofii, wystąpił w niej jako publicysta wysokiej klasy. W niewielkim tomie zebrał swoje szkice ogłaszane w francuskich miesięcznikach i opracowaniach zbiorowych od roku 1977 do 1981, ukazując szeroki kontekst polityczny, społeczny, gospodarczy i kulturalny procesu, który od rewolty poznańskiej doprowadził do powstania Solidarności. Brak było takiej książki; obok dawno już wydanej, a więc siłą rzeczy częściowo przestarzałej, książki Marka Tarniewskiego (Jakuba Karpińskiego) *Ewolucja czy rewolucja* wypełniła ona lukę uwagi skoncentrowanej na problematyce „polskiego konfliktu”, a nie tylko na jego opisowo-historycznej rekonstrukcji. W długim szeregu pozycji — ramowo jedynie i przykładowo od *Poznańskiego czerwca* Maciejewskiego i Trojanowiczowej poprzez *KOR* Lipskiego do *Solidarności* Holzera czy antologii Grażyny Pomian *Polska Solidarności* — tom Krzysztofa Pomiana stanowi próbę syntetycznego spojrzenia na ćwierćwiecze oporu społecznego i narodowego w PRL, na jego mechanizm, na rządzące nim „prawidłowości” i „cudy” (pierwszy rozdział nosi nazwę *Cud w Polsce?*). Próbę w pełni udaną. Analityczny umysł Pomiana wnika doskonale w elementy składowe obrazu (partia, robotnicy, inteligencja, Kościół, gospodarka upaństwowiona, cenzura, prawo), aby w przejrzysty sposób uprzytomnić i wyjaśnić *Robotnicy i sekretarze*: jest swego rodzaju majstersztykiem inteligentnej analizy. Albo dłuższy *Szkic do portretu Solidarności* z października 1981: zachował do dziś ostrość spojrzenia i aktualność dobrze wyważonych sądów.

Publicystyka Pomiana nie skończyła się na *post-scriptum* do książki zatytułowanej *Po 13 grudnia*. Czytelnicy *Kultury*, które jest stałym współpracownikiem, pamiętają z pewnością jego liczne artykuły o sytuacji w Polsce po zamachu Jaruzelskiego, że wymie-

nimy tu tylko trzy szczególnie ważne: o „Solidarności poza prawem”, o „Solidarności — zapluty karle reakcji” i o „zbrodniarzach w mundurach i w cywilu”.

W przedmowie autorskiej do włoskiego wydania swojej książki Pomian pisze: „Ta książka historyka rzeczy starych, dorywczo zajętego badaniem najświeższej współczesności, jest także książką człowieka walczącego... Jest wyrazem opowiedzenia się i zaangażowania”. W publicystyce Pomiana, prócz wszystkich jej walorów intelektualnych i pisarskich, czynnikiem zaangażowania i walki wzmacnia dodatkowo siłę przekonywania, lecz nigdy kosztem sumienności i ścisłości „historyka rzeczy starych”, który dorywczo przechodzi od swego naturalnego warsztatu naukowego do „wymierzania” i prześwietlania ojczyściej terażniejszości.

#### NAGRODA PRZYJAŹNI I WSPÓŁPRACY: JERZY BONIECKI

Wiele już lat upłynęło od dnia, w którym zjawił się w naszym domu gość z Australii: Jerzy Boniecki. Kontakt był od pierwszej chwili łatwy, znaleźliśmy niebawem w Bonieckim nowego i oddanego przyjaciela. Odzywał się do nas często listownie, często też — przy okazji swych zawodowych podróży do Europy — odwiedzał naszą siedzibę w Maisons-Laffitte. Ułatwiał nam lepszą na odległość orientację w życiu Polaków w Australii. Dzięki swym rozległym i wszechstronnym zainteresowaniom zaczął pisywać do *Kultury* artykuły na rozmaite tematy. Wywoływały nie raz żywe echa wśród czytelników, budziły spory i dyskusje. Mogliśmy zawsze liczyć na przyjaźń i współpracę Jerzego Bonieckiego.

Boniecki to również pomysłowość, przedsiębiorczość i dar organizacyjny. Z jego inicjatywy i jego staraniem narodziła się w Australii impreza, która zacieśniła jeszcze więzy naszej przyjaźni i współpracy. Mamy oczywiście na myśli *Polcul Foundation*, Niezależną Fundację Popierania Kultury Polskiej. Co roku w Australii przyznaje się wiele nagród pieniężnych dla niezależnych pisarzy, artystów, uczonych, wydawców, pism, teatrów i instytucji oświatowych w Kraju. Czym są one dla nagrodzonych — w coraz trudniejszych warunkach działalności niezależnej w PRL — nie trzeba tłumaczyć. *Polcul* stał się niezmiernie cennym ogniwem w łańcuchu pomocy emigracji dla krajowego ruchu oporu kulturalnego. Wdzięczność i uznanie należą się naszemu przyjacielowi z Australii, który był i jest *spiritus movens* *Polculu*: Jerzemu Bonieckiemu.

## Kronika kulturalna

### „Poeta o hermetycznej duszy”

ALEKSISOWI RANNITOWI (1914-1985) IN MEMORIAM

„Mój uroczy Aleksis opuścił nas niespodziewanie, na zapas serca u siebie w domu. Nie było żadnego ostrzeżenia, na nic nie cierpiał — odszedł jak anioł. Poczawszy się słabo położył się, zamknął swe dobre oczy i Bóg zabrał go nam do Swego Królestwa”. Tymi słowami — w oryginale po angielsku — pani Tatiana Rannit zawiadomiła mnie o śmierci, 5 stycznia 1985, mego dobrego przyjaciela Aleksisa Rannita.

Rannit był estońskim poetą, który większość swego życia spędził na emigracji. Urodzony w 1914 w Estonii (naówczas prowincji rosyjskiej, wcielonej do imperium za Piotra I w 1721 roku), dorastał w Rosji. Gdy był niemowlęciem, rodzice jego osiedlili się w Petersburgu, gdzie ojciec jego prowadził przedsiębiorstwo handlowe. Miasto, które zawsze nazywał Petersburgiem — nie Piotrogradem czy Leningradem — zapadło mu w pamięć na zawsze dzięki swej francusko-włoskiej architekturze, zorzy polarnej zimą i białym nocom w lecie. Ostatnie lata jego pobytu tam stały pod znakiem głodu. Estonia musiała bronić swej świeżo zdobytej niepodległości w wojnie z Rosją. Jego ojciec przekradł się do armii estońskiej, tak że dopiero po traktacie pokojowym w 1920 rodzina mogła połączyć się na nowo w Estonii.

Mały Aleksis, chory i wycieńczony, doszedł do sił dopiero po rocznym pobycie w szpitalu dziecięcym w Narwie, najbardziej na wschód położonym mieście Estonii. Z okna swego pokoju mógł widzieć burzliwą rzekę Narwę, dzielącą miasto na dwa przeciwstawne światy. Na zachodnim brzegu leżało właściwe miasto, ze swym zamkiem, ratuszem, klasycystycznymi budynkami urzędowymi i kamieniczkami w stylu barokowym; po przeciwnej stronie rozciągał się Iwanogorod — przyczajona, groźna masywna forteca, zbudowana przez cara Iwana III jako punkt wypadowy ku Zachodowi. Rannit był wówczas za mały, by zrozumieć tragiczną

symbolikę tego kontrastu, choć matka zwróciła mu na nią uwagę, mówiąc: „Spójrz na wschód i spójrz na zachód — i zawsze pamiętaj, że jesteśmy Estończykami i należymy do Zachodu”. Aleksis znalazł się ponownie w Narwie dopiero dziesięć lat później, gdy matka jego już dawno nie żyła i wtedy dopiero w pełni pojął jej słowa. Nigdy ich nie zapomniał.

Nie przeszkodziło mu to w nawiązaniu serdecznej przyjaźni ze znajdującym się na emigracji w Estonii rosyjskim poetą, szalenie niegdyś popularnym „ego-futurystą” Igorem Siewierianinem (1887-1941). Skądinąd ci nierozłączni „satelici” (określenie Rannita) różnili się całkowicie usposobieniem. Siewierianinowi, poecie rzeczywiście z bożej łaski, poezja spływała na papier jakby sama z siebie, podczas gdy Rannit opracowywał każdy wiersz niezwykle pedantycznie, co Siewierianin często kwitował uwagą, że nie ma potrzeby się tak wysilać. Różnicę między nimi może zilustrować następująca — autentyczna — anegdota. Aleksander Błok (1880-1921) przysłał był kiedyś Siewierianinowi tom swych poezji z dedykacją „Igorowi Siewierianinowi — poecie o otwartej duszy”. Przy jakiejś okazji Siewierianin podarował tę książkę swemu estońskiemu przyjacielowi, dopisując na niej: „Aleksisowi Rannitowi — poecie o hermetycznej duszy”. Co miał na myśli przez to określenie, Siewierianin sprecyzował dokładniej w pięknym wierszu pt. „Do Aleksisa Rannita”. Stwierdza w nim, że istnieją odczucia tak subtelne i osobiste, że ich nosiciel wzdryga się przed ich zwerbalizowaniem, przez co formujące się w duszy wiersze pozostają bez szaty słownej — i że jest to najgorszą rzeczą, jaka może przydarzyć się poecie. Można przypuszczać, że niebawem troskliwość, z jaką Rannit odnosił się do formalnej strony swej poezji, zdusiła w załączku niejeden utwór.

Rannit wyemigrował na Zachód w 1943 roku. Wczesnym przedwiośniem owego roku przeprowił się wraz z ośmioma innymi osobami motorówką do Finlandii; była to kosztowna i niebezpieczna ekspedycja, bo w tym czasie Niemcy panowali jeszcze na Bałtyku. Jedynym bagażem w tym przekraczaniu Rubikonu (por. „W czas ostatnich sianokosów”) był plecak. Po kilku dniach odpoczynku u krewnego w Helsinkach Rannitowi udało się przedostać przez północno-zachodnią granicę fińską do Szwecji, gdzie miał pozostać dwa lata.

Na wieść o tym, że jego dawny nauczyciel języka francuskiego został ministrem oświaty w rządzie de Gaulle'a Rannit napisał do niego i otrzymał natychmiast propozycję interesującej pracy: zlecono mu organizowanie wystaw na temat sztuki francuskiej na terenie okupowanych Niemiec. Pozwoliło mu to m.in. ukończyć rozpoczęte wcześniej studia\* historii sztuki — jego praca dyplomowa traktowała o wpływie Cézanne'a na malarstwo ro-

\* Rannit studiował na następujących uniwersytetach: w Dorpacie (mgr. phil. 1939), w Wilnie (mgr. phil. 1942), we Fryburgu bażeńskim (Dr. phil. 1947) i na Columbia University (M.A. i M.Sc., library science, 1956). Był doktorem h.c. University of Virginia i uniwersytetów w Sztokholmie i w Seulu.

syjskie — oraz poznać osobiście wielu luminarzy nowoczesnego malarstwa: Picassa, Matisse'a, Braque'a i innych. Do roku 1953, w którym wyemigrował do Stanów Zjednoczonych, Rannit pracował jako bibliotekarz działów sztuki w bibliotekach w Niemczech, Austrii, Włoszech i Francji. W tym też charakterze pracował siedem lat w nowojorskiej Bibliotece Publicznej. Od 1960 roku aż do przejścia na emeryturę wykładał historię sztuki i literatury na Yale University.

Ta podwójna sfera zainteresowań pozwala lepiej zrozumieć źródło jego całozyciowego hobby: studium rysunków i obrazów, których autorami byli poeci i pisarze. Sam Rannit uprawiał kaligrafie, a motywy malarskie grają ważną rolę w jego poezji. Ważna w niej jest też strona dźwiękowa — w tej dziedzinie mistrzem Rannita był Paul Valéry. Wspomnieć tu należy, że język estoński — niezmiernie bogaty w samogłoski — świetnie nadaje się na materiał zorientowanej na muzykalność poezji. Rannit jako poeta piszący po estońsku — języku małej zbiorowości — czuł się „całkowicie szczęśliwy”: tak w każdym razie odpowiedział na pytanie w tej materii Jules Romains'a, gdy ten odwiedził Estonię w 1935 roku z racji swej funkcji prezesa Międzynarodowego PEN-Clubu. (Nota bene Rannit był aż do śmierci aktywnym członkiem tej organizacji). Język estoński był dlań przez całe życie najulubieńszym środkiem wyrazu, mimo że ograniczało to niezmiernie liczbę jego czytelników. Niemniej pisywał też niekiedy po angielsku: jego wiersz „Wróciła” uzyskał wiosną 1980 roku nagrodę im. Henry Lohman'a za „najlepszy wiersz amerykański 1979 roku”.

W jednym ze swych listów Rannit nazwał mnie Janem Chrzcicielem estońskiej poezji we Flandrii. W zestawieniu z niewielką ilością przekładów i artykułów niderlandzkich, jakie na ten temat opublikowałam, to pochlebne określenie jest niewątpliwą przesadą. Pragnęłabym, aby to krótkie wspomnienie w języku polskim przyczyniło się do zwiększenia znajomości dzieła tego wrażliwego i subtelnego poety. Być nazywaną „przyjacielem” przez człowieka takiego jak Rannit było zaszczytem. Teraz, gdy odszedł, nie mogę uczynić nic więcej jak tylko przytoczyć z wdzięcznością i przekonaniem słowa wdowy po nim: „Cenną jest dla mnie świadomość, na jak wiele istnień ludzkich Aleksis wpłynął, jak wielu mogło wzbogacić się jego ogromną wiedzą, życzliwością i całkowitym przejęciem się sprawami innych, darami jakie rozdzielał hojnie i z przekonaniem, tak że każdy odnosił wrażenie, iż to właśnie on czy ona jest tym wybrańcem, który dostąpił przywileju cieszenia się jego dobrocią, delikatnością i szlachetnością”.

Lenie LAUWERS  
(Belgia)

(Przełożył z flamandzkiego M. BRONSKI)

Aleksis RANNIT

### W CZAS OSTATNICH SIANOKOSÓW

Nikną w dali znane brzegi  
jawą stał się straszny sen. —  
Naszukawszy się daremnie  
w Rubikonu wkraczam bród.

W czas ostatnich sianokosów  
szarozłoty chcę mieć zmierzch.  
Z czcią i trwogą niosę w dłoni  
pożegnanie — ja, wasz brat —

z tobą, śnie, co w las zapadasz,  
z tobą, pyle polnych dróg,  
z wami, trawy wiatrem chwiane,  
którym los zakwitnąć dał,

i — anioły, biesy, bestie —  
z wami, których kocham tak.  
Lecz już miękki szmer łopaty  
dno wygarnia spod mych stóp.

Spragniony-m wiecznego życia,  
jakież na śmierć przystać mam?  
Niebo niech się ziemią stanie,  
a ty, ziemio, niebem bądź!

*Przełożył z rosyjskiego przekładu I. Siewie-  
rianina M. BROŃSKI)*

### WRÓCIŁA

Wróciła, ze swą skalnie gładką  
twarzą otuloną w tę  
słynną mgiełkę  
mistrza. Wyrósłszy z siebie  
już się nie zmieniła,  
wytrwale  
unikając klejnotów.

Przez prawie dwa dni  
obserwowałem ją  
na górnym ganku  
muzeum. Milcząca i smukła  
trwała jakby w  
ziemskiej adoracji, zatopiwszy  
boskie, bezowocne dłonie  
jedną w drugiej. Tak, widziałem ją  
za pośrednictwem moich  
obcych dłoni:  
stała tam  
pod swym portretem  
nieruchomo,  
nie pojmując  
czemu  
się uśmiecha.

Kiedy to było  
kiedy widziałem ją pierwszy raz?  
— Przed laty,  
gdy jeszcze była  
małą dziewczynką.  
Pamiętam wyraźnie  
jej delikatną szyję —  
klęczała w naszym kościele  
pod wezwaniem Santa Maria  
Novella. Ktoś mi powiedział,  
że nazywa się  
Lisa Gherardini.

*Aleksis RANNIT*

*(Tytuł oryginału „She has returned”.  
Tłumaczenie z angielskiego M. BROŃSKIEGO)*

### FUNDACJA IM. PAULI LAMOWEJ

Kilka uwag i przypomnień na marginesie 45-ciu podań o stypendia, rozpatrywanych w listopadzie 1984 przez Komisję Fundacji im. Stanisława LAMA, w składzie: J. MOND, A.-M. ROZWADOWSKA, J. MOZOLEW-SKA z łaskawym udziałem Konstantego A. JELEŃSKIEGO.

Zgodnie z wolą fundatorki, Pauli Lamowej, i zastrzeżeniami sformułowanymi przez Nią w testamentcie:

1. — Kapitał Fundacji ma pozostać nienaruszony. W związku z tym Komisja — dysponując jedynie odsetkami od w/w kapitału — przynajmniej

w bieżącym roku 1985 zaledwie cztery stypendia, pozwalające na skromne przeżycie kilku tygodni w Paryżu.

2. — Stypendium pomyślane jest jako pomoc dla autorów specjalizujących się w historii literatury polskiej i krytyce literackiej, którym do kontynuowania ich pracy niezbędny jest pobyt w Paryżu w celu korzystania z tutejszych bibliotek, ze szczególnym uwzględnieniem zbiorów Biblioteki Polskiej Towarzystwa Historyczno-Literackiego.

Tym samym nie mogą być rozpatrywane podania:

- dotyczące innych niż wyżej wymienione dziedzin nauki i twórczości;
- pochodzące od osób zamieszkałych w Paryżu i regionie paryskim;
- takie, z których nie wynika konieczność pobytu autora w Paryżu;
- pochodzące od licealistów lub młodzieży rozpoczynającej studia.

3. — Osoby ubiegające się o stypendium winny sprecyzować temat pracy jak również dzieła, publikacje, dokumenty z jakich mają nadzieję korzystać w Paryżu.

4. — Wszelkie podania (jeżeli nie pochodzą od osób posiadających już dorobek w postaci publikacji) winny być poparte opinią profesora, promotora (w wypadku prac magisterskich czy doktorskich) lub osoby będącej uznanym autorytetem w wyżej wymienionych dziedzinach.

Dodać należy, że ani Fundacja, ani Towarzystwo Historyczno-Literackie nie pokrywają kosztów podróży stypendysty ani nie zapewniają mu mieszkania.

### MINIATURY „ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH”

Ze względu na wielkie zainteresowanie w Kraju wszystkie wyzerpane numery *Zeszytów Historycznych* zostały wydane w formie zminiaturyzowanej. Są to numery: 2, 3, 4, 5, 6, 7, 11, 12, 13, 15, 16, 18, 19, 20, 40, 41, 46, 47, 49, 50, 51, 52, 53, 55, 56, 57, 68.

Czytelnicy którzy chcieliby te *Zeszyty* przesłać do Polski lub uzupełnić własne braki mogą zamawiać je w Administracji *Kultury* w cenie po F. 10,00 za *Zeszyt* plus koszty porta.

### POLNISCHE BUCHHANDLUNG KSIĘGARNIA POLSKA

1070 Wien, Burggasse 22  
Tel.: 0222/93 87 222

GODZINY OTWARCIA / ÖFFNUNGSZEITEN:

CODZIENNIE / TÄGLICH 10.00 - 18.00

SOBOTA / SAMSTAG 9.00 - 12.00

SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA / BUCHVERSAND

KONTO POCZTOWE PSK 7227.556

## Książki

### Głos Wolnej Polski

Pisząc ten tytuł zastanawiałem się, czy dać po nim znak zapytania. Głos Wolnej Polski stanowił — i nadal stanowi — stale powtarzaną zapowiedź programów radiowych nadawanych do Polski z Niemiec. Nadaje te programy radiostacja amerykańska, finansowana i kontrolowana przez Amerykanów. Czy jest to więc głos wolnej Polski?

Odpowiedź na to pytanie daje, przynajmniej częściowo, Zdzisław Jeziorański w swej nowej książce zatytułowanej „Wojna w eterze”\*

Zdzisław Jeziorański, lepiej znany swym słuchaczom i czytelnikom jako Jan Nowak, był przez wiele lat dyrektorem polskiej rozgłośni Radia Wolna Europa. Omawiany pierwszy tom jego wspomnień obejmuje lata 1948-1956, a więc okres, w którym powstawała idea założenia radiostacji oraz pierwsze lata jej działalności. Te lata, wyprowadzające Polskę ze stalinizmu, poprzez „odwilż” do pełnego nadziei „polskiego października”, były dla zespołu ludzi nadających do Kraju audycje pod hasłem Głosu Wolnej Polski prawdziwie „miodowym miesiącem”, pełnym wiary w skuteczność działania i nadziei w osiągnięciu celu. Tym celem było stałe rozszerzanie marginesu wolności w Polsce.

Powróćmy jednak do zasadniczego tematu. Czy Polacy mieszkający poza granicami Kraju i korzystający z pomocy finansowej innego państwa mogą reprezentować niezależny głos polski i bronić interesów swego kraju?

Głos Wolnej Polski nie jest oczywiście dobrą zapowiedzią nadawanych audycji. Jan Nowak pisze, że był temu na początku zdecydowanie przeciwny. Wobec licznych protestów, jakie otrzymywał z różnych ośrodków emigracyjnych, Nowak zwrócił się do Amerykanów z sugestią zmiany nazwy na „Głos Wolnych Po-

\* Jan Nowak, *Wojna w eterze*. Wspomnienia. T. I. 1948-1956, str. 304, Odnowa, Londyn 1985.

laków", lub „Radiostacji Trzeciego Maja", bo właśnie tego dnia 1952 roku Wolna Europa rozpoczęła nadawanie audycji po polsku z Monachium — przedtem nadawano audycje polskie tylko z Nowego Jorku. Nazwa była jednak już ustalona dla wszystkich stacji RWE i Amerykanie nie ustąpili. Nowak zastosował wówczas taktykę, która w przyszłości przyniosła dobre rezultaty. Głos Wolnej Polski jest nazwą zobowiązującą. Radiostacja używająca tej nazwy nie może nadawać żadnych audycji, które byłyby sprzeczne z interesami Polski. Taka pierwsza sprzeczność ujawniła się wkrótce. Była nią sprawa polskich Ziemi Zachodnich, specjalnie drażliwa dla niemieckich uchodźców i wielu niemieckich polityków. Wprawdzie redaktorzy polskich programów nie zabierali głosu w sprawie granic, ale o polskich Ziemiach Zachodnich mówili niejednokrotnie polscy działacze emigracyjni, których Nowak zapraszał do mikrofonu. Ich wypowiedzi nie były cenzurowane. Był to w ówczesnych warunkach rozsądny kompromis, który kierownik polskiego zespołu potrafił właściwie rozwiązać.

Osobisty prestiż Jana Nowaka był w omawianym okresie bardzo wysoki i to zarówno wśród Amerykanów, jak i wśród Polaków. Lektura jego wspomnień potwierdza to przekonanie. Swą osobowością, inteligencją, a przede wszystkim dynamizmem dominował nad otoczeniem. Jego przeszłość wojenna (emisariusza Armii Krajowej) i arcykowski światopogląd zapewniały mu poparcie „polskiego Londynu", z którym wówczas Amerykanie liczyli się bardzo poważnie. Z tego poparcia Nowak korzystał zręcznie i skutecznie. Píše zresztą o tym otwarciu. Można nawet zaryzykować twierdzenie, że gdyby rozgłosnia monachijaska nie miała tak szerokiego poparcia i zaangażowania polskiej emigracji, to nie utrzymałaby swego polskiego charakteru. Nowak ten problem w pełni docenił.

Nie mniej ważna była współpraca z zespołem. I tu nie wszystko układało się najlepiej. W swej książce Nowak opisuje swój spór ze Stanisławem Strzetelskim, kierownikiem nowojorskiego zespołu rozgłosni, a następnie bunt czy spisek swych trzech najbliższych współpracowników w Monachium: Marka Święcickiego, Jarosława Łuby i Zbigniewa Błażyńskiego.

Nie znam kulisów sporu ze Strzetelskim i muszę się opierać tylko na relacji Nowaka. Wydaje mi się, że jego podłożem była wadliwa struktura organizacyjna rozgłosni w jej pierwszych latach istnienia. Strzetelski miał stanowisko równorzędne do stanowiska Nowaka i służbowo podlegał nie Nowakowi, tylko Amerykanom i to nie w Monachium, lecz na wyższym szczeblu, w Nowym Jorku. W niezmiernie trudnej sytuacji politycznej rozgłosnia wymagała jednolitego kierownictwa. Do sporu między obu kierownikami musiało dojść prędzej czy później — i Nowak ten spór wygrał. Cieszył się zresztą w tym czasie zdecydowanym poparciem olbrzymiej większości swych radiowych kolegów. Drugi spór znam nieco lepiej, bo byłem wówczas członkiem zespołu polskiego w Monachium. Skandal związany ze „spiskiem" wybuchł nagle i to w czasie nieobecności Nowaka, ale wyczuwaliśmy, że narastał od pewnego już czasu. Sam Nowak tak o tym

pisze: „Wobec dyrekcji amerykańskiej zostałem oskarżony przez mego zastępcę (Marka Święcickiego) o dyktatorskie metody, tyranizowanie ludzi nie licujące z misją radiostacji, która ma być projekcją systemu demokratycznego". Nowak wyjaśnia następnie: „Większość odniosła się do intrygi w sposób zdecydowanie negatywny".

W tym niepoważnym i niepotrzebnym sporze byłem, jak większość moich kolegów, zdecydowanie po stronie Nowaka. W czasie gdy rozgłosnia polska RWE stawiała pierwsze kroki na bardzo niebezpiecznym gruncie, odczuwaliśmy potrzebę silnego i zdecydowanego kierownictwa. Dla swych podwładnych Jan Nowak nie był człowiekiem łatwym we współpracy, niejednokrotnie narzucał swoją wolę, sam przyznaje, że jest człowiekiem gwałtownego temperamentu ale, powtarzam, w tych formatywnych latach rozgłosni baliśmy się najbardziej chwiejności, słabości i politycznego zamętu. Nowak reprezentował nie tylko stanowczość i siłę, ale — co było najważniejsze — wyraźnie sprecyzowaną i zdaniem większości słuszną koncepcję polityczną.

Największą wartością książki Nowaka „Wojna w eterze" jest właśnie przedstawienie tej koncepcji i swoistej taktyki na tle zmieniającej się sytuacji w Polsce.

Nowak opisuje szczegółowo szereg ważnych wydarzeń i kampanii podejmowanych przez rozgłosnię.

„Gdzieś w kwietniu 1954 roku" — pisze Nowak — „Warszawa II nadająca na falach krótkich audycje dla Polaków za granicą rozpoczęła wielką kampanię na rzecz powrotu do kraju Polaków przebywających na Zachodzie". Kampania przybierała na sile i Nowak postanowił to wykorzystać. Przede wszystkim przekonał Amerykanów, że jeżeli rządowi komunistycznym w Warszawie tak bardzo zależy na zmniejszeniu liczby emigrantów, to znaczy, że emigranci się liczą. Dzięki temu, jak pisze, Amerykanie przyznali wiele dotacji dla polskich ośrodków emigracyjnych, m.in. dla Biblioteki Polskiej w Paryżu. Ważniejsze było podjęcie przez rozgłosnię polską RWE własnej kampanii, domagającej się powrotu do kraju Polaków przymusowo wywiezionych do Rosji. Stawiało to reżym komunistyczny w niezwykle trudnej sytuacji. Audycje rozgłosni polskiej podające wiele razy dziennie, przez wiele miesięcy nazwiska Polaków więzionych w sowieckich łagrach okazały się niezwykle skuteczne. Trzeciego października 1955 roku radio warszawskie nadało krótki komunikat: „W ostatnich miesiącach przybyła do Polski pewna liczba repatriantów z Rosji". W ciągu następnego miesiąca wróciło wiele tysięcy.

Następna kampania podjęta została w obronie Kościoła. W jej trakcie rozgłosnia polska zdemaskowała agenturalny charakter PAX-u, podawała szczegółowe wiadomości o prześladowaniach księży, występowała w obronie aresztowanego Prymasa.

Najtrudniejszą „próbą ogniową" dla radiostacji były wypadki poznańskie, rewolucja na Węgrzech i cały przebieg polskiej „odwilży". Jan Nowak, były uczestnik Powstania Warszawskiego, zdawał sobie w pełni sprawę z możliwych konsekwencji wybuchu krwawej rewolty w kraju bez poparcia Zachodu. Odpowiedź



na pytanie, czy zespół polski w Monachium potrafił bronić polskiej racji stanu można znaleźć, porównując audycje rozgłośni polskiej i rozgłośni węgierskiej w październiku 1956 roku. „Węgrzy — pisze Nowak — dali się ponieść fali optymizmu”. Zespół polski trzeźwiej oceniał sytuację i to nie tylko w Polsce, ale przede wszystkim na Zachodzie. Tylko w Poznaniu doszło do krwawych starć. Dalszy przebieg wydarzeń w przełomowym roku 1956 był bezkrwawy. Można to przynajmniej częściowo przypisać zrównoważonej polityce redakcyjnej rozgłośni polskiej RWE.

Jak już powiedziałem poprzednio, pierwszy tom wspomnień Jana Nowaka obejmuje „miodowe miesiące” działalności radiostacji, miesiące i lata nacechowane entuzjazmem. Minał jednak polski „październik”, po „odwilży” nadeszły przymrozki i zapadła długa zima. Nastroje polskiego zespołu uległy również pogorszeniu. Często dochodziło do starć między kierownikiem zespołu a jego bliskimi współpracownikami. Czytelnikom tej recenzji należy się wyjaśnienie, że i moje rozstanie z kierownikiem polskiego zespołu nie odbyło się w atmosferze przyjaźni. Z perspektywy wielu lat widzę jednak, że Jan Nowak odegrał niezwykle pozytywną rolę na swym kluczowym stanowisku w Monachium. W moim mniemaniu reprezentował on — i to skutecznie — polską myśl polityczną. Bronił konsekwentnie interesów polskich, gdy były one zagrożone. Rozumiał sytuację w Polsce i umiał korzystać z wiedzy swych najbliższych współpracowników: Tadeusza Zawadzkiego (Tadeusza Zencykowskiego), Aleksandry Stypułkowskiej, Michała Gamarnikowa, księdza Tadeusza Kirschke i wielu innych. Wolałbym, żeby w swoich wspomnieniach napisał o tych ludziach obszerniej. Ale to już inna sprawa. Jego książka, którą sam określa jako „wspomnienia”, jest czymś więcej. Jest ważną pozycją dla wszystkich, którzy interesują się współczesną historią Polski i wpływem środków masowego przekazu na wydarzenia w krajach, gdzie informacja podlega ścisłej cenzurze.

Jan KROK-PASZKOWSKI

## Nadesłane nowości wydawnicze

- TORAŃSKA (Teresa). *Oni*. Str. 365 i 3 nlb. (Wyd. Aneks, Londyn 1985, cena £ 7, \$ US 14).
- MICHNIK (Adam). *Takie czasy... Rzecz o kompromisie*. Str. 140 i 4 nlb. (Wyd. Aneks, Londyn 1985, cena £ 3, \$ US 7,50).
- SWIDZIŃSKA (Halina). *Koło i labirynt*. Powieść. Str. 256. (Wyd. OPI, Londyn 1985).
- Teki historyczne*, tom XVIII. Str. 203 i 5 nlb. (Wyd. Polskie Towarzystwo Historyczne w Wielkiej Brytanii, Londyn 1985).
- Nasza przeszłość. Studia z dziejów Kościoła i kultury katolickiej w Polsce*. Str. 286 i 3 nlb. + ilustracje. (Wyd. Instytut Wydawniczy księży Misjonarzy „Nasza przeszłość”, Kraków 1985, cena zł 390).

- TABORSKI (Bolesław). *Sztuka*. Wybór wierszy. Str. 171 i 1 nlb. (Wyd. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1985, cena zł 100).
- Prisonniers politiques en Pologne. Documents. Témoignage de Clive Loertscher*. Str. 23 i 1 nlb. (Wyd. Coordination Nationale Solidarité avec Solidarność, Lozanna 1985, cena F. 4).
- SKIRDA (Alexandre). *Les cosaques de la liberté. Nestor Makhno, le cosaque de l'Anarchie et la guerre civile russe 1917-1921*. Str. 475 i 5 nlb. (Wyd. JCLattès, Paryż 1985, cena F. 115).
- PARIZEAU (Alice). *Ils se sont connus à Lwow*. Powieść. Str. 363 i 5 nlb. (Wyd. Pierre Tisseyre, Montreal).
- HENTCHEL (Kazik). *Liturgie polonaise*. Powieść. Przel. z polskiego Gabriel Meretik. Str. 187 i 7 nlb. (Wyd. Robert Laffont, cena F. 85).
- WYRWA (Tadeusz). *La résistance polonaise en France*. [Nadbitka z *Études d'histoire du droit à l'époque contemporaine XIX<sup>e</sup>-XX<sup>e</sup> siècles*], str. 299-311. Wyd. Presses Universitaires de France, Paryż 1985].
- WYRWA (Tadeusz). *Les idées de tolérance religieuse en Pologne au seuil des temps modernes*. (Nadbitka z „Les contacts religieux franco-polonais du Moyen Age à nos jours”, wyd. Editions du Dialogue et CNRS, Paryż 1985).
- WYRWA (Tadeusz). *L'établissement du régime communiste en Pologne et ses conséquences à la lumière des observations des agents diplomatiques et consulaires de France*. (Nadbitka z *Revue d'études comparatives Est-Ouest*, stycznia 1985, vol. 16, nr 1, str. 5-20).
- WYRWA (Tadeusz). *La notion de la loi et de la souveraineté chez Modrzewski (Modrevious) et Jean Bodin*. (Nadbitka z „Actes du colloque interdisciplinaire d'Angers” nt. Jean Bodin, wyd. Presses de l'Université d'Angers, 1985).
- Violations of Human Rights in Poland 1984-1985 (Fourth Report)*. Z polskiego przełożyła Agnieszka Kołakowska. Str. 67 i 1 nlb. (Wyd. Committee in Support of Solidarity, Nowy Jork 1985).
- KYNCL (Karel i Ivan). *After the Spring Came Winter*. (Czeski ruch oporu po inwazji sowieckiej. Liczne fotografie). Str. 104. (Wyd. Askelin i Hägglund, Szwecja 1985).
- A Besieged Culture. Czechoslovakia Ten Years after Helsinki*. Opr. A. Heneka, F. Janouch, V. Precan, J. Vladislav. Str. 300. (Wyd. Charta 77 i International Helsinki Federation for Human Rights, Sztokholm-Wiedeń 1985).
- PARIZEAU (Alice). *The Lilacs are Blooming in Warsaw*. Str. 303 i 3 nlb. (Wyd. New American Library, New York and Scarborough, Kanada 1985).
- JORDAN (von, Gerhard). *Polnische Jahre*. Str. 250 i 6 nlb. (Wyd. Gerhard von Jordan, Bad Rappenau, RFN, 1985, cena DM 28,80).
- MICHNIEWICZ (Ladislao). *El gran bluff sovietico*. Przełożył z polskiego E. Czastkiewicz i E. Krzywobłocka. Str. 344 i 8 nlb. (Wyd. Ediciones des Aguila Coronada, Buenos Aires 1985).
- CATALUCCIO (Francesco M.). *Witold Gombrowicz*. (Nadbitka z *In forma di parole*, rocznik V, nr 1, 1984, Włochy).
- SKOCEN (Oleksander). *Z futbolom u swit*. *Spomyny*. Str. 638 i 2 nlb. (Wyd. nie podane, Toronto 1985).
- Janka Kupala i Jakub Kolas na Zachadzie. *Bibliografia*. Opr. V. Kipel i Z. Kipel. Str. 350 i 2 nlb. (Wyd. Białoruski Instytut Nauki i Mastactwa, Nowy Jork 1985).
- Baratok a bajban. Lengyel menekültek Magyarországon 1939-1945*. Opr. Juhász Gvula. Str. 649 i 9 nlb. (Wyd. Europa Könyvkiado, Budapest 1985).
- BRJUSOV (Valerij). *Mramorna glava*. Wybór, przekład i przedmowa Petar Vujičić. Str. 181 i 3 nlb. (Wyd. „Glas”, Banja Luka 1985).

## KRAJ — BLOK WSCHODNI

5-11-85

Leszek Ożóg, główny księgowy OPZZ, podał do wiadomości publicznej szczegóły dotyczące majątku b. Związków Zawodowych. Majątek ten wynosi 22 mld 796 mln 400 tys. złotych, z czego 21 mld 871 mln 400 tys. złotych to majątek byłych związków branżowych CRZZ i Instytutu Wydawniczego. W skład tego majątku wchodzi m.in. 42 sanatoria, 78 ośrodków wypoczynkowych, 8 domów i klubów kultury, 1 dom pracy twórczej, 1 klub techniki i racjonalizacji, 2 przychodnie lekarskie, 1 biuro podróży oraz dewizy: 3 mln 140 tys. 531 rubli, 711 dolarów i 34.318 tzw. dewiz clearingowych (pozostałe związki wniosły 65.066 dolarów i 112 rubli).

12-11-85

Sejm PRL IX kadencji na swym pierwszym posiedzeniu jednogłośnie wybrał gen. Wojciecha Jaruzelskiego przewodniczącym Rady Państwa. Natomiast nowym prezesem Rady Ministrów został prof. Zbigniew Messner dotychczasowy (od 1983 roku) wicepremier uprzednio (od 1981 roku) I sekretarz KW w Katowicach. Inni spośród dotychczasowych wicepremierów objęli następujące stanowiska: Roman Malinowski (ZSL) został marszałkiem Sejmu, Mieczysław F. Rakowski — wicemarszałkiem Sejmu, a Zenon Komender (Pax) — zastępcą przewodniczącego Rady Państwa. Zastępcą przewodniczącego Rady Państwa został także m.in. Kazimierz Barcikowski, a w skład Rady Państwa wszedł m.in. Alfred Miodowicz stojący na czele związków zawodowych. ■ XXII Plenum KC PZPR dokonało zmian personalnych: Kazimierz Barcikowski, członek Biura Politycznego zrezygnował ze stanowiska sekretarza KC, Stefan Olszowski zrezygnował z członkostwa w Biurze Politycznym, Marian Woźniak, I sekretarz Komitetu Warszawskiego, został sekretarzem KC.

17-11-85

Zagadkowe pożary zabytkowych cerkwi. Mianowicie we wsi Jaczno w województwie białostockim spłonęła doszczętnie cerkiew pounicka, w której znajdowała się cenna ikona Matki Boskiej z Dzieciątkiem, pochodząca z XVII wieku. Poprzednio spłonęła zabytkowa cerkiew w Czyżach, również w woj. białostockim.

22-11-85

W Warszawie podpisano kontrakt z ZSSR na dostawę 27 lokomotyw manewrowych, 6 ciężkich lokomotyw magistralnych, 3 maszyn do budowy i konserwacji torów kolejowych, 5.000 sztuk kół monoblokowych oraz 12 tys. zestawów kołowych, które zostaną wykorzystane do produkcji wagonów towarowych. Łączna wartość tych dostaw wyniesie 38 mln rubli transferowych. Ponadto ZSSR ma dostarczyć Polsce 30 tys. ton konserw rybnych, co stanowi 120 mln puszek. Jest to właśnie tyle, ile produkuje rocznie cały krajowy przemysł rybny.

27-11-85

Zmarł w Warszawie w wieku 78 lat Stanisław Ryszard Dobrowolski, literat.

16-12-85

Zmarł w Warszawie w wieku 46 lat Ireneusz Ireduński, poeta, prozaik, dramaturg.

## ZACHÓD — EMIGRACJA

31-8-85

W Chicago odbyły się dwudniowe zjazdy b. żołnierzy A.K.: XVIII zjazd okręgu Koła A.K., które liczy 7 oddziałów i 7 delegatur na terenie U.S. oraz I zjazd amerykańskiego okręgu Fundacji A.K.

17-10-85

Zmarła w Waszyngtonie w wieku 76 lat Maria z Romanowskich Bączkowska, doktor geografii na Uniwersytecie im. Jana Kazimierza we Lwowie, autorka wielu prac geograficznych.

21-10-85

Mayor Good, pierwszy czarny prezydent Filadelfii, przyjął w magistracie członków i sympatyków Filadelfijskiego Komitetu Pomocy „Solidarności” i ogłosił dzień 21 października Dniem „Solidarności”.

17-11-85

Metropolita wrocławski, ks. kardynał Henryk Gulbinowicz, został członkiem Kongregacji Kościołów wschodnich oraz Kongregacji do spraw kleru; ks. kardynał Andrzej Deskur został członkiem Kongregacji do spraw świętych (kanonizacji) i Papieskiej Komisji do spraw Państwa Watykańskiego; ks. prałat Józef Michalik, rektor Papieskiego Kolegium Polskiego w Rzymie, został mianowany kierownikiem biura Papieskiej Rady do spraw świeckich.

22-11-85

Na zaproszenie dr. Geralda Stone'a, kierownika studiów polonistycznych w Oxfordzie, prof. Tymon Terlecki wygłosił odczyt poświęcony problemowi elementów narodowych i uniwersalnych w twórczości Stanisława Wyspiańskiego. Odczyt wzbudził wielkie zainteresowanie liczne audytorium.

29-11-85

Zmarł w Londynie w wieku 75 lat Józef Josten, pisarz i dziennikarz czeski. ■ Znany naukowiec, dr inż. Wojciech Rostafiński, otrzymał od NASA amerykański państwowy dyplom uznania za popularyzację na czterech kontynentach nauk ścisłych oraz osiągnięć i historii podboju kosmosu. ■ Solidarnitet Norge Polen ogłosiła Stanisława Kotowskiego z Warszawy „więźniem listopada”. Kotowskiego skazano na 3 lata i 6 miesięcy więzienia za działalność w „Niepodległości”. ■ Na spotkaniu przedstawiciele państw skandynawskich w Kopenhadze Norwegia odrzuciła projekt fiński wprowadzenia skandynawskiej strefy bezatomowej, uważając, że byłoby to jednostronnym rozbrojeniem.

5-12-85

W Izraelu występuje warszawski Teatr Wielki, który ostatnio w Tel-Awivie wystawił operę Zbigniewa Rudzińskiego „Manekiny” według prozy Brunona Schulza. Przedstawienie reżyserował Robert Satanowski. Do Izraela przybył również zespół Cricot II Tadeusza Kantora.

12-12-85

Zmarł w Londynie, w wieku 68 lat, Leszek Meyer. W czasie wojny służył w wojsku polskim w Wielkiej Brytanii i był urzędnikiem MSZ. Po wojnie współpracował z BBC i z radiem Wolna Europa. ■ Nagrody teatralne *Dienika Polskiego* w Londynie za rok 1985 otrzymali aktorzy: Tomasz Borkowy, Krzysztof Różycki i Daniel Woźniak *ex aequo* po £ 200; za najlepsze impre-

zy artystyczne uznano: „W małym dworku” St. I. Witkiewicza — reżyseria P. Dangel, organizacja Urszula Święcicka — nagroda £ 300 i „Wieczór poezji emigracyjnej” — reżyseria Olgi Żeromskiej, organizacja Ireny Delmar — nagroda £ 300. Ponadto jury nagrody przyznało Leopoldowi Kielanowskiemu za całokształt pracy — £ 500 oraz Reginie Kowalewskiej, twórczyni i kierowniczce artystycznej Teatru „Syrena” — £ 300. Nagrody zostały ufundowane przez Fundację p. Feliksa Laskiego. ■ Międzynarodowy Komitet Poparcia Czechosłowackiej Charty 77 przyznał nagrodę im. Jana Palacha za rok 1985, zamieszkałemu w Pradze pisarzowi, krytykowi i tłumaczowi, Janowi Vohryzkowi (ur. 1926). Nagradzając całą twórczość Vohryzka Komitet odznaczył go przede wszystkim za jego oddanie wydawnictwom podziemnym oraz za tom „Kritický sborník”. Nazwisko tegorocznego laureata zostanie ogłoszone w Paryżu 17 stycznia 1986, w 17-tą rocznicę śmierci Jana Palacha.

### KRONIKA FRANCUSKA

Staraniem Towarzystwa Historyczno-Literackiego w kościele polskim w Paryżu została odprawiona uroczysta msza św. z okazji setnej rocznicy urodzin generała Kazimierza Sosnkowskiego. ■ W budynku Biblioteki Polskiej miała miejsce wystawa rysunków dzieci z Gdańska pt. „Mali świadkowie wielkich wydarzeń” Wystawa została później przeniesiona do znanej paryskiej galerii „Espace Pierre Cardin”. ■ W Paryskim Domu Polskiego Studenta im. Jana Pawła II odbyło się spotkanie z pisarzem Tomaszem Łubińskim, który mówił o tematach historycznych w literaturze polskiej. ■ Gościem Centre du Dialogue (Ojcowie Pallotyni) był znany pisarz — Tadeusz Konwicki, który wziął również udział w tradycyjnym kiermaszu gwiazdkowym, organizowanym każdego roku w Księgarni Polskiej przy bulwarze Saint-Germain. Obok Konwickiego swoje książki podpisywali — Kazimierz Hentchel oraz Teresa i Ryszard Zienkiewicz. Na kiermaszu została zaprezentowana także nowa książka wydawnictwa „Spotkania” — „Zapiski 1980-1984” księdza Jerzego Popiełuszki. ■ W przeddzień czwartej rocznicy ogłoszenia stanu wojennego w Polsce centrala chrześcijańskich związków zawodowych CFTC zaapelowała o wzmocnienie wysiłków na rzecz pomocy „Solidarności”. ■ André Bergeron, przywódca związkowego *Force Ouvrière*, zwrócił się pisemnie do prezydenta Francji o interwencję w związku z czystkami na polskich uniwersytetach. ■ 13 grudnia w lokalu Komitetu Koordynacyjnego NSZZ „Solidarność” otwarto wystawę poświęconą stanowi wojennemu w Polsce (fotografie, prasa podziemna, znaczki, emblematy, etc.). ■ W spotkaniu przedstawicieli francuskich grup Amnesty International wzięła udział Danuta Nowakowska z paryskiego komitetu „Solidarności”. Do komitetu nadal napływają petycje z apelem o uwolnienie więźniów politycznych w Polsce. ■ Lionel Jospin, przywódca Francuskiej Partii Socjalistycznej, przyjął 12 grudnia (na zaproszenie własne) przedstawicieli Biura Koordynacyjnego NSZZ „Solidarność” za granicą — Jerzego Milewskiego, Piotra Chruszczyńskiego i Krzysztofa Pomiana. Rozmowa dotyczyła sytuacji w Polsce, ale tematem dominującym była wizyta gen. Jaruzelskiego w Paryżu. L. Jospin stwierdził, że nie podziela w pełni motywacji, dla których prezydent Francji podjął taką decyzję, i że sam opowiadałby się raczej za kontaktami na niższym szczeblu. L. Jospin zapewnił, że Francuska Partia Socjalistyczna będzie w dalszym ciągu popierać „Solidarność”. Obie strony ogłosiły osobne komunikaty na temat spotkania. ■ W galerii Lambert (14, rue Saint-Louis-en-l'Île, 75004 Paris) można obejrzeć wystawę prac Jana Lebensteina. Wernisaż odbył się 13 grudnia; wystawa będzie trwała do końca stycznia. br.

Wojciech SIKORA

## Listy do Redakcji

Trieste, 14 listopada 1985.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Życie dopisało ironiczne *post scriptum* do mojego artykułu w październikowej *Kulturze*, w którym lamentowałem z powodu zaprzestania radiowej transmisji sygnału czasu z Obserwatorium Astronomicznego Uniwersytetu Jagiellońskiego. Widziałem w tym lekceważenie szacownej tradycji. Dowiaduję się teraz, że w kraju słynącym nie tylko z zamiłowania do tradycji, lecz wręcz z konserwatyzmu, likwiduje się instytucję, której sama nazwa jest historycznym zabytkiem i która dla każdego wykształconego człowieka wiąże się z wyznaczaniem dokładnego czasu. *Herald* z 11 listopada 1985 donosi na pierwszej stronie, że Obserwatorium w Greenwich przestanie, najprawdopodobniej, zajmować się służbą czasu. Przyczyną jest brak pieniędzy. Obserwatorium nie może sobie pozwolić na wydatek około \$ 100.000 rocznie, konieczny do obsługi i konserwacji swych sześciu zegarów atomowych. Od 1675 roku czas Greenwich wyznaczany był w Greenwich i używany na całym świecie. Brytania władała morzami, a jej marynarze nastawiali swe chronometry w Obserwatorium. Czas zerowego południka przechodzącego przez Greenwich jest i pozostanie podstawą urzędowego czasu strefowego we wszystkich krajach. Ale nie będzie już on wyznaczany na miejscu w Greenwich, lecz — jak opisuję to w moim artykule — okreśłany w Paryżu. *O tempora!*

Być może jednak Brytyjczycy nie ustąpią pola panom Francuzom. Konserwatywny poseł do parlamentu Marcus Fox rozpoczął już energiczną kampanię na rzecz uratowania służby czasu w Greenwich.

Łączę wyrazy szacunku i pozdrawiam

Marek A. ABRAMOWICZ

Leeds, 23 listopada 1985.

Szanowny Panie Redaktorze,

Wielkie wrażenie wywarła na mnie wypowiedź p. Jana Karskiego na temat filmu „Shoah” (Zagłada) zamieszczona w 11-tym numerze *Kultury*. Filmu tego nie znam, nie dotarł on chyba jeszcze do Anglii, ale z tego co pisze p. Karski wnioskuję, że przedstawia on bardzo jednostronnie, a zatem krzywdząco, stosunek Polaków do Żydów w czasie okupacji.

Jestem jednym z wielu żywych dowodów istnienia owej „drugiej rzeczywistości zagłady”. Szlachetność i poświęcenie niezliczonych Polaków, którym zawdzięczam życie, opisałam — po czterdziestu niemal latach milczenia — w książce pt. „Winter in the Morning”, która ukaże się w lutym 1986 nakładem Virago Press. Jeśli książka ta, choć w bardzo drobnym stopniu, przyczyni się do oddania sprawiedliwości temu poświęceniu i odwadze, uznam, że mój wysiłek spisania wspomnień, operacja sama przez się bardzo bolesna, nie poszedł na marne.

Łączę wyrazy szacunku,

Janina G. BAUMAN

Szanowny Panie Redaktorze,

W moim artykule o periodykach polskojęzycznych w Ameryce (nr 10/1985) znalazło się kilka nieścisłości, które chciałybym sprostować lub wyjaśnić. Dotyczą one moich uwag na temat *Tygodnika Nowojorskiego*. Po pierwsze, pismo to nie jest ani jedyne, ani nawet pierwsze w porządku chronologicznym, które wydrukowało tekst *AA Ameryka* M. Białoszewskiego. Uczyniły to również dwa pisma w Polsce: *Twórczość* i *Odra*. Redakcja *TN* nie posłużyła się jednak przedrukiem, lecz jest w posiadaniu taśmy z nagraniem tego tekstu, który w wyniku niezależnych inicjatyw został spisany i w Nowym Jorku, i w Warszawie.

Po drugie, wspomniany przeze mnie szkic Daniela Geroulda, choć zapowiadany przez *TN* dawno temu, jeszcze się na jego łamach nie ukazał.

Po trzecie, pisząc o założeniu *TN*, podałam, że powstał bez zaplecza w postaci spółki akcyjnej. Otóż *de facto* *TN* jest spółką akcyjną, a autorzy otrzymują w charakterze honorariów akcje. Gdybym się była wyraziła „spółki akcyjnej o dużym kapitale zakładowym”, nie byłoby wątpliwości, co miałam na myśli.

Na koniec chciałybym sprostować błąd drukarski w dacie założenia *Nowego Dziennika*: gazeta powstała oczywiście w 1971 roku, a nie w 1917.

Z poważaniem

Renata GORCZYŃSKA

Nowy Jork, 24 listopada 1985.

Szanowny Panie Redaktorze,

W imieniu wszystkich współpracowników *Tygodnika Nowojorskiego* serdecznie dziękuję za odnotowywanie i komentowanie naszej działalności. Z tym większą przykrością muszę prosić o zamieszczenie na łamach *Kultury* niniejszego sprostowania.

W listopadowym numerze *Kultury* w artykule Renaty Gorczyńskiej „Periodyki polskojęzyczne w USA” znalazły się w części dotyczącej *Tygodnika Nowojorskiego* następujące nieścisłości:

1. *TN* ma zaplecze w postaci spółki akcyjnej Polish Independent Publishing Corporation, czemu Autorka zaprzecza — być może zmylona bezprecedensowym charakterem naszego wydawnictwa na tle emigracyjnych spółek wydawniczych. Udziałowcami pisma są bowiem wszyscy współpracownicy: pisarze, dziennikarze, graficy, pracownicy administracyjni, a także drobni inwestorzy — w sumie 84 osoby, dzięki którym *TN* mógł zaistnieć.

2. Szkic Daniela Geroulda o problemach z rzeczywistością społeczną polityczną we współczesnym dramacie i teatrze polskim, na który powołuje się Autorka jako na dowód na nierozdzielność polityki i kultury — dotychczas nie ukazał się na naszych łamach; figurował jedynie w rubryce wypowiedzi.

3. Reportaż Mirona Białoszewskiego z pobytu w Ameryce w całości opublikowała w PRL *Twórczość*, a potem i *Odra*. (Przy okazji warto dodać, że tekst ogłoszony w *TN* nie jest jednak przedrukiem; spisany został z taśmy nagranej przez Autora, różni się w kilku miejscach od wersji w *Twórczości*, gdzie jest sporo błędów, od Czarownic z salonu zamiast z Salem, po niewłaściwą transkrypcję samego tytułu. Pod kryptonimem „AA Ameryka” Białoszewski miał na myśli „zwyczajną Amerykę”, co zresztą sam wskazał, a tytuł w *Twórczości* zapisany jako „AAA Ameryka” wcale tego znaczenia nie sugeruje).

Z poważaniem

Julita MICHALSKA  
redaktor *Tygodnika Nowojorskiego*

Warszawa, 10 października 1985.

Szanowny Panie Redaktorze,

W otrzymanym przeze mnie obecnie majowym numerze *Kultury* przeczytałem z głębokim zdziwieniem i wielką przykrością stek bzdur dotyczących rzekomo mojej osoby, a wydumanych przez zupełnie nieznaną mi osobę, podpisującą się „Zbigniew Byrski”.

Wraz z tym podpisem wdarło się na łamy *Kultury* niskie dziennikarstwo bezpodstawnych pomówień.

Mam też żal do Pana, Panie Redaktorze, którego znam i któremu podczas paryskiego pobytu składałem wizyty, za poniechanie podstawowego obowiązku sprawdzenia choćby wrywkowego informacji, co w tym wypadku — zarówno stosunków jak i zamieszkiwania na pobrzeżu Paryża — wymagałoby jednego telefonu. Choć w istocie trudno mi byłoby przesłać Panu zaświadczenie zainteresowanego ministerstwa, że nie ma ze mną nic wspólnego, Panu byłoby łatwo uzyskać informację, że nikt nigdy mnie z Francji nie wysiedlał, że po sześciu latach opuściłem placówkę na własną prośbę, że po powrocie do kraju otrzymałem od gen. De Gaulle'a jego pamiętniki oświadczenie mi przez niego dedykowane „na pamiątkę wspólnej walki”. Wysłodlonemu?

Moja książka „Ameryka z pasją” nie jest oszczerca, tak jak może nią być notatka osoby podpisującej się „Z.B.”, natomiast jest jedną z trzech moich książek o Ameryce, już wydanych, dobrze przyjętych przez stronę amerykańską, która uznała za pożyteczne zaproszenie mnie raz jeszcze przed napisaniem książki czwartej.

Nieścisła jest również informacja dotycząca „Peryskopu”. Był to mój program publicystyczny, przed pobytym we Francji telewizyjny, po powrocie radiowy, uznawany po dziś dzień za wzorzec fachowej, obiektywnej publicystyki międzynarodowej i krajowej. Uczestniczyli w nim najlepsi publicyści, m.in. Karol Małcużyński, A. K. Wróblewski, a także Wiesław Górnicki, który wówczas gdy był publicystą, nim przestał ten zawód wykonywać, należał do grona najlepszych piór.

Pozostaję z szacunkiem

Jan ZAKRZEWSKI

Stockholm, 13 grudnia 1985.

Drogi Panie Redaktorze,

Upieramie proszę o zamieszczenie poniższego sprostowania: w numerze 7-8 z 1985 r. *Kultury* podałem w rubryce „Kronika szwedzka”, że w Sztokholmie rozdaje się fałszywe ulotki, podpisane rzekomo przez Biuro Informacji „Solidarność” w Sztokholmie, w których nawołuje się do głosowania na umiarkowaną prawicę, tak zwanych Moderaterna. Wymieniono w związku z tym, że Pani Zofia Kraszewska zaniósła taką ulotkę do LO (Szwedzka Centrala Związków Zawodowych). Powyższa wiadomość jest widocznie nieścisła. Doświadczam się, że taka ulotka, której źródło jest nieznane, krążyła m.in. wśród uczestników jednego zebrania, a Pani Zofia Kraszewska, jako jedna z wielu obecnych, miała ją w ręku, po czym przekazała ją obecnemu na zebraniu delegatowi ABF (Robotniczy Związek Oświaty).

Jeśli na podstawie wiadomości z nr. 7-8, 1985, *Kultury* można byłoby wyciągnąć wniosek, że pani Zofia Kraszewska miałaby ponadto coś wspólnego z rozdawaniem tej ulotki, pragnę to zdementować i przeprosić za ewentualne nieporozumienie.

Przesyłam najserdeczniejsze pozdrowienia

Norbert ŻABA

## ODPOWIEDZI REDAKCJI

**Dr Ludwik Frendl, Monachium.** — Nasza decyzja zamknięcia dyskusji między Panem i p. Podgórskim jest ostateczna. Pana odpowiedź została zamieszczona. Polemiki, która interesuje tylko pewną grupę ludzi nie możemy kontynuować w nieskończoność. Tak samo nie możemy zgodzić się na zamieszczenie Pana listu jako płatnego ogłoszenia. Zamieszczamy w Kulturze wyłącznie ogłoszenia o charakterze handlowym.

**Pp. Zbigniew Adamski, Stanisław Liptak, Ryszard Rudnicki, Rafał Sikorski** wszyscy z Monachium oraz p. Jerzy Jankowski w imieniu Grupy Roboczej „Solidarności” w Monachium. — Wymienieni panowie protestują, w dość podobny sposób, przeciwko zamknięciu polemiki między pp. Frenoldem i Podgórskim. Przy tej okazji nie szczędzą nam dobrych rad i wskazówek na temat demokratycznego i liberalnego redagowania pisma, a nawet posuwają się do swego rodzaju „ostrzeżeń”. P. Rudnicki jest ponadto przekonany, że *Kultura* jest cenzurowana przez p. Podgórskiego, natomiast p. Jankowski w imieniu „Grupy Roboczej” zapowiada zorganizowanie bojkotu *Kultury* na terenie Niemiec — jeżeli nie wydrukujemy nadesłanych listów. Wynikałoby z tego, że „Grupa Robocza” chciałaby zostać „Grupą Nacisku”!...

**Prawie były pełnomocnik autorów Zet do El.** — Artykuł p. Krystyna Benobelskiego zamieszcimy. Z proponowanych tematów interesuje nas: „Sowiecka (i polska) pseudonauka” oraz „Inżynier i polityka”.

**Capitain Nemo.** — Artykułu nie zamieszcimy. Niewątpliwie byłyby bardzo pożyteczne, gdyby państwa zachodnie wprowadziły w życie naukę społeczną Kościoła dla przeciwstawienia się Związkowi Sowieckiemu, ale w Pana artykule brak informacji, jak to można by zrobić.

**Doc. dr Eugeniusz Kruszewski, Delegat Rządu w Danii.** — P. Kruszewski ma pretensję, że w zamieszczonej notce o złożeniu wienca na grobach polskich żołnierzy i marynarzy poległych w kampanii norweskiej nie wymieniliśmy wszystkich osób i instytucji, które brały udział w tej uroczystości. Pragniemy zapewnić Pana Kruszewskiego, że zrobiliśmy to wyłącznie z oszczędności miejsca. Ważna jest uroczystość — lista prominentów mało ludzi interesuje. Natomiast aluzja, że powodem tego był stosunek Redakcji do Prezydenta Edwarda Raczyńskiego i jego przedstawicieli jest po prostu smutną insynuacją.

◆  
Czytelników nasyłających nam swoje artykuły i utwory prosimy o pamiętanie, że Redakcja nie zwraca rękopisów nie zamówionych. Wobec nawet pracy odpowiadać będziemy tylko w niniejszej rubryce.

**A.L., Szwecja; K.S., Grecja; G.Z., RFN; R.P., Kanada; E.M., USA; J.N., Kanada; K.J., Kanada; J.W., RFN; A.B. w Kraju; M.S.-B., Francja; E.N., RFN; K.S. w Kraju; B.D., Australia; M.B., Hiszpania; J.S.L., USA:** — Z wierszy nie skorzystamy.

**Z.R., USA.** — Niewątpliwie ten wierszowany opis wielkiej podróży może jako pamiętka wzruszać autora i jego przyjaciół, ale według nas nie nadaje się do druku.

**F.L., USA.** — Konspekt Pana trylogii nie jest szczególnie zachęcający. Tak zresztą bywa prawie ze wszystkimi streszczeniami autorskimi.

**W.K., USA.** — Opowiadanie nie ma żadnej wartości.

**B.M., Hiszpania.** — O nostalgii można nieskończenie (jak o zieleni w wierszu Tuwima), niestety temat obfituje w zasadzki łatwego „lirycznego” banału.

Dokumenty„FORMY PROTESTU (KONTESTACJI)  
MŁODZIEŻY”Instytut Badań Problemów Młodzieży  
Urzędu Rady Ministrów

03-226 Warszawa, ul. Toruńska 23

Tel.: centr. 11-80-41 sekr. 11-15-13.

Warszawa, 1985-X-11.

Szanowna Pani, Szanowny Panie

Uprzejmie informuję, że kierowany przeze mnie Instytut Badań Problemów Młodzieży URM zamierza przygotować studium socjologiczne pod roboczym tytułem „Formy protestu (kontestacji) młodzieży”. Z tego względu pozwalam sobie przesłać na adres Pani (Pana) ankietę opracowaną w Instytucie — z prośbą o jej wypełnienie oraz zwrotne przesłanie do IBPM, 03-226 Warszawa, ul. Toruńska 23. Ankieta została skonstruowana w ten sposób, że gwarantuje pełną anonimowość wszystkim, którzy ją wypełnią. Ponadto nikt poza pracownikami naukowymi Instytutu nie będzie miał dostępu do wypełnionych ankiet. Ich wypełnienie jest zatem niczym nie zagrażającym aktem dobrej woli ze strony ankietowanych.

Pragnę również zaznaczyć, że osoby opracowujące materiał ankietowy nie mają dostępu do akt milicyjnych, a kontakt Instytutu z MO ograniczony został wyłącznie do uzyskania adresów osób zatrzymanych podczas demonstracji ulicznych w maju br.

Nasze opracowanie opierać się będzie wyłącznie na materiale ankietowym i mieć będzie wyłącznie naukowy charakter. Pragnę podkreślić, że jest ono częścią (elementem) badań prowadzonych od dwóch lat wśród młodzieży, która z różnych przyczyn znalazła się w konflikcie z prawem.

Celem naszych badań jest zaproponowanie władzom politycznym i oświatowym w naszym kraju nowych rozwiązań w pracy z młodzieżą i nowych form jej udziału w życiu społecznym Polski. Żeby to było możliwe, trzeba najpierw poznać przyczyny kontestacji (protestu) młodzieży: od narkomanii poprzez różne formy mniej lub bardziej groźnych społecznie zachowań o charakterze agresywnym, aż po udział w demonstracjach ulicznych.

Pani (Pana) osobiste doświadczenie w tym zakresie — niestety zapewne tylko negatywne — będzie dla pracowników naukowych bardzo istotne.

Przy wypełnianiu ankiety prosimy jedynie o zakreślenie „kółeczkiem” liczby porządkowej poprzedzającej właściwą odpowiedź lub odpowiedzi na pytanie, a następnie możliwe szybkie zwrotne przesłanie do IBPM.



2. Uczeń szkoły zawodowej.
3. Uczeń technikum lub liceum.
4. Uczeń szkoły pomaturalnej lub student.
5. Pracownik fizyczny.
6. Pracownik umysłowy.
7. Pracując dorywczo.

## W OBRONIE UWIEZIONYCH CZŁONKÓW KPN

Zwracamy się do Rady Państwa w sprawie, która budzi nasze najwyższe zaniepokojenie, sprzeciw i oburzenie.

Od dnia dziewiątego marca 1985 roku przebywa w więzieniu pięciu członków względnie sympatyków Konfederacji Polski Niepodległej. Otrzymali oni sankcje prokuratorskie pod zarzutem:

- kierowania związkiem, mającym na celu przestępstwo, za co art. 276 kodeksu karnego paragraf 1 i 3 przewiduje karę pozbawienia wolności do lat dziesięciu;
- podejmowania działań zmierzających do wywołania niepokojów publicznych, co z mocy przepisów art. 282 kodeksu karnego zagrożone jest karą pozbawienia wolności do lat trzech.

Kim są wyżej wymienieni aresztowani, których zatrzymano i osadzono w areszcie śledczym, jak niebezpiecznych przestępców?

Leszek Moczulski, lat 55, z wykształcenia prawnik i historyk, z zawodu dziennikarz oraz publicysta historyczny i polityczny. W latach 1958-1962 współpracował z redakcją miesięcznika *Więź* i ogłosił na jego łamach pod pseudonimem „Leszek Karpatowicz” szereg artykułów.

W latach 1963-1977 pracował jako dziennikarz w tygodniku *Stolica*. Jednocześnie ukazują się kolejne jego książki: „Polityka w stalowym hełmie”, „Miecz Nibelungów. Zarys historii armii pruskiej i niemieckiej 1618-1967” oraz „Dylematy. Wstęp do historii Europy Zachodniej”, za którą otrzymał nagrodę Ministra Obrony Narodowej. Największym osiągnięciem jest praca pod tytułem „Wojna Polska. Rozgrywka dyplomatyczna w przededniu wojny i działania obronne we wrześniu-październiku 1939 roku”. Książka ta stała się *bestseller*’em roku 1972. W marcu 1977 roku staje się współzałożycielem i rzecznikiem Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela w Polsce. Pierwszego września tego roku zostaje przywódcą ugrupowania Konfederacja Polski Niepodległej.

Dwudziestego trzeciego września 1980 roku Moczulski został aresztowany i — z krótką miesięczną przerwą związaną z uchynieniem środka zapobiegawczego w czerwcu 1981 roku, przebywał przez blisko cztery lata najpierw w areszcie śledczym, a następnie po wyroku skazującym go w październiku 1982 na karę siedmiu lat pozbawienia wolności — w zakładzie karnym. Więzienie opuścił na mocy aktu amnestyjnego z 22 lipca 1984 roku i powrócił do swojej rodziny w Warszawie. Uważamy, iż — niezależnie od nie dopuszczalności represjonowania za wyznawanie i głoszenie przekonań — jest rzeczą mało prawdopodobną, aby ten 55-letni intelektualista i polityk, odcięty przez lata pozbawienia wolności od życia społecznego, tak jawnego jak podziemnego, mógł w ciągu niespełna siedmiu miesięcy pobytu na wolności rozwinąć szerszą działalność polityczną.

Andrzej Szomański, lat 55, z wykształcenia historyk, z zawodu dziennikarz i działacz społeczny. Jako 14-letni chłopiec był żołnierzem AK i brał

czynny udział w Powstaniu Warszawskim. Po wojnie skończył szkołę średnią i rozpoczął studia, przerwane aresztowaniem w 19... roku. Lata 1950-1955 spędził jako więzień polityczny w ciężkich zakładach karnych. Po wyjściu z więzienia i studiach poświęcił się pracy dziennikarskiej w czasopiśmie Chrześcijańskiego Stowarzyszenia Społecznego. Po sierpniu 1980 roku działał społecznie w Komitecie Budowy Pomnika Ofiar Katyńskich, którego został przewodniczącym. Publikował artykuły historyczne między innymi w *Tygodniku Powszechnym*. Po 13 grudnia 1981 roku ukrywał się przez kilka miesięcy. Ostatnio kontynuował pracę dziennikarską, publikując teksty o historii polskiego wieku XIX. Jest człowiekiem schorowanym i dlatego dalsze jego przebywanie w więzieniu grozi zdrowiu, a być może życiu. Po przebyciu wypadku i złamaniu kręgosłupa ma niedowład lewej nogi oraz dyskopatię. Ponadto cierpi na nadciśnienie tętnicze ze skokami do 200/120. W więzieniu nasiliła się również paradontoza i wystąpiły objawy szkorbutu.

Krzysztof Król, lat 22. Jako uczeń Liceum Ogólnokształcącego był w latach 1980-1981 jednym ze współzałożycieli Federacji Młodzieży Szkolnej w Warszawie. Po ogłoszeniu stanu wojennego został za swą postawę usunięty ze szkoły, co uniemożliwiło mu zdanie matury. Miał następnie trudności z dostaniem się do pracy. W grudniu 1984 roku posłubił pasierbicę Leszka Moczulskiego, Elżbietę. Zaraz po ślubie musiał się poddać leczeniu zamkniętemu w szpitalu pulmonologicznym, gdyż okazało się, że jest chory na otwartą gruźlicę. Pomimo zaświadczeń ze szpitala i przychodni przeciwgruźliczej jest nadal w areszcie.

Adam Słomka, lat 20, uczeń czwartej klasy wieczorowego liceum ogólnokształcącego w Katowicach, w tym roku miał zdawać maturę i ubiegać się o przyjęcie na studia. Był już aresztowany w sierpniu 1982 roku pod zarzutem zorganizowania grupy młodzieżowej KPN. Po czteromiesięcznym pobycie w areszcie śledczym został wówczas skazany na rok i cztery miesiące pozbawienia wolności z zawieszeniem. Po wyjściu z więzienia wydano go z liceum, do którego dotąd uczęszczał i przez jakiś czas nie mógł dostać pracy.

Dariusz Wójcik — student KUL-u.

Dwaj spośród uwiezionych to ludzie starsi, którzy wnieśli swój wkład do szeroko rozumianej kultury narodowej. Trzej pozostali to jeszcze bardzo młodzi ludzie, dopiero wkraczający w życie publiczne.

Wszyscy zostali uwiezieni w związku z wyznawaniem przez siebie poglądami politycznymi, co pozostaje w jaskrawej sprzeczności z postanowieniami artykułu 19 ustęp 1 i 2 i z artykułem 21 Międzynarodowego Paktu Praw Obywatelskich i Politycznych, które od czasu jego ratyfikowania przez Radę Państwa PRL i ogłoszenia formuły ratyfikacyjnej w Dzienniku Ustaw z dnia 29 grudnia 1977 roku stały się integralną częścią porządku prawnego PRL.

Biorąc powyższe pod uwagę, wyrażamy swój stanowczy protest przeciwko przetrzymywaniu w areszcie więźniów sumienia i zwracamy się do Rady Państwa PRL o spowodowanie w stosunku do wyżej wymienionych: umorzenia postępowania karnego względnie co najmniej uchynienia środka zapobiegawczego i umożliwienie oskarżonym obrony przed sądem z wolnej stopy.

Olgiert BAUER (Poznań), Jerzy BRYKCYŃSKI (Warszawa), Bogdan CISZAK (Poznań), Stanisława GRABSKA (Warszawa), Aleksander HALL (Gdańsk), Kazimierz JANUSZ (Warszawa), Marek JUREK (Poznań), Ks. Leon KANTORSKI (Podkowa Leśna), Dariusz KOBZDEJ (Gdańsk), Ryszard KRYNICKI (Poznań), Jacek KUROŃ (Warszawa), Krystyna LASKOWICZ (Poznań), Antoni MACIEREWICZ (Warszawa), Ta-

deusz MAZOWIECKI (Warszawa), Piotr NAIMSKI (Warszawa), Jerzy NARBUTT (Warszawa), Krzysztof NOWAK (Poznań), Janusz PAŁUBICKI (Poznań), Antoni PIETKIEWICZ (Warszawa), Marian PIĘKA (Trąbki), Bohdan SKARADZIŃSKI (Warszawa), Bogumił STUŻYŃSKI (Zalesie Górne), Zdzisław SZPAKOWSKI (Warszawa), Jacek TAYLOR (Gdańsk), Bohdan URBANOWSKI (Warszawa), Piotr WALERYCH (Poznań), Andrzej WIELOWIEYSKI (Warszawa), Piotr WIERZBICKI (Warszawa), Ks. Ludwik WIŚNIEWSKI (Wrocław), Zbigniew ZAKRZEWSKI (Poznań), Wojciech ZIEMBIŃSKI (Warszawa), Janusz ZIOŁKOWSKI (Poznań), oraz uwierzytelniający powyższe podpisy (składane w ciągu lata bieżącego roku) Restytut STANIEWICZ (Poznań).

9 października 1985 roku

### KOMPLET „KULTURY” (1947-1984) NA MIKROFISZACH

Mikrofiszowa edycja roczników *Kultury* (1947-1984) zawarta jest na 804 fiszach formatu 10,5×14,8 cm. Każdy rocznik jest w oddzielnej kopercie. Całość przesyłana jest w dwóch plastikowych pudełkach, stanowiących podręczną kartotekę.

Cena kompletu roczników *Kultury* wynosi 750 dolarów amerykańskich lub równowartość w innych walutach. Cena pojedynczego rocznika wynosi 25 dolarów amerykańskich (wraz z kosztami przesyłki).

Już się również ukazała mikrofiszowa edycja roczników *Zeszytów Historycznych* od początku do roku 1984 włącznie (Nry 1-70). Cena kompletu \$ 250,00 lub równowartość.

Zamówienia należy zgłaszać do:

**IPA, Box 2113, 220 02 LUND, SWEDEN.**

Tel. international: 46/46 14-34-16.

Należności należy przekazywać na IPA: Międzynarodowym przekazem pocztowym — POSTGIRO SWEDEN 469050-9 albo przelewem bankowym na SE BANKEN SWEDEN, LUND 5624-0044911 względnie International MO na IPA, Box 2113, 22002 Lund 2, Sweden.

Edycja roczników *Kultury* i *Zeszytów Historycznych* na mikro-fiszach będzie systematycznie kompletowana.

### AUDYCJE SEKCJI POLSKIEJ B.B.C.

06.00-06.15	pon.-sob.	9,76 31	7,26 41	6,14 49	3,975 MHz i 1296 KHz 75 i 231 m
07.00-07.15	pon.-sob.	11,92 25	7,26 41	6,15 49	3,975 MHz i 1296 KHz 75 MHz i 231 m
08.00-08.30	niedziela	11,92 25	7,295 41	6,15 49	MHz m
12.30-13.30	niedziela	15,39 19	12,04 25	9,66 31	MHz m
15.00-16.30	niedziela	15,39 19	12,04 25	9,66 31	7,155 MHz 41 m
16.00-16.30	pon.-sob.	15,39 19	12,04 25	9,66 31	7,155 MHz 41 m
18.00-19.00	codziennie	9,75 31	7,295 41	6,125 49	3,975 MHz i 1296 KHz 75 m i 231 m (g. 18.00-18.45)
21.30-23.00	codziennie	7,13* 41	6,125 49	3,975 75	MHz i 1296 KHz i 231 m

\* 7,235 od g. 22.00

dziennik radiowy:

w dni powszednie o godz. 06.00, 07.00, 16.00, 18.00 i 21.30;  
w niedziele o godz. 08.00, 12.30, 15.00, 16.00, 18.00 i 21.30.

po dzienniku:

— depesze, reportaże i komentarze o wydarzeniach w Polsce i na świecie.

— „Kalejdoskop dnia” od poniedziałku do piątku o godz. 18.00.

— „Reflektorem po świecie” od poniedziałku do piątku o 21.30.

programy publicystyczne m.in.:

— „W Polsce i o Polsce” (niedziela o godz. 18.30 i 22.00);

— „Bez cenzury” (niedziela o godz. 18.45, wtorek o godz. 16.15, czwartek o godz. 22.15);

— „Za kulisami wydarzeń” (piątek o godz. 16.15, 18.40 i 22.15);

— „Wiara i świat współczesny” (niedziela o godz. 08.15 i 12.40).

lekcje angielskiego:

— od poniedziałku do piątku o godz. 18.54 i 22.54.

a ponadto:

— wywiady, rozmowy, dyskusje, recenzje, programy literackie, artystyczne i muzyczne.



Włodzimierz Łukjanow-Kozłowski, Kankakee, IL (USA) — zamiast serdecznego uścisku i łez w oczach pełnych szczęścia, w 50-tą rocznicę pracy pisarskiej mego kolegi i przyjaciela z ławy szkolnej w Kielcach, Gustawa Herling-Grudzińskiego — \$ 40,00	F. 306,00
Wilhelm B. Matykiewicz, Old Bethpage, NY (USA), po raz 14-ty — \$ 12,00	F. 92,00
Witold i Renata Mikułowski, Bujumbura, Burundi, po raz 7-my	F. 685,00
Inż. Seweryn Palicki, Sztokholm — zamiast życzeń świątecznych — po raz 5-ty — Krs 100,00	F. 100,00
Dr Danuta M. Podkomorska, Winnipeg, Man. (Kanada), po raz 11-ty — \$ 100,00	F. 765,00
Tomasz Płodowski, Upper Montclair, NJ (USA), po raz 18-ty — \$ 60,00	F. 459,00
François Prause, Niamey (Niger), po raz 26-ty	F. 100,00
Miroslawa Puacz, Chicago, IL (USA) — w pierwszą bolesną rocznicę śmierci mego Meża, śp. Edwarda Puacza — \$ 500,00	F.3.825,00
R.L., Sztokholm — Krs 100,00	F. 100,00
Czesława i Jan Seremak, Honolulu (USA), po raz 9-ty — \$ 44,00	F. 337,00
B. K. Singlerowie, Sunshine, Vic. (Australia) — zamiast kwiatów na grób Romana Zemsty-Maszynowskiego — \$ 33,90	F. 260,00
Irena Strutyńska, Knutange-Nilvange (Francja), po raz 11-ty	F. 110,00
S. Szynalski, St. Agathe, Man. (Kanada), po raz 10-ty — \$ can. 65,00	F. 357,00
Wanda Trzos, Toronto, Ontario, po raz 8-my — \$ can. 12,50	F. 69,00
W. M. Tymowicz w imieniu Polskiego Związku w Secunda (Afryka Południowa) — sumę zebraną po występie Jacka Kaczmarek	F. 505,00
W.A.M., Argentyna — \$ 5.000,00	F.38.250,00
Edda Werfel, Wiedeń, po raz 6-ty	F. 260,00
Kali Weynerowska, San Francisco, CA (USA), po raz 6-ty — \$ 30,00	F. 230,00
Dr Stefan Wowczak, Isernhagen (RFN), po raz 7-my	F. 330,00
Jan Woźniak, Londyn, po raz 17-ty — £ 20,00	F. 230,00
Łucja Zalewska, Chicago, IL (USA), po raz 21-szy — \$ 142,00	F.1.200,00
Janusz Zembrzuski, Anglet (Francja), po raz 44-ty	F. 435,00
Z życzeniami świątecznymi dla Przyjaciół w Kraju i na emigracji — zamiast kwiatów na grób Doroty Zaurman — przyjaciele w Szwecji — Krs 100,00	F. 100,00
Bezimiennie z Mediolanu, po raz 23-ci	F. 40,00
Bezimiennie z Paryża — \$ 50,00	F. 383,00
Bezimiennie z Paryża, po raz 4-ty	F. 100,00

DZIĘKUJEMY!

## WPŁATY NA NSZZ „SOLIDARNOŚĆ”

Anonimowo ze Szwajcarii	F. 717,36
Bezimiennie z RFN — na „Solidarność” walczącą	F. 100,00
Bezimiennie z USA — \$ 30,00	F. 229,50
Członkowie „Pomostu” w Cleveland, OH (USA) — grupa pomocy „Solidarności” — sumę zebraną 27 września 1985 r. na comiesięcznej mszy św. za Ojczyznę, i 24. października 1985 r. — w pierwszą rocznicę męczeńskiej śmierci Ks. Je-	

złego Popiełuszki, przekazują: \$ 150,00 na prasę podziemną „Solidarności” w Polsce, \$ 50,00 na pomoc dla rodzin aresztowanych członków „Solidarności” (nadesłała skarbnik Aleksandra Zdulska), razem: \$ 200,00	F.1.540,00
Grupa działania na rzecz NSZZ „Solidarność” w Montrealu zebrała ze sprzedaży znaczków poczty „Solidarność” sumę \$ can. 2.578,00, którą w całości przekazała do Kraju oraz ponadto \$ US 2.000,00, którą przekazuje Marek Przykorski, a mianowicie:	
— na „Solidarność” w Gorzowie — \$ 1.000,00	F.7.650,00
— na Fudusz Kultury — \$ 1.000,00	F.7.650,00
Na Apel „Konfederacji 76”, Oddział Boston na rzecz „Solidarności” podziemnej złożyli: W. Ostrowski — \$ 10,00; członkowie „Solidarności” z Polski — W. Szypszak i Z. Padzik po \$ 10,00 oraz S. Borucki, J. Kocjan, T. Daniszewski, T. Wojdakowski, A. Sosnowska, A. Kruczyński, W. Micherda, W. Wierzbowski i C. Rybak po \$ 5,00; P. Janik, W.C., M. Stankiewicz, Z. Wallek, Z. Łabejsza, J. Koziół, A. Biedak i T. Pokorski po \$ 5,00 — razem: \$ 115,00	F. 880,00
Polskie Ugrupowanie Polityczno-Społeczne „Niepodległość-Solidarność” w Calgary, Alberta (Kanada) sumy zebrane:	
1) dochód ze sprzedaży kawy i ciastek po przedstawieniu „Sierpień 80” dn. 1 września 1985 r. — w 5-tą rocznicę powstania „Solidarności” — \$ can. 58,00; 2) dar Aleksandra Stockiego z 7 września 1985 r. — \$ can. 50,00; 3) dochód z obsługi szatni w czasie występu A.Z. w Domu Polskim 26 października 1985 r. — \$ can. 32,25; 4) datki zebrane w czasie programu audio-video, poświęconego pamięci ks. Jerzego Popiełuszki w 1-szą rocznicę Jego męczeńskiej śmierci — \$ can. 66,50; 5) od członków Ugrupowania — \$ can. 100,00 — razem na pomoc dla podziemnych struktur „Solidarności” (nadesłał Tadeusz Durlak) — \$ can. 306,75	F.1.687,00
Polish Canadian Action Group, Toronto, Ontario (Kanada) na pomoc dla „Solidarności” w Polsce (nadesłał prezes Lech Prusiński)	F.2.796,49
Winyłowcy z Toronto — na „Solidarność” w Kraju — \$ can. 76,00	F. 418,00

WPŁATY NA FUNDUSZ DRUKARSKI  
IM. WŁADYSŁAWA GŁOWACKIEGO

Bezimiennie z Brisbane (Australia)	F. 532,38
Bezimiennie z Paryża — dla uczczenia pamięci Romana Jurysia w 7-mą rocznicę Jego śmierci	F. 300,00
B. i K. Singlerowie, Sunshine (Australia) — w 3-cią rocznicę śmierci płk. Stanisława Jandzisa — \$ 33,95	F. 260,00
Wojciech Szczygielski, Zurych — Fr. szwajc. 30,00	F. 108,00

WPŁATY NA POMOC DLA WALCZĄCYCH W KRAJU  
„ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ”

Bezimiennie z USA — \$ 30,00	F. 229,50
E.M., Paryż — na rzecz prześladowanych w PRL	F. 200,00

Federacja Polek w Kanadzie — Ogniwo Nr 7, Winnipeg, Man. — na pomoc dla niezależnych artystów plastyków w Polsce (nadesłała J. Patalas) — \$ can. 100,00 .....	F. 550,00
W Redakcji <i>Listów do Polaków</i> złożyli: na pomoc Polsce Podziemnej — A. Kosińska — \$ 20,00; S. Billok i M. Orłowski po \$ 10,00 — razem: \$ 40,00 oraz M. Orłowski dla rodzin więźniów politycznych w PRL — \$ 10,00 — ogółem: \$ 50,00 .....	F. 383,00
R.L., Sztokholm — na działalność niezależnej prasy w Polsce — Krs. 100,00 .....	F. 100,00
Czesława i Jan Seremak, Honolulu (USA) — \$ 100,00 .....	F. 765,00
Związek Polaków w Sherbrooke, Fleurimont, Qué. (Kanada) — sumę zebraną 11 listopada 1985 r. na mszy św. w intencji więźniów politycznych w Polsce — na pomoc dla osób uwięzionych i prześladowanych w Polsce (nadesłał dr Piotr Pleniewicz) .....	F. 1.000,00
◆	
Związek Weteranów Polskich im. Marszałka Józefa Piłsudskiego w Montrealu, Qué. (Kanada) — przeznaczył sumę \$ can. 2.000,00 (nadesłał prezes Związku Jan Basik) z czego:	
— dla rodzin więźniów politycznych, członków „Solidarności” — \$ can. 1.000,00 .....	F. 5.500,00
— na Fundusz Drukarski — \$ can. 1.000,00 .....	F. 5.500,00

## KONTRAST-OFFSET-DRUCK

BREITENSTEINSTRASSE 33 • D-8209 SCHLOSSBERG-ROSENHEIM  
TELEFON 08031 / 77 77

Jedyna w RFN POLSKA DRUKARNIA WYDAWNICZA wykonuje:  
książki, broszury, czasopisma, katalogi, prospekty, karty świąteczne,  
zaproszenia, odezwy, ulotki, blankiety  
i tp. organizacyjne, społeczne, prywatne i reklamowe druki.  
**Skład elektroniczny** — także „na wynos” —  
zapewniający najwyższą jakość druku.  
**Solidne wykonanie — ceny umiarkowane!**

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZINSKI  
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE  
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.  
Commission Paritaire N° 60789.  
Dépôt légal: 1<sup>er</sup> trimestre 1986.

Imprimé en France  
N° d'imprimeur 7469.

# KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC  
Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi  
par 78600 Maisons-Laffitte - Telefon: (1) 39-62-19-04

## PRZEDSTAWICIELSTWA

	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
<b>Ceny na rok 1986</b>			
<b>AFRYKA POLUDNIOWA</b> : Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
<b>ARGENTYNA</b> : « Libreria Polaca », Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
<b>AUSTRALIA</b> : Księgarnia Polska VISTULA, King York House, 32 York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000. Tel.: 29 1248	\$ A. 7,50	\$ A. 40,00	\$ A. 77,00
<b>AUSTRIA</b> : Henryk Odlanicki-Poczobut, 1011 Wien, Schönlaterngasse Nr 5/2, Stiege/Tür 14. Tel.: 52-60-175	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
<b>BELGIA</b> : prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji « Kultury »	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
<b>BRAZYLIA</b> : prosimy o przesyłanie czeków do administracji « Kultury »	\$ US 6,00	\$ US 30,00	\$ US 58,00
<b>DANIA</b> : O. T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
<b>FRANCJA</b> : do nabycia w redakcji « Kultury » i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
<b>HOLANDIA</b> : Mrs. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, 4382 B L Vlissingen. Tel.: (01 184) 14073. Postgiro 1379176.	Fl h 20,00	Fl h 95,00	Fl h 175,00
<b>IZRAEL</b> : Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., Tel-Aviv, P.O.B. 29443. Tel.: 621311	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
<b>KANADA</b> : Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.O. J4W 1S5. Tel.: (514) 465-2362; B. Krasuski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4; Very rev. Donald Malinowski, 23 Coralberry Ave., Winnipeg, Man. R2V 2P2. Tel.: 339-5577; Z. Micherdziński, 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel.: 545-2115; J. Korwin-Lopuszanski, 90 Hilliard Avenue, Ottawa K2E 6C2; « Polish Voice Publishing » Co., 390 Roncesvalles Ave., Toronto, Ont. M6R 2M9; Polish Alliance Press, Ltd. (« Związkowiec »), 1638 Bloor St. West, Toronto, Ont. M6P 4A8	\$ can. 7,50 DM 14,00 F. 41,00	\$ can. 42,00 DM 80,00 F. 230,00	\$ can. 82,00 DM 150,00 F. 440,00
<b>NIEMCY</b> : St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1.			
<b>NORWEGIA</b> : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, 1500 Moss.			
<b>SZWAJCARIA</b> : Maria Wasung, 6, rue de Lilas, C.P. 74. 1211 Genève 7. Tel.: 44-32-51. Nr konta pocztow. 12.14431.	F.S. 13,00	F.S. 70,00	F.S. 130,00
<b>SZWECJA</b> : Norbert Zaba, Kalskärsgratan 3/IV, 115 33 Stockholm. Tel.: (08) 60-15-70. Postgirokonto Nr 48 82 34 6.	K.S. 41,00	K.S. 230,00	K.S. 440,00
<b>U.S.A.</b> : S. Dobczynski, Alma Shipping Co., 119 St. Marks Pl., New York, N.Y. 10009. Tel.: 475 8886; Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; T. Konopacki, 27437 Detroit Rd., Cleveland, Ohio, 44145. Tel.: 871-48-47; Irena Kretowicz, 4254 - 34th St., San Diego, Cal. 92104; Halina Kosciuch, 41963 Utica Road, Sterling HTS, MI 48078; POLONIA Bookstore, 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel.: (312) 489-2554; Jan Wojcik, 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwed Slave Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia « Nowego Dziennika », 21, West 38th Street, New York, N.Y., 10018. Tel.: (212) 354-0492	\$ US 6,00	\$ US 30,00	\$ US 58,00
<b>WIELKA BRYTANIA</b> : Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (01) 370 2210	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
<b>WŁOCHY</b> : Witold Zahorski, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: 75-67-241	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F.440; półroczna — F.230.  
Przesyłka pojedynczego numeru — F. 6,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:  
INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,  
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 (z Francji)  
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

# Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 410 — WOJCIECH GIEŁŻYŃSKI

## BUDOWANIE NIEPODLEGŁEJ

Treść tej książki określają tytuły jej trzech głównych części: I. „Walczyć nawet bez nadziei” to opis technik konspiracyjnych w latach między Powstaniem Styczniowym a pierwszą wojną światową; II. „Myśleć jak walczyć skutecznie” — to analiza różnych nurtów myśli politycznej, ulegających zmianie pod wpływem zmiennych sytuacji; III. „Iść kiedy pora” — to opis sytuacji narodu u progu Niepodległości i postawa Polaków w obliczu śmiertelnego zagrożenia sowieckiego.

Str. 336.

Cena F. 100,00.



TOM 411 — EWA MARIA ŚLASKA

## DOCHODZENIE

Polska tuż po ogłoszeniu stanu wojennego. W dużym mieście w domu, w którym mieszka kilkudziesięciu lokatorów, jeden z nich młody podoficer wojska polskiego znalazł w noc sylwestrową w zsypie na śmieci trupa młodej dziewczyny. Nikt nie wie kim jest dziewczyna, czy ktoś ją zabił, czy popełniła samobójstwo. Milicja prowadzi dochodzenie przesłuchując wszystkich lokatorów domu. Daje to w rezultacie świetny przekrój społeczeństwa polskiego kilkanaście dni po policyjno-wojskowym ataku na „Solidarność”. Ten swego rodzaju dreszczowiec czyta się jak najlepszy „kryminał”.

Str. 128.

Cena F. 50,00.



TOM 412 — ZESZYTY HISTORYCZNE

## ZESZYT SIEDEMDZIESIĄTY CZWARTY

Zawiera m.in. opracowania: Ks. Stefan kardynał Wyszyński: *W stulecie Powstania Styczniowego*; J. Strzelecka: *Proces Gdański*; J. Skórzyński: *Upadek rad robotniczych*; J. K. Zawodny: *Prezydent Roosevelt w Jaltcie*; J. Nowak: *Polityka amerykańska wobec kraju i emigracji w latach zimnej wojny*; A. Michnik: *KOR i Solidarność*; Tyle: *Zaolzie*; J. Ciechanowski: *Kluczowa rozmowa (Stalin - Romer, 26/27 luty 1943; Konferencja gen. Sikorskiego w Bejrucie 23 kwietnia 1943; Ucieczka Mikołajczyka z PRL w 1947 roku oraz obszerne działy: RECENZJE, OKRUCHY HISTORII, LISTY DO REDAKCJI.*

Str. 240.

Cena F. 60,00.